

FRONTLINES

NATARCIE

MARKO KLÓOS

—NUMU—



fabryka słów
WYDAWNICTWO

Spis treści

Karta tytułowa

Prolog

Rozdział 1. Fomalhaut b

Rozdział 2. Nowy Svalbard

Rozdział 3. Wyrównywanie szal

Rozdział 4. Z ognia w płomień

Rozdział 5. Wymiana kulturalna

Rozdział 6. Drzwi do domu

Rozdział 7. Planetarne cmentarzysko

Rozdział 8. Chłodne powitanie

Rozdział 9. Nie ma powrotu

Rozdział 10. Najtwardszy ziomek na dzielni

Rozdział 11. Ja tylko wykonuję rozkazy

Rozdział 12. Cała wstecz

Rozdział 13. Dostajemy to, co nam dają

Rozdział 14. Omijanie kordonu

Rozdział 15. Jak w starym kapitalistycznym filmie wojennym

Rozdział 16. Trybiki w maszynie do mięsa

Rozdział 17. Czerwona Droga Jeden

Rozdział 18. Płatki i rekiny

Rozdział 19. Nadrabianie zaległości

Rozdział 20. Exodus

Rozdział 21. Możesz rozpocząć przejście

Rozdział 22. Plan Romeo

Rozdział 23. To może być ten dzień

Rozdział 24. Bitwa o Ziemię

Rozdział 25. Druga bitwa o Detroit

Rozdział 26. Brygada Lazarus

Epilog

Podziękowania

O autorze

Karta redakcyjna

Okładka

MARKO KLOOS

NATARCIE

TŁUMACZYŁ
PIOTR KUCHARSKI

fabryka słów®

Lublin – Warszawa

S E R I A

FRONTLINES

1. **Pobór**
2. **Ewakuacja**
3. **Natarcie**
4. **Chains of Command**
[w przygotowaniu]
5. **Fields of fire**
[w przygotowaniu]



Dla Robin.

Jesteś dla mnie jak Halley dla Graysona, jak dżem dla pączka. Stanowisz centrum
wszystkiego, teraz i na wieki wieków.

Prolog

Ziemia. Nigdy bym nie pomyślał, że się za nią stęsknię.

Owszem, niewiele już z niej zostało. Mała niebieska kulka składająca się z pyłu i dużych ilości wody, tkwiąca w zakątku niewielkiej Galaktyki na zadupiu wszechświata. Wirowała w przestrzeni od pięciu miliardów lat, a my od początków swego gatunku zdołaliśmy wypełnić ją stu miliardami istot ludzkich. Skażona woda, paskudne powietrze, oceany w większości martwe. A jeśli czegoś nie zniszczyliśmy, nieustannie o to rywalizowaliśmy, wybijając się milionami, ponieważ nasza technologia dalece przewyższała zdolność utrzymywania przez nas na wodzy szczątkowych gadzich rejonów mózgu.

Nie. Gdy opuszczałem Ziemię, niewiele już sobą przedstawiała. Stanowiła jednak dom.

Byłem żołnierzem od pięciu lat, skakałem po całej zasiedlonej przestrzeni, dziesiątki lat świetlnych od ojczystej planety, i ani razu za nią nie zatęskniłem. To dlatego, że gdzieś w głębi wciąż miałem pewność, że Ziemia tam była, że nadal okrążała Słońce co trzysta sześćdziesiąt pięć dni, że roilo się na niej od ludzi, że miasta były pełne istot wyglądających oraz zachowujących się jak ja.

Teraz nie byłem już tego taki pewien.

Dryblaszy zajęli Marsa, naszą najstarszą i największą kosmiczną kolonię. Na Nowym Svalbardzie większość z nas widziała przynajmniej urywki nagranych walk i danych z sensorów. Na orbicie nagle pojawiło się dwadzieścia okrętów nasiennych, roztrzaskując naszą flotę na strzępy i wystrzeliwując tysiące lądowców pełnych obcych, którzy pełnili jednocześnie funkcje osadników i zwiadowców. Na miasta rozpylono gaz i rozpoczęła się beznamiętna całościowa eksterminacja, usunięcie dokuczliwego gatunku z nowej nieruchomości, zanim mogli się na nią wprowadzić kolejni lokatorzy. Każda zdolna do lotu w przestrzeni jednostka załadowała na pokład uchodźców i opuściła Marsa na pełnym gazie tylko po to, by rozerwały ją na kawałki blokujące planetę okręty Dryblasów i ich orbitalne pola minowe. Większość uciekinierów poległa. Ci, którzy zostali, również zginęli.

Ostatnie pięć lat stanowiło dla obcych jedynie rozgrzewkę. Testowali nasze możliwości, sondowali taktykę obronną, szacowali reakcje. Bawili się z nami.

Nie, perspektywy ludzkości nie wyglądały obiecująco. Rozgrywał się najgorszy możliwy scenariusz. Gdyby sytuacja nie miała ulec zmianie, w ciągu kolejnego roku, może dwóch czekała nas zagłada gatunku.

Ale jesteście ludźmi – zawziętymi, upartymi, zadziornymi oraz nieracjonalnymi. I zachowujemy się tak samo jak większość inteligentnych

stworzeń, gdy ktoś zapędzi je w kąt i nie zostawi drogi ucieczki: wysuwamy pazury i odsłaniamy zęby, po czym ruszamy do ataku.

Przewożące uchodźców połączone siły WPA/ZCR przybyły na Nowy Svalbard przed dwoma tygodniami. Wcześniej, podczas bitwy o Marsa oraz licznych potyczek, które miały miejsce w całym systemie słonecznym, utraciły większość obsady wojskowej i okrętów desantowych. We flocie znajdowały się dwa lotniskowce: „Mińsk” z ZCR oraz „Regulus” z WPA. Na „Mińsku”, zwykle zabierającym na pokład pełen pułk marines, znajdowała się jedynie wzmocniona kompania. „Regulus”, jeden z sześciu superlotniskowców WPA, stracił większość żołnierzy ze swego pułku Piechoty Kosmicznej.

Okręt nasienny Dryblasów, który zniszczyliśmy w systemie Fomalhaut, wpakowując w niego transportowiec wypełniony wodą, z nieznanego powodu nie rozstawił obronnych pól minowych wokół skolonizowanego przez ZCR księżycy, zanim ruszył w stronę Nowego Svalbardu. Zeszli na orbitę, zrzucili lądowniki kolonizacyjne na powierzchnię i popędzili za samotną rosyjską jednostką, bezbronnym krążownikiem, którego daremna ucieczka, a następnie destrukcja ostrzegły nas w ogóle o obecności obcych w systemie. Teraz na księżycu ZCR roilo się od olbrzymich osadników, nie broniły ich jednak miny, nie dysponowali też okrętem nasiennym, który mógłby zatrzymać nasze jednostki. Mogliśmy wreszcie walczyć z nimi na podobnych warunkach, korzystając z jednostek lotniczych i artylerii orbitalnej, czego zwykle nam brakowało na światach zajętych przez Dryblasów.

W chińsko-rosyjskiej kolonii nie wszyscy zginęli. Dryblaszy znajdowali się na powierzchni od niespełna trzech tygodni i choć metodycznie niszczyli ludzką infrastrukturę, gdy tylko się z nią zetknęli, nie używali gazu, choć dotąd zwykle stosowali go podczas ataków na nasze kolonie. Nie brakowało tam schronów, w których mogli się ukryć ludzie, a niewielki garnizon marines ZCR posuwał się nawet do ataków z zaskoczenia na najeźdźców. Nasze eskadry rozpoznawcze nawiązały kontakt radiowy z dziesiątkami rozproszonych grup cywilów i wojskowych ZCR, dowództwo z obu stron zebrało się więc i postanowiło zorganizować szturm. Chińczycy i Rosjanie, którym brakowało marines, lecz nie zbywało na dystansowcach, mieli dostarczyć większość okrętów. WPA, dysponująca sporymi siłami piechoty, lecz tylko nielicznymi okrętami desantowymi, miała w większości walczyć na powierzchni. Niesamowite, ale wszyscy się na to zgodzili. Co jeszcze dziwniejsze, zaplanowanie wspólnej operacji wojskowej obu bloków politycznych, na dodatek obejmującej różne formacje, posługujące się odmiennymi standardami uzbrojenia, sprzętu czy logistyki, zajęło zaledwie półtora tygodnia.

Teraz, dwa tygodnie po przylocie uchodźców, znajdowaliśmy się w drodze na księżyc ZCR w systemie Fomalhaut i zamierzaliśmy odbić ocalałych chińsko-rosyjskich osadników oraz żołnierzy, zabić jak najwięcej Dryblasów i wy dostać się, zanim pojawi się kolejny okręt nasienny.

Tak przynajmniej wyglądał plan, ale po pięciu latach organizacyjnych porażek miałem pewność, że z żadnego scenariusza nie zostawało wiele po nawiązaniu

kontaktu bojowego z wrogiem.

Rozdział 1

Fomalhaut b

Wygładasz jak robał – powiedział Dmitrij z rozkładanego siedziska po drugiej stronie przejścia. – Wielki, brzydki, imperialistyczny robał.

– Za to wy jesteście ekspertami od brzydoty – odparłem, rozglądając się.

Znajdowałem się w ładowni rosyjskiego okrętu desantowego typu Akula[1], czyli w miejscu, do którego nigdy nie spodziewałbym się trafić, a przynajmniej nie z pełnym uzbrojeniem i oprzyrządowaniem. Dziwaczność ostatnich paru dni osiągnęła nowy, wcześniej nieznaną poziom. Otaczał mnie mieszany pluton złożony z marines ZCR i Piechoty Kosmicznej WPA, wszyscy uzbrojeni po zęby i gotowi do walki. Gdybyśmy zaledwie miesiąc wcześniej znaleźli się na tak niewielkim obszarze, za to z tak dużą ilością broni, spotkanie zakończyłoby się szybko, brutalną strzelaniną i mnóstwem trupów. Teraz wszyscy ruszaliśmy w bój na jednym rydwanie, połączeni w tym dziwnym nowym sojuszu przez prozaiczną konieczność.

Projektanci naszych desantowców nie poświęcali wiele energii, by nadać Osom czy Ważkom choć odrobinę urody, lecz wyglądało na to, że Rosjanie robili, co w ich mocy, aby uniknąć jakichkolwiek rozwiązań, które można by uznać za miłe dla oka. Nasze okręty desantowe wyglądały po prostu na to, czym były: funkcjonalne maszyny bojowe. Rosyjski pojazd sprawiał natomiast wrażenie ciężkiego sprzętu budowlanego. Nie potrafiłem jednak nie zachwycić się efektywnością projektu. Nasze rozkładane siedziska były mocowane na jednym zawiasie i wyposażone w amortyzatory, w nich zaś znajdowała się jedynie silna, swobodnie zwisająca sieć – równie amortyzująca jak u nas i zapewne dwadzieścia razy tańsza. Poza tym wiedziałem, że niezależnie od wyglądu ruskie desantowce potrafiły spuścić niezłe manto każdemu, kto znalazł się przed ich lufami.

– Ile jeszcze do strefy zrzutu? – spytałem Dmitrija, który zerknął na wyświetlacz i wzruszył ramionami.

– Osiemnaście, może dziewiętnaście minut. Rozsiądź się, zdrzemnij. – Po tych słowach oparł głowę w hełmie o znajdującą się z tyłu gródź, a jego twarz przybrała wyraz lekkiego znużenia.

Był moim odpowiednikiem w siłach ZCR, rosyjskim kontrolerem walki. W drodze na ten gorący, pylisty księżyc krążący wokół Fomalhaut b mieliśmy kilka dni, by się poznać, i Dmitrijowi daleko było do stereotypowego ruskiego żołdaka. Nie miał rozmiarów czołgu, nie chlał wódki ani nie przemawiał z uczuciem do swej ciężkiej broni. Był raczej niski, tylko minimalnie przewyższał wzrostem panią chorąży Fallon, i miał kanciastą żuchwę oraz ostre, przystojne

rysy zawodowego modelu. Nawet nie strzygł się na jeża. Na głowie nosił niesforną czuprynę, która w PK przekraczała regulaminową długość, wypowiadał się spokojnie, a nie głośno i żywiołowo. W skrócie, stanowił przeciwieństwo wizerunku typowego Rosjanina, jaki wcześniej tkwił mi w głowie. W ostatnich dniach miałem mnóstwo okazji, by zweryfikować dawne uprzedzenia.

Przejrzałem dostępne obwody łączności i wybrałem kanał taktyczny najwyższego stopnia.

– Centrum operacyjne „Regulus”, tu Dysza Jeden. Proszę o ostatni test łączności i telemetrii.

– Dysza Jeden, tu centrum operacyjne – dobiegła odpowiedź. – Masz pięć na pięć z danymi i łącznością. Powodzenia, udanych łowów.

– Centrum operacyjne, przyjąłem. – Wyświetliłem strumień danych z centrum operacyjnego na „Regulusie”, skąd zwierzchnictwo piechoty i dowódca grupy lotniczej z lotniskowca koordynowali od strony WPA desant na kontrolowany przez Dryblasów księżyc.

W odbieranych informacjach widziałem osiem idących w pierwszej fali i ustawionych w formację klina desantowców, które wchodziły właśnie w atmosferę, nie natykając się na żaden opór.

Pierwsza grupa, w której się znalazłem, składała się z okrętów desantowych ZCR, a ja służyłem za naziemnego łącznika dla sił uderzeniowych WPA, ponieważ byłem jednym z zaledwie dwóch kontrolerów walki obecnych w całym systemie Fomalhaut.

Wejściu w atmosferę towarzyszyły zwyczajowe wstrząsy. Opancerzeni marines kołysali się lekko na swoich miejscach zgodnie z rytmem ruchów desantowca. Po raz ostatni sprawdziłem sytuację taktyczną na orbicie, wciąż dziwiąc się na widok naszych najcenniejszych jednostek lecących burta w burtę z okrętami, do których kilka tygodni temu natychmiast oddałyby salwę.

Trzy minuty przed przewidywanym przez Dmitrija czasem przylotu desantowiec skręcił ostro w lewo. Po chwili usłyszałem głuchy grzmot rakiet opuszczających zewnętrzne wyrzutnie, a następnie grzechot działek automatycznych na burcie. Okręty desantowe ZCR były wyposażone w większe działka niż nasze, lecz o niższej szybkostrzelności. Czułem, jak wstrząsy luf przenoszą się na kadłub, co nie zdarzało się w Osach czy Ważkach. Wyglądało na to, że czekał mnie cały miesiąc nowych doświadczeń.

– Matka Kuźki!^[2]

Głośnik na ścianie wypluł z siebie potok dosadnej ruszczyzny, którą zyczliwie przełożył mi uniwersalny tłumacz wbudowany w mój pancerz. Nie radził sobie jednak zbyt dobrze z idiomami. Spojrzałem na Dmitrija i wskazałem swoje ucho.

– To znaczy dać komuś niezłą nauczkę – wyjaśnił.

Wszędzie wokół mnie żołnierze ZCR szykowali broń, poszedłem więc za ich przykładem. W wariantcie wyposażeniowym Bravo miałem do dyspozycji wielki i ciężki karabin M-80 oraz dwadzieścia pięć ładunków umieszczonych w gniazdach szybkiego dostępu na pancerzu. Przesunąłem dźwignię otwarcia zamka i sprawdziłem, czy w komorach widać mosiężne spłonki dwóch

przeciwpancernych pocisków. Komputer pilnował oczywiście stanu amunicji, ale żaden choć trochę doświadczony w boju wojak nie zawierzyłby w pełni krzemowemu mózgowi, jeśli w grę wchodziła kwestia życia lub śmierci.

Rosyjski okręt zmieniał kilkakrotnie kurs, każdy zwrot akcentowany był serią z działka lub odpaleniem rakiet. Pociski na desantowcu służyły do wsparcia ogniowego i wykorzystanie większości z nich, zanim żołnierze zostaną wysadzeni, nie stanowiło dobrej praktyki, lecz desantowiec nagle uniósł dziób i zawisł w powietrzu, po czym otworzyła się tylna rampa i ujrzałem, dlaczego tak się ostrzeliwaliśmy przy zejściu.

– *Jobanyj w rot!* – skomentował jeden z marines obok mnie i całkiem niezłe zrozumiałem, o co mu chodziło, choć mój tłumacz zastąpił jego słowa jedynie sformułowaniem „wulgarne przekleństwo”.

Za ogonem desantowca rozciągał się pas startowy kolonii ZCR. Na brudnym szarym asfalcie i po jego bokach leżały masywne ciała kilku Dryblasów, wciąż dymiące w miejscach, gdzie zostały trafione. Nie miałem zbyt wiele czasu na podziwianie krajobrazu, ponieważ nasz okręt osiadł płozami na ziemi, a światło przy rampie zmieniło się z czerwonego na zielone. Rozpięliśmy pasy i wybiegłem za żołnierzami ZCR z ładowni, od razu lądując w ogniu walki.

– Szybko, szybko, szybko! – krzyczał znajdujący się na przedzie oficer ZCR, gdy pędziliśmy po rampie. Tak naprawdę wrzeszczał oczywiście coś po rosyjsku, ale pancierz przekazywał mi najbardziej zbliżone tłumaczenie.

Chińsko-rosyjscy marines działali jak dobrze naoliwiona maszyna, której częścią nie byłem. Przyjęli standardowy szyk osłaniający, gdy desantowiec z upiornym wyciem silników znów podrywał się w powietrze, sześćdziesiąt ton laminowanej stali i broni stłoczonej w potężny kadłub wznosiło się, choć nie powinno w ogóle być zdolne do lotu. Okręt nie znalazł się jeszcze nawet na stu metrach, gdy obrócił się i otworzył ogień z działek. Bez informacji z tak-łacza czułem się jak ślepiec. Musiałem polegać na sensorach pancierza i własnych oczach oraz uszach. Powiodłem wzrokiem wzdłuż trajektorii okrętu, by sprawdzić, w co strzelał, ale nie dostrzegałem celu. Usłyszałem jednak niezemski skowyt trafionego Dryblasa, od kilku lat nawiedzający mnie wciąż w snach. Nagle zza oddalonego o dwieście metrów budynku wyłonił się obcy, wymachujący kończynami i próbujący uciec przed strumieniem pocisków wylatujących z wielkokalibrowych działek. Choć Dryblaszy byli wysocy i potężni, dzięki swym rozmiarom stanowili wspaniały cel dla naszego wsparcia powietrznego. Po raz pierwszy w walce z nimi mogliśmy wykorzystywać wszystkie środki lotnicze i orbitalne, jakimi dysponowaliśmy, i to naprawdę robiło ogromną różnicę.

Nad głową usłyszałem raketę opuszczającą wyrzutnię naszego autobusu. Błyskawicznie pokonała dystans i ugodziła obcego w połowie korpusu. Dryblas przewrócił się, oplątany pajęczymi kończynami. Marines wokół mnie zakrzyknęli donośnie.

Naziemne budowle ZCR wyglądały na niemal równie solidne, jak nasze konstrukcje w Nowym Longyearbyen, choć z innych powodów. Księżyc, na którym się znaleźliśmy, gorący, pełen piachu i skał, znajdował się znacznie bliżej

gwiazdy Fomalhaut niż nasz niewielki lodowy glob. Przysadziste, kojarzące się z bunkrami budynki musiały być jeszcze wytrzymalsze, niż na to wyglądały, ponieważ nie dostrzegalem większych zniszczeń, a przecież obcy rządzą się tu już od kilku tygodni. Zwykle najpierw wypuszczali gaz na osiedle, po czym niszczyli nasz sprzęt terraformujący i zabierali się za demontaż reszty infrastruktury. Z danych przekazywanych przez mój pancierz wynikało, że nie zaczęli jeszcze nawet pierwszego etapu tej procedury. Skład atmosfery nie odbiegał od normy, nie było żadnych zagrożeń biologicznych ani chemicznych. Gdybym zechciał, mógłbym zdjąć hełm i odetchnąć świeżym powietrzem.

W oddali, po drugiej stronie osiedla, trasery i smugi kondensacyjne ciągnące się za wystrzelonymi rakietami zwiastowały przyłot okrętów bojowych ZCR, które eskortowały nas przed chwilą do strefy desantu. Słyszałem grzmot eksplozji przetaczających się przez miasteczko, a następnie przerażający skowyt trafianych Dryblasów.

Rosjanie ustanowili perimetr, trzymali w gotowości karabiny i wyrzutnie rakiet, przekazywali sobie okrzykami wektory zagrożenia. Odpaliłem całe aktywne oprzyrządowanie w pancerzu i sprawdziłem sytuację. Jeden desantowiec nad nami, trzy na ziemi, cztery następne szykowały się do lądowania. Oddział WPA zajmował skrawek lądu po przeciwnej stronie miasteczka garnizonowego. W każdym z naszych plutonów PK znajdował się przynajmniej jeden marine ZCR, który służył jako łącznik i miał dopilnować, by miejscowi obrońcy nie zaczęli odstrzeliwać ludzi przybyłych im na ratunek.

– Sieć obrony przeciwlotniczej jest nieaktywna – poinformował mnie Dmitrij na najwyższym poziomie łączności. – Nie działa. Zniszczyli radar, lidar, wszystko, co wydzielalo promieniowanie.

Przeloty zwiadowcze z orbity wskazywały właśnie na taką możliwość, ale dowództwo nie chciało ryzykować, że okręty desantowe zostaną strącone przez system automatycznej obrony przeciwlotniczej ustawiony tak, by strzelał do wszystkiego, co nie miało transponderów ZCR. Właśnie dlatego pierwsza fala składała się wyłącznie z chińsko-rosyjskich desantowców, wiozących w ładowniach głównie piechotę WPA. Skoro znaleźliśmy się już na powierzchni, mogłem wezwać sprzęt Wspólnoty.

– Centrum operacyjne „Regulus”, tu Dysza Jeden. Stanęliśmy na ziemi, strefa lądowania roi się od nieprzyjaciół. Proszę bliskie wsparcie lotnicze o ostrzał obszaru na północ od SL.

– Dysza Jeden, tu centrum operacyjne. Przyjąłem. Wysyłam bliskie wsparcie lotnicze, przewidywany czas przybycia: dziesięć minut. Sygnał wywoławczy Młot.

– Nadlatuje eskadra Młot, czas przybycia: dziesięć minut – potwierdziłem. Ostatnie słowo zostało niemal całkowicie zagłuszone terkotem działka desantowca Akuły nad nami. – Dmitrij, powiedz pilotom Akuł, że nadlatuje bliskie wsparcie lotnicze. Ostrzelają tamten obszar. Lepiej, żeby nie doszło do żadnego wypadku.

Dmitrij leniwie uniósł w moją stronę kciuk, nie przerywając pracy przy konsoli kontrolnej, którą ustawił przed sobą na kawałku gruzu.

– Nie martw się, człowieku – powiedział z akcentem brzmiącym jak parodia slangu amerykańskich surferów. – Rosyjscy żołnierze są dobrze wyszkolonymi zawodowcami.

Na północnym krańcu lądowiska, za pasem startowym, pojawiło się trzech Dryblasów. Ich dwudziestopięciometrowe sylwetki górowały nad kamienistą okolicą. Desantowiec ponad nami znów otworzył ogień z działek. Przez robalową skorupę nie czułem fali uderzeniowej, ale pył wokół moich butów poderwał się, gdy rosyjski pojazd zasypał nadciągających obcych granatami przeciwpancernymi. Jeden z Dryblasów upadł, po nim drugi, obaj wrzeszczeli i skowycieli. Wydawane przez nich odgłosy nie przypominały nic, co znałbym z Ziemi. Były ostre, przenikliwe, a jednocześnie podszyte głębokim, niskim dudnieniem.

Desantowiec zaczął się unosić i odlatywać znad lądowiska. Dmitrij zawołał coś do swoich żołnierzy, którzy ustawili się na asfalcie w podwójnej linii. Marines z przodu przyklękli, po czym wymierzili broń w ocalałego Dryblasia, który znajdował się sto pięćdziesiąt metrów od nas i wciąż się zbliżał. W walce z obcymi Rosjanie korzystali z wielkich, potężnych karabinów, jednak nie dwulufowych jak nasze. Te ich były jednostrzałowe i ładowane odtylcowo nabojami wyglądającymi na jeszcze większe niż w moim M-80. Klęczący rząd wystrzelił na komendę, której nie usłyszałem. Sześć karabinów dało ognia w tej samej chwili, niski grzmot zabrzmiał niczym pojedynczy strzał. Komory otworzyły się, wyrzucając mosiężne spłonki bezłuskowych pocisków, a drugi szereg przygotował broń. Obserwowałem, jak marines ZCR błyskawicznie wykonują trzecią, czwartą, piątą salwę. W czasie gdy jeden szereg strzelał, drugi przeładowywał, zupełnie jak w piechocie liniowej w dawnych kolonialnych czasach na Ziemi. Zbliżający się Dryblas przyjął na głowę i pierś sześć, później dwanaście i osiemnaście pocisków, z których każdy uderzał z gwałtowną detonacją typową dla kruszącej amunicji przeciwpancernej. Przy piątej salwie obcy potknął się, po czym upadł, wstrząsając ziemią pod moimi butami. Marines strzelali w sumie jakieś osiem, może dziewięć sekund. Ich taktyka walki z Dryblasami była zupełnie odmienna niż nasza, ale skłamałbym, twierdząc, że nie okazywała się przynajmniej równie skuteczna.

Na obszarze całego osiedla słyszałem kanonadę brzmiącą niczym pełna dysonansów wojskowa symfonia: niski rumor naszych M-80 i karabinów stosowanych przez ZCR przeciwko obcym, świst wyrzutni MARS, grzmot wybuchających granatów i rakiet, a wszystko to wymieszane ze skowytami Dryblasów i hałasem działek unoszących się nad nami okrętów desantowych. Każdy fragment nadziemnej infrastruktury został zniszczony i pośród gruzów stała już tylko część przysadzistych, solidnych budynków, jednak na ziemi nie leżały zasobniki po gazie, nie widziałem też martwych osadników. Zupełnie jakby obcy walczyli z rękoma związanymi za plecami. Cokolwiek stanowiło przyczynę, bardzo odpowiadał mi taki stan rzeczy, nawet jeśli miał okazać się tymczasowy.

Na moim wyświetlaczu taktycznym zaczęły się pojawiać ikony oznaczające, że żołnierze WPA zauważali i atakowali cele. Nie widziałem tego, co Rosjanie,

ponieważ nasze sieci taktyczne nie komunikowały się ze sobą, ale wszystko, na co patrzyli nasi, trafiało do komputera mojej robalowej skorupy, a stamtąd do konsoli kontrolnej. Ludzie stanowili skupisko niebieskich symboli, otoczone szerokim, nieregularnym kręgiem pomarańczowych ikon symbolizujących Dryblasów, którzy koncentrowali się w grupki liczące maksymalnie trzech lub czterech osobników.

Bazę i miasteczko ZCR umieszczono na skraju skalistego płaskowyżu. Z jednej strony osiedle sąsiadowało z łagodnym zboczem schodzącym do stromej doliny. Drugi kraniec miasteczka, gdzie znajdowała się baza wojskowa i jej lotnisko, wychodził na rozległą wyżynę. Właśnie tam kręcili się obcy, część z nich zbliżała się w naszą stronę, a niektórzy oddalali się od strefy walki. W każdym starciu, w jakim dotąd brałem udział, wykazywali znacznie większą koordynację i agresję niż ta grupa. Nasi obecni przeciwnicy wydawali się wolniejsi, słabsi, niemal niepewni swoich działań. Choć zgromadziliśmy już na płaskowyżu spore siły, zmasowany atak ze strony Dryblasów mógłby zakończyć się naszą klęską. Nie atakowali jednak, a ja nie zamierzałem dać im czasu na zmianę zdania.

Bliskie wsparcie lotnicze nadleciało po kilku minutach: trzy eskadry Dzierzb wyładowanych po możliwości konstrukcyjne rakietami powietrze–ziemia. Zeszły z orbity i na pełnym gazie popędziły nad SL, strefę lądowania, zaledwie kilkadziesiąt kilometrów przed celem ustawiając się w formację sześciu okrętów w rzędzie. Odpaliłem komunikator i przełączyłem się na taktyczny kanał lotniczy.

– Eskadra Młot, tu Dysza Jeden. Możecie swobodnie przebierać w celach. Na płaskowyżu bezpośrednio na północ od SL roi się od Dryblasów. Potraktujcie ten obszar jak strzelnicę. Wszyscy sojusznicy znajdują się na południe od pasa startowego. Przesyłam koordynaty celów. I pamiętajcie, że w górze latają ruskie desantowce.

– Dysza Jeden, tu Młot Jeden – nadał w odpowiedzi pilot pierwszej Dzierzby. – Potwierdź, że możemy atakować wszystko na północ od pasa startowego. Przewidywany czas przybycia: jedna minuta.

Wysłałem kody potwierdzające i spojrzałem na Dmitrija, zajętego własnym sprzętem komunikacyjnym.

– Wsparcie lotnicze nadleci za sześćdziesiąt sekund! – krzyknąłem do niego. – Przekaż tym desantowcom, żeby opuściły przestrzeń powietrzną.

Dmitrij znów pokazał mi podniesiony kciuk, nie spuszczać wzroku z ekranu konsoli kontrolnej. Po chwili Akury krążące nad osiedlem opuściły pozycje i rozpierzchły się na zachód i wschód, by zejść z linii ognia.

Dzierzby obwieściły swoje przybycie spektakularnym pokazem skuteczności pocisków kierowanych dalekiego zasięgu. Dwadzieścia cztery smugi kondensacyjne pomknęły od południa i błyskawicznie przecięły niebo nad osiedlem ZCR. Opadły na płaskowyż za miasteczkiem i eksplodowały gwałtownie, aż w odległości kilometra zatrząsł się żwir. Za pasem startowym w bezchmurne niebo wzbily się pióropusze pyłu i dymu. Dziesięć sekund później przemknęły Dzierzby, wypuszczając z wielolufowych działek tysiące przeciwpancernych pocisków przeznaczonych dla niewidocznych dla mnie celów. Nigdy nie

widziałem sześciu Dzierzb wykonujących skoordynowany atak i okazało się to absolutnie zachwycające, niczym boska pięść spadająca na grupę pechowych grzeszników. Otaczający mnie marines ZCR dali się porwać chwili i urządzili owację, gdy Dzierzby przelatywały nad naszymi pozycjami, a po minięciu osady znów rozdzielały się na pary. Sytuacja wydawała się tak surrealistyczna i absurdalna, że aż się uśmiechnąłem. Jeszcze kilka tygodni temu wiwaty byłyby ostatnią rzeczą, jaka przyszłaby na myśl rosyjskim żołdakom na widok lecących rzędem do ataku na cele naziemne doborowych pojazdów latających Korpusu Obronnego WPA. Świat stanął na głowie i wzbudzało to we mnie dziwną radość.

Dzięki danym spływającym tak-łączem widziałem to samo, co Dzierzby, gdy zawróciły, by ponownie ostrzelać płaskowyż. Pomarańczowe ikony wyskakiwały mi na mapie, kiedy piloci namierzali Dryblasów, po czym znikaly, gdy rakiety i pociski trafiały w cel. Rozmiar obcych ułatwiał atakującym zadanie – nie mogli ukryć się przed naszymi myśliwcami szturmowymi i nie dysponowali możliwością kontrataku. Choć byli wielcy i silni, bez osłony swego statku-matki nie mieli szans przeciwko Dzierzbowi zaprojektowanym do niszczenia pojazdów opancerzonych i fortyfikacji ZCR.

Wciąż jednak mogli poważnie zaszkodzić nam, piechociarzom, nieosłoniętym wzmocnionym kadłubem, który mógł umknąć z prędkością ośmiuset węzłów, gdy sytuacja robiła się napięta.

– Dysza Jeden, tu Młot Jeden. Oczyszczamy do końca płaskowyż. Informuję, że grupa dwudziestu nieprzyjaciół nadciąga w waszą stronę z kierunku dwieście siedemdziesiąt stopni. Nie zostało nam dość amunicji, by zlikwidować wszystkich, zanim do was dojdą.

– Młot Jeden, przyjąłem – odpowiedziałem. – Opuśćcie ten obszar, poproszę o przesyłkę z orbity.

– Odbiór – nadał w odpowiedzi dowódca eskadry Młot.

Przełączyłem się z powrotem na kanał taktyczny floty i wywołałem „Regulusa”.

– Centrum operacyjne „Regulus”, tu Dysza Jeden. Zadanie priorytetowe. Proszę o natychmiastowy atak kinetyczny na następującą lokację. – Przekazałem koordynaty punktu podanego mi przez eskadrę Młot, czyli wąwozu leżącego trzy kilometry na północny zachód od nas. Wkurzeni Dryblasy mogli całkiem szybko przebyć ten dystans, a nie chciałem, by dwudziestu z nich pokazało się za chwilę na pasie startowym, nawet jeśli nad nasze głowy miałyby wrócić desantowce.

– Dysza Jeden, tu „Regulus”. Potwierdzam odbiór współrzędnych. Przesyłka ruszy w drogę za siedemdziesiąt sekund.

Przekazałem ostrzeżenie BOMBARDOWANIE KINETYCZNE wszystkim znajdującym się w pobliżu żołnierzom WPA, a następnie podbiegłem do Dmitrija zgarbionego nad konsolą. Spojrzał na mnie, gdy zatrzymałem się z poślizgiem.

– Powiedz swoim, że za kilka minut zrzucimy głowice kinetyczne. Trzy kilometry w tamtą stronę. – Wskazałem strefę docelową wyciągniętą dłonią. Nie zdawałem sobie sprawy, jaką przewagę zapewniają zintegrowane sieci komunikacyjne, dopóki nie zostałem zmuszony do koordynacji walki u boku grupy, której komputery nie były zgodne z naszymi. Słowa i gesty są powolne, na

dodatek zajmują bezcenny czas, w którym dziesięć kiloton spada w twoją okolicę z dwudziestokrotnością prędkości dźwięku.

Dmitrij skinął głową i znów coś powiedział przez swój system, zapewne dając marines ZCR znać, że za chwilę w pobliżu spadnie boska pięść. Uderzenia kinetyczne dawały niemal równie imponujące efekty jak bomba jądrowa o niskiej sile wybuchu i jeśli taka głowica rozbijała się w pobliżu bez ostrzeżenia, mogło się to okazać, delikatnie mówiąc, niepokojące.

Niedaleko nas oddział Piechoty Kosmicznej WPA powalił dwóch obcych maruderów salwą rakiet MARS, wspomagany przez grupę marines ZCR korzystających z własnych wyrzutni. Te ich były ładowane od przodu, nasze odtylcowo, lecz oba rozwiązania służyły temu samemu celowi i pozwalały uzyskać identyczne rezultaty. Jeden Dryblas upadł, ugodzony kilkoma głowicami przeciwpancernymi i dziesiątkami pocisków karabinowych. Drugi nie przejął się zbyt wiele trafieniami i nadchodził dalej prosto pod ogień obronny prowadzony przez oba oddziały. Ściągnąłem z ramienia M-80, pozwoliłem komputerowi wycelować i wystrzeliłem z obu luf w nadciągającego obcego, który dotarł już do mieszanej grupy. Znajdowałem się w odległości pięćdziesięciu metrów od niego, na dodatek w stosunkowo bezpiecznym miejscu, lecz inni żołnierze nie mieli tyle szczęścia. Dryblas cisnął ich na bok długą, pająkowatą łapą, wzbili się w powietrze niczym żwir niesiony huraganem. Otworzyłem zamek karabinu, wyciągnąłem dwa kolejne ładunki z mocowań na pancerzu i przeładowałem. Zanim uniosłem z powrotem broń, skumulowana palba otaczających obcego żołnierzy powaliła go już na kolana. Wydawał rozdzierający uszy skowyt, a naboje i rakiety zasypywały go ze wszystkich stron. Padł na kamienisty grunt, wreszcie poddając się dziesiątkom supergęstych penetratorów, którymi przebiliśmy jego skórę. Dryblaszy byli tak wielcy i gruboskórni, tak niesłychanie trudni do zabicia, że gdy tylko udawało nam się któregoś pokonać, czuliśmy się, jakbyśmy powalili boga.

Głowice kinetyczne z „Mściciela” obwieściły swe przybycie niezmiernym hukiem. I nagle pierwsza z nich uderzyła w ziemię u wejścia do wąwozu. W oddali pojawił się oślepiający błysk, a po kilku sekundach rozległ się donośny huk i ziemia zatrzęsała się tak gwałtownie, że musiałem odzyskać równowagę, a konsola Dmitrija spadła z zaimprovizowanej podstawki i zagrzechotała na żwirze. W błękitne niebo wystrzelił pióropusz pyłu i kamieni. Następnie spadła druga głowica, a po niej trzecia i czwarta. „Mściciel” celował w odstępach, wpakował pierwszy pocisk u wylotu rozpadliny, by zablokować Dryblasom wyjście, a reszta wylądowała w samym parowie, dopełniając dzieła zniszczenia. W ciągu trzydziestu sekund chmura na północny zachód od nas sięgnęła trzystu metrów nad płaskowyżem.

Dmitrij przez chwilę przyglądał się fajerwerkom w oddali, po czym podniósł konsolę, wytarł ją z pyłu i znów ustawił przed sobą.

– Właśnie złamaliście postanowienia traktatu ze Svalbardu – oznajmił. – Gdy wrócimy na Ziemię, wystosuję skargę do trybunału zbrodni wojennych ONZ.

Obu ziemskim mocarstwom nie wolno było korzystać podczas działań

bojowych przeciwko drugiej stronie z bomb atomowych i kinetycznych, a także innej broni masowej zagłady. Technicznie rzecz biorąc, Dmitrij miał rację – wystrzelenie przez „Mściciela” głowic w stronę zajmowanego przez ZCR księżycy zapewne stanowiło dosłowne pogwałcenie tego porozumienia – należało jednak odróżnić literę prawa od jego ducha, ponieważ strzelaliśmy w Dryblasów, a nie w instalacje chińsko-rosyjskie. Zresztą i tak byłem przekonany, że Dmitrij żartował, choć wciąż nie do końca przyzwyczailem się do specyficznego rosyjskiego poczucia humoru. Może zresztą to było tylko jego poczucie humoru.

– Jeśli kiedykolwiek wrócimy na Ziemię, mogą to dopisać do mojego rachunku – odparłem. – I tak już czeka mnie dwadzieścia lat za udział w buncie.

Trzy kolejne eskadry desantowców nadleciały w pięciominutowych odstępach. Wszystkie pochodziły z ZCR, lecz wiozły głównie piechotę WPA. Mieszany batalion zlikwidował po kolei pozostałych w okolicach osiedla Dryblasów, a okręty desantowe i Dzierzby zapewniały wsparcie ogniowe z powietrza. Pierwszy raz brałem udział w tak szeroko zakrojonej akcji przeciwko obcym, z asystą z orbity i przy wykorzystaniu wszystkich możliwości sił naziemnych. I pierwszy raz w tak zdecydowany sposób wygrywaliliśmy z nimi na powierzchni. Okazywało się, że wcale nie są tacy niezwyciężeni. Niestety, mieliśmy nikłe szanse na to, że taki zbieg okoliczności się powtórzy.

Kolejne trzy godziny spędziłem na koordynowaniu działań bliskiego wsparcia lotniczego i łańcuszka desantowców, które schodziły z orbity po żołnierzy i ocalałych kolonistów, wracały na lotniskowce, uzupełniały paliwo i ruszały z powrotem. Wszystkie okręty desantowe wchodzące w skład zespołu zadaniowego, nieważne, czy należące do WPA, czy ZCR, wykonywały kursy na powierzchnię księżycy. Wciąż dziwnie było obserwować Dzierzby eskortujące chińsko-rosyjskie desantowce albo Osy i Akuly latające w jednej formacji i choć nie miałem pojęcia, do czego ten dziwny układ mógł nas doprowadzić w przyszłości, wciąż wątpiłem, czy zdołam w pełni przyzwycząić się do tego widoku. W końcu od tak dawna strzelałem do tych ludzi.

Kiedy ostatni okręt desantowy pełen cywilów ZCR i członków miejscowego garnizonu znalazł się w powietrzu, z kolonialnego miasteczka została opuszczona sterta gruzu przemieszanego ze zniszczonym sprzętem i martwymi Dryblasami. Mieszany pluton, z którym pozostałem na powierzchni, zebrał naszych poległych i przygotował się do powrotu. Dwa desantowce czekały na nas na skraju dawnego lotniska wojskowego z opuszczonymi rampami i włączonymi silnikami. Na księżycu wciąż było wielu obcych, ale ci, których dostrzegły z powietrza nasze loty zwiadowcze, kręcili się pojedynczo lub w małych grupkach. Po tym, jak w wąwozie rozwaliliśmy większe zgrupowanie Dryblasów głowicami kinetycznymi, nie podejmowali już dalszych prób odzyskania osiedla albo

przeszkodzenia w ewakuacji. Wręcz przeciwnie – ci, którzy pozostali w okolicy, wydawali się rozmyślnie trzymać z dala od nas. Dzierzby wciąż atakowały cele, na które natknęły się na tej półkuli, ale na całym księżycu znajdowały się jeszcze setki obcych i potrzebowalibyśmy całego miesiąca, by zestrzelić ich wszystkich z powietrza. Mieliśmy to, po co przybyliśmy, i nadeszła pora się stąd zabierać, zanim następny okręt nasienny pojawi się na orbicie i zepsuje nam zabawę.

Oczekującymi desantowcami okazały się Osa i Akuła. Rosyjska część plutonu wsiadła do Akuły, żołnierze WPA zaś wbiegli po rampie do wnętrza Osy. Wracaliśmy na własne okręty na orbicie, niedysponujące klamrami dokującymi dostosowanymi do pojazdów drugiej strony.

– Powodzenia, Dmitrij – powiedziałem swemu odpowiednikowi z ZCR, gdy szliśmy do naszych desantowców.

– Tobie też, Andrew – odrzekł. – Może przez jakiś czas nie będziemy się zabijać, co? Gdy zauważę cię na polu bitwy, spróbuję cię zamiast tego zranić.

Jako ostatni wdrapywałem się po rampie Osy. Gdy obejrzałem się przez ramię na szczątki budynków garnizonowych ZCR, dostrzegłem, że Dmitrij stoi przy ogonie Akuły i mnie obserwuje. Dopiero gdy moje stopy dotknęły stalowej powierzchni rampy, zaczął wchodzić na pokład własnego okrętu. Zasalutowałem niedbale, a on odpowiedział precyzyjnym, podręcznikowym salutem.

Wiedziałem, dlaczego czekał z wejściem, aż opuściłem powierzchnię księżycy. Nasza profesja każe nam postawić buty na ziemi jako pierwszym i zejść z niej jako ostatni po zakończeniu misji. Osiedle należało do ZCR, więc ich kontroler walki dopilnował, by to on opuścił je ostatni. Wyglądało na to, że niektórych wojskowych tradycji przestrzegano po obu stronach.

Przypiąłem się do pozostałego wolnego miejsca na zatłoczonej Osie i zabezpieczyłem broń. Tylna rampa zaczęła zamykać się ze zgrzytem, szef załogi szykował pojazd do lotu w przestrzeń. W przejściu pomiędzy dwoma rzędami siedzisk naliczyłem pięć worków na ciała. Zapłaciliśmy dziś swoją dolę. Zlaliśmy potem i krwią ziemię ZCR, by uwolnić cywilów, których jeszcze przed miesiącem zostawilibyśmy na pastwę losu. Może jednak mimo wszystko ewoluowaliśmy jako gatunek, gdy zaczęła nam grozić zagłada.

Zastanawiałem się, czy Dryblasy nie powinni pojawić się kilka tysięcy lat wcześniej.

1 Акула/akuła (ros.) – rekin (wszystkie przypisy tłumacza).

2 Кузькина мать (kuzkina mat), w pełnej wersji показать кузькину мать (pokazać kuzkinu mat) – rosyjski idiom o wieloznacznym pochodzeniu, którego rozpropagowanie przypisuje się Nikicie Chruszczowowi podczas kryzysu kubańskiego. Oznacza „damy wam nauczkę” albo „pokażemy wam, gdzie raki zimują”. W polskiej wersji celowo w tłumaczeniu dosłownym – ma to emulować działanie automatycznego tłumacza.

Rozdział 2

Nowy Svalbard

Służyłem we flocie od pięciu lat, od momentu ukończenia szkoły dla kontrolerów walki co sześć miesięcy zmieniałem okręt, a jednak aż do tego tygodnia nigdy nie postawiłem stopy na superlotniskowcu typu Navigator. Stanowiły one chlubę floty, tonażem półtorakrotnie przewyższały poprzednią klasę i były najpotężniejszymi okrętami, jakie człowiek umieścił w przestrzeni. Wyprodukowano ich jednak niewiele i były zbyt cenne, by kierować je do działań, w jakich głównie brałem udział przez ostatnie lata, tak więc dopiero teraz wszedłem na pokład jednego z nich.

Rozmiary „Regulusa” wydawały się jeszcze pokaźniejsze z powodu niedoborów kadrowych. Wiedziałem, jak powinna wyglądać obsada lotniskowca i poziom aktywności pokładowej. Gdybym miał zgadywać, uznałbym, że na okręcie znajdowała się co najwyżej połowa regulaminowej załogi. Kiedy skierowano go do remontu i uzupełnienia zapasów w stoczni nad księżycem Europa, w Układzie Słonecznym pojawili się Dryblasy, „Regulus” musiał więc ruszyć do akcji ze szkieletową załogą uzupełnioną o ludzi, których dało się zgarnąć z Europy. Korpus Obrony WPA zebrał największe ciężki w swej historii podczas nieudanej obrony Marsa i po prostu nie było już rezerw kadrowych. Superlotniskowiec został przygotowany do walki dopiero, gdy zakończyła się już bitwa o Czerwoną Planetę, i jedyne, co mu pozostało, to zgarnąć eskortujące go okręty i uciec. Z tego, co wiedziałem, mógł być ostatnim z istniejących Navigatorów. Zresztą my, ludzie z systemu Fomalhaut, mogliśmy być ostatnimi przedstawicielami naszego gatunku.

Odprawa po misji odbyła się w rozsądnie wąskim gronie. Byłem jedynym kontrolerem walki z WPA, który zszedł na powierzchnię, poza tym w niewielkim pomieszczeniu przylegającym do centrum operacyjnego znajdowało się jeszcze dwóch kosmicznych ratowników, drużyna SEAL z „Regulusa” i trzy drużyny rozpoznania PK z obozu Sopol. „Midway” zostawił połowę zaokrętowanego na nim pułku PK w Sopolu, po czym podwinął ogon i uciekł wraz z resztą zespołu zadaniowego.

Wszedłem do sali odpraw i zająłem krzesło z tyłu, za SEAL i po przeciwnej stronie pomieszczenia niż zwiadowcy PK. Wszyscy wciąż dobrze pamiętali krótką i gwałtowną rzeź podczas naszego buntu na Nowym Svalbardzie i niektórzy żołnierze PK zerkali na mnie nieprzyjaźnie albo rzucali niewybredne uwagi w mesie podczas trwającego tydzień lotu w tę stronę. Dopóki nie wrócimy na orbitę nad Nowym Svalbardem, zamierzałem pilnować, by nie trafić w żaden mały uczęszczany zakątek okrętu, gdzie od najbliższego wjazdu oddzielałoby mnie

kilka wkurzonych kosmicznych małąp.

Dowódcą centrum operacyjnego na „Regulusie” był poważny major nazwiskiem Kelly. Przedwcześnie posiwiiał i miał znużoną, doświadczoną twarz typową dla weteranów z floty. Marynarski styl życia wywierał ogromne piętno na ciałach i umysłach. Większość osób z naszej działki wyglądała na przynajmniej dziesięć lat starszych niż w rzeczywistości.

– Skopaliśmy im tyłki w podręcznikowy sposób – oznajmił, gdy zaczął odprawę, uruchamiając holograficzny wyświetlacz na ścianie. – Zero ofiar wśród kapsli. Stu siedemdziesięciu dziewięciu potwierdzonych martwych Dryblasów i kolejnych pięćdziesięciu prawdopodobnych.

Wszyscy wyraziliśmy aprobatę w odpowiednio stonowany i profesjonalny sposób. Była to zdecydowanie najwyższa liczba obcych zabitych metodami innymi niż broń jądrowa, jaką udało się uzyskać podczas jednego desantu, i większość padła dzięki tradycyjnym metodom: od karabinów, rakiet i działek automatycznych.

– Ilu poległych z PK? No i, tego, z ZCR? – spytał jeden z SEAL.

– Dziewiętnastu zginęło w akcji, dwudziestu kilku rannych – odparł major. – Nie wiem, jak u Rosjan, ale wylądowało ich znacznie mniej.

– To całkiem nieźle, jak na tak poważny desant – rzekł porucznik dowodzący drużyną SEAL. Było to oczywiście solidne niedopowiedzenie. Zginęłoby przynajmniej trzykrotnie więcej PK, gdybyśmy szli na jeden czy dwa bataliony ZCR. I nikt nigdy nie wystawiał na Dryblasów wzmocnionego pułku desantowanego z orbity, gdy zaś ostatnim razem dysponowaliśmy na powierzchni takimi siłami, zostały niemal całkowicie unicestwione.

– „Nieźle” to dobrze powiedziane – uznał major Kelly. – Właśnie spuściliśmy tym chudzielcom manto od góry do dołu, i to na ich terenie. Gdyby przez ostatnie lata szło nam choćby w połowie tak dobrze w koloniach, już by przed nami uciekli.

– Zachowywali się dość dziwnie – odezwał się i większość głów obróciła się w moją stronę. – Ktoś jeszcze to zauważył? Nie byli tak agresywni jak zazwyczaj. Jakby ospali.

– Tak – przyznał porucznik SEAL. – Jakby zmęczeni czy coś.

– Może się nas wystraszyli? – podsunął jeden ze zwiadowców PK, a porucznik roześmiał się krótko.

– Byli pozbawieni statku matki – powiedział Kelly. – To dlatego skopaliśmy im tyłki, ale może chodzi o coś więcej. A jeśli brakowało im czegoś, co poszło z dymem na tym okręcie? Zapasów? Kto to wie?

– Nie postawili nic na powierzchni – oznajmiłem. – Przejrzałem wszystkie dane z rozpoznania przed i po desancie. Nie było żadnego ich terraformera czy jak to nazywać. Nawet nie zniszczyli wszystkich stacji ZCR, a zwykle to robili w pierwszej kolejności. Dwie trzecie chińsko-ruskiej sieci terraformującej wciąż działa.

– Gdybym miał zgadywać – odezwał się major – to w momencie rozwalenia statku zniszczyliśmy ich żarcie i materiały budowlane. Na powierzchni nie było

też wystarczająco wielu Dryblasów. Nie tyłu, by przejąć kolonię. Na okręcie nasiennym są ich tysiące.

– To była tylko drużyna rozpoznawcza czy coś w tym stylu – zasugerował ktoś inny. – Okręt zatrzymał się na chwilę przy księżycu, wysadził zwiad, popędził za tamtym krążownikiem ZCR i został rozwalony w drzazgi przez ludzi z Nowego Svalbardu.

– A drużyna zwiadowcza została bez wsparcia na księżycu ZCR – dodał Kelly. – Czyli w skrócie: dokopaliśmy im, bo byli niedożywieni i zdemotywowani.

Słowa majora wisiały w powietrzu niczym nieproszone poobiedni pierd. Nikt nie chciał myśleć, że nasze pierwsze poważne zwycięstwo nad Dryblasami – heroiczną ewakuację kolonistów! – zawdzięczaliśmy głównie temu, że obcy mogli być zbyt słabi, aby stawić porządną opór. Po chwili major wzruszył ramionami i pokręcił głową.

– To nie ma znaczenia. Tak naprawdę głównie mnie obchodzi, co i dlaczego się stało. Większość naszych wróciła, a większość Dryblasów jest podziurawiona jak sito. Zaliczyliśmy udaną misję. Szkoda, że na dłuższą metę nie będzie to pewnie miało najmniejszego znaczenia. Idźcie odpocząć. Czeka nas sześciodniowy lot na Nowy Svalbard. Być może to ostatnia szansa na relaks przez jakiś czas.

Albo na zawsze, pomyślałem. Zerknąłem do wypożyczonego OTI, by sprawdzić datę. 3 kwietnia 2116. Miałem niecałe trzy miesiące, by wrócić na Ziemię, jeśli nie chciałem się spóźnić na własny ślub. Nie wiedziałem, czy Ziemia wciąż istniała, ale nie zamierzałem nawet rozważać ewentualności, że nie było już Halley. Jeśli te siły Organizacji Narodów Zjednoczonych na uchodźstwie miały wracać do Układu Słonecznego, planowałem im towarzyszyć.



„Regulus” dysponował świetną infrastrukturą rekreacyjną dla załogi. Choć od rozpoczęcia służby widziałem już parę tego typu kompleksów – Halley i ja zwykle tam chadzaliśmy, gdy braliśmy razem przepustkę, ponieważ zazwyczaj znajdowaliśmy się zbyt daleko od Ziemi, by zdążyć wrócić przed końcem urlopu – to musiałem przyznać, że na coś tak przyjemnego jeszcze nie trafiłem. Mimo to nie potrafiłem się zrelaksować. Wszystko zaczęło się nagle wydawać takie banalne: symulatory, seriale z sieciowizji, bilard, holostoły do gier i dziesiątki innych zabawek, by zestresowani wojownicy mogli wyłączyć mózgi i zająć się czymś innym. Miałem wrażenie, że skoro większość floty uległa zniszczeniu, a Układ Słoneczny był atakowany przez niemal niezwyciężonego wroga, to wszystko nie ma teraz żadnej wartości. Uświadomiłem sobie, że i tak nigdy nie lubiłem kompleksów rekreacyjnych i że obecność w nich cieszyła mnie tylko dlatego, że jedynie tam mogłem spędzić z Halley trochę czasu sam na sam w prywatnych kajutach.

Przynajmniej znalazłem tu boiska do gier zespołowych i sale do ćwiczeń indywidualnych, korzystałem więc z wolnego czasu, by co nieco wypocić. Trafiłem na bieżnię poprowadzoną wokół całego pokładu rekreacyjnego „Regulusa”, a ponieważ był to wielki okręt, również tor robił wrażenie: dwa

kilometry czarnej gumowanej nawierzchni z grubą białą linią biegnącą przez środek, ciągnące się przez wiele pomieszczeń. Być może był to szczyt próżności, zważywszy obecny ogólny stan rasy ludzkiej, ale podczas pobytu na Nowym Svalbardzie dzięki posiłkom w mesie Sopla nabrałem parę dodatkowych kilogramów, a chciałem osiągnąć jak najlepszą formę, gdy ponownie spotkam się z narzeczoną. Istniało niemałe prawdopodobieństwo, że na długo zanim zbliżymy się w ogóle do Ziemi, moje szczupłe znów ciało stanie się częścią rozszerzającej się chmury rozpalonych szczątków, ale uważałem teraz bieganie za dobry pomysł. Wydawało się takie zwyczajne, co mnie pociągało, bo całe reszcie daleko było do normalności.

Nie pasowałem do tego okrętu. Miałem samodzielną kajutę i swój pancerz, ale na „Regulusie” nie znałem żywej duszy. Żołnierze PK z „Midway”, którzy wraz ze mną brali udział w desancie, kwaterowali w części zamieszkałej zwykle przez pokładowy pułk Piechoty Kosmicznej „Regulusa”. Zająłem kajutę w części dla podoficerów floty, z dala od wojaków z „Midway”, a ponieważ okręt obsługiwała szkieletowa załoga, powrót na Nowy Svalbard przebiegł w spokoju. Po raz pierwszy od paru tygodni nie miałem dostępu do wszechwiedzącej sieci okrętowej ani matrycy sensorów zewnętrznych. Byłem po prostu zwykłym pasażerem. Spałem, jadłem, ćwiczyłem i robiłem, co w mojej mocy, aby nie zostać zmuszonym do rozmowy z kimkolwiek, poza okazjonalnymi spotkaniami w kolejce po jedzenie z SEAL albo kapslami z kosmicznych ratowników. Gdy po sześciu dniach nudnego lotu wlecieliśmy na orbitę nad Nowym Svalbardem, czułem się tak zmęczony, że niemal pragnąłem, żeby na ogon wsiadł nam kolejny Dryblas. Wówczas znów mielibyśmy tylko kilka dni, by znaleźć sposób na jego zniszczenie.

– Wyglądasz, jakbyś potrzebował miejscowego bimbru – oznajmiła Fallon w ramach powitania, gdy zszedłem z rampy desantowca, którym przyleciałem na nowosvalbardzkie lądowisko. Odkąd wyjechałem, pogoda znacznie się pogorszyła. Zasy pod ścianami przysadzistych hangarów sięgały czterech, pięciu metrów, a na otwartym terenie wiał polarny wichur o prędkości sześćdziesięciu węzłów, niosący ze sobą śnieg. Fallon miała na sobie pancerz bojowy pokryty warstewką lodu i podniosła wizjer tylko na chwilę, gdy podeszła, by pomóc mi z rzeczami.

– Cudna pogoda – odparłem. – Prom miał trzygodzinne opóźnienie, bo czekał, aż zelżeje burza.

– To nie burza – powiedziała. – Teraz panuje pieprzona sielanka. Widać na ponad dziesięć metrów. Wszystko przeniosło się pod ziemię. Naprawdę wszystko. Całe miasto. Wiedziałaś, że pod powierzchnią mają całą cholerną dzielnicę rekreacyjną?

– Nie wiedziałem.

– Nazywają ją Elipsa. No chodź. Odłóż nowe zabawki na miejsce, to zabiorę cię do baru. Jest tu koktajl, nazywany Pizgawicą. Nie mam pojęcia, co tam wlewają, ale po wypiciu masz ochotę siłować się na rękę z Dryblasem.

Elipsa była podziemnym kompleksem w kształcie pętli opasującej obszar pod sporą częścią Nowego Svalbardu. Fallon oprowadzała mnie niczym przewodniczka turystyczna. Wszystkie bunkrowate budynki z powierzchni miały dodatkowe podziemne wyjścia prowadzące do tuneli, które z kolei zbiegały się w Elipsie. Podczas zimowych miesięcy, gdy nie dało się długo wytrzymać w polarnym wietrze sięgającym stu węzłów, życie kwitło pod powierzchnią.

Korytarz tworzący Elipsę miał szerokość około siedmiu metrów. Zawsze zastanawiałem się, gdzie osadnicy z Nowego Svalbardu mają sklepy oraz puby, gdzie toczy się ich życie towarzyskie, i teraz otrzymałem odpowiedź. Gospodarka kolonii była dość ograniczona, nastawiona na podstawowe towary, trochę podobnie jak czarny rynek w DZK na Ziemi, i tutejszy labirynt sklepików oraz straganów przypominał mi życie z czasów przed wstąpieniem do wojska.

– Zamierzasz opowiedzieć mi w końcu o tym desancie u boku naszych nowych kolegów? – spytała Fallon, gdy szliśmy tunelem, w którym kręciło się znacznie więcej kolonistów, niż widziałem kiedykolwiek na powierzchni w Nowym Longyearbyen. Wśród miejscowych spotykało się lodowych górników, rolników z farm hydroponicznych, inżynierów, techników z lotniska i ich rodziny. Czasami mijaliśmy żołnierzy Sił Obrony Ziemi ze świeżo utworzonej Nowosvalbardzkiej Armii Terytorialnej, którzy natychmiast kiwali nam z szacunkiem głowami lub salutowali mojej towarzysze. Niezależnie od wcześniejszej struktury stopni, byliśmy członkami niewielkiej grupy, która przed paroma tygodniami kierowała buntem, gdy chorąży Fallon i jej wygnani wojacy z SOZ odmówili wykonania rozkazu zajęcia zapasów kolonii. Doprowadziło to do bitwy z zatwardziałymi siłami Piechoty Kosmicznej, która kosztowała nas niemal czterdzieści ofiar śmiertelnych po obu stronach, a także kilka pojazdów latających. Ich utrata okazała się dla nas bardzo bolesna, ponieważ w systemie Fomalhaut znajdowało się niewielu ludzi, z czego większość była okopana na lodowym księżycu niedysponującym własnymi surowcami.

– Najlepszy desant w moim życiu, naprawdę – rzekłem. – Podręcznikowo wykonany szturm, niewiele ofiar śmiertelnych, wykonane wszystkie cele misji. Szkoda, że cię tam nie było. Przydałoby ci się, żebyś trochę postrzelała do Dryblasów. Ci rusczy marines się nie opierdalają, to na pewno.

– W to nie wątpię. Spotkałam paru z nich w Dalian podczas tej cudnej wojny zastępczej, jaką stoczyliśmy z ZCR. Oczywiście wtedy nosili mundury bez oznaczeń. Porozumienie ze Svalbardu i w ogóle.

Nie wiedziałem zbyt wiele o historii służby Briany z czasów, zanim poznałem ją pięć lat temu w 365. Samodzielnym Batalionie Piechoty Armii Terytorialnej, ale dawni koledzy z oddziału mówili mi, że właśnie podczas bitwy o Dalian zasłużyła

sobie na Medal Honoru. Chodziło wtedy o akcję policyjną, która wymknęła się spod kontroli, co skończyło się spakowaniem wielu z AT w worki na ciała, ale oficjalna historia mglście podawała szczegóły, co najprawdopodobniej oznaczało, że naruszyliśmy warunki jakiegoś traktatu. A może i niejednego.

– Musisz mi kiedyś o tym opowiedzieć – rzekłem.

Fallon uśmiechnęła się lekko.

– Andrew, poziom alkoholu, jaki musiałabym osiągnąć, by zacząć podawać ci szczegóły na temat Dalian, gwarantowałby, że nie potrafiłabym sobie przypomnieć tych szczegółów. A skoro o alkoholu mowa... Oto jesteśmy. Witaj w „Z Lodem”.

Wskazała witrynę zajmującą jakieś dwadzieścia metrów ściany tunelu po naszej prawej. Gdzie indziej fałszywe witrażowe szyby i wyraźnie odlewane z żywicy pnie drzew ozdabiające front lokalu wyglądałyby tandetnie, ale tutaj stanowiły mile widzianą plamę kolorowego kiczu na księżycu, na którym niemal wszystko inne miało barwę lodu lub betonu.

– To najlepszy bar w Nowym Longyearbyen – oznajmiła Fallon. – A uwierz mi, miałam mnóstwo czasu, by sprawdzić je wszystkie, gdy poleciałeś się bawić w superbohaterskiego kosmicznego komandosa.



Motywy wzornicze z zewnątrz trafiły również do środka. Na Nowym Svalbardzie nie było drzew, meble wykonano więc z solidnych polimerów uformowanych tak, by wyglądały jak wycięte z podniszczonego, wyrzuconego przez morze drewna. Ściany ozdobiono fałszywymi pniami, a przestrzeń pomiędzy nimi pomalował artysta, któremu los być może pożałował talentu, ale na pewno nie poskąpił entuzjazmu. Całość miała chyba przypominać średniowieczną karczmę, lecz zamiar zdecydowanie się nie udał. Musiałem jednak przyznać, że po tygodniach wpatrywania się w stalowe grodzie i gumowane podłogi taki wizualny rozgardiasz stanowił miłą odmianę.

– Nie wiedziałem, że pijesz – powiedziałem do Fallon, gdy zajęliśmy jeden z małych okrągłych plastikowych stolików w tylnej części.

– Owszem – odparła. – Tyle że nie to gówniane sojowe piwo, które podają w centrach rekreacyjnych, a które smakuje jak gazowane szczochoy. Lubię dobrą czarnorynkową whisky. I prawdziwe piwo, ale jest zbyt drogie, jak na mój stopień zaszeregowania.

– Nigdy takiego nie piłem – przyznałem. – Tylko to, co sprzedawali w DZK. Purple Haze, Orange Crush, Blue Angel. – Zachichotałem na wspomnienie pierwszych prób odurzania się za nastoletnich czasów. – Paskudztwo. Aromatyzowane owocowymi sokami w proszku z PPŻ, żeby ukryć smak rur, przez które przepuszczali to podczas destylacji. I tak smakowało jak kwas z akumulatora, tyle że owocowy.

– Niedługo przed tym, jak dołączyłeś do Trzysty Sześćdziesiątego Piątego w Shughart, robiliśmy desant na przedmieścia gdzieś w Kentucky – zaczęła Fallon. – W pobliżu metropoleksu Lexington, ale w wypasionej okolicy. Jakies

szczury na zasiłkach porwały hydrobus i wyjechały nim z DZK Lexington, żeby się zabawić i dokonać redystrybucji mienia. Niewielki desant, tylko w sile plutonu, żeby pomóc miejscowym gliniarzom. Wykurzyliśmy blokery z sklepu z towarami za prawdziwe pieniądze. Zjedli tyle, ile tylko zdołali, schłali się w trzy dupy i zdemolowali resztę.

Popatrzyła na fałszywe witraże, które zdobiły również wewnętrzne ściany, i ucichła na chwilę, wracając do wspomnień.

– Klasa średnia z przedmieść wiedziała, jak żyć. Gdy wreszcie związaliśmy ostatniego ze szczurów jak świniaka i spakowaliśmy ich przed transportem do aresztu, rozejrzałam się po zniszczonym sklepie. Na zapleczu mieli magazyn zabezpieczony jak cholerny bankowy skarbiec. Rozwaliłam zamek, by sprawdzić, czy któryś się tam nie schował, i znalazłam zapas luksusowych towarów za ciężkie dolary. Pewnie dla wyjątkowych klientów o grubych portfelach. Zobaczyłam butelkę z napisem „single malt”, podwędziłam ją i zabrałam do Shughart w jednej z pustych kieszeni na magazynki.

Spojrzała na mnie i na jej twarzy na chwilę pojawił się wyraz rozmarzenia.

– Nigdy w życiu nie piłeś czegoś takiego, Andrew. Porządna szkocka single malt, naprawdę ze Szkocji. Nie zrobiona z soi, oczyszczonych siuszków czy czegoś podobnego. Leżakowana w pieprzonej drewnianej beczce przez czternaście lat, potem postawiona na kilka kolejnych na półce w prywatnym schowku jakiegoś dupka z klasy średniej. Tak prosta i wyrazista, a jednocześnie tak złożona. Tyle pracy i czasu tylko po to, by ktoś ją powoli wypił, rozkoszując się smakiem. Czysta dekadencja.

– Poczęstowałaś resztę oddziału? – spytałem.

– Nie. Zostawiłam wszystko dla siebie. Wypicie tej butelki zajęło mi miesiąc. I niczego nie żałuję.

Uśmiechnąłem się nieznacznie, słysząc tak niedbale przyznanie się do przewinienia karanego sądem wojskowym. Prawdę mówiąc, sprawa nie wydawała się już taka straszna. Nie po tym, co się wydarzyło, odkąd zjawiliśmy się w systemie Fomalhaut. Od tego czasu dokonaliśmy wielu znacznie bardziej wywrotowych rzeczy i skradziona butelka alkoholu robiła teraz niewielką różnicę, nawet jeśli kosztowała zapewne więcej, niż zarobiłem przez pierwsze dziewięć miesięcy w wojsku.

W barze nie było zbyt tłoczno. Przy stolikach siedziało i gawędziło paru miejscowych, głównie górnicy lodowi i inżynierowie w niebieskich kombinezonach, z wodoodpornymi kurtkami z adaptacyjnego nanowłókna przewieszonymi przez oparcia krzesel. Słyszać było niezbyt głośną muzykę, jakiś dawny koreański pop, stary już, gdy byłem w szkole podstawowej.

– A co pijemy dzisiaj?

Dziewczyna, która podeszła do naszego stolika z pustą tacą w jednej dłoni i ścierką w drugiej, wyglądała na maksymalnie szesnaście lat. Miała na sobie beżowy kombinezon i kamizelkę termiczną w wyjątkowo jaskrawym odcieniu fioletu.

– Przynieś nam dwie Pizgawice, Allie – poprosiła Fallon. – Mój kolega jeszcze jej

nie pił.

– Robi się – odrzekła Allie. Wyciągnęła zza pasa mały ręczny skaner. Fallon wyjęła nieśmiertelnik zza bluzy mundurowej i podała dziewczynie, która zeskanowała go szybkim, wyćwiczonym ruchem. Następnie wytarła niedbale blat i odeszła w stronę baru.

– System płatności? – spytałem, wskazując podbródkiem nieśmiertelnik. Briana skinęła głową.

– Pilnują, kto co kupuje. Wcześniej ściągali kasę z kont co miesiąc, gdy dostawali kurierem łącze danych. Od zamknięcia sieci wyrobili pewnie normę za dwa albo trzy miesiące. Nie sądzę zresztą, by skrupulatna księgowość miała teraz większe znaczenie.

– Czyli właśnie tym się zajmowałaś? Wypróbowywałaś wszystkie knajpy w okolicy i opróżniałaś rządowe konto?

– Chciałabym – stwierdziła Fallon. – Ale przez większość czasu byłam zbyt zajęta pilnowaniem, by dwa bataliony znudzonych wojaków nie powybijały się nawzajem. Loty są zawieszane z powodu pogody, nie mogliśmy więc prowadzić rotacji. Zamierzaliśmy co tydzień przemieszczać plutony do kolejnych stacji terraformujących, ale skoczki nie mogą latać w takich warunkach. To cud, że w ogóle da się tu egzystować. Jesteśmy twardym gatunkiem.

– Nie tak twardym jak Dryblasy.

– Oni są tylko więksi i silniejsi. Nie widać jednak, by próbowali kolonizować takie miejsca. Wolą nieruchomości, które już dla nich przygotowaliśmy.

– To prawda – przyznałem. – Może to dowód, że są również mądrzejsi.

– Nie jestem w stanie spierać się teraz zbyt z tym punktem widzenia – odrzekła. Odchyliła się na krześle, wzdychając lekko, i wyprostowała protezę nogi pod stolikiem. – Od pięciu lat to coś jest częścią mnie, a jednak wciąż wydaje się obce.

Allie wróciła z naszymi drinkami, niskimi szklankami z polioplastu wypełnionymi błękitnym płynem. Postawiła je przed nami ze zdawkowym uśmiechem i odeszła.

Podniosłem naczynie i powąchałem jego zawartość.

– Boże. Pachnie, jakby ktoś wrzucił słodzik do paliwa lotniczego.

– Smakuje trochę podobnie – uśmiechnęła się Fallon. – Patrz teraz.

Z kieszeni na rękawie munduru roboczego wyciągnęła zapalniczkę i przysunęła syczący gazowy płomień do powierzchni drinka. Pojawiły się niebieskie płomyki. Briana obserwowała przez chwilę płonący alkohol, po czym zgasiła go, przykrywając szklankę dłonią, by odciąć dopływ tlenu. Następnie podniosła naczynie i wzięła duży łyk.

– Górna warstwa musi się podgrzać, ale nie może płonąć na tyle długo, by zużyło się zbyt dużo alkoholu – wyjaśniła. – To delikatna równowaga.

Podawała mi zapalniczkę i postąpiłem za jej przykładem. Drink w smaku nie był równie wyrazisty jak w zapachu, ale czułem palący alkohol spływający mi do żołądka. Smakował miętą, lukrecją i paroma innymi rzeczami, których nie potrafiłem zidentyfikować. Okazał się zaskakująco aromatyczny, zważywszy że

zapewne destylowano go gdzieś tu na zapleczu i leżakowano nie latami, lecz dniami.

– Niezłe – skomentowałem.

– Zdecydowanie. Tylko nie pij więcej niż jednego, inaczej następnego dnia nie będziesz pamiętać, jak zapiąć pancerz.

Popatrzyła nad moim ramieniem i uniosła brew. Usłyszałem z tyłu kroki. Odwróciłem się i ujrzałem trzech żołnierzy PK podchodzących do nas z innej części sali. Po ich napiętych postawach i ponurych minach wnioskowałem, że raczej nie zamierzają się zaprzyjaźnić. Przetawiałem krzesło tak, by było skierowane w ich stronę, gdy zatrzymają się przy naszym stoliku.

– Myślę, że zrobilibyście wszystkim sporą przysługę, gdybyście tam zostali, chorąży – stwierdziła Fallon. – Nie potrzebujemy towarzystwa.

– To ty jesteś tą bohaterką z Ziemi, która kierowała buntem – stwierdził chorąży z PK. Jego towarzysze byli sierżantami sztabowymi. Na mundurach wszystkich widać było odznaki za desant w randze mistrza oraz parę innych odznaczeń piechoty.

– Pomyliło się wam, chorąży. To nie był bunt. Natomiast z waszej strony nastąpiła próba grabieży.

Podoficer z PK zwinął dłonie w pięści i zacisnął szczęki.

– W tym desancie na centrum administracyjne straciliśmy czterech chłopaków z mojej jednostki, ty gliniarzu od zamieszek. Z jednym z nich desantowałem się od dziesięciu lat. Jesteś mi winna znacznie więcej niż tylko jakiś komentarz z dupy. To nie do ciebie należała decyzja, czy akcja jest legalna. I nigdy nie powinnaś była rozkazywać żołnierzom, żeby strzelali do swoich.

– Nie strzelali do swoich – odparła Fallon. – Strzelali do jakichś nabuzowanych kosmicznych małą wykonujących nielegalne rozkazy rozochoczonego jednogwiazdkowego rezerwisty. I nie zaczynaj pierdolić, kto komu co jest winien, chyba że chcesz odpowiedzieć za listę ofiar z mojej strony.

– Siły Obrony Ziemi – skomentował chorąży, tak wymawiając te słowa, jakby opisywał nieprzyjemną chorobę. – To nie były ofiary, tylko uszkodzenie mienia.

Nie dostrzegłem żadnego sygnału, lecz sztuczna noga Fallon wystrzeliła spod stolika i trafiła podoficera z PK w kostkę. Upadł na bok z okrzykiem, ja zaś poderwałem się szybko, odpychając krzesło. Chorąży uderzył głową w krawędź stolika i przewrócił go wraz z naszymi drinkami. Pozostali dwaj żołnierze PK rzucili się na nas i rozpoczęła się bijatyka.

Mój przeciwnik był ode mnie niższy o głowę, ale wydawał się znacznie sprawniejszy niż ja obecnie. Wykorzystałem trochę dłuższe ręce i walnąłem go w twarz szybkim lewym prostym, który odrzucił mu głowę w tył, lecz nie spowolnił. Piechociarz zamierzył się prawą dłonią i trafił mnie w prawą pięść, którą ustawiłem przed twarzą, by zablokować jego cios. W rezultacie oberwałem w usta własną ręką. Znaleźliśmy się już zbyt blisko siebie, by dalej się boksować. Złapał mnie za bluzę i próbował uderzyć z główki. Obróciłem twarz w bok i opuściłem podbródek do piersi, aby jego cios nie zmiażdżył mi nosa. Następnie poderwałem prawą nogę i z całej siły uderzyłem przeciwnika kolaniem.

Celowalem w pachwinę, ale z powodu różnicy wzrostu trafiłem w żołądek. Zgiął się wpół, nie puszczając mojego munduru. Znów ugodziłem go kolanem w to samo miejsce. Tym razem puścił i zatoczył się do tyłu.

Trzeci żołnierz PK leżał już na podłodze, trzymając się za nos. Chorąży kierujący atakiem właśnie się podnosił. Spojrzałem na Fallon, która bardzo starannym ruchem zadarła nogę i kopnęła go w lędźwie. Wrzasnął z bólu i upadł na plecy.

Od strony drzwi dobiegł głośny, ostry gwizd. Obróciliśmy się i ujraliśmy komendanta Guesta, szefa tutejszych służb porządkowych, stojącego w wejściu i przytrzymującego ręką otwarte drzwi. Potężnie zbudowany oficer wyglądał na tylko trochę mniej wytrzymałego niż ciężkie stalowe wrota albo sąsiadująca z nimi, gruba na trzydzieści centymetrów betonowa ściana. Druga dłoń pozostawała w okolicy pasa, gdzie wisiały kabura z pistoletem i paralizator. Kwaśna mina wyraźnie świadczyła, co myślał o ewentualnym użyciu któregoś z tych przedmiotów. Oceniał sytuację przez kilka sekund, po czym wskazał gestem żołnierzy PK.

– Wy trzej. Wyoście się stąd. I nie wracajcie. Żadnej dyskusji. Wyjdźcie od razu albo zamknę was w swoim lodowym lochu.

Chorąży z PK wyglądał, jakby mimo wszystko zamierzał dyskutować, ale komendant Guest jedynie pokręcił głową i wyciągnął paralizator z za pasa. Następnie wskazał nim za siebie, czyli na drzwi, które wciąż przytrzymywał drugą dłonią.

– Już.

Piechociarz odwrócił się i spojrzał na Fallon, która beznamiętnie odwzajemniła spojrzenie.

– Jeszcze z tobą nie skończyliśmy – powiedział do niej, po czym podniósł z podłogi swój beret i skierował się do drzwi. Jego kompani podążyli za nim, wcześniej jednak również zmierzili nas nieprzyjaznym wzrokiem. Gdy dotarli do wyjścia, komendant Guest odsunął się, by ich przepuścić, i wyszli po kolei. Wtedy puścił drzwi, wsunął paralizator z powrotem za pas i podszedł do nas. Wszędzie dookoła ludzie nawet nie przerwali toczonych rozmów. Koloniści z Nowego Svalbardu należeli do najtwardszych ludzi, jakich poznałem, i nasza sprzeczka nie spotkała się nawet z uniesieniem brwi.

– Zwłaszcza wy dwoje nie powinniście wszczynać bójek z innymi żołnierzami – odezwał się do nas z rozwlekłym, teksaskim akcentem, choć jego ton był poważny i smutny, jakby pouczał nie dwoje doświadczonych weteranów, lecz swoje córki.

– Gdy ludzie biorą się tu za łby, muszę przychodzić i wyjaśniać sytuację, a wtedy moja kosztowna, trudna do zdobycia, starannie parzona kawa stygnie mi w biurze. Nie lubię, gdy tak się dzieje. Zakłóca mi to spokój. Proszę, abyście go uszanowali.

– Przepraszam – odezwała się Fallon. – Chętnie uniknęłabym tego zamieszania, ale ci trzej mieli ochotę na burdę od chwili, gdy postanowili podejść do naszego stolika. Mieli pretensje.

– Może znów powinienem całkowicie zakazać personelowi obozu Sopol wstępu

do miasta? Rzecz w tym, że brakuje mi ludzi, by to wyegzekwować. Mogę też po prostu odmówić wam wszystkim wstępu do barów. – Rozejrzał się i westchnął. – Wtedy jednak nie miałibyście dokąd pójść i tłuklibyście się gdzieś w Elipsie.

– To się już nie powtórzy – powiedziała Fallon. Pochyliła się, by dźwignąć przewrócony stolik. Ja z kolei podniosłem plastikowe szklanki i odstawiłem je na blat.

– Dopilnuj tego – odrzekł Guest. – Proszę. Mocno poprawi mi to nastrój.

Komendant był pogodnym, łagodnym i uprzejmym człowiekiem. Miał również rozmiary tylnej rampy okrętu desantowego, a być może także jej ciężar. Odkąd przybyłem na Nowy Svalbard przed kilkoma tygodniami, nie widziałem go w walce, ale nie miałem wątpliwości, że gdyby został sprowokowany, potrafiłby zamieść podłogę oddziałem piechociarzy.

– Opuśćcie wam tym razem, bo to oni wam się naprzykrzali, a nie odwrotnie. Niech wam to jednak nie wejdzie w krew, inaczej nastąpicie mi na odcisk. Choć bardzo szanuję wasz wkład w naszą wspólnotę, lepiej, żebyście nie musieli mnie poznać od złej strony. Wiem, że wy z Ziemi nie przywykliście do siedzenia miesiącami w zamknięciu, by przeczekać zimę, ale nie mogę pozwolić na bijatyki na moim terenie.

Briana wyglądała na lekko zawstydzoną reprimendą Guesta i po raz pierwszy widziałem ją zmieszaną.

– To moja wina – przyznała. – Nic mnie nie tłumaczy. Chyba powinnam wskoczyć na jeden z tych śnieżnych traktorów i dzień czy dwa pojeździć na świeżym powietrzu. Siedzenie w zamknięciu za bardzo wypacza mi punkt widzenia.

Czułem w ustach smak krwi, dolna warga po lewej stronie wydawała się trochę nabrzmiała. Zapewne pozostanie spuchnięta przez resztę dnia. Allie podeszła od strony baru ze swoją brudną ścierką i zaczęła ścierać drinki rozlane na początku walki. Odsunąłem się, by zrobić jej miejsce.

– Za kilka godzin ma się nieco poprawić pogoda – oznajmił komendant. – Wiatr zejdzie poniżej pięćdziesięciu, opady śniegu do lekkich. Dobrze warunki, by wypuścić się na zewnątrz. Rozważcie rozprostowanie nóg. Możecie też polecieć na lotniskowiec. Z tego, co słyszałem, na jakiś czas da się wznowić loty. Zrelaksujcie się i nie przysparzajcie mi więcej zmartwień, niż musicie. Proszę.

Komendant Guest skinął Allie głową i ruszył w stronę wyjścia. Musiał się lekko schylić, by przejść przez drzwi.

– Polecieć na orbitę, by zamknąć się w jeszcze mniejszej przestrzeni? – odezwała się Fallon. – Nie, dziękuję. Jestem kurewsko szczęśliwa, że na początku wylosowała mi się AT. Nie wiem, jak wy z floty to znosicie.

Rozejrzeliśmy się. Nikt w barze nie zwracał na nas nawet najmniejszej uwagi. Moglibyśmy znów usiąść i zamówić następną kolejkę, ale wciąż czułem nieprzyjemne mrowienie od krążącej w żyłach adrenaliny, a mój wcześniejszy swobodny nastrój zupełnie się ulotnił.

– Ciągłe kierujemy sytuacją w centrum operacyjnym? – spytałem, a Briana przytaknęła.

– Trochę zwiększyliśmy obsadę. Połowa cywile, połowa nasi ludzie z SOZ. Nie dopuszczamy w pobliże nikogo z obozu Sople. Nowi żołnierze trafiają tylko do Sople.

– Zamierzam sprawdzić, co na orbicie, i pogadać trochę z „Indym”. Przez dwa tygodnie byłem poza obiegiem.

– Nie zwalniasz tempa – przyznała Fallon, kręcąc głową. – Nic dziwnego, że tak szybko zrobili z ciebie E-6. Musisz się nauczyć, jak sobie radzić podczas przestojów.

– Miałem prawie dwa tygodnie przestoju – odparłem. – Dwanaście dni kurewsko zabójczej nudy przedzielonych sześciogodzinną bitwą. Gdyby rozdawali medale za siedzenie na tyłku w lotniskowcu, byłbym już obwieszony od obojczyka po kolano.



– Komendant byłby niesamowitym żołnierzem – powiedziałem do Fallon, gdy wracaliśmy Elipsą do centrum operacyjnego. – Gdyby udało się w ogóle zdobyć pancierz jego rozmiarów.

– Nie sądzę – odrzekła. – Jest zbyt wyluzowany i za mądry.

– Uważasz, że nie byłby zdolny, żeby kogoś zabić.

– Na pewno byłby zdolny – przyznała. – Niech cię nie zmyli ta starożytna pukawka przy jego pasie. Byłam kilka razy w jego biurze. W jednym rogu jest naszykowany cały zestaw. Laminowany pancierz, w każdym gnieździe naładowane magazynki, a obok M-66C z optyką bojową. Po jego wyglądzie wyraźnie widać, że jest często używany na strzelnicy. Nasz komendant jest świetnym strzelcem.

– A możesz go sobie wyobrazić w oddziale piechoty? Mógłby nosić po jednym M-80 w każdej ręce. Ma największe dłonie, jakie...

Urwałem, gdy Briana obejrzała się przez ramię. Nie byliśmy sami w tej części Elipsy, ale ruch był tu niewielki i zaraz potem usłyszałem odgłos wojskowych butów na betonie. Obróciliśmy się i zauważyliśmy zbliżających się szybko do nas trzech żołnierzy PK z baru. Nie wyglądali, jakby mieli ochotę na przyjazną pogawędkę. Zatrzymali się jakieś pięć metrów od nas.

– Może wznowimy naszą wcześniejszą dyskusję? – zaproponował chorąży.

– Powinniście się do mnie zwracać per „pani chorąży” – odparła Fallon chłodno. – I lepiej zabierzcie swoje słodziutki tyłki z powrotem do Sople, zanim komuś stanie się krzywda.

– Może komuś powinna stać się krzywda – stwierdził jeden z sierżantów sztabowych. Sięgnął pod bluzę mundurową i wyciągnął obustronny nóż o poblasku charakterystycznym dla ceramiki. – Chyba nie myślisz, że ten numer z robonogą uda ci się więcej niż raz?

I znów nie dostrzegłem, kiedy Fallon zaczęła wykonywać ruch, lecz w mgnieniu oka w jej dłoniach znalazł się pistolet. Trzymała go nisko, nie celując w nikogo szczególnego, ale nie miałem wątpliwości, że zdążyłaby trafić wszystkich trzech żołnierzy PK, zanim pokonaliby dzielącą nas odległość.

Regulaminowy pistolet automatyczny M109 okazał się żałośnie nieprzydatny do obrony przeciwko przeciwnikom ubranym w pełny pancerz bojowy, lecz żadne z nas nie miało teraz na sobie skorupy i wylatujące z dużą prędkością początkową pociski kalibru cztery i pół milimetra mogły wyrządzić paskudne obrażenia na krótkim dystansie.

Kosmiczni piechociarze zamarli w bezruchu. Ogarnęło mnie nieprzyjemne wrażenie, które pojawiało się zawsze, gdy sytuacja groziła czyjąś śmiercią. Popatrzyłem na Brianę. Spojrzała na mnie w taki sposób, jakby zastanawiała się, w kim umieścić pierwszą kulę.

– Hola – odezwał się chorąży z PK. – Hola, spokojnie. – Wyciągnął powoli dłoń. Fallon śledziła jego ruchy lufą pistoletu, która nie drgnęła niepotrzebnie nawet o milimetr.

– Rzuć ten pierdolony nóż – powiedziała do żołnierza, który wciąż trzymał ceramiczną klingę. – I nie zamierzam tego powtarzać.

Piechociarz posłuchał i upuścił broń, która upadła z brzękiem na beton. Chorąży spojrzał na swego człowieka, ujrzał nóż u jego stóp i powoli pokręcił głową z dezaprobatą.

– W barze trochę zabawiliśmy się nieszkodliwie – rzekła Fallon. – To na pewno nie jest zabawne. Mogłabym zastrzelić tego idiotę w tej samej chwili, w której wyciągnął nóż. Wszyscy zamierzacie tu zginąć?

– Nie, pani chorąży – odparł rozbrojony sierżant sztabowy. Kilku kolonistów obeszło nas szerokim łukiem, widząc pistolet w rękach Briany, ale nie wydawali się szczególnie przejęci.

– Zabierz swoich ludzi i wróćcie natychmiast do Sople – poradziła Fallon podoficerowi z PK. – I nie wracajcie tu, dopóki SOZ kontrolują sytuację, inaczej zastrzelę was na miejscu. Wyrażam się jasno?

– Tak jest – odrzekł chorąży. Cofnął się o krok, wciąż z dłońmi na widoku, po czym obrócił się na pięcie i pociągnął pozostałych dwóch żołnierzy PK za sobą. Fallon odprowadzała ich celownikiem, dopóki nie zniknęli za załomem korytarza pięćdziesiąt metrów dalej. Wtedy wypuściła gwałtownie powietrze, zupełnie jakby cały ten czas wstrzymywała oddech. Opuściła pistolet i schowała do kabury przy pasie. Wygładziła bluzę mundurową, by zakryć kolbę, i podniosła leżący nóż. Przez dłuższą chwilę oboje się nie odzywaliśmy, przetwarzając w myślach to, co się wydarzyło.

– Nie jesteśmy już wojskiem – powiedziała w końcu. – Starsi podoficerowie napadają na siebie, wyciągają na siebie broń. Staliśmy się zbieraniną uzbrojonych gangów.

Wskazała podbródkiem, bym szedł za nią, i ruszyła znów w stronę centrum operacyjnego, nieco zwawiej niż wcześniej. Obejrzałem się przez ramię, w kierunku gdzie zniknęli żołnierze PK, i podążyłem za Brianą.

– Musimy opuścić ten pieprzony księżyc – rzekła. – Jeśli nie znajdziemy szybko jakiegoś celu, wkrótce zacniemy strzelać do siebie na ulicach.

Rozdział 3

Wyrównywanie szal

Gdy kilka minut później wchodziłem z Fallon do centrum operacyjnego, wciąż czułem buzującą mi w żyłach adrenalinę. Konfrontacja w Elipsie nieco skwasiała mi humor, rzuciłem się więc do pracy, by zająć myśli czymś innym. Usiadłem przed konsolą łącznościową i sprawdziłem, jak wygląda sytuacja na orbicie, a jednocześnie poprosiłem „Indianapolis” o bieżący status. Holograficzny wyświetlacz ożył i posłusznie pokazał ikony okrętów oraz oznaczenia kadłubów.

Nad zamarzniętym małym Nowym Svalbardem krążyła najdziwniejsza zbieranina statków kosmicznych, jaką widziałem w życiu. Teoretycznie dzieliła się ona obecnie na trzy frakcje. Po pierwsze, kontyngent WPA: lotniskowiec „Regulus”, krążownik „Mściciel” i tankowiec „Portsmouth”. Następnie jednostki ZCR, które przybyły wraz z nimi: lotniskowiec szturmowy „Mińsk”, niszczyciel „Shen Yang”, fregaty „Gomati” i „Nieustraszymy”, a także trzy nieuzbrojone statki zaopatrzeniowe, warte obecnie tyle, ile wynosił ich ciężar w platynie. I wreszcie jedyny ocalały członek raczkujących kosmicznych sił Nowosvalbardzkiej Armii Terytorialnej, czyli niewielki orbitalny okręt bojowy „Indianapolis” pułkownika Campbella. Na papierze panował parytet między jednostkami WPA i ZCR, ale „Mińsk” oraz eskortujące go okręty miały przynajmniej po trzydzieści lat, zatem gdyby doszło do przepychanek, postawiłbym sporo na „Regulusa” i chroniący go krążownik. Na szczęście wszyscy stanowiliśmy obecnie jedną wielką ponadnarodową rodzinę uchodźców.

– Magazyny są pełne po korek, ale to niewiele oznacza – poinformował pułkownik Campbell przez łącze orbitalne z Bojowego Centrum Informacyjnego „Indy’ego”. – Ta łajba nie została zaprojektowana pod kątem długich działań w dalekiej przestrzeni. W ładowniach pomieścimy tylko ograniczoną liczbę pojemników z racjami żywnościowymi. Poradzimy sobie przez miesiąc. Może sześć tygodni, jeśli będziemy oszczędzać.

– Wiadomo coś nowego o „Midway”? – spytałem. Obok mnie Fallon skrzywiła się na wzmiankę o lotniskowcu, którego dowódca postanowił zająć siłą nowosvalbardzką cywilną infrastrukturę żywnościową, a następnie uciekł z podwiniętym ogonem, gdy wyglądało na to, że Dryblasy zamierzają zupełnie usunąć nas z lodowego księżycy.

– Gdy widzieliśmy ich ostatni raz, kierowali się w daleką przestrzeń. W ostatnich dniach mieliśmy parę sygnałów z radionawigacji. Moim zdaniem próbują bardzo dalekim łukiem dotrzeć do komina Alcubierre’a i uciec z systemu Fomalhaut – odparł pułkownik Campbell. – I tak zresztą nie odczuwam szczególnej potrzeby, aby ich znaleźć.

– Byłaby niezła heca, gdyby znów się pojawili i zaczęli strzelać do naszych nowych kumpli – rzekłem.

– Raczej nie chciałabym miejsca w pierwszym rzędzie na to przedstawienie, nawet jeśli kierujący tym dziurawym wiadrem jednogwiazdkowiec jest kretynem – wtrąciła Fallon. – Na „Midway” jest mnóstwo ludzi, którzy nie powinni zamienić się w pył.

– W najmniejszym nawet stopniu nie zamierzam z tym polemizować – odparł Campbell. – Życzę im z całego serca, aby znaleźli gdzieś bezpieczną przystań.

W centrum operacyjnym niemal po równo pracował personel wojskowy i cywilny. Standardowa ekipa miejscowych administratorów i specjalistów od operacji technicznych została uzupełniona o mnie, Fallon i jednego z oficerów sztabowych z batalionu SOZ Briana, majora Fredericka. Hierarchia dowodzenia pozostawała raczej nieortodoksyjna: choć major przewyższał nas oboje rangą, panowało powszechne przekonanie, że dowodzą tu pani chorąży i jej najbliższy krąg. Oficerowie sztabowi z obu batalionów SOZ pozwalali jej kierować sytuacją w Nowym Longyearbyen. Oczywiście Fallon wolałaby uchylać się przed kulami i pełzać między kałużami skażonymi bronią chemiczną, niż zajmować się szczegółami codziennego administrowania garnizonem w sile dwóch batalionów.

– Warunki pogodowe pozwolą na prowadzenie działań lotniczych jeszcze przez jakieś dwanaście godzin – poinformował Frederick. – Skoczki zabrały się już za rotację ludzi między terraformerami. Nie wiadomo, kiedy znów pojawi się dłuższa przerwa w tej mrożonej zupie z gówna.

– Przetransferujemy możliwie jak najwięcej ludzi – uznała Briana. – A jeśli mamy jakieś sprawy na orbicie, najlepiej je załatwić w drugiej połowie dnia.

Na ścianie znajdował się holograficzny wyświetlacz z wirującym powoli globem Nowego Svalbardu, jedyne księżycy Fomalhaut c, czyli trzeciej planety w rozległym i bardzo pustym systemie Fomalhaut. Wzdłuż równika widać było sześćdziesiąt cztery równomiernie rozmieszczone ikony reprezentujące nowoczesne, kosztujące miliardy dolarów stacje terraformowania, czyli potężne reaktory fuzyjne wraz z wymiennikami atmosfery. Każda z nich mieściła pluton Sił Obrony Ziemi – po części z powodów bezpieczeństwa, a częściowo dlatego, że w Nowym Longyearbyen nie zmieściłyby się dwa bataliony żołnierzy. Na stacjach nie brakowało energii i przestrzeni, były jednak wyjątkowo odizolowane i nie miały ośrodków rekreacyjnych, Fallon ustaliła więc harmonogram wymiany personelu, regularnie psuty przez paskudny nowosvalbardzki klimat.

– Przekazuję informację z „Regulusa” – oznajmił pułkownik Campbell. – Szybrowie zespołu zadaniowego chcą spotkać się ze wszystkimi dowódcami, aby omówić plany powrotu do walki.

– Powrotu do walki? A wydawało mi się, że już ją toczymy – skomentowałem.

– To żadna tajemnica, że nasza sytuacja aprowizacyjna nie wygląda zbyt dobrze. Na pewno nie mamy dość zapasów, by tu przezimować, nie mówiąc już o spędzeniu tu następnego roku czy dwóch na czekaniu, aż przylecą do nas Dryblasy. Nie dysponujemy stoczną, w której można by przeprowadzać konserwacje, więc połowa naszych jednostek i tak niedługo nie będzie nadawać

się do użytku. Zwłaszcza te relikty z ZCR. Przecież oni nawet w idealnych warunkach nie przykładają zbytnej wagi do regularnych przeglądów. Nie bardzo mam ochotę holować któryś z tych obwieszonych bronią gruchotów do komina Alcubierre'a, a później na Ziemię.

– Wszyscy dowódcy? – spytał major Frederick. – Ich i nasi?

– Wszyscy – potwierdził pułkownik. – Ci z powierzchni, szyprowie z floty, szefostwo ZCR i nasza mała grupka dzielnych buntowników.

– Na bogato – mruknąłem. – Jesteśmy teraz jak mały popieprzony ONZ.

– Możemy przegłosować rezolucję odrzucającą inwazję Dryblasów – cierpko stwierdziła Briana. – Problem z głowy.

Spotkania dotyczące strategii doprowadzały zwykle do rwania włosów z głów nawet wtedy, gdy obejmowały jedynie formacje WPA. Koncepcja wielonarodowej dyskusji pomiędzy dowódcami z floty, piechociarzami, zbuntowanymi siłami z Ziemi oraz naszymi odpowiednikami z bloku politycznego, z którym zaledwie przed miesiącem toczyliśmy wojnę, nie napełniała mnie szczególną nadzieją na powodzenie. Będzie dobrze, jeśli nie doprowadzimy do wybuchu na tutejszej orbicie piątej wojny światowej, gdy wszyscy zaczną rywalizować o to, kto zasługuje na nasze skromne zasoby. Dysponowaliśmy wystarczającymi ilościami wody i paliwa do reaktorów, by infrastruktura działała w zasadzie wiecznie, lecz lód i śnieg pozbawione były kalorii, a farmy hydroponiczne z Nowego Svalbardu ledwo zaspokajały potrzeby cywilów, nie mówiąc już o pięciu tysiącach żołnierzy i kolejnych dwóch personelu floty.

– No dobrze, to ustalmy termin – rzekł major. – I tak nie mamy obecnie wiele do roboty.

– Ale lepiej niech to będzie połączenie konferencyjne z centrum operacyjnego. Nie ma mowy, żebym weszła do pomieszczenia, w którym będą siedzieć ci wszyscy ludzie, niezależnie od deklarowanego ducha współpracy – oznajmiła Fallon. Odchyliła się na krześle i z grymasem na twarzy wyprostowała nogę. – Bo nie wiem jak was, ale męczy mnie już i wkurwia ta lekka służba bez wychodzenia na zewnątrz. Wciąż nie do końca wiem, w czym jestem dobra, ale na pewno nie w administrowaniu łącznością i papierkowej robocie zza konsoli.

Dzień nie przestawał być dziwny. O godzinie 18.00 UTC zebraliśmy się znów w centrum operacyjnym, aby wziąć udział w połączeniu konferencyjnym na prośbę dowódcy „Regulusa”, pułkownika Aguilara. Holoekran na końcu pomieszczenia dzielił się na coraz mniejsze segmenty, żeby pomieścić wszystkich uczestników, w miarę jak dołączali do dyskusji. Gdy wszyscy już się połączyli, z ekranu spoglądało na nas dwanaście głów. Byli tam: dowódca garnizonu PK z obozu Sopol, podpułkownik Reddicker, kapitanowie wszystkich okrętów WPA z orbity, szefowie obu batalionów SOZ stacjonujących na księżycu, a także głównodowodzący chińsko-rosyjskiego komponentu naszej floty, niski koreański generał brygady o twardych rysach twarzy, nazwiskiem Park, wyglądający jakby na śniadanie zjadał okrętowe grodzie, a później wysrywał nity.

Gdy tylko wszyscy zasygnalizowali swą gotowość, pułkownik Aguilar rozpoczął naradę:

– Celem tego spotkania jest ustalenie kierunku działań dla sił wojskowych Związku Chińsko-Rosyjskiego oraz Wspólnoty Północnoamerykańskiej, przebywających obecnie razem w systemie Fomalhaut. Wszelkie decyzje w trakcie narady zostaną podjęte wspólnie przez wszystkie strony, zarówno militarne, jak i cywilne.

Pułkownik przerwał, gdy pozostali kiwali głowami i werbalnie wyrażali aprobatę. Obserwowałem oficerów ZCR widocznych w prawym dolnym rogu ekranu. Twarze koreańskiego generała i znajdujących się po jego obu stronach sztabowców były wyzute z oczywistych emocji. Ze wszystkich narodowości składających się na siły ZCR Chińczycy i Koreańczycy okazaliby się najlepszymi pokerzystami.

– Czy mogę? – spytała Fallon siedzącego obok niej cywilnego administratora Nowego Svalbardu. Gdy przytaknął, odchrząknęła. – Ten księżyc nie może się długo utrzymać – zaczęła. – Nie mówię tylko w kategoriach siły militarnej, choć to oczywistość, niezależnie, z jakiej strony na to spoglądać. Dysponujemy solidnym zespołem zadaniowym, ale nie dorasta on nawet do potęgi, jaką rzuciliśmy przeciwko Dryblasom pod Marsem i przegraliśmy. Nasze ograniczone możliwości militarne to jednak nie największa mucha w sojowym pasztecie. Żywność i inne zapasy konsumujemy znacznie szybciej, niż możemy je odnowić. Jeśli nie nastąpi poważna zmiana w sytuacji zaopatrzeniowej, za trzy miesiące będziemy musieli przejść na zjadanie opakowań od racji żywnościowych i poszycia kadłuba. Mamy zbyt wiele gąb do nakarmienia.

– Możemy zadbać o własną populację, ale nie jesteśmy w stanie jednocześnie żywić tak wielu żołnierzy – wtrącił administrator kolonii. – Nasza infrastruktura nie osiągnęła jeszcze punktu, w którym obsługiwałaby kilka dodatkowych tysięcy osób.

– A jak wygląda stan magazynów floty? – spytał pułkownik Campbell.

– Cóż, wciąż jeszcze mamy racje żywnościowe – odparł Aguilar. – I części zapasowe, dzięki którym większość desantowców nadal będzie mogła jakiś czas latać, zanim zostaniemy zmuszeni do rozebrania części z nich. Jeśli jednak nie otrzymamy żadnych zapasów, przy tym tempie kanapki skończą nam się za jakieś dziesięć, dwanaście tygodni. Nie przypuszczam, by naszym przyjaciołom z ZCR wiodło się lepiej w tej kwestii.

– Gorzej – oznajmił generał Park z minimalnym uśmiechem. Jego angielski był bardzo dobry, z niemal niezauważalnym akcentem, a dykcja równie wyraźna i precyzyjna, jak zaprasowania na kamuflażowej kurtce mundurowej. – „Mińsk” to lotniskowiec szturmowy, w przeciwieństwie do pańskiego „Regulusa”. Znacznie mniejszy, nie ma tyle miejsca na kanapki. – Przy ostatnim słowie znów uśmiechnął się nieznacznie. – Nasze statki zaopatrzeniowe mają na pokładzie głównie amunicję do szturmów planetarnych, a niewiele żywności.

– Czy mógłby pan podać szacunki? – poprosił pułkownik Campbell.

– Trzy tygodnie, może cztery – odrzekł Park.

– Świetnie – mruknęła Fallon. – Czyli zagłodzenie albo unicestwienie w przestrzeni. Aż trudno wybrać wśród tych dwóch opcji.

– Gdybym to ja miał wybierać tylko między tymi dwiema, wolałbym zginąć w walce – skomentował generał Park. – Sugeruję jednak, abyśmy znaleźli sposób, by uniknąć tak ograniczonych możliwości.

– W pełni pana popieram, generale – stwierdził pułkownik Aguilar. – Pytanie brzmi: co mamy zrobić z tymi wszystkimi okrętami i żołnierzami, jeśli nie możemy wrócić tam, skąd przylecieliśmy?

– Nie możemy udać się nigdzie poza Układem Słonecznym – powiedział pułkownik Campbell. – W systemie Fomalhaut nie ma żadnych innych punktów przejścia. Tylko kolejne godziny świetlne cholernie rozległej pustki.

– Nasz punkt przejścia nie jest bezpieczny. Gdy wchodziliśmy w komin, na ogniu siedziało nam sześć okrętów nasiennych i Bóg jeden wie, dlaczego nie przelecieli za nami i nie dokończyli sprawy. Jeśli tam wrócimy, wpadniemy w sam środek Dryblasowego pola min zbliżeniowych. Albo jeszcze gorzej: obok punktu przejścia może kręcić się kilka okrętów nasiennych, które rozwalą nas na strzępy, gdy tylko wyjdziemy z Alcubierre’a.

– Z tym, co mamy, nie możemy postawić się kilku okrętom nasiennym, nawet licząc „Regulusa” – uznał Campbell. – Przełamanie blokady po prostu nie wchodzi w rachubę. Gdyby udało nam się zakraść do Układu Słonecznego i najpierw nieco rozejrzeć, mielibyśmy lepszy ogląd sytuacji. Może na razie zatrzymali się na Marsie i nie zniszczyli baz floty w pasie planet zewnętrznych. Kotwicowisko nad Tytanem ma pełne wojenne zapasy. To oznacza mnóstwo żywności i amunicji w magazynach. A może nawet paru niedobitków z floty, których moglibyśmy dodać do zespołu zadaniowego.

– To cholernie dużo niewiadomych – oznajmił podpułkownik Reddicker. Przsadzisty oficer piechoty skrzyżował ręce na piersi i odchylił się na krześle. – Jeśli wrócimy tam na lotniskowcu, niemal dwa tysiące żołnierzy będzie obozować bezradnie na pokładzie lotniczym. W razie zniszczenia lotniskowca wszyscy ci ludzie zginą, nie mając nawet szansy na oddanie strzału do nieprzyjaciela.

– Nie zamierzamy załadować wszystkich ludzi i przenieść się na ślepo – odrzekł Aguilar. – Najpierw prześlemy drużynę rozpoznawczą.

– Alcubierre’em? Przez sieć nie da się puścić kapsuły ani dronów. A przynajmniej nie bez wysuwania nosa przez drugi koniec komina.

– Wyślemy zatem jeden okręt – zaproponował generał Park. – Mały i z dobrymi sensorami. Wasz stateczek szpiegowski. Jest przecież niewidzialny dla czujników, prawda?

Miałem wrażenie, że gdybyśmy przebywali w jednym pomieszczeniu, wszyscy obrócilibyśmy się w stronę pułkownika Campbella. Przez chwilę wyglądał na zaskoczony, po czym pokręcił głową.

– „Indy”? Owszem, ale to nie wchodzi w grę. Administrator kolonii powierzył mi obronę orbitalną. Jeśli odlecę, nikt nie będzie osłaniał żołnierzy SOZ z góry.

– Wydaje mi się, że pański okręt wciąż należy do floty WPA – powiedział pułkownik Aguilar.

– A mnie się wydaje, że przewyższam pana rangą – odparł Campbell. – Nawet jednak gdyby tak nie było, zsinielibyście na twarzach, gdybyście wstrzymali oddech w oczekiwaniu, aż opuszczę orbitę bez upoważnienia ze strony cywilów.

Kilku innych oficerów WPA włączyło się do dyskusji i przez jakiś czas słychać było jedynie grupkę przekrzykujących się sztabowców, podczas gdy przedstawiciele ZCR obserwowali to wszystko w milczeniu. Nagle odezwał się administrator kolonii, a wojskowi ucichli, ponieważ technik obsługujący naradę wyłączył im mikrofony.

– Pułkowniku, doceniam pańską chęć przestrzegania prawa Wspólnoty – rzekł. – Jednak gdyby któryś z tych okrętów postanowił zaatakować kolonię, z panem czy bez pana bylibyśmy już trupami. – Spojrzał w jakieś miejsce poza ekranem i nieznacznie wykonał gest zaprzeczenia. – Słuchajcie, jeśli nie znajdziemy sposobu, żebyście mogli wrócić do Układu Słonecznego, i tak kopniemy w kalendarz. Albo gdy za kilka miesięcy skończą nam się zapasy i zagłodzimy się na śmierć, albo też gdy pojawią się Dryblasy i nas zagazują. Z mojej perspektywy pański okręt zostanie najlepiej wykorzystany właśnie zgodnie z propozycją generała, czyli gdy poszuka dla was wszystkich drogi na Ziemię. A przynajmniej na zewnętrzne rubieże Układu Słonecznego. Upoważniam pana do opuszczenia orbity i przerwania bieżącej misji.

Generał Park kiwnął głową administratorowi, który odpowiedział lekkim skinieniem. Pułkownik Campbell jedynie wzruszył ramionami.

– W porządku – powiedział, gdy technik przywrócił mu głos. – Zatem postanowione. Wciąż jednak niezbyt mi się podoba perspektywa skakania na ślepo. Jeśli Dryblasy kręcą się przy wylocie komina, rozwalą „Indy’ego” w drzazgi, nawet jeżeli znajdzie się w trybie niewykrywalności. A wy wszyscy nie będziecie o tym wiedzieć, aż kilka tygodni później spóźnimy się z powrotem. Wtedy nie pozostanie wam już nic innego poza własnym samobójczym wypadem. I muszę powiedzieć szczerze, generale: dręczy mnie świadomość, że wy, chłopcy i dziewczęta z ZCR, nie stawiacie w tej zabawie wszystkiego na jedną kartę.

– Nie jestem zaznajomiony z tym idiomem – odparł Park. – Co oznacza „stawianie wszystkiego na jedną kartę”?

– To znaczy, że nic nie ryzykujecie w tej operacji – podsunęła Fallon.

Generał Park popatrzył na oficera obok siebie i wyciszył dźwięk od swojej strony. Rozpoczęli krótką dyskusję. Park zachowywał spokój, jaki okazywał od początku narady, ale przedmiot rozmowy musiał wywołać w drugim oficerze niepokój lub zdenerwowanie, ponieważ wyraz jego twarzy stopniowo przeszedł z neutralnego do wyraźnie poruszonego. Wyglądało jednak na to, że doszli do porozumienia, ponieważ drugi mężczyzna w pewnym momencie skinął głową i opuścił wzrok. Park obrócił się z powrotem do kamery i włączył dźwięk.

– Wiemy, że nieprzyjaciel zna położenie punktu przejścia Wspólnoty i najprawdopodobniej strzeże go od drugiej strony – oznajmił. – Nie mamy jednak pewności, czy tak samo jest z punktem kontrolowanym przez nasz Związek.

– Zatem deklarujecie, że wyślecie jeden z własnych okrętów? – zapytał pułkownik Aguilar.

Generał z ZCR znów pozwolił sobie na ten nieznaczny uśmiech, przy którym jeden kącik jego ust uniół się zaledwie o kilka milimetrów.

– Nie – odrzekł. – Przejdzie wasz okręt. Żaden z naszych nie jest wyposażony w technologię ukrywania się i nie może prowadzić tajnych działań. – Przerwał na chwilę. – Przekażemy wam jednak położenie punktu przejścia Związku oraz kody dostępu pozwalające na udany skok.

Po tych słowach zapanowała cisza jak po wybuchu bomby. Następnie łącznościowcy znów musieli odciąć zebrany dźwięk, ponieważ wszyscy uczestnicy oprócz oficerów ZCR rozpoczęli jednocześnie głośną i ożywioną dyskusję.

Siedzący obok nas administrator kolonii gwizdnął cicho.

Fallon spojrzała na mnie i uniosła brew, po czym skrzyżowała ręce na piersi, odchyliła się i ze stęknieniem oparła sztuczną nogę na blacie przed sobą.

– No, no, no – skomentowała. – Szykuje się naprawdę interesujący miesiąc.

Park przeczekał w milczeniu ogólne poruszenie, które przycichło dopiero po minucie. W końcu pułkownik Aguilar odzyskał inicjatywę.

– Czyli przekażecie nam współrzędne waszego punktu Alcubierre’a i kody przejścia? – spytał. – Tak po prostu?

– Nie do końca. – Park pokręcił głową. – Ujawnimy wam współrzędne, ale będziemy musieli oddelegować na wasz okręt kogoś, kto obsłuży kody dostępu. Niezależnie od naszej bieżącej sytuacji, nie uważam, aby rozsądnym pomysłem było oddanie wam w ręce sposobu na złamanie naszych protokołów szyfrujących. Być może nie toczymy już ze sobą wojny, ale musimy zachować część sekretów dla siebie. – Uśmiechnął się krótko. – Pułkowniku Campbell, czy zadowala to pana w kwestii stawiania wszystkiego na jedną kartę?

Campbell powoli przytaknął.

– Zdradzacie jednak ważną tajemnicę. Nie wiem, czy będą z was zadowoleni na Ziemi, jeśli się dowiedzą, że oddaliście swego największego wojskowego asa.

– To niezbyt istotne – stwierdził generał. – Poza tym, jak szedł ten idiom? Nie czyń drugiemu, co tobie niemiłe? Znamy już położenie waszego punktu przejścia, a nawet skorzystaliśmy z niego u boku waszych okrętów. W ten sposób szale zostaną wyrównane. – I znów się minimalnie uśmiechnął. W kącikach jego ust na moment ukazało się niemal niedostrzegalne rozbawienie. – Wasz okręt jest nam potrzebny do odnalezienia drogi powrotnej. Jeśli jej nie znajdzie, wkrótce wszyscy zginiemy i pilnowanie militarnych tajemnic straci rację bytu. A jeśli sytuacja wróci do wcześniejszego stanu, po prostu będziemy musieli wymyślić nowe.

– Ilu ludzi chcecie przydzielić do misji na „Indianapolis”? – zapytał pułkownik Aguilar.

Generał przez chwilę dyskutował nad tym pytaniem ze swoim oficerem sztabowym.

– Jeden wystarczy – powiedział w końcu. – Ekspert od łączności, jeden z naszych koordynatorów przestrzeni walki. Może się też okazać przydatny, jeśli „Indianapolis” napotka inne jednostki floty Związku, które mogą nie być

świadome panującego między nami rozejmu.

– Moment – odezwał się pułkownik Campbell. – Chcecie umieścić kontrolera walki z ZCR dysponującego zaawansowanym sprzętem łącznościowym i przetwarzania danych na najnowocześniejszej jednostce wywiadu elektronicznego we flocie? Wiem, że ma to być symbol nowej ery współpracy i w ogóle, ale cały pomysł wydaje mi się solidnie nierozsądny. No wiecie, w razie gdybyśmy mieli wrócić do strzelania do siebie nawzajem.

– Może pan zablokować dostęp do wrażliwych stref swojego okrętu – zasugerował Aguilar.

Campbell zaprzeczył.

– Jeśli będzie miał przy sobie sprzęt ELINT, mógłbym go na czas podróży zamknąć w brygu, a i tak nic by to nie zmieniło. Mógłbym też zabrać mu konsolę, ale musiałbym ją oddać, gdy znaleźlibyśmy się w pobliżu ich punktu Alcubierre’a. Wystarczą trzy minuty w sieci, aby w sześć miesięcy zdołali odtworzyć ten okręt w stoczni na Nowym Dalianie.

– Co zatem pan sugeruje? Nie mamy obecnie zbyt wielu alternatyw – rzekł pułkownik Aguilar. – Potrzebujemy „Indy’ego” do przeprowadzenia zwiadu, a „Indy” potrzebuje kodów dostępu do węzła ZCR, chyba że woli pan zaryzykować z punktem WPA.

– Ta opcja też mi się nie podoba – odparł pułkownik Campbell.

Odchrząknąłem i postanowiłem się wtrącić.

– Panowie, ja mogę zająć się tym kontrolerem. Będę jego opiekunem i dopilnuję, by nie robił nic, czego nie powinien.

Miałem zdecydowanie najniższą rangę spośród wszystkich uczestników narady i nagła niepodzielna uwaga, jaką skierowało na mnie dwunastu oficerów, nieco wytrąciła mnie z równowagi. Poruszyłem się nerwowo na krześle i spróbowałem usunąć z myśli pozostałych sztabowców, udając, że rozmawiam jedynie z pułkownikiem Campbellem.

– Jest pan pewien, Grayson? To może być podróż w jedną stronę.

– Jestem pewien, sir. Znam temat, zatem wiem, co kontroler powinien robić, a czego nie. Poza tym pracowałem z ich ludźmi podczas desantu na Fomalhaut b, więc to dla mnie nie pierwszozna. Sądzę, że się uda.

Pułkownik przygryzł dolną wargę, zastanawiając się nad moimi słowami. Czuję, że obserwują mnie wszyscy obecni w centrum operacyjnym, a już zwłaszcza Fallon, ale nie odrywałem spojrzenia od ekranu.

– Wciąż nie podobają mi się obie opcje, ale tę darzę teraz nieco mniejszą niechęcią.

– Czy jest to dla pana do przyjęcia, generale Park? – spytał Aguilar. – Że pański człowiek pracowałby z obecnym tutaj sierżantem Graysonem, aby wszystko szło gładko?

– Jest to do przyjęcia – odparł Park swym ostrożnym, beznamiętnym głosem.

– A dla pana, pułkowniku Campbell? Czy w takiej sytuacji mniej będzie pana martwiło, że na pokładzie pańskiego okrętu znajdzie się kontroler walki z ZCR?

– Jeśli pan Grayson będzie służył za przyzwoitkę, to mogę na to pójść. Bez

szczególnego entuzjazmu, ale się zgadzam. Oczywiście przy założeniu, że cywilny administrator zwolni go z bieżącego przydziału do Nowosvalbardzkiej Armii Terytorialnej.

NSAT stanowiło szumną nazwę dla zbuntowanych oddziałów Sił Obrony Ziemi na Nowym Svalbardzie, które dobrowolnie oddały się pod cywilną kontrolę. Niektórzy inni dowódcy, zwłaszcza oficerowie z batalionu Piechoty Kosmicznej, z którym walczyliśmy o władzę nad księżycem, uważali, że dopuściliśmy się otwartej zdrady i dezercji, lecz pułkownik Aguilar na szczęście podszedł ze zrozumieniem do naszych argumentów i postanowił nie poruszać problemu, nie zamierzał też usunąć sił SOZ z Nowego Longyearbyen ani z sieci terraformerów. Nie miałem wątpliwości, że gdyby sytuacja kiedykolwiek wróciła do wcześniejszego stanu, wszyscy wylądowalibyśmy przed sądem wojskowym, ale jednocześnie miałem pewność, że nigdy do niego nie wróci. Zbyt dużo się zmieniło w zbyt krótkim czasie, a ten dziwny, wymuszony koniecznością sojusz zupełnie zmienił zasady gry. To niezwykle, ile rzeczy da się wykonać, jeśli nie trzeba zawracać już sobie głowy tym, czy to w ogóle wykonalne. Zorganizowaliśmy operację bojową na dużą skalę, łącząc jednostki wojskowe z dwóch bloków, z niekompatybilnym sprzętem i odmiennymi standardami oraz procedurami, ponieważ wyrzuciliśmy stare podręczniki i improwizowaliśmy. Gdy przestała nas ograniczać głupota strategicznych mózgowców z kwatery głównej Korpusu Obronnego WPA, nasz niewielki wycinek armii przeszedł transformację od nieruchawego molocha, potrzebującego sześciu lat, by ustandaryzować projekt deski klozetowej, do skutecznego i szybkiego organizmu, któremu trzeba jedynie dwóch tygodni na przygotowanie i wykonanie bojowego desantu wrogich do niedawna żołnierzy w sile dwóch pułków na księżyc kontrolowany przez Dryblasy. Podobały mi się te nowe metody i nie chciałem wracać do starych.

– Nie widzę przeszkód, by sierżant Grayson poleciał na „Indym” – odrzekł administrator kolonii. – Wystarczy nam żołnierzy do zabezpieczenia miasta i stacji terraformowania. Oczywiście, jeśli pani chorąży Fallon nie ma nic przeciwko, by przenieść go z powrotem do służby we flocie.

– Ech, do diabła – stwierdziła Fallon. – Andrew może lecieć, dokądkolwiek zechce. Jeśli ma to jakieś znaczenie, to zgadzam się, że bardziej się przyda przy zorganizowaniu nam powrotu na Ziemię. Mamy tu już dość tyłków do polerowania stołków.

– Zatem postanowione – uznał pułkownik Aguilar. – „Indianapolis” skorzysta z punktu przejścia Związku, aby zakraść się do Układu Słonecznego i znaleźć dla nas drogę powrotną. Generał Park przekaze kody dostępu i specjalistę kontrolera, a sierżant sztabowy Grayson zostanie łącznikiem między naszymi blokami politycznymi na „Indym”. Teraz musimy ustalić szczegóły i przygotować pański okręt do misji, pułkowniku. A sierżant Grayson ma się zgłosić na „Indianapolis”, gdy tylko pozwolą na to warunki pogodowe.

– Tak jest, sir – odparłem, powstrzymując odruch, by zsalutować.

Odsunąłem krzesło od stołu konferencyjnego i wstałem, by wyjść poza pole

widzenia kamery. Było to szalenie samolubne, ale gdy tylko upewniłem się, że nikt na mnie nie patrzy, wyciągnąłem z kieszeni munduru swój OTI i sprawdziłem datę. Miałem jeszcze dziesięć tygodni i dwa dni, by wrócić na Ziemię i zdążyć na swój ślub. Nie wiedziałem, czy Halley wciąż żyła, ale złożyłem jej obietnicę i zamierzałem zrobić wszystko, by jej dotrzymać. W przeciwnym razie w całym wszechświecie nie zostanie dla mnie nic, o co warto walczyć.

Rozdział 4

Z ognia w płomień

Jak oceniasz swoje szanse na przejście przez komin i dotarcie na Ziemię w jednym kawałku? – spytała Fallon.

Upiłem kolejny łyk drinka i udawałem, że się nad tym zastanawiam, zupełnie jakbym nie rozważał już wielokrotnie prawdopodobieństwa powodzenia misji, odkąd zgłosiłem się do niej z własnej woli przed kilkoma godzinami. Znów trafiliśmy do „Z Lodem” na pożegnalną szklaneczkę, musiałem bowiem zaczekać na lepszą pogodę, by desantowiec zabrał mnie na „Indianapolis”.

– Nie jestem dowódcą okrętu – odparłem. – I nie znam się za bardzo na walce w przestrzeni. Ten okręt ma jednak naprawdę solidne możliwości maskowania. Jeśli nie zdoła przedrzeć się obok Dryblasów, nie będziemy mieli gdzie się ukryć. – Obróciłem szklankę w dłoniach i obserwowałem odbicia lamp sufitowych na niebieskiej powierzchni drinka. – Szczerze? Pół na pół, zresztą nie postawiłbym na to zbyt dużo. A naprawdę szczerze? Sram ze strachu. Znowu.

– Można by pomyśleć, że już do tego przywykłeś.

– Taa, jasne. Zawsze boję się przed desantem. A ty nie?

– Trochę – odparła z lekkim uśmiechem. – Jeśli ktoś nie boi się na myśl o walce, to albo jest idiotą, albo socjopatą.

– Z przekradaniem się przez przestrzeń jest inaczej. Przy desancie bojowym cała masa rzeczy odwraca twoją uwagę, poza tym masz przynajmniej iluzję kontroli. Karabin, zapas amunicji, jest do czego strzelać. Ale starcia floty? Siedzisz po prostu na swoim stanowisku w metalowej rurze. Nie możesz nic zrobić, tylko czekać i sprawdzać, czy zaraz nie zginiesz.

– Tak, to cholerstwo jest dla kretynów – rzekła. – Nigdy nie miałam najmniejszej ochoty, by pójść do floty. Przypominam sobie wszystkie te głąby na przygotowawczym, liczące, że trafią na miejsce na okręcie. Przeszłość to paskudna sprawa.

– Ale bywa dobrze. Gdy pierwszy raz spojrzałem na Ziemię z orbity, prawie powaliło mnie na kolana. Jej wielkość, rozumiesz? I wyglądała tak spokojnie. W takiej chwili można sobie uświadomić, jakie to wszystko jest głupie. My, ZCR, szczury na zasiłku. Próbuje się nawzajem pozabijać, a tak naprawdę jesteśmy tylko garstką mrówek pędzących przez kosmos na kamyku oblanym wodą.

– Cholera, Andrew – Briana pokręciła głową i znów się uśmiechnęła – masz zdecydowanie za dużo rozumu, by bawić się w wojaka. – Łyknęła ze szklanki i skrzywiła się. – Ale jesteś też dobrym żołnierzem. Byłeś nim od pierwszego dnia w Shughart. Wyglądałeś na równie przerażonego jak wszyscy, ale zebrałeś się do kupy i robiłeś to, co powinieneś. I nigdy nie szarpałeś bezmyślnie za spust. Wiem,

że gdy dołączyłeś do rebelii, wciąż byłeś tym samym dzieciakiem, który czuł się paskudnie po Detroit. Może dzięki temu jesteś lepszym żołnierzem niż ja, bo straciłam już niemal do końca wyrzuty sumienia.

OTI w mojej kieszeni wydał sygnał powiadomienia. Wyciągnąłem go i spojrzałem na ekran.

– Aktualizacja z satelity meteorologicznego – wyjaśniłem. – Okienko dobrej pogody za dziewięćdziesiąt jeden minut. Lepiej zabiorę rzeczy i ruszę na lotnisko.

Odsunąłem drinka na bok i wstałem, podobnie jak Fallon. Położyła mi dłoń na barku i przyjrzała mi się na wyciągnięcie ręki. Następnie przyciągnęła do krótkiego uścisku i zaraz puściła.

– Nie zamierzam się przy tobie rozklejać. Spróbuj nie dać się zabić – powiedziała. – Wszechświat jest gównianym miejscem, ale bez ciebie byłby jeszcze gorszy.

Uśmiechnąłem się do niej.

– To zdecydowanie najbardziej rozklejająca rzecz, jaką do mnie powiedziałaś.

Rozstaliśmy się już bez dalszych słów, bez melodramatycznych ostatnich salutów. Ruszyłem do wyjścia z baru, by pójść po sprzęt. Odwróciłem się w drzwiach i jeszcze raz spojrzałem na dawną dowódczynię. Usiadła z powrotem, trzymając drinka, i napotkała mój wzrok. Uniosłem dłoń, by niedbale pomachać jej dwoma palcami. Skinęła głową. Na jej twarzy malowało się zwyczajowe lekkie, obojętne rozbawienie, ale oczy przekazywały uczucia, jakich nie zmieścilibyśmy w pięciu minutach emocjonalnego pożegnania.

Pomyślnych wiatrów i spokojnych mórz, przyjaciółko.

Odwzajemniłem skinienie Fallon i odwróciłem się, by opuścić „Z Lodem”, zapewne ostatni raz w życiu.



Z Elipsy wychodził tunel w stronę lądowiska na drugim krańcu Nowego Longyearbyen. Liczył półtora kilometra i biegł cały czas na równej głębokości, pozwalając więc na swobodny, niespieszny marsz. Gdy przebyłem jedną trzecią drogi, usłyszałem za sobą szmer elektrycznego quada. Odwróciłem się i ujrzałem podjeżdżającego komendanta Guesta.

– Zobaczyłem pana w kamerze bezpieczeństwa – powiedział, zatrzymując się obok mnie. – Podwieźć?

– Pewnie – odrzekłem. – Dzięki.

Zdjąłem worek z ramienia i włożyłem do kosza ładunkowego, po czym zająłem fotel pasażera za policjantem.

– Sądziłem, że wpadnie pan do biura, żeby się pożegnać – rzucił przez ramię, uruchamiając pojazd.

– Myślałem o tym, ale i tak już jestem w rozsypce. Sporo zależy od tej misji.

– Coś o tym wiem. Mam dwie córeczki i żonę w tym naszym małym zamarzniętym rajku. Jeśli nie wrócicie z planem, dzięki któremu ci wszyscy żołnierze pojedą do domu, czeka nas nie tylko bardzo surowa zima, ale też ostatnia.

- Zrobię, co w mojej mocy, by tak się nie stało – oznajmiłem.
- W to nie wątpię. Ale nie wszystko przecież zależy od pana.
- Nawet nie większość zależy od mnie. Po prostu znów zostanę jedną z wielu zębatek w maszynie.
- Za to cholernie dobrą zębatką. W pewien sposób właściwie panu zazdroszczę.
- Jak to? – Roześmiałem się. – Chciałby pan polecieć zamiast mnie?
- Tak, gdybym miał kwalifikacje. Lepiej to, niż siedzieć, czekać i nie mieć żadnego wpływu na to, co się wydarzy.
- Co zamierza pan zrobić, gdybyśmy nie wrócili? – spytałem.

Komendant Guest milczał przez chwilę. Szum elektrycznego silnika odbijał się echem od betonowych ścian, a grube opony quada szemrały na płytach podłogi, gdy toczyliśmy się skąpo oświetlonym tunelem w tempie szybkiego truchtu.

- Zabunkruję się z rodziną – powiedział w końcu. – Tu, w tunelach. Zbierzemy jak najwięcej zapasów i spróbujemy je oszczędzać w nadziei, że ktoś przyjedzie po nas, zanim skończy się żywność. Dopóki utrzymam je przy życiu, nie zgaśnie nadzieja.

Byłem kilkakrotnie w biurze komendanta Guesta i pamiętałem zdjęcia córek, które trzymał na półce za biurkiem. Dopiero niedawno stały się nastolatkami. Policjant mówił mi, że urodziły się na Ziemi, lecz trafiły na Nowy Svalbard, zanim zdążyły zapamiętać dawny dom, lodowy księżyc stał się więc jedynym znanym im światem. Jeśli nie uda nam się znaleźć drogi powrotnej dla wszystkich tych żołnierzy, którzy pochłaniali miejscowe zapasy, by utrzymać się przy życiu, dziewczynki nie poznają już niczego więcej. Umrą wraz z rodzicami w tych ponurych tunelach o ścianach z nagiego betonu i drzwiach z niepomalowanej, laminowanej stali. Całe miasteczko zniknie zapomniane pod lodem, zostanie po nim zaledwie pomniejszy przypis w krótkiej historii ludzkości. Życie w koloniach było surowe, lecz innego tu nie znano, i czułem wstyd, że przyczyniłem się do zbyt realnego prawdopodobieństwa, iż te dziewczynki zginą wraz ze wszystkimi innymi. Nie miałem żadnego wpływu na decyzje wojskowych, którzy przybyli tu i wpuścili na ten świat siedem tysięcy dodatkowych gąb do wykarmienia, ale mogłem pomóc je stąd zabrać. Moje wykształcenie znacznie lepiej przysłuży się temu celowi niż zabijaniu chińskich czy rosyjskich marines w walce o kolejny jałowy kawałek skały krążący wokół jakiegoś odległego słońca.

Przez chwilę sunęliśmy w milczeniu przez półmrok. Nagle tunel dobiegł końca. Przed nami znajdowała się betonowa klatka schodowa prowadząca do niewielkiego przedsionka, w którego ścianę wprawiono ciężki wąż bezpieczeństwa. Komendant wysiadł z quada. Poszedłem w jego ślady, po czym zabrałem worek ze sprzętem.

Wyciągnął dłoń. Potrząsnąłem nią.

- Przeniewiercą jest, kto porzuca towarzyszy, gdy ciemności zastępują drogę[3]
- powiedział.
- To jakiś cytat? – spytałem.
- Tak, z lubianej przeze mnie starej książki. Orkowie, elfy, wielkie przygody.
- To może zamiast tego powiedzmy: „Do zobaczenia za kilka tygodni” –

zaproprowałem.

– Zatem do zobaczenia za kilka tygodni, sierżancie sztabowy Grayson. Dziękuję, że wstawił się pan za nami, wieśniakami z kolonii. Proszę tam na siebie uważać.

– Pan również, komendancie.

Wsiadł do quada, skinął mi głową i odjechał z powrotem, zostawiając mnie przy skąpo oświetlonym zakończeniu tunelu. Obserwowałem, jak mrugające światelko ostrzegawcze w miarowych trzysekundowych odstępach maluje czerwienią ściany korytarza, po czym zarzuciłem znów worek na ramię i wszedłem po schodach do piwnicy centrum kontroli lotów.



Krótką poprawa pogody nie wydawała się taka oczywista, gdy już znalazłem się na powierzchni. Wciąż śnieżyło, ale przynajmniej widziałem na więcej niż kilka metrów, a śnieg padał niemal pionowo, zamiast omiatać poziomo okolice. Pojazdy gąsienicowe o potężnych trójkątnych pługach spychały biały opad z rozległego betonowego lądowiska. Na oczyszczonym już terenie stały trzy okręty desantowe Osa, jedna Ważka i trzy stałopłaty transportowe kolonii, rozładowujące towar lub tankujące paliwo z automatycznych pomp.

Znałem z widzenia pilotów Ważek przydzielonych do „Indianapolis”, przeszedłem więc po płycie do miejsca, gdzie stała wielka bojowa taksówka. Uważałem, by nie wchodzić w drogę obsłudze naziemnej i omijać sprzęt tankujący. Piloci siedzieli w kokpicie, wykonując kolejne czynności z listy kontrolnej. Gdy kręciłem się w pobliżu lewej burty, po opuszczonej tylnej rampie zszedł szef załadunku. Zauważył mnie i podszedł.

– Sierżant Grayson? – spytał. Obróciłem się, by mógł zobaczyć naszywkę z nazwiskiem, i uniosłem osłonę hełmu. W ostrym polarnym powietrzu natychmiast zdrętwiała mi twarz.

– Jesteśmy gotowi do odlotu?

– Prawie. Musimy poczekać na jakichś pasażerów z „Mińska”. Ich ptaszki nie pasują do kłamr dokujących „Indy’ego”, więc tutaj się przesiądą.

– Rozumiem – odparłem i opuściłem osłonę, by odciąć się znów od potwornego zimna.

Niedługo później usłyszałem nad głową przenikliwy ryk i z padającego śniegu wyłoniły się dwie Akuly. Opadły obok siebie po drugiej stronie lądowiska dla okrętów desantowych w imponującym pokazie synchronicznego lotu w gównianej pogodzie. Pomyślałem o Halley, najprawdopodobniej najlepszej spośród wszystkich pilotów desantowców w całej flocie, i zastanawiałem się, jak by oceniła manewr lądowania.

Rozumiałem, dlaczego projektanci z ZCR postanowili nazwać swoje dzieło „rekinem”. W porównaniu z desantowcami WPA te chińsko-rosyjskie wyglądały bardziej surowo, ale i zdecydowanie drapieźniej. Miały węższe kadłuby, mniejsze kokpity i bardziej opływowy kształt, były większe od naszych Os, choć nie tak duże jak Ważki. Przede wszystkim jednak były niemal przesadnie najeżone

uzbrojeniem powietrze–ziemia: wieżyczka dziobowa z dwoma wielolufowymi karabinami, po obu stronach kadłuba wielkokalibrowe działka do atakowania celów naziemnych oraz kolejne karabiny w opcjonalnych gniazdach na pylonach skrzydeł. Działka automatyczne to broń prostsza i tańsza niż inteligentne pociski kierowane i inżynierowie ZCR wepchnęli ich tyle w swój projekt, ile tylko zdołali. Wielokrotnie znalazłem się po niewłaściwej stronie prowadzącej ostrzał Akuły i wiedziałem, że potrafiły one bardzo szybko umieścić w celu paskudną liczbę przeciwpancernych pocisków kruszących. Niezależnie od tego, jak trwały mógł się ostatecznie okazać nasz nowy, wynikający z konieczności sojusz, już nigdy nie pozbędę się uczucia strachu, które załęgało mi się w żołądku, gdy tylko widziałem owadzi, kanciasty kształt Akuły.

Obserwowałem otwierające się tylne rampy desantowców ZCR. Ze stojącego bliżej wyłoniły się dwie postacie w pancerzach bojowych Związku, trzymające pod pachami torby, które wyglądały na ciężkie. Zbliżały się do nas po lądowisku. Osłony w hełmach ZCR były znacznie większe niż w naszych, pozwalały więc łatwo dostrzec twarze. Gdy dwoje żołnierzy ZCR znalazło się w odległości dwudziestu metrów, rozpoznałem wyższą sylwetkę po lewej. Uniosłem znów własny wizjer i pomachałem.

– Dmitrij! – zawołałem.

Rosjanin podszedł do mnie i poklepał mnie pancerną rękawicą.

– Andrew. – Głośnik hełmu lekko zniekształcał mu głos. – Co robisz w tak zimnym, paskudnym miejscu?

– Lecimy razem na „Indianapolis”. Będę ci towarzyszył podczas misji.

Dmitrij pokręcił z uśmiechem głową i znów stuknął mnie w pancerz.

– *Iz ognia da w połymia*, prawda?

– Co to oznacza?

– Lecimy z ognia w płomień.

– Czyli z deszczu pod rynnę – zgodziłem się. – Na to wygląda.

Wskazał towarzyszącą mu osobę. Twarz widoczna za osłoną hełmu miała azjatyckie rysy i wyraźnie należała do kobiety.

– Porucznik Lin. Moja zwierzchniczka. Jest tu, by dopilnować, żebym dotarł bezpiecznie na okręt Wspólnoty.

Podporucznik Lin spojrzała na mnie przenikliwymi brązowymi oczyma i wykonała szybki, ostry salut. Odwzajemniłem gest. Przewyższała mnie rangą, więc to ja powinienem salutować jako pierwszy, ale wzajemne uprzejmości między WPA i ZCR wciąż w pewnym stopniu pozostawały w sferze niejasności i uznałem, że założyła, iż znajdowaliśmy się na terytorium WPA, a ja byłem osobą odpowiedzialną za lot na orbitę. Stopień Dmitrija to *starszyj* sierżant, czyli on również mnie przewyższał, choć tylko o jeden stopień zaszerogowania.

Wskazałem otwartą tylną rampę stojącej obok Ważki.

– Lećmy zatem na górę, zanim pogoda znów zrobi się gówniana.

– Pogoda już jest gówniana – skomentował Dmitrij.

Przepuściłem Rosjanina jako pierwszego, po czym wszedłem za nim do ładowni Ważki. U szczytu rampy wziąłem głęboki, nieprzefiltrowany haust

zimnego powietrza, choć zaboląły mnie od tego płuca i ścisnęły się nozdrza. Nowy Svalbard był surowym, mroźnym globem, nienadającym się do zamieszkania dla większej liczby ludzi, ale dałbym głowę, że w całej zasiedlonej Galaktyce nie znalazłbym czystszej atmosfery.

Usiadłem po lewej stronie ładowni. Mój odpowiednik z ZCR spoczął po drugiej stronie przejścia, naprzeciwko mnie, odtwarzając nasze pozycje z Akuly podczas desantu sprzed tygodnia. Od pięciu lat walczyłem z tymi ludźmi, a nie wiedziałem nawet, jakim językiem posługiwali się podczas wspólnych misji, a może też korzystali po prostu z automatycznych tłumaczy w pancerzach.

Skoro znalazłem się znów na okręcie desantowym WPA, poprosiłem pierwszego pilota o możliwość wpięcia się do łącza danych Ważki. Następnie wyciszyłem Dmitrija i obserwowałem przekaz z sensorów optycznych na kadłubie: grzbiet, nad dziobem, pod dziobem, końcówka skrzydła na sterburcie, końcówka skrzydła na bakburcie, rufa. Umieszczony w pancerzu komputer potrafił płynnie połączyć ze sobą wszystkie te transmisje i wyświetlać je na wewnętrznej stronie wizjera. Obraz przesuwiał się wraz z moimi ruchami głowy, miałem więc niemal wrażenie, jakbym to ja był desantowcem wznoszącym się ponad paskudne nowosvalbardzkie warunki pogodowe. Na sześciu tysiącach metrów przedarliśmy się wreszcie przez chmury, a wstrząsy z przerażających wygasły do takich, które wywoływały jedynie zgrzytanie zębów.

Z góry Nowy Svalbard cechował się dzikim, nieprzyjaznym pięknem. Większość widocznej półkuli lodowego księżyca pokrywały grube chmury, lecz tu i ówdzie widać było w nich przerwy. Światło dobiegające z odległego słońca odbijało się od zlodowaciałych górskich grani oraz wielkich lodowców. Jeśli Dryblaszy nie pojawią się tutaj, by odebrać nam ten glob, za jakieś pięćdziesiąt, może sto lat stanie się on pierwszorzędnym miejscem do życia. Gdy po wstąpieniu do floty pierwszy raz znalazłem się w przestrzeni, wielokrotnie odczuwałem zachwyt majestatycznym, przytłaczającym pięknem planety widzianej z orbity, teraz jednak uświadamiało mi to wyłącznie, jak niewyobrażalnie rozległy jest wszechświat i jak maleńcy oraz nieznaczący w nim jesteśmy.

Niedługo później opuściliśmy atmosferę i wstrząsy zupełnie się skończyły. Zawsze można stwierdzić, kiedy weszło się na orbitę, ponieważ tyłek w siedzisku robi się lekki pomimo dwudziestu kilogramów pancerza. Na wyświetlaczu taktycznym widziałem wszystkie zgrupowania okrętów, ale gołym okiem dawały się dostrzec tylko „Regulus” i jego eskorta, trzydzieści stopni na sterburtę i na orbicie wyższej o sto kilometrów niż my, mrugające światłami pozycyjnymi. „Regulus” był masywnym okrętem, mierzącym ponad pół kilometra od dziobu do rufy, największym wypuszczonym w przestrzeń przez jakiegokolwiek ziemskie

państwo. Ponieważ lotniskowce typu Navigator były tak nieliczne i cenne, nie wykorzystywano ich dotąd przeciwko Dryblasom, nikt nie wiedział zatem, jak spisałyby się w walce z okrętem nasiennym, ale zniszczenie większości floty nad Marsem oznaczało, że równie dobrze „Regulus” mógł być ostatnim Nawigatorem. Zresztą właśnie po to leciałem teraz na „Indy’ego” – aby zapewnić, że lotniskowiec nie będzie musiał ścierać się z obcymi, a przynajmniej nie nazbyt szybko.

Kilka minut później przybiliśmy do „Indy’ego”. Podobnie jak kiedyś nie dostrzegałem w ogóle orbitalnego okrętu bojowego, dopóki nie znaleźliśmy się niemal przy nim, choć mogłem wyznaczyć jego pozycję na swoim wyświetlaczu dzięki aktywnemu transponderowi IFF pozwalającemu odróżnić swoich od obcych. Większość technologii zastosowanych na OOB pozostawała tajna, ale wiedziałem, że na jego zewnętrznym poszyciu zastosowano ten sam polichromatyczny kamuflaż co w naszych BPP, bojowych pancierzach przeciwśrodowiskowych, inaczej nazywanych robalowymi skorupami. „Indy” nie dysponował szczególnie potężną siłą ognia, choć i tak był niezłe uzbrojony, jak na okręt tych rozmiarów. Było go jednak niesłychanie trudno dostrzec, wysledzić lub namierzyć. Podczas naszej rebelii sprzed kilku tygodni zdołał bawić się w chowanego z resztą zespołu zadaniowego „Midway”. Według pułkownika Campbella nie musieli się przy tym nawet szczególnie napocić. Twierdził również, że mogłoby niepostrzeżenie wypuścić na „Midway” głowice jądrowe. Nie miałem powodu, by mu nie wierzyć.

Ważka zadrżała lekko, gdy klamry dokujące „Indy’ego” zacisnęły się w punktach mocowania na grzbiecie desantowca. Zostaliśmy przyciągnięci w pole grawitacyjne większego okrętu, co rozpoznałem po tym, jak ciężar pancierza znów wcisnął mnie głębiej w siedzenie. Przez kadłub słyszałem niski sygnał ostrzegawczy automatycznego systemu dokowania, który zamykał zewnętrzny właz i umieszczał nas na stanowisku w niewielkim hangarze „Indianapolis”. Zatrzymaliśmy się z ostatnim wstrząsem i alarm umilkł. Silniki Ważki stopniowo ucichły, po czym zupełnie zgasły.

– Witaj na pokładzie OWPA „Indianapolis” – powiedziałem Dmitrijowi. – Mam nadzieję, że pod pancierzem nosisz mundur polowy, bo musisz zdać skorupę i dostaniesz ją z powrotem dopiero, gdy dotrzemy do komina Alcubierre’a. Konsolę admina też oddaj.

– Boisz się, że będę rozpracowywał waszą cenną szpiegowską łódeczkę?

– Ja bym tak zrobił – odparłem, a Rosjanin wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Zaczął rozpinać zasuwki skomputeryzowanego pancierza bojowego, zdejmować z siebie jego elementy i składać na podłodze. Przysłano go nieuzbrojonego, nie musiałem więc prosić również o karabin i pistolet. Czułem się nieco głupio, prosząc Dmitrija o rozebranie się, skoro przed tygodniem walczyłem u jego boku z Dryblasami i obaj korzystaliśmy wtedy z broni oraz konsoli, lecz takie ustalono zasady wspólnej misji. Poza tym, tak prawdę mówiąc, nie znałem Dmitrija jeszcze na tyle dobrze, by mieć pewność, że nie wykorzysta szansy, aby zebrać jak najwięcej informacji. Paranoja to jedna z cech

definiujących doświadczonego żołnierza.

Tylna rampa otworzyła się, ujawniając klaustrofobiczną ciasnotę maleńkiego hangaru „Indy’ego”, niemal całkowicie wypełnionego przez Ważkę. Podniosłem swój worek i zszedłem po rampie. Zanim postawiłem stopy na pokładzie, zaszalutowałem fladze Wspólnoty Północnoamerykańskiej wymalowanej przede mną na grodzi i obróciłem się do podoficera pokładowego stojącego przy władze wyjściowym. Obok niego zobaczyłem kaprała PK w pancerzu bojowym i z bronią ochrony osobistej przewieszoną przez pierś oraz pistoletem w kaburze na nodze. Zazwyczaj nie zwracali sobie głowy zbrojną ochroną, gdy przyjmowano transport z powierzchni, ale zwykle nie przybywał nim weteran z ZCR. Zaszalutowałem podoficerowi pokładowemu.

– Proszę o pozwolenie wejścia na pokład. Sierżant sztabowy Grayson wraz z gościem z ZCR. Mamy rozkaz zameldować się u dowódcy.

Podoficer oddał salut.

– Udzielam pozwolenia. Szyper czeka na was w BCI. – Przesunął wzrok ze mnie na Dmitrija, który zatrzymał się na rampie tuż za mną i zaszalutował fladze WPA.

– Wiem, nowy świat zupełnie oszalał – powiedziałem do podoficera pokładowego, gdy mijaliśmy go w drodze do wyjścia pod czujnym spojrzeniem kaprała z Piechoty Kosmicznej.

– Oszalał to za mało powiedziane, sierżancie – odparł.

Pułkownik Campbell stał przy holostole w Bojowym Centrum Informacyjnym, gdy wszedłem tam przez pancerny właz. Dmitrij został przed wejściem, którego pilnowało dwóch uzbrojonych żołnierzy PK. Może i nie strzelaliśmy już do siebie, ale duch współpracy pułkownika nie rozciągał się jeszcze na witanie przedstawicieli ZCR w centrum kierowania okrętem.

– Dobrze pana widzieć, Grayson – oznajmił. Oddał mój salut i wyciągnął dłoń. – Świetna robota na Fomalhaut b z naszymi nowymi kumplami. Czytałem raporty z misji.

– Dziękuję, sir. Ja sam w zasadzie trzymałem się reszty wycieczki, ale marines z ZCR spisali się dobrze.

– To niezwykle, co potrafimy razem rozwalić, jeśli kierujemy broń w tę samą stronę. – Zerknął na właz za mną i na żołnierza ZCR czekającego po drugiej stronie przejrzystego okienka z polioplastu. – A teraz ruszamy z nimi na kolejną wspólną misję. Będzie zabawnie. A gdy mówię „zabawnie”, mam na myśli „tak przerażająco, że będziemy srać ze strachu”.

– To dla nas nic nowego, sir – odparłem. – Na „Wersalu” też nie do końca było jak w nudny dzień w biurze.

– Zgadza się. – Przez bardzo krótką chwilę ujrzałem na twarzy Campbella ból. Niewątpliwie przypominał sobie dawną jednostkę, która spłonęła w atmosferze nad kolonialną planetą Willoughby, straciwszy wcześniej jedną trzecią załogi w wyniku wybuchu min zbliżeniowych Dryblasów. Stało się to przed pięciu laty, jednak miałem wrażenie, że od tego czasu minęła wieczność, a jednocześnie, że

wydarzyło się to wczoraj. Pułkownik Campbell pokręcił lekko głową, jakby chciał pozbyć się wspomnień.

– Panie Grayson, czy zastanawiał pana kiedykolwiek fakt, że wydaje się pan lądować w oku głównianego cyklonu zdecydowanie zbyt często, jak na pański stopień zaszeregowania?

Nie mogłem powstrzymać chichotu.

– Przyszło mi to do głowy, sir.

– Kończymy pobierać dodatkowe zapasy i personel. W każdy możliwy róg wepchnęliśmy żarcie i amunicję, mamy też pełen oddział marines, proszę więc nie spodziewać się za dużo miejsca. Ruszymy w drogę, gdy tylko załadujemy specjalną amunicję. Niech się pan zgłosi do starszego sierżanta Bogdana, żeby znalazł panu jakąś koję.

– Musimy też gdzieś zakwaterować naszego nowego przyjaciela – rzekłem, wskazując za siebie.

– No tak – przyznał Campbell. – Dopóki przebywa na tym okręcie, chcę, aby trzymał się pan jak najbliżej niego. Nie proszę, byście spali na jednej koi, ale może sierżant Bogdan znajdzie wam sąsiadujące kwatery. Jeśli opuści kajutę, ma pan iść wraz z nim. Ostatnią rzeczą, jakiej mi trzeba, to wrogi kontroler walki, który znajduje gdzieś zaciszny kącik i łącze danych.

– Rozumiem, sir.

– Proszę się nie martwić, panie Grayson. – Pułkownik odwrócił się z powrotem do holostolu i spojrzał na diagram taktyczny. – Znów znajdzie się pan w oku głównianego cyklonu, ale przynajmniej będziemy robić to, do czego ten okręt został stworzony. Jeśli tylko nie zatarasowali węzła Alcubierre’a po tamtej stronie okrętem nasiennym, dostaniemy się na Ziemię.

– Tak jest, sir. – Delikatnie mówiąc, nie byłem o tym tak przekonany jak Campbell, ale jego postawa pomogła mi pozbyć się choć części odczuwanego niepokoju. Za każdym razem gdy pracowałem z pułkownikiem Campbellem, zmagaliśmy się z przerażająco niskimi szansami sukcesu. Albo znów spotka mnie szczęście, albo też zginę szybko w dobrym towarzystwie.

Starszy sierżant Bogdan znalazł dla nas dwie przyległe kajuty w module osobowym zajmowanym przez przydzielony na „Indy’ego” oddział Piechoty Kosmicznej. Wszyscy stacjonujący na okręcie żołnierze przebywali na nim, odkąd opuścił Układ Słoneczny, tak więc podczas starć sprzed kilku tygodni pozostawali po stronie Nowego Svalbardu. Oznaczało to, że nie musiałem się nieustannie oglądać za siebie, gdy szedłem do mesy albo łazienki, co stanowiło miłą odmianę. Moduł osobowy mieścił dziesięć kajut. Wszyscy młodszy podoficerowie mieszkali w trzyosobowych segmentach, po jednym na każdy zespół ogniowy, trzej sierżanci zaś, dowodzący oddziałem porucznik i jego zastępca mieli do dyspozycji własne kabiny. Dwie kajuty zostały puste, zajęliśmy więc po jednej z Dmitrijem. Dzięki temu nie przerwałem rekordowego okresu zamieszkiwania w jednoosobowych kwaterach, trwającego już przynajmniej rok.

Włożyłem sprzęt do szafki i szuflady umieszczonej pod koją. Nie miałem zbyt wiele oprócz nowiutkiego pancerza bojowego i zestawu BPP wydane mi przed dwoma tygodniami na „Regulusie”. Moje prywatne rzeczy wciąż znajdowały się w obozie Sopol – może w szafce, w której je umieściłem, choć raczej w spalarni śmieci – i nie miałem ochoty odbierać ich osobiście. Sopol był kontrolowany przez żołnierzy Piechoty Kosmicznej, którzy postanowili wykonać rozkaz dowódcy „Midway” dotyczący zajęcia zasobów cywilnych na Nowym Svalbardzie, i w walce, która się wywiązała, zabiliśmy trzydziestu z nich. Gdybym pokazał się w obozie po rzeczy, zapewne wylądowałbym w areszcie.

Po rozmieszczeniu sprzętu rozciągnąłem się na chwilę na koi, obserwując okienko w drzwiach, które odsłoniłem, by monitorować, czy na korytarz nie wychodzi mój nowy kolega z ZCR.

Kilka minut później Dmitrij zapukał.

– Czy na takim nowoczesnym imperialistycznym okręcie jest jakieś miejsce, gdzie można coś zjeść? – spytał, gdy otworzyłem drzwi.

– Owszem. Ale jeśli nie ma teraz pory posiłku, będziesz musiał zadowolić się kanapką i kawą.

– Kawa jest *choroszo* – odparł Rosjanin. – A kanapki może nie będą gówniane.

– No to chodźmy – rzekłem. – Mesa jest jeden pokład wyżej.



Mesa podoficerska okazała się niemal pusta. Jeden ze stolików zajmowało dwóch starszych sierżantów, pomiędzy którymi leżały tablet i sterta papierów. Gdy wchodziliśmy, podnieśli wzrok i nawet nie próbowali ukryć zaskoczenia na widok żołnierza z floty w towarzystwie kogoś z ZCR. Chińsko-rosyjski wzór kamuflażu składał się z nieregularnie rozmieszczonych brązowych, zielonych i czarnych plam, wyglądających niemal jak gadzia skóra. Zupełnie nie przypominał regularnego pikselowego schematu z mundurów polowych WPA i podoficer ze Związku wyróżniał się na pokładzie niczym ziarnko pieprzu w solniczce.

Wzięliśmy kawę i kanapki, po czym zajęliśmy stół w rogu mesy. Sierżanci wrócili do papierkowej roboty, ale co jakiś czas rzucali nam zaciekawione spojrzenia.

– Kanapki nie są gówniane – oznajmił Dmitrij po zjedzeniu drugiej. Stanowiły standardowe wyżywienie floty między większymi posiłkami. Dwa kawałki pieczywa z plastrem mortadeli, serem sojowym i odrobiną musztardy. Całość nie wydawała się szczególnie paskudna, ale było jej daleko do niegównianej. Przez lata zjadłem ich tyle, że decydowałem się na kanapki tylko wtedy, gdy nie miałem innego wyboru i bardzo burczało mi w brzuchu. Skoro Dmitrijowi tak smakowały, w mesie na „Mińsku” musieli karmić ich niezłymi śmieciami.

Radiowęzeł ożył nagle i głos pułkownika Campbella przerwał moje rozważania na temat standardów wyżywienia wojskowego w obu blokach politycznych.

– Do wszystkich, mówi dowódca.

Odruchowo zadarłem głowę w stronę źródła dźwięku, choć głośniki systemu

komunikacyjnego wbudowano w niewidoczny sposób w podsufitkę. Dmitrij poszedł za moim przykładem.

– Zakończyliśmy proces uzupełnienia zapasów i zabezpieczyliśmy wszystkie magazyny. Gdy tylko sfinalizujemy ostatnią synchronizację sieci neuronowej z resztą zespołu zadaniowego, opuścimy Nowy Svalbard i wyruszymy w stronę współrzędnych przekazanych nam przez Związek. Kierujemy się do węzła Alcubierre’a wykorzystywanego w tym systemie przez ZCR. Stamtąd dokonamy przejścia do Układu Słonecznego i rozpoczniemy misję zwiadowczą. Nie mam wątpliwości, że okręt wypełni swoje zadanie i wróci na Nowy Svalbard z informacjami potrzebnymi reszcie zespołu zadaniowego. W tym celu został skonstruowany. Do tego została wyszkolona załoga. Nie życzę nam szczęścia. Nie będziemy go potrzebować, ponieważ dysponujemy umiejętnościami. Przyda się ono natomiast tym wyrośniętym sukinsynom kradnącym nam planety. Lecimy do domu. Do wszystkich, przygotować się do odlotu.

Dmitrij skinął głową i skierował uwagę z powrotem na zjedzoną w połowie kanapkę.

– Dobra przemowa – skomentował z pełnymi ustami. – *Oczien' charaszo.*

Wyciągnąłem OTI z kieszeni na nogawce i wyświetliłem zdjęcie Halley. Wysłała mi je po ukończeniu Szkoły Lotnictwa Bojowego, gdy we wszechświecie wciąż panowała równowaga, a my tłukliśmy się o niego z Chińczykami i Rosjanami, nieświadomi istnienia Dryblasów ani nadciągającej wojny na dwa fronty, którą toczyliśmy już od pięciu lat. Przybliżyłem jej twarz ledwo powstrzymującą uśmiech dumy, jednocześnie kpiarski, chełpliwy i kochający. Następnie zablokowałem ekran i czubkiem palca wskazującego przejechałem wzdłuż jej żuchwy.

Lecimy do domu, powtórzyłem w myślach słowa pułkownika. Zobaczymy się, gdy pokonamy blokadę. Łatwizna.

3 J.R.R. Tolkien, *Władca pierścieni*, t. I *Wyprawa*, tłum. M. Skibniewska.

Rozdział 5

Wymiana kulturalna

Patrz przez muszkę, naciskaj, upomniałem siebie. Nie odrywaj palca od spustu. Dwa strzały, zmiana celu, dwa strzały.

Automatyczny pistolet M109 podskakiwał minimalnie w moich dłoniach przy każdym strzale oddawanym do żołnierzy znajdujących się w korytarzu przede mną. Niektórzy chowali się za improwizowanymi osłonami i wychylali tylko na moment, by sporadycznie odpowiadać ogniem. Za każdym razem, gdy byłem zmuszony walczyć za pomocą pistoletu, utwierdzałem się w przekonaniu, że to cholerstwo jest najbardziej bezużyteczną bronią w naszym arsenale, nadającą się jedynie na symbol rangi.

Jeden z przeciwników wystawił głowę znad skrzyni i wycelował we mnie z broni ochrony osobistej. Ustawiłem muszkę na jego hełm i dwukrotnie nacisnąłem szybko spust. Jeden pocisk odbił się od hełmu, jednak drugi przebił się przez opuszczony wizjer. Nieprzyjaciel natychmiast się przewrócił, a jego broń z grzechotem upadła na pokład. Nie miałem czasu, by nacieszyć się tym zwycięstwem, ponieważ dwóch kolejnych wrogich żołnierzy wyłoniło się zza zakrętu korytarza dwadzieścia pięć metrów przede mną, a magazynek był już pusty. Wyrzuciłem go, wyłowilem nowy z gniazda na pancerzu i przeładowałem palcami, które wydawały się zbyt nieporadne i nieprecyzyjne do tego zadania. Zwolniłem zamek i ustawiłem przełącznik ognia na ciągły, po czym wypuściłem w głąb korytarza niemal całą zawartość trzydziestonabojowego magazynka. Jeden z żołnierzy oberwał serią w pancerz, ale pociski rozbiły się na twardym laminacie napierśnika. Wrogowie wspólnie odpowiedzieli ogniem i serie z ich broni skupiły się na mojej kryjówce. Tunel przede mną poczerniał.

– Gówniany złom – zakląłem, gdy światła strzelnicy zapaliły się na nowo i symulacja się wyzerowała. Wyciągnąłem z pistoletu magazynek szkoleniowy i zresetowałem automatykę broni. – Siedmiu na jednego, na dodatek wszyscy w pancerzach i z rozpylaczami? Kto programował te scenariusze?

– Porucznik – odrzekł sierżant sztabowy Philbrick. – Na tej łajbie jest nas tylko oddział. Jeżeli ktoś dokona abordażu, będziemy musieli utrzymać korytarz tym, co mamy, bez pomocy.

– Przypomnij mi o tym, jeśli wpadnie mi kiedyś do głowy, by starać się o transfer do PK.

– Nieźle ci poszło, jak na wyrzyga z floty. – Philbrick wskazał wyświetlacz komputera umieszczony za nami na grodzi. – Trzy trafienia śmiertelne. Siedem kolejnych niepenetrujących.

– Które gówno znaczą poza symulatorem.

Sierżant sztabowy Philbrick kierował pierwszym zespołem ogniowym w pokładowym oddziale Piechoty Kosmicznej. Oddział dzielił się na trzy zespoły po czterech żołnierzy w każdym, czyli w sumie dwunastu biorących udział w walce, podporucznik jako dowódca i młodszy chorąży jako jego pomocnik. Czternastu doświadczonych wojaków PK stanowiło jedyne siły do walki naziemnej na pokładzie „Indianapolis”. Fregata przewoziła zwykle dwa oddziały, czasami cały pluton, w zależności od rodzaju misji. Lotniskowiec, zaprojektowany jako podstawowy element ataku na powierzchnię planety, nigdy nie miał na pokładzie mniej niż wzmocnioną kompanię, a czasem cały pułk. Gdyby „Indy” natknął się na problemy wymagające działania piechoty, czternastu żołnierzy nie zablokowałyby ogniem zbyt wielu korytarzy, nawet na tak niewielkim okręcie.

Przemieszczaliśmy się do współrzędnych wskazujących chińsko-rosyjski węzeł Alcubierre’a. Czekaliśmy jeszcze pół dnia drogi, dwie doby wcześniej przeszliśmy przez punkt odwrócenia napędu i włączenia ciągu wstecznego po krótkiej zabawie z przyspieszeniem cztery g. Każda doba spędzona przez nas w locie oznaczała mniej zapasów oraz żywności dla Nowego Svalbardu i pułkownik Campbell nie chciał tracić czasu. Ja sam zwykle służyłem Dmitrijowi za przyzwoitkę, a wolne chwile spędzałem z żołnierzami PK. Strzelanie do nieistniejących wrogów było znacznie ciekawsze niż wpatrywanie się w gródz i odwracało moje myśli od faktu, że za niecałe dwanaście godzin „Indy” przeniesie się w przestrzeń okupowaną przez Dryblasę.

– Jak zachowuje się Ruski? – spytał Philbrick.

– Dobrze – odparłem. – Wydaje się w porządku.

– Nie jestem pewien, czy chciałbym spać w sąsiadującej z nim kajucie.

– A co, myślisz, że pewnej nocy zabawi się w komandosa i zacznie podrzynać gardła?

Odłożyłem pistolet szkoleniowy do klamry na tylnej grodzi, by mógł z niego skorzystać następny żołnierz. Nie dawało się ich załadować ostrą amunicją, poza tym odlano ją z jasnoniebieskiego polimeru, by łatwiej się odróżniała od prawdziwych. Dostęp do ostrej broni ograniczono, można było ją pobrać tylko wtedy, jeśli miało się uzasadniony powód, by chodzić po okręcie uzbrojonym.

– Coś w tym stylu. W końcu wciąż jesteśmy z nimi w stanie wojny.

– Nie jestem już tego taki pewien – odparłem.

– Co masz na myśli, Grayson?

– To, że sporo się zmieniło. Mnóstwo. Znamy już współrzędne ich węzła prowadzącego do Układu Słonecznego, a oni znają nasze. Myślisz, że szybko wrócimy do strzelania do siebie nawzajem? Po wymianie ściśle tajnych militarnych tajemnic i wspólnych desantach bojowych przeciwko Dryblasom?

– Cholera, nie mam pojęcia. – Wzruszył ramionami i zdjął ze stojaka karabin szkoleniowy. Wyćwiczonym ruchem sprawdził działanie zamka, potem podszedł do komputera, by uruchomić kolejny scenariusz symulacyjny. – To zdecydowanie za dużo, jak na mój stopień zaszeregowania. Ale pewnie masz rację. Byłoby głupio, gdyby wszystko wróciło do dawnego stanu. Przyjdiesz wieczorem do

Krainy Trepów na sparing?

Krainą Trepów nazywano teren rekreacyjny dla personelu żołnierskiego położony na tyłach naszej modularnej sekcji mieszkalnej, spore kwadratowe pomieszczenie o boku dwunastu metrów – chyba jedyna otwarta przestrzeń na okręcie, nie licząc mes czy hangaru, która nie została zastawiona po sufit zapasami lub przenośnymi zbiornikami z wodą. Piechota Kosmiczna ustawiła tam improwizowany sprzęt do ćwiczeń i mały ring bokserski, aby móc pozbyć się nadmiaru energii i pozostać w formie podczas lotu.

– Jasne, przyjdę – powiedziałem. – Gdy tylko nasz przyjaciel ze Związku znajdzie się w swojej kajucie, a dla mnie skończy się na dzisiaj rola przyzwoitki.

– A co tam, przyprowadź go ze sobą – odparł Philbrick. – Niech popatrzy i pouczy się, jak PK radzi sobie w walce wręcz. Zrobimy wymianę kulturalną. – Wziął kilka magazynków szkoleniowych, jeden umieścił w karabinie, a resztę włożył do gniazd na pancerzu. – Oczywiście takie trepy jak my nie mają do zaoferowania zbyt wiele kultury na wymianę.

Parsknąłem śmiechem i zostawiłem sierżanta sztabowego na pastwę nieistniejących i pozbawionych twarzy wrogów.



Dmitrij nie miał nic przeciwko, by pójść wraz ze mną do Krainy Trepów. Wydawał się wręcz pragnąć jakiejś odmiany po nudnych dniach wpatrywania się w gródz w kajucie wielkości szafy.

Gdy otworzyłem włącz do sali rekreacyjnej i przestąpiłem próg, żaden z ośmiu czy dziewięciu obecnych w środku żołnierzy nie zwrócił na mnie zbyt dużej uwagi. Niektórzy ćwiczyli na ławkach lub z workami treningowymi, w rogu ktoś robił pompki, a na ułożonym pośrodku kwadracie z mat dwóch piechociarzy prowadziło sparing. Kiedy jednak zaraz za mną do środka wszedł Dmitrij, odgłosy ćwiczeń zaczęły stopniowo zamierać. Owszem, chodził na posiłki i spacerował korytarzami okrętu, więc jego obecność nie stanowiła już dla nikogo niespodzianki, jednak nigdy dotąd nie przyprowadziłem go tutaj, do jedyne go sanktuarium PK na całym pokładzie.

– Grayson – zawołał Philbrick z przeciwległego krańca pomieszczenia, gdzie ćwiczył pompki. Przeskoczył do pozycji stojącej i podszedł do nas. – Dołączcie do zabawy.

– Chętnie – odparłem. – Poznałeś już naszego nowego towarzysza. Starszy sierżant Czistiakow.

– Starszy sierżant. – Philbrick skinął głową Dmitrijowi, który odwzajemnił gest. Żołnierz ZCR wyglądał na lekko zaniepokojonego, co wcale mnie nie dziwiło. Na jego miejscu czułbym się podobnie.

– Sierżant Czistiakow desantował się ze mną w zeszłym tygodniu na Fomalhaut b – wyjaśniłem. – Zna się na rzeczy.

– A jak stopień starszego sierżanta ZCR ma się do naszych rang? – spytał Philbrick Dmitrija. – E-5? E-6?

Byłem przekonany, że sierżant sztabowy Philbrick całkiem nieźle znał

strukturę stopni w armii ZCR, w końcu uczyliśmy się tego na zajęciach z rozpoznawania wroga, cenilem jednak wysiłek, jaki włożył w przełamywanie lodów.

– W zasadzie jest jak wasz sierżant sztabowy – odrzekł Dmitrij. – Ale są różnice. W kompanii garnizonowej starszy sierżant siedzi przy biurku i pomaga dowództwu. Administracja – skomentował z wyraźnym niesmakiem na twarzy. – Ja jestem koordynatorem przestrzeni walki, nie administratorem. Okręt desantowy i karabin, nie biurko i papiery.

– Czyli jednak mówimy tym samym językiem – powiedział z uśmiechem Philbrick. – Właśnie robiliśmy tu sobie przyjacielski sparing. Rozgoście się.

Żołnierze PK ścierali się ze sobą w strojach ochronnych podczas szybkich jednominutowych rund. Sierżant sztabowy Philbrick dobrze walczył, ponieważ był wysoki i chudy, a długie kończyny zapewniały mu daleki zasięg. Obserwowałem, jak ruszył na bardziej krępego, lecz silniejszego na oko ciemnowłosego kaprała. Kaprał próbował przedostać się pod gardą Philbricka, ale sierżant sztabowy wykorzystał przewagę długich rąk, aby utrzymać przeciwnika z dala od siebie i nie pozwolić mu się złapać w zwarcie. W czterdziestej sekundzie kaprał stał się nieco nieostrożny i Philbrick podciął mu nogi, posyłając go na matę. Pozostali żołnierze zaczęli klaskać i okrzykami wyrażać aprobatę.

– Musisz się jeszcze pouczyć, Nez – powiedział Philbrick do kaprała, gdy pomógł mu się podnieść. – Za bardzo się spieszysz i wtedy się odsłaniasz.

– Tak jest, sierżancie – odrzekł kaprał Nez.

Obaj przekazali kolejnym żelowe rękawice i następna dwójka weszła na matę, by stoczyć szybką walkę. Dmitrij przyglądał im się z rękoma założonymi na piersi i lekkim uśmiechem na ustach. Wyglądał jak nauczyciel obserwujący grupę pierwszoklasistów wygłupiających się na przerwie.

Założyłem parę rękawic, po czym wziąłem kolejne i zawołałem Rosjanina po imieniu. Kiedy na mnie spojrzał, rzuciłem mu osłony. Niemal leniwym gestem wyciągnął dłoń i złapał je w locie.

– Masz ochotę na rundkę? Pokażesz PK, jak to robią rosyjscy marines?

Dmitrij zachichotał, ze stłumionym odgłosem uderzył jedną pięścią w drugą. Na jego dłoniach rękawice wydawały się znacznie ciaśniejsze niż na moich.

– Andrew, przyjacielu – odezwał się. – To może nie być twój najlepszy dzisiejszy pomysł.

Minuta to zwykle niewiele, gdy robi się coś zabawnego, ale na macie do walki wydaje się wiecznością, zwłaszcza gdy dostaje się niezłe baty. Dmitrij znajdował się mniej więcej w mojej kategorii wagowej i nie wyglądał na bardziej umięśnionego niż ja, ale wyprowadzał znacznie silniejsze ciosy, niż można by się

spodziewać po facecie jego rozmiarów. Sprawdziłem jego gardę kilkoma lewymi prostymi, po czym wyprowadziłem prawy prosty, zablokowany przez niego obiema rękawicami. Zaraz odpowiedział własną kombinacją. Zablokowałem kilka ciosów, lecz gdy zmienił rękę, jego prosty przedarł się przez moją osłonę i uderzyłem się mocno w usta brzegiem własnej rękawicy. Przez chwilę widziałem gwiazdy. Wymierzyłem niskie kopnięcie w bok jego nogi, ale równie dobrze mógłbym walnąć w gródź okrętu. Wyprowadził kolejną kombinację lewa-prawa. Zamierzyłem się na ślepo prostym, którym musnąłem jego zuchwę. Gdy minęło zaledwie dwadzieścia sekund walki, już dzwoniło mi w czaszce, jakbym przebiegł półmaraton. Pod koniec minuty wymierzał trzy ciosy na każdy mój i ani razu nie spróbował użyć nóg. Gdy zaćwierkał zegar, sygnalizując zakończenie rundy, byłem zupełnie wyczerpany, w ustach czułem smak krwi. Dmitrij lekko się spocił, ale wyglądał znacznie lepiej niż ja.

– Miałeś rację – powiedziałem mu, gdy złapałem oddech i zdejmowaliśmy rękawice obok maty. – Nie był to mój najlepszy dzisiejszy pomysł. Trening walki wręcz musi wyglądać w ZCR zupełnie inaczej niż u nas.

– To nie kwestia treningu w Związku – odparł. – Kiedyś spędziłem sześć miesięcy w wojskowym więzieniu. Drugi gość z celi był bokserem. Zanim wstąpił do wojska, walczył w nielegalnych meczach za pieniądze. Nauczył mnie tak uderzać, by przeciwnikowi posiwiały włosy. Ciebie potraktowałem łagodnie, bo jestem tu gościem. – Uśmiechnął się i oddał mi rękawice. – Nie jesteś taki zły, jak na imperialistycznego mięczaka. Powalczymy codziennie przez pół roku, to nauczysz się lepiej boksować, *da?*

– *Da* – zgodziłem się. – Jeśli tylko nie zginiemy za parę dni.

Nad naszymi głowami rozległ się dwutonowy sygnał komunikatu z radiowęzła i wszyscy przerwaliśmy wykonywane czynności.

– Do wszystkich, mówi dowódca. Jesteśmy dwie godziny i dziesięć minut drogi od punktu przejścia ZCR. Chcę, aby wszyscy włożyli pancerze i przygotowali się do obsadzenia stanowisk bojowych. Naprawdę wszyscy, nie tylko Piechota Kosmiczna. Chcę również, aby każdy przygotował się do działań w skafandrach próżniowych. Sierżant sztabowy Grayson ma zgłosić się o ósmej trzydzieści UTC do BCI wraz z naszym gościem.

Sierżant Philbrick spojrział na mnie i wyduł wargi.

– Skafandry próżniowe? Mamy wyjść w przestrzeń i przepchnąć okręt przez węzeł ręcznie?

– Nie mam bladego pojęcia – odparłem. – Sam słyszałeś. Lepiej chodźmy pod prysznice i założmy skorupy.

– Jasne. Oddział, idziemy – zwrócił się do swoich ludzi, którzy zebrali swoje rzeczy wypraktykowanymi, sprawnymi ruchami żołnierzy przechodzących w tryb gotowości bojowej.

– Wróć do kajuty i włóż pancerz – powiedziałem Rosjaninowi. – I, Dmitrij... Nie uruchamiaj łączności oraz przekazu danych, dopóki nie znajdziemy się w BCI i pułkownik nie wyda polecenia.

– Za grosz zaufania – odparł. – Może jest jeszcze dla ciebie jakaś nadzieja.

Rozdział 6

Drzwi do domu

Stanowiska bojowe, stanowiska bojowe. Do wszystkich, przygotować się do walki. Wyjście z Alcubierre'a za dwie minuty.

Wiedziałem, że w rzeczywistości wcale nie lecieliśmy szybciej niż światło – w bańce Alcubierre'a poruszaliśmy się poniżej tej prędkości, a napęd przesunął otaczającą ją przestrzeń – lecz mimo to miałem wrażenie, jakbyśmy przez ostatnie kilka godzin pędzili przez kosmos. Okręt utrzymywał pęd, który miał w momencie wchodzenia w bańkę, a pułkownik Campbell wjechał w węzeł z czterema g przyspieszenia i z silnikami fuzyjnymi pracującymi z maksymalną mocą. Kiedy wyłonimy się w Układzie Słonecznym, wystrzelimy z węzła niczym rakietą okręt-okręt.

– Gdy tylko opuścimy Alcubierre'a, zupełnie wyłączamy silniki – przypomniał pułkownik sternikowi. – Lecimy wyłącznie siłą rozpędu. Proszę o sprawdzenie stanu ciszy radiowej.

– Wszystko wygaszone – odparł zbrojmistrz. – Każde aktywne źródło promieniowania jest w pełni wyłączone. Gdy tylko odetniemy silniki, będziemy jak czarna dziura.

– Chcę, by ten okręt w jak największym stopniu udawał asteroidę. Mamy być jak zwykły gład sunący przez przestrzeń.

Mieliśmy na sobie pancerze bojowe (żołnierze) lub skafandry próżniowe (personel z floty). Pułkownik Campbell stał w zagłębieniu na środku BCI, obserwując odczyty na ekranach holostolu będącego sercem „Indy'ego”. Nigdy nie przebywałem w Bojowym Centrum Informacyjnym ubrany w pełną skorupę i czułem się dość dziwnie. Gdy tylko miałem na sobie pancerz, mózg szykował się na to, że w każdej chwili może mnie spotkać śmierć lub ciężkie okaleczenie, a nie przywykłem do takiego wrażenia w najlepiej chronionej części solidnego pojazdu kosmicznego. Za moimi plecami Dmitrij trzymał się barierki otaczającej centralne zagłębienie, zdecydowanie wyróżniając się w kanciastej zbroi ZCR i plamiastym kamuflażu.

– Wyjście z Alcubierre'a za jedną minutę.

Zbliżała się najtrudniejsza część misji. Za moment mieliśmy wyskoczyć z węzła Alcubierre'a z prędkością kilku kilometrów na sekundę z wyłączonym całym osprzętem oprócz sensorów optycznych. Mieliśmy wpaść na ślepo do Układu Słonecznego, nie wiedząc, co może na nas czekać po drugiej stronie. Jeśli Dryblasy zaparkowali okręt nasienny pod punktem wylotowym, oznaczało to, że pędziliśmy właśnie prosto na zamknięte drzwi i w milisekundę zostanie z nas plama na kadłubie pojazdu obcych. Przynajmniej wszystko skończy się tak

szybko, że mój mózg nie zdąży przetworzyć impulsów nerwowych dobiegających z ciała, zanim przestanę istnieć.

– Przygotować się do wyłączenia silników na mój znak. Uruchomić optykę, gdy tylko przejdziemy. Jeśli ktoś odpali cokolwiek, co emituje aktywne promieniowanie, wyleci przez śluzę.

– Przygotowany do wyłączenia silników – oznajmił główny inżynier.

– Wyjście z Alcubierre’a za trzydzieści sekund.

– Nie spodziewajcie się po mnie żadnych pożegnalnych słów – powiedział pułkownik Campbell. – Nie zamierzam kopnąć dziś w kalendarz i nikomu z was na to nie zezwalam.

W BCI rozległy się ciche chichoty. Byliśmy przecież ludźmi i nie wątpiłem, że wszyscy na okręcie dopuszczali do siebie możliwość, iż zostało nam tylko parę sekund życia, pułkownik też. Wiedziałem jednak również, że szyper wolałby pogłaskać Dryblasa, niż okazać przed swoją załogą strach lub wątpliwości. Nawet jeśli żegnał się z życiem, robił to w zaciszu własnych myśli.

– Dziesięć sekund.

Zamknąłem oczy i wyobraziłem sobie Halley. Jeśli miałem zginąć, chciałem, by jej twarz była ostatnią rzeczą, o jakiej pomyślę, zanim zgaśnie światło.

– Pięć. Cztery. Trzy. Dwa. Jeden. Przejdźcie.

Doznałem chwilowego zawrotu głowy, jakiego zwykle doświadczałem, gdy kończył się przelot przez Alcubierre’a, a lekki dyskomfort, jaki czułem w każdej części ciała przez ostatnie godziny, zniknął. Przeszliśmy i żyliśmy. Jeszcze.

– Wyłączyć silniki – rozkazał pułkownik Campbell. – Optyka na główny wyświetlacz.

Dudnienie fuzyjnego napędu okrętu ucichło szybko, gdy główny inżynier wyłączył silniki. Nic nie rozwalilo nas jeszcze na strzępy i nie wpadliśmy na nic twardego. Może zostawili drzwi bez nadzoru, pomyślałem. Może dla odmiany czekało nas trochę szczęścia.

Nagle nad holostolem pojawił się obraz z matrycy optycznej i wszyscy obecni w BCI aż się zachłysłi. Dmitrij mruknął po rosyjsku coś, co mogło być wyłącznie przekleństwem.

Bezpośrednio pod „Indianapolis” wydawał się ciągnąć całymi kilometrami potężny, lśniący kadłub okrętu nasiennego Dryblasów. Sensory na naszym brzuchu dokonały triangulacji i wyświetliły odległość: dwa tysiące czterysta dziewięćdziesiąt jeden metrów. Wartość ta ulegała zmianie, gdy z wielką szybkością oddalaliśmy się od węzła Alcubierre’a i lecieliśmy w głąb Układu Słonecznego. Obcy szli kontrkursem, lecieli poniżej nas i kierowali się tam, skąd przybyliśmy. Rozległ się cichy sygnał alarmowy, a na wyświetlaczu pojawił się napis: UWAGA – NIEBEZPIECZEŃSTWO ZDERZENIA.

Poruszaliśmy się szybciej niż Dryblas, ale nawet biorąc pod uwagę sumę naszych prędkości, „Indy” potrzebował około dziesięciu sekund, aby opuścić obszar nad okrętem nasiennym. W tym czasie nikt w BCI nie wydał z siebie dźwięku, zupełnie jakby najłżejszy hałas mógł przyciągnąć uwagę obcych. Z tego, co wiedziałem, nie było to wykluczone. W końcu żadna jednostka floty nie

znalazła się tak blisko okrętu Dryblasów i wyszła z tego cało.

– Nieprzyjaciel nisko na godzinie szóstej, oddala się z prędkością pięćdziesiąt metrów na sekundę – oznajmił cicho oficer taktyczny.

– Tak, widzę – odrzekł pułkownik. – Cholernie blisko. Proszę o trzysta sześćdziesiąt.

Obraz na holowyświetlaczu się zmienił, przekazy z poszczególnych matryc sensorycznych układały się w okrąg, sklejjąc w panoramiczny widok otaczającej nas przestrzeni. Okręt nasienny zajmował niepokojąco wielki obszar pod i za nami, choć oddalaliśmy się od niego z prędkością setek metrów na sekundę.

– Jest ich więcej. Widzę Nieprzyjaciela Dwa i Nieprzyjaciela Trzy. – Oficer taktyczny odczytał współrzędne w geometrii euklidesowej. Na wyświetlaczu taktycznym w środkowej części holostolu, przedstawiającym nakładające się obrazy, pojawiły się trzy pomarańczowe ikony. Jedna z nich, przesuwaną się powoli, niemal przysłała niebieski symbol oznaczający „Indianapolis” i bardzo niemrawo się od nas odsuwała. Pozostałe dwie znajdowały się dalej, ale przemieszczały szybciej. Jedna była powyżej nas od sterburty, druga zaś poniżej i na bakburcie. Pułkownik Campbell przesunął dłońmi część hologramów i powiększył je, aż uzyskał dobry widok na N2 i N3 obok siebie.

– Nieprzyjaciel Trzy idzie prostopadle, przechodzi za rufę – poinformował oficer taktyczny. – Nieprzyjaciel Dwa zbliża się równolegle od naszej sterburty. Kurs pięćdziesiąt stopni, prędkość dwieście metrów na sekundę. – Podniósł głowę znad wyświetlacza i przerzucił hologram na główny ekran taktyczny na holostole. – Sir, Nieprzyjaciel Trzy jest na kursie kolizyjnym. Jeśli nie zmienimy prędkości i kursu, nasze trajektorie przetną się za dwadzieścia trzy sekundy.

– Włączyć z powrotem napęd – rozkazał Campbell. – Wstrzymać się z ciągiem do ostatniej sekundy. Jesteśmy za blisko. Nie chcę nas ujawnić wcześniej, niż będziemy zmuszeni. Przygotować się do zmiany kursu. Nowy kurs: zero pięćdziesiąt pięć na plus zero czterdzieści pięć. Sternik, w ostatniej chwili.

– Tak jest, sir – odparł sternik.

– To patrolowy wzorzec ruchu – odezwał się Dmitrij za moimi plecami. – Jak u rekinów.

– Zupełnie jak u rekinów – zgodził się pułkownik. – Okrążają węzeł i czekają na posiłek. A my jesteśmy płotką.

Obserwowałem, jak pomarańczowe ikony okrętów nasiennych i samotny niebieski symbol „Indy’ego” przesuwaną się stopniowo na diagramie. Jeden z pomarańczowych znaków z każdą sekundą coraz bardziej zbliżał się do nas. Zawsze chętny do pomocy komputer wytyczył trajektorię obu jednostek. Pomarańczowa i niebieska linia przecinały się w punkcie oddalonym od nas o dwa i pół tysiąca kilometrów i dwanaście sekund.

– Napęd włączony – ogłosił główny inżynier. – Czekam na ciąg.

– Ciąg za trzy, dwa, jeden – powiedział sternik. Przełknąłem z trudem ślinę na widok okrętu Dryblasów nadciągającego od sterburty i wdzierającego się w nasz fragment przestrzeni niczym nieuważny kierowca hydrobusu. – Ciąg.

Silniki fuzyjne ożyły z dudnieniem. Wprawdzie antygravitacyjna powłoka

pokładu nie pozwoliła nam się przewrócić, jednak silnie odczuliśmy nagłe przyspieszenie. Wyświetlacz taktyczny na holostole obrócił się, odpowiadając ruchom „Indy’ego”, gdy nasz okręt zmieniał kurs.

– Po osiągnięciu nowego kursu maksymalna prędkość. Sternik, zabieramy się stąd jak najszybciej! – krzyknął pułkownik.

Okręt Dryblasów widziany przez matrycę optyczną coraz bardziej rósł na wyświetlaczu. Choć kamery były ustawione na minimalne powiększenie, i tak blokował nam niemal cały widok od sterburty, a przecież odległość między nami raptownie malała. Naprawdę czułem się jak płotka, ale okręt nasienny nie był rekinem, raczej wielorybem, który zaraz miał nas połknąć zupełnie nieświadomie, tylko dlatego, że znaleźliśmy się za blisko. Z tego dystansu dostrzegałem nieznanne mi wcześniej szczegóły: wydłużone wybrzuszenia, nieregularne fragmenty poszycia przypominające korę albo zmarszczki na mokrej skórze. Wiedziałem, że to okręt – widziałem wiele materiałów z rozpoznania przedstawiających wypuszczanie setek kapsuł nasiennych na światy kolonialne – ale nie po raz pierwszy przyłapywałem się na myśli, że wyglądał jak żywa, świadoma istota.

Silniki „Indy’ego” przeszły na pełen kontrciąg, aby skorygować kurs, i okręt obrócił się na nową trajektorię, przy której pędziliśmy wzdłuż Dryblasów, lecąc z grubsza w tym samym kierunku. Obcy mknęli w stałym tempie dwustu metrów na sekundę, ale my poruszaliśmy się z maksymalnym przyspieszeniem i przecinaliśmy przestrzeń niczym pocisk kierowany. Znaleźliśmy się tak blisko okrętu nasiennego, że miałem wrażenie, iż gdybym otworzył śluzę, mógłbym dotknąć jego kadłuba. Jeszcze dwie sekundy bez korekty toru lotu i rozbilibyśmy się o ten kadłub z prędkością tysięcy metrów na sekundę.

– Nowy kurs pięćdziesiąt na minus czterdzieści pięć – rozkazał pułkownik Campbell. – Zróbmy tym dupkom trochę miejsca.

– Tak jest, sir – potwierdził sternik.

Dmitrij znów zaklął po rosyjsku. Odsunęliśmy się od okrętu obcych – nie dość szybko, jak na mój gust – i „Indy” skręcił lekko, kierując dziób w obszar poniżej i na lewo od Dryblasów. Pomimo różnicy naszych prędkości wciąż jeszcze nie wyszliśmy całkowicie znad okrętu nasiennego.

– Za blisko – ostrzegł oficer taktyczny. – Sądzę, że nas zauważyli. Coś się dzieje na ich bakburcie.

Kamera ukazywała bok Dryblasów pod kątem od dołu. Wyraźnie widziałem ruch, lecz nie było to mechaniczne rozsuwanie się wyrzutni rakiet, jak na ludzkim okręcie. Niewielkie otwory pojawiały się po kolei, kojarząc się ze skurczami na skórze zwierzęcia.

– Włączyć wszystkie aktywne sensory! – zawołał pułkownik. – Zbrojmistrz, przełączyć system CIWS na kod czerwony.

Obróciłem się i chwyciłem barierek otaczającej centralne zagłębienie. Ożywały kolejne wyświetlacze, gdy rozmaite stanowiska na obwodzie BCI odzyskiwały swoje zmysły oraz nieliczne kły i pazury. Zadaniem CIWS, okrętowego systemu artyleryjskiego obrony bezpośredniej, było strącanie wrogich pocisków, zanim

zdążyłyby dotrzeć do „Indy’ego” i go zniszczyć. Nie wiedziałem, czy działał przeciwko penetratorom Dryblasów, które nie ukazywały się na radarze i poruszały z szaloną prędkością, ale i tak zawsze to lepiej niż zupełny brak środków obronnych.

– Nieprzyjaciel Jeden i Nieprzyjaciel Dwa zmieniają kurs – poinformował oficer taktyczny. – Zaczynają się obracać.

– Wyszło szydło z worka – stwierdził Campbell. – Spadajmy stąd w cholere.

– Nadlatują pociski! – krzyknął oficer taktyczny. – Wzrokowe potwierdzenie wystrzelenia. Rakieta, rakieta. Do wszystkich, przygotować się na ude...

Rozległ się szereg donośnych eksplozji i „Indy” wyraźnie zadrżał. Dookoła nas rozbłysły światła ostrzegawcze i rozległy się odgłosy alarmu.

– Wielokrotne trafienia! Dekompresja w licznych sekcjach!

– Obrócić okręt – rozkazał pułkownik Campbell. – Nowy kurs sto na minus czterdzieści pięć, zygzakowate manewry uchyleniowe. Zbrojmistrz, włączycie działo elektromagnetyczne i odpowiedzieć ogniem. Nie dam im wyrąbywać w nas dziur, nie odpłacając pięknym za nadobne.

– Tak jest, sir. – Zbrojmistrz aktywował okrętowe działo elektromagnetyczne. Nie widziałem ekranu kontrolnego, ale słyszałem metaliczny brzęk pocisków przenoszących wibracje na pokład, gdy z prędkością dwudziestu machów wylatywały z elektrycznych szyn wyrzutni. Po chwili dostrzegłem błyski uderzeń w niedaleki okręt nasienny. Z tak niewielkiej odległości supergęste penetratory rozdarłyby ludzką fregatę od dziobu do rufy, ale wyglądało na to, że nawet nie zadrapały kadłuba okrętu nasiennego i jedynie roztrzaskały się w pył na niezwykłym materiale stosowanym przez Dryblasy jako poszycie.

– Otrzymaliśmy poważne trafienia – oznajmił główny inżynier. – Połowa tablicy uszkodzeń jest czerwona.

– Proszę zebrać raporty i przygotować ekipy naprawcze. Zajmiemy się tym, gdy znajdziemy się w bezpiecznej odległości.

– Nadlatują pociski – oficer taktyczny ostrzegł już z mniejszym naciskiem niż wcześniej. – Strzelają na ślepo. Opuściliśmy ich zasięg skutecznego rażenia.

– Utrzymać kurs, nie zwalniać przepustnicy – polecił pułkownik. – I wrócić do pełnej ciszy radiowej. Wyłącznie sensory optyczne.

– Tak jest, sir.

Nie wiedziałem, w co trafili Dryblasy, ale wśród zniszczonych systemów na pewno nie znalazły się napęd i główny reaktor. „Indy” umykał z okolic węzła Alcubierre’a tak szybko, jak tylko pozwalały mu silniki fuzyjne, i jedynie to miało obecnie znaczenie. Okręty nasienne wciąż krążyły w nieregularnym wzorcu poszukiwania, jednak obraz z kamer pokazywał dość wyraźnie, że na powrót staliśmy się dla nich niewidzialni. Minęło dziesięć minut, później piętnaście. Po dwudziestu minutach utrzymywania maksymalnego przyspieszenia okręty obcych na tyle zmalowały w przekazach z sensorów, że nie wywoływały już we mnie wrażenia zbliżającej się szybko zguby. W BCI zapanowała gorączkowa aktywność, szefowie działów odbierali raporty od swych podwładnych i wydawali rozkazy.

– Zredukować prędkość, możemy trochę polecieć na mniejszych obrotach – uznał pułkownik Campbell. – Raport o zniszczeniach.

Pierwsza oficer, major Renner, zerknęła na swój wyświetlacz.

– Wygląda na to, że dostaliśmy dwukrotnie – poinformowała. – Oba penetratory trafiły w dolną część rufy na sterburcie i wyszły w górnej części dziobu na bakburcie. Przedziały na pokładach Alfa, Bravo i Echo uległy dekompresji. Siedem przedziałów w przód od wręgi dwadzieścia pięć jest otwartych na przestrzeń. – Ruchem palca przesunęła dane na ekranie. – Straciliśmy wyrzutnie raket jeden i trzy. Zapasowa szyna danych jest zniszczona. Nie mamy już przednich stacji oczyszczania wody, całego zbiornika na bakburcie i mesy oficerskiej. Wyłączona jest zapasowa wiązka sieci neuronowej. Cztery osoby zginęły. Ofiar byłoby więcej, gdyby wszyscy nie znajdowali się w skafandrach próżniowych.

– W końcu o to chodziło – odrzekł pułkownik Campbell. – Stałem się zagorzałym zwolennikiem skafandrów. Niech ekipy naprawcze spróbują poskładać, co tylko się da.

– Potrzebowalibyśmy miesiąca w stoczni floty, by tylko załatać dziury – oznajmił główny inżynier.

– Cóż, nie mamy żadnej w okolicy. A gdzie właściwie jesteśmy? Astrogacja, proszę o namiar. A później zamierzam się napić, żeby odreagować całą tę pieprzoną rozrywkę.

– Kolejne złe wieści – rzekła pierwsza oficer.

– Zatem proszę nie kazać mi na nie czekać.

– Hangar myśliwca pomocniczego numer dwa otrzymał bezpośrednie trafienie. Myśliwiec jest w strzępach, podobnie jak mechanizm tankowania. Połowa naszych sił ofensywnych poszła w diabły.

Pułkownik z ciężkim westchnieniem przejechał dłonią po regulaminowej szczecinie na czubku głowy.

– Pewnie mogło być gorzej – uznał. – Wróciliśmy zatem do Układu Słonecznego.

Pomiar nawigacyjny umieścił nas na wewnętrznym skraju pasa asteroid, dwieście pięćdziesiąt milionów kilometrów od Słońca i sześćdziesiąt milionów kilometrów od Marsa. Diagram w BCI wyświetlił kurs lotu na Ziemię.

– Wylądowaliśmy paskudnie blisko Marsa – powiedziała pierwsza oficer.

Wyglądała, jakby od miesiąca nie wyspała się porządnie. „Indy” doszedł już do przeznaczonego dla niego limitu czasowego dla misji międzygwiazdnych, podobnie jak jego załoga. Przy panującej obecnie na Nowym Svalbardzie pogodzie niewiele osób zdołało odetchnąć choć przez chwilę świeżym powietrzem i zmienić scenerię, gdy „Indy” bawił się na orbicie w ochroniarza kolonii, większość załogi pełniła więc na zmianę wachtę od trzech miesięcy bez przerwy.

– A co ze stoczną na Tytanie? – spytała. – To daleko za pasem asteroid. Może wciąż działa?

– Musimy lecieć w stronę Marsa – odparł pułkownik Campbell. – Po przelocie przez pół Fomalhaut nie zostało nam dość paliwa, by udać się w pas zewnętrzny. Zresztą nawet gdybyśmy mieli na czym lecieć, nie chciałbym przeprowadzać uszkodzonego okrętu przez asteroidy. – Rozejrzał się po BCI. Wszystkie pary oczu spoglądały na holoekran na środku pomieszczenia. – Znaleźliśmy się tutaj, by sprawdzić drogę na Ziemię, i to właśnie zrobimy. Jeśli Ziemia wciąż znajduje się w ludzkich rękach, będziemy mogli się dozbroić, zatankować i wyklepać wgniecenia. A jeśli to Dryblasy się tam panoszą, to i tak nie będzie miało większego znaczenia. – Popatrzył znów na diagram i wskazał trajektorię wyznaczoną przez komputer. – Polecimy trochę wolniej, dopóki nie załatamy najgorszych uszkodzeń. Później ruszymy niewielkim ciągiem w stronę Marsa i wykorzystamy asystę grawitacyjną, by szybko odbić w kierunku Ziemi. Sternik, proszę wytyczyć kurs. Taktyczny, proszę ograniczyć promieniowanie aktywne do absolutnego minimum. I tak zresztą nie dostrzeżelibyśmy gnojków na radarze. Wyłącznie sensory optyczne i proszę zachować czujność. Chcę, by pojazd rozpoznawczy poprzedzał nas na trajektorii i sprawdzał drogę. Maksymalny zasięg telemetrii, tylko pasywne nasłuchiwanie. Do roboty.

W BCI znów zapanowała gorączkowa aktywność, obsługa zabrała się za nowe obowiązki. W nieporęcznym pancerzu czułem się teraz trochę jak zawalidroga, zajmowałem bowiem sporo miejsca w centralnym zagłębieniu.

– Sir, czy mogę się na coś tutaj przydać?

Pułkownik Campbell popatrzył na mnie i znów przejechał dłonią po krótkich włosach.

– Do cholery, panie Grayson, służy już pan jakiś czas we flocie. Nigdy nie wolno marnować okazji, by trochę odpocząć, jeśli sama się panu przytrafia. Proszę zabrać ze sobą naszego gościa i na razie zdjąć pancerze. – Spojrzał na wyświetlacz holograficzny i stuknął palcem wskazującym naszą trajektorię. – Mars to teren okupowany. I jestem gotów zjeść swoje insygnia z kołnierza, jeśli na tych sześćdziesięciu milionach kilometrów, jakie nas od niego dzieli, nie roi się od okrętów nasiennych. Skoro wiedzą, gdzie leżą drzwi, to wiedzą również, którędy musimy lecieć. Lepiej niech pan nie odkłada tego pancerza zbyt daleko. Myślę, że wkrótce się panu przyda.

– Tak jest, sir. – Odwróciłem się do wyjścia, gestem wskazując Dmitrijowi, by poszedł za mną. Uzbrojony strażnik PK otworzył przed nami włącz i znaleźliśmy się na korytarzu w środku pokładu Charlie. Dopiero gdy odszczelniłem hełm i świeże powietrze z systemu podtrzymywania życia zastąpiło nagromadzone w nim stęchłe wyziewy, uświadomiłem sobie, że moje plecy ociekają potem, choć od naszego wyjścia z komina Alcubierre’a przeszedłem nie więcej niż kilka kroków.

Rozdział 7

Planetarne cmentarzysko

Dziwnie było przebywać w wewnętrznym pasie Układu Słonecznego i nie słyszeć nic w systemie łączności.

W takiej odległości od Słońca panował zwykle rozgardiasz i hałas, pomimo znacznych odległości dzielących centralne planety i księżyce. Mieliśmy sto lat na to, by umieścić tam odpowiednią infrastrukturę, dzięki której można było zainicjować rozmowę wideo z jednej z asteroid do rodziny na Ziemi, zakładając oczywiście, że zostało przydzielone pasmo priorytetowe i nie przeszkadzały sześciominutowe odstępy pomiędzy odpowiedziami. Kiedy jednak przemierzaliśmy teraz przestrzeń między pasem asteroid a Marsem, na częstotliwościach łącznościowych panowała cisza. Jedną z funkcji „Indy’ego” był wywiad elektroniczny, okręt został więc wyposażony w dobre uszy, ale nie słyszeliśmy, by ktokolwiek coś mówił.

– Widać kolejnego Dryblasza – powiedział oficer taktyczny. – Odległość czterysta kilometrów. Nieprzyjaciel otrzymał oznaczenie Lima Siedem. Kierunek osiemnaście na sto trzydzieści osiem. Idzie kontrkursem ze stałą prędkością dwieście metrów na sekundę.

– Utrzymać kurs – rozkazał pułkownik Campbell. – Przejdzie ze sporym zapasem. Obchodziliśmy już je bliżej.

W ciągu ostatnich kilku godzin wykryliśmy i ominęliśmy sześć okrętów nasiennych włączających się na naszej trasie w kierunku Marsa. Choć „Indy” został wyposażony w wysmienity osprzęt optyczny, obcy wydawali się zupełnie niewidzialni, dopóki nie znaleźli się praktycznie przy nas, oczywiście w kategoriach astronomicznych. Sunęliśmy pędem uzyskanym dzięki wcześniejszemu ciągowi, po którym ruszyliśmy w drogę spod węzła. Bez emisji radarowych i sygnatury wydechowej silników byliśmy niczym dziura w przestrzeni, czarny kot w ciemnym pomieszczeniu.

– Nie ma szans, by reszta floty przebyła tę trasę – stwierdziła pierwsza oficer.

– Owszem – przyznał pułkownik. – Nawet gdyby zdołali ominąć komitet powitalny przy punkcie przejścia, zostaliby capnięci, zanim pokonaliby połowę dystansu do Marsa.

Ekipy naprawcze wciąż zajmowały się łataniem uszkodzeń okrętu. Pręty penetracyjne wystrzeliwane przez Dryblasów miały niewielki zasięg, lecz we wszystkim, co znalazło się na ich drodze, z naddźwiękową prędkością wyrwały otwory szerokie na trzydzieści centymetrów. Chyżość i niewielki rozmiar „Indy’ego” pozwoliły mu uniknąć większości pocisków z wypuszczonej salwy, ale dwa z nich zraniły okręt dotkliwie. Przedarły się w poprzek kadłuba od rufy do

dziobu, niszcząc wszystko, co napotkały. Niemal cała załoga pozostała jednak przy życiu, „Indy” leciał dalej, a w większości pomieszczeń znajdowało się powietrze.

Gdy przemieszczaliśmy się w stronę Marsa, by skorzystać z jego asysty grawitacyjnej, usiadłem przy jednej z konsoli w BCI, aby przejrzeć zdjęcia okrętów nasiennych, które napotkaliśmy do tej pory. Oglądałem je niczym obrazki w encyklopedii opisującej zaawansowane drapieżniki i uświadamiałem sobie, że choć zmagaliśmy się z obcymi od pięciu lat, że choć otrzymywaliśmy wciąż od nich niezłe baty i sami nieco ich wyszczerbiliśmy, wciąż niemal nic o nich nie wiedzieliśmy.

– Wie pan, że każdy jest inny? – odezwał się ktoś za moim prawym ramieniem. Obróciłem się i ujrzałem oficera taktycznego sączącego sojową kawę z kubka ozdobionego sylwetką okrętu.

– W jaki sposób? – spytałem.

– Słyszał pan o wielorybach na Ziemi?

Przytaknąłem.

– Są odmienne. Można nasłuchiwać ich na sonarze i odróżniać po głosach. Gdy wypływają na powierzchnię, da się dostrzec znamiona, blizny i inne cechy. – Wskazał ekran przede mną, przedstawiający dwa ustawione obok siebie profilem okręty nasienne. – Z nimi jest tak samo. Katalogujemy każdy, który napotykamy. Prędkość, rozmiar, trasa patrolu, profil optyczny. Nie są oczywiście oznaczone numerami bocznymi, jak my, jeśli jednak znajdują się dostatecznie blisko, by dało się wykorzystać osprzęt optyczny, można je rozróżnić. Tu plama, tam wybrzuszenie czy zmarszczka na skórze, tego typu rzeczy. – Przerwał, by upić kolejny łyk kawy. – Nasze okręty wyglądają tak samo, ponieważ pochodzą z tej samej stoczni i konstruuje się je według tych samych planów. A ich? W ogóle nie wyglądają na zbudowane.

– Nie wydają się w dostatecznym stopniu jednolite – rzekłem.

– Zgadza się. Wesoła perspektywa, prawda? Może gdzieś tam jest jeszcze większy statek-matka, który je wypuszcza z siebie jak samica wieloryba rodząca młode.

– Wesoła perspektywa – zgodziłem się.

– Odbieram sygnały z Marsa – poinformował kilka godzin później sierżant obsługujący stanowisko nasłuchowe w BCI.

Znajdowaliśmy się już w drugiej połowie trajektorii parabolicznej, dzięki której grawitacja Marsa miała nas posłać ku Ziemi.

– Coś na kanałach floty? – spytała pierwsza oficer.

– Tak jakby, pani major. Obecnie docierają do nas tylko automatyczne przekazy na częstotliwości awaryjnej floty.

– Boje ratunkowe – oznajmił ponuro pułkownik Campbell.

– Tak jest, sir.

Gdy znaleźliśmy się bliżej Marsa i sygnały przedarły się przez

międzyplanetarny szum, holograficzny diagram na środku BCI zapełnił się błękitnymi ikonkami automatycznych boi awaryjnych. W miarę identyfikacji sygnałów komputer przypisywał je do odpowiednich okrętów.

– FF-478 „Guadalupe Hidalgo” – czytała na głos major Renner. – CVA-1033 „Alberta”. Cholera, to jeden z lotniskowców typu Wspólnota. CG-759 „Szpica”. DD-772 „Jorge P. Acosta”. CG-99 „Kaledonia”.

– Znam szyperkę „Kaledonii” – wtrącił pułkownik. – Jana Mackey. Chodziłem z nią do Szkoły Dowodzenia Flotą.

Znałem, pomyślałem. Czas przeszły, nie terażniejszy. Pułkownik Campbell wiedział równie dobrze jak ja, że boje rozpoczynały nadawanie dopiero po wystrzeleniu z okrętu. Żaden szyper nie wyrzuciłby ich, jeśli okręt nie zostałby całkowicie unieruchomiony i nie katapultowałby kapsuł bezpieczeństwa, które komputer odpalał, jeśli jednostka już się rozpadała. Skoro boja z „Kaledonii” nadawała sygnał awaryjny, to sam okręt niemal na pewno już nie istniał, podobnie jak cała jego załoga. Pamiętałem jednak dobrze, że obaj przetrwaliśmy wypuszczenie boi przez „Wersal” przed pięcioma laty nad kolonialną planetą Willoughby, zatem być może nadzieja umierała ostatnia nawet w doświadczonych, zahartowanych w walce oficerach. Nie było wykluczone, że załoga „Kaledonii” zdołała wsiąść do kapsuł i wylądować na powierzchni Marsa, a następnie przyczaić się i czekać na ratunek, podobnie jak my przed kilkoma laty.

– Wyłapuję też boje Związku – oznajmił sierżant od nasłuchu. – Bardzo liczne.

Spoglądaliśmy w milczeniu na pojawiające się na diagramie błękitne i czerwone ikony, wszystkie mrugające sygnałem awaryjnym. Nie znaleźliśmy tożsamości okrętów ZCR, ale musiało ich być wiele. Dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści... Próbowałem liczyć symbole, ale dałem za wygraną przy trzydziestu pięciu, zresztą co kilka sekund komputer dodawał kolejne do holograficznej sfery unoszącej się nad stołem. Przestrzeń pomiędzy naszą pozycją a Marsem roiła się od mrugających powoli ikon w obu kolorach.

– Czy cokolwiek jeszcze zostało, do cholery? – zastanawiał się pułkownik głośno.

– Wciąż nic na kanałach floty – poinformowała pierwsza oficer. – Moglibyśmy przejść w tryb aktywnego nadawania i sprawdzić, czy ktoś nam odpowie. W zasięgu muszą znajdować się jakieś ocalałe jednostki. Nasze lub ZCR.

– Odmawiam – odparł Campbell. – Jeśli gdzieś tam w mroku czają się Dryblaszy, na pewno nie zamierzam odpalić fajerwerków, które dostrzegą wszyscy w okolicy. Zezwalam wyłącznie na pasywny nasłuch, chyba że będziemy mieć pewność, iż ktoś się odezwie.

– Tak jest, sir – rzekła major Renner. – Utrzymujemy pełną ciszę radiową. Na razie tylko nasłuch.

– Kontakt wizualny, okręt nasienny Dryblasów – odezwał się oficer taktyczny. – Kierunek dziewięćdziesiąt na plus trzy. Odległość tysiąc osiemset kilometrów, kurs względny sto dwadzieścia, prędkość dwieście metrów na sekundę. Nieprzyjaciół otrzymał oznaczenie Lima Osiem.

– Znajdziemy się za blisko. Pierwsza, proszę o korektę kursu. Skręćmy trzy stopnie na bakburtę, żeby minąć jego rufę z odpowiednim zapasem. Skurwysyn jest niemal na naszej trajektorii.

– Potwierdzam trzy stopnie na bakburtę – odpowiedziała major Renner. – Sternik, proszę o dwie sekundy ciągu z dziobowych pędników na sterburcie. Na mój znak. Trzy, dwa, jeden. Ciąg.

Widoczna na holoekranie trajektoria uległa aktualizacji, gdy „Indianapolis” odpalił przednie pędniki, kierując nas na lekko zmodyfikowany kurs, abyśmy nie otarli się kadłubem o patrolujący okręt obcych. Dziobowe silniki manewrowe wypuściły z siebie krótki, kontrolowany ciąg i linia symbolizująca nasz kurs przesunęła się odrobinę na bakburtę. Praw fizyki nie dawało się oszukać i okręty kosmiczne, pędzące setki lub tysiące metrów na sekundę, nie były w stanie po prostu skręcić albo zatrzymać się w miejscu, gdy coś się przed nimi pojawiało. Nigdy nie posiadałem wystarczającej wiedzy fizycznej, by zrozumieć zasady kierowania pojazdem takim jak „Indy”, wiedziałem jednak, że sterowanie i hamowanie w przestrzeni wymagało mnóstwa obliczeń i planowania.

Pułkownik Campbell przyjrzał się zmianom na ekranie i skinął głową.

– Sternik, trzymać kurs – polecił. – Pierwsza, powrót do pierwotnej trajektorii, gdy ten gnojek zostanie przynajmniej tysiąc kilometrów za naszą burtą.

– Tak jest, sir – odrzekła major Renner.

Im więcej czasu spędzałem w okrętowym BCI, tym bardziej uświadamiałem sobie, że pokładowy ośrodek dowodzenia nie zapewniał rzeczywistej kontroli, a jedynie jej iluzję i że po prostu trzymaliśmy rozwścieczonego smoka za koniec ogona. Być może jako desantowany żołnierz miałem mniejszy wpływ na sytuację, lecz dzięki karabinowi w rękach i mapie na wyświetlaczu w hełmie czułem się lepiej wyposażony do kierowania własnym losem, niż gdy stałem na gumowanej podłodze kosmicznego okrętu, trzymałem się barierki i obserwowałem hologram.

– Czy pożałował już pan swojej decyzji sprzed lat, by przejść do marynarki, panie Grayson? – spytał pułkownik Campbell, zupełnie jakby czytał mi w myślach.

– Owszem, sir – odparłem. – Przy każdej wypłacie żołdu. Za tę całą walkę w dalekiej przestrzeni powinni nam płacić znacznie więcej. Zbyt duże ryzyko.

Major Renner zachichotała cicho.

– Cholerna prawda – skomentowała.

– Do wszystkich jednostek Wspólnoty, proszę o odpowiedź. Tu obóz Webb, schron Sierra Pięć. Sto trzynaście osób personelu wojskowego, siedemset dziewięćdziesięciu pięciu cywili. Kończą się nam zapasy żywności i wody, poziom tlenu krytyczny. Do wszystkich jednostek Wspólnoty, proszę o odpowiedź. Tu obóz Webb, schron Sierra Pięć. Sto trzynaście osób personelu wojskowego...

Zaczęliśmy odbierać ten apel o pomoc jakiś czas temu i obecnie chciałem już tylko, by pułkownik Campbell zdjął powtarzającą się wiadomość z głośników w BCI. Obóz Webb stanowił jeden z głównych ośrodków wojskowych WPA na

Marsie, leżał dziesięć kilometrów od miasta Olympus i tamtejszego ogromnego cywilnego kosmoportu. Na terenie obozu mieściła się Szkoła Piechoty Kosmicznej, gdzie nowicjusze, których po szkoleniu przygotowawczym przydzielono do PK, poznawali tajniki walki naziemnej w realiach pozaziemskich.

– Niemal ośmiuset cywili – powiedziała major Renner. – Chryste.

– Przez następne cztery minuty możemy odpowiadać na wąskim paśmie – poinformował oficer łącznościowy. – Niska moc, zapewne nawet nie mignie Dryblasom na radarze.

– Proszę o łącze – polecił pułkownik. – Gdy tylko ktoś zobaczy, że Dryblasy idą na nas, odciąć całą komunikację.

– Tak jest, sir. Ma pan łączność.

– Tu WPA „Indianapolis” na podejściu do Marsa, mówi dowódca. Do nadawcy, proszę o identyfikację.

Przez kilka sekund słyszeliśmy jedynie szum na linii, po czym w głośnikach BCI znów odezwał się głos:

– „Indianapolis”, dzięki Bogu. Mówi major Vanderbilt. Ukryliśmy się w schronie Sierra Pięć wraz z niemal tysiącem ludzi. Dryblasy rządzą na powierzchni. Zniszczyli większość infrastruktury. Wydają się szczególnie koncentrować na nadajnikach i przekaźnikach radiowych. Zeszliśmy do pięciu procent tlenu. Zagazowali bazę i miasto. Pułkowniku, potrzebna nam natychmiastowa ewakuacja.

– Sierra Pięć, tu dowódca „Indy’ego”. Przykro mi, ale odmawiam. Podchodzimy w trybie ukrytym do perycentrum na wysokiej orbicie, aby odbić się w kierunku Ziemi. Jesteśmy tylko orbitalnym okrętem bojowym, na dodatek uszkodzonym. Mamy tylko jeden desantowiec, a na orbicie roi się od okrętów nasiennych Dryblasów. Nie możemy się zatrzymać. Aby to zrobić, już przed siedmioma godzinami powinniśmy odwrócić ciąg, a wtedy nie wystarczyłoby nam paliwa, aby skierować się ku Ziemi. Nawet gdyby udało nam się na moment przystanąć, nie zdołalibyśmy przewieźć dziewięciuset osób na „Indy’ego” przez pole minowe jednym desantowcem. Przepraszam, majorze.

Na linii nastąpiła cisza. Wyobraziłem sobie majora w ciasnym bunkrze głęboko pod obozem Webb. Zabłysła w nim nadzieja, która po zaledwie chwili została zdmuchnięta. Niemal tysiąc ludzi miało umrzeć w wyniku uduszenia, a my nic nie mogliśmy na to poradzić.

– Pułkowniku, jest tu stu trzynastu żołnierzy. Prawie ośmiuset cywili. Niemal setka z nich to dzieci. Na miłość boską, zróbcie dla nas cokolwiek.

Major Renner zakłęła cicho pod nosem. Kilka osób w BCI jęknęło. Pułkownik Campbell zachował kamienną twarz.

– Za kilka minut musimy włączyć ciąg – powiedział. – Poruszamy się o wiele za szybko, majorze Vanderbilt. Potrzebowalibyśmy dwóch dni, by odwrócić ciąg i trajektorię, na dodatek zużylibyśmy wówczas całe paliwo. Bardzo chciałbym wam pomóc, ale to fizycznie niemożliwe. Przekażę wasze współrzędne, jeśli uda nam się nawiązać kontakt z innymi jednostkami Wspólnoty.

I znów zapadła długa cisza. Gdy major Vanderbilt w końcu się odezwał, mówił

niemal bezbarwnym tonem:

– Zatem proszę o uderzenie kinetyczne bezpośrednio na nasz transmiter. Trzy ładunki w sekwencji. Wystarczy, by sięgnąć pięćdziesiąt metrów w głąb.

Pułkownik spojrział na oficera taktycznego, który pokręcił głową.

– Nie przy tej prędkości – stwierdził taktyczny. Wyglądał, jakby był gotów zwymiotować na konsolę przed sobą. – Jesteśmy za daleko, by móc użyć działa, i zbyt szybko wyjdziemy z okienka wystrzału. Lecimy bardzo szybko i na pewno nie trafimy w tak mały cel.

– Dwie minuty do zamknięcia okienka łączności – ostrzegł łącznościowiec.

Nie możemy im nawet zapewnić łaski szybkiej śmierci, pomyślałem. Odwrócenie kursu równałoby się samobójstwu, o które i tak już się ocieraliśmy, przechodząc tak blisko Marsa. Na dodatek nie zdołalibyśmy nikogo ewakuować z powierzchni, nawet gdybyśmy dysponowali miejscem i paliwem. Nie mogliśmy nic zrobić dla tych ludzi, czułem się jednak, jakby ktoś uderzył mnie w brzuch.

– Przykro mi – oznajmił pułkownik Campbell. – Przykro mi.

– „Indianapolis”, nie pozwólcie się nam udusić jak stado...

– Przerwać łączność – polecił pułkownik. – Natychmiast.

– Tak jest, sir. Łącze na wąskim paśmie zostało odcięte. – Oficer łącznościowy wykonał rozkaz z poszarzałą twarzą i głos majora Vanderbilta urwał się w połowie zdania.

Przez chwilę nikt w BCI się nie odzywał. Jedynymi dźwiękami w pomieszczeniu były ciche powiadomienia z konsoli oraz słaby szum systemu podtrzymywania życia, który dbał o zachowanie odpowiedniego ciśnienia. Panował nastrój jak na pogrzebie.

– Nic nie mogliśmy zrobić – rzekł pułkownik Campbell w panującej ciszy. – Pozostało nam jedynie lecieć dalej, by nasi na Nowym Svalbardzie nie skończyli w taki sam sposób.



– Za dwie minuty osiągniemy perycentrum do odbicia w kierunku Ziemi – ogłosił oficer taktyczny. Na holostole pojawił się licznik czasu. Zamierzaliśmy zbliżyć się do Marsa, aby w maksymalny sposób wykorzystać grawitację planety. Na orbicie znajdowało się znacznie mniej okrętów nasiennych, niż się spodziewałem. Po drodze tutaj napotkaliśmy ich sześć i oczekiwałem, że na miejscu zobaczymy wielokrotność tej liczby, gdy jednak pędziliśmy ku perycentrum położonemu kilka tysięcy kilometrów nad najwyższą warstwą atmosfery po zaciemnionej stronie Czerwonej Planety, diagram pokazywał jedynie cztery.

– Przy tej prędkości dostrzeżemy pole minowe dopiero, gdy znajdziemy się w jego środku – ostrzegł oficer taktyczny.

– I tak już zrezygnowaliśmy z najbliższego podejścia – odparł pułkownik. – Powinniśmy znajdować się wystarczająco daleko.

Znów miałem na sobie pancierz, ponieważ z uwagi na odległość do Marsa zarządzono zajęcie stanowisk obronnych, jednak dopasowana skorupa

zapewniała znacznie mniejszy spokój niż zazwyczaj. Jeśli przy aktualnym tempie „Indy’ego” wpadlibyśmy na pole minowe Dryblasów, nikt nie zdołałby dotrzeć na czas do kapsuł ratunkowych. Nie musielibyśmy nawet zostać trafieni penetratorami – miny zbliżeniowe rozerwałyby „Indianapolis” na miliard kawałków, gdybyśmy zetknęli się kadłubem z choćby kilkoma z nich.

- Możemy już przyjrzeć się optycznie powierzchni – oznajmił oficer taktyczny.
- Proszę obraz na holo – polecił dowódca.

Na centralnym holostole otworzyły się trzy nowe okna ukazujące widok z silnego optycznego osprzętu wywiadowczego. Mars niemal od bieguna do bieguna osnuty był gęstymi, szarymi, wirującymi chmurami. Dryblasy mieli ponad dwa miesiące, by rozstawić swą sieć terraformerów i dostosować atmosferę do własnych preferencji. Wiedziałem, że obecnie poziom dwutlenku węgla wynosił w niej dziesięciokrotnie więcej niż przed przybyciem obcych. Nawet gdyby udało nam się kiedyś odzyskać planetę, musielibyśmy przywrócić na niej warunki do życia dla ludzi.

– Mnóstwo ośrodków promieniowania. – Taktyczny wyświetlił kilka miejsc na holograficznej sferze przedstawiającej Marsa. – Jeden, dwa, trzy, cztery... Tylko w tej części północnej półkuli jest ich sześć. Wyglądają jak efekt piętnasto- albo dwudziestokilotonowych taktycznych bomb jądrowych.

– Próbowali ich zatrzymać w trakcie inwazji – powiedział pułkownik. – Wygląda na to, że takie środki nie wystarczyły.

W dole dostrzegłem znajomą siatkę miast Dryblasów. Ich schronienia zupełnie nie przypominały ludzkich domów. Były ze sobą połączone i na podobieństwo fraktali wychodziły z centralnego punktu. Podobnie jak wszystko, co tworzyli Dryblasy, ich osiedla wydawały się nie skonstruowane, a wyhodowane. Nigdzie nie dawało się dostrzec prostej linii ani kąta, a całość bardziej przypominała rafę koralową niż miejsce zamieszkania ludzi. Po liczbie i rozmiarze osad widzieliśmy wyraźnie, że obcy nie próżnowali, ale Mars był dużą planetą i nie zasiedlili jeszcze nawet dziesięciu procent jego powierzchni.

– Może tak jak my mają ograniczone zasoby? – zasugerowała major Renner. – Spodziewałam się więcej okrętów nasiennych. Może wcale nie dysponują dużą ich liczbą.

– Szkoda, że po drodze nie możemy spuścić na te ich osiedla paru atomówek – rzekł dowódca. – Popatrzcie tylko. Dziesięć, piętnaście, dwadzieścia... Na jednej ćwiartce tej półkuli jest ich już niemal trzydzieści.

– W tym tempie zasiedlą całą planetę za rok, może dwa – uznałem.

– A później Ziemię – oznajmił ponuro pułkownik.

– Ciąg w perycentrum za trzydzieści sekund – powiedziała major Renner. Podniosła mikrofon radiowęzła. – Mówi pierwsza oficer. Do wszystkich, przygotować się na ciąg grawitacyjny. – Wyłączyła mikrofon. – Sternik, główne silniki w gotowości – rozkazała. – Na mój znak pełen ciąg przez dwadzieścia sekund.

– Główne silniki gotowe do dwudziestosekundowego ciągu – potwierdził sternik.

– Ciąg za dwadzieścia sekund.

– Taktyczny, proszę powiedzieć, czy wciąż mamy czystą drogę przed sobą – odezwał się pułkownik Campbell.

– Optyka ukazuje czystą drogę do perycentrum – odparł oficer taktyczny. – Dwadzieścia stopni na sterburtę jest chmura dryfujących szczątków, ale ominiemy ją przynajmniej o pięć kilometrów.

– Miejmy nadzieję, że nie postawili na szosie żadnych blokad. Pierwsza, proszę nas obrócić.

– Ciąg za dziesięć sekund – oznajmiła major Renner. – Sternik, na mój znak. Sześć, pięć, cztery, trzy, dwa, jeden. Ciąg.

Kadłub znów zadrżał, gdy główne silniki ruszyły z pełną mocą. Wykorzystywaliśmy grawitację planety, aby zakrzywić nasz kurs i pomknąć ku Ziemi, jednocześnie nabierając tempa. Krzywa trajektorii na wyświetlaczu zaktualizowała się, gdy dotarliśmy do perycentrum naszego podejścia do Marsa. Znaleźliśmy się akurat w takiej odległości od powierzchni, by nie wejść w górne warstwy atmosfery i uniknąć pól minowych obcych, ustawionych na niskiej orbicie, by wychwycić zbliżających się intruzów.

– Pięć sekund – ogłosiła pierwsza oficer. – Trzymać przepustnicę. Dziesięć sekund.

– Taktyczny, gdy minimy wierzchołek paraboli i znajdziemy się na kursie, chcę pełnego omiotu zestawem aktywnym – rozkazał dowódca. – I tak świecimy się teraz w podczerwieni jak choinka. Zauważą, nawet jeśli nie włączymy sensorów.

– Tak jest, sir – odrzekł oficer taktyczny. – Szykuję sensory aktywne. Omiot za czterdzieści pięć sekund.

Ponieważ „Indy” znajdował się w żelaznym chwycie praw fizyki, obecni nie mieli zbyt wiele do roboty poza czekaniem i wpatrywaniem się w ekran holostolu. Ikona przedstawiająca nasz okręt sunęła wokół planety w tempie, które wydawało się boleśnie ślamazarne. Wiedziałem, że poruszaliśmy się znacznie szybciej niż ktokolwiek, kto w ostatnich pięćdziesięciu latach mijał Marsa po orbicie, ale chciałem, by malutki błękitny symbol mógł ze znacznie wyższą prędkością przesuwać się wokół holograficznego globu.

– Piętnaście sekund – oznajmiła major Renner. – Wychodzimy z za zakrętu. Wyłączyć główne silniki za trzy, dwa, jeden, już. Trzymać kurs.

Wystrzeliliśmy z za ciemnej strony Marsa i pomknęliśmy wytyczoną trajektorią w kierunku Ziemi. Obserwowałem na holostole wciąż aktywne transmisje z kamer optycznych, pokazujące głównie wirującą pokrywę chmur, spod której co jakiś czas wychylał się skrawek czerwonej gleby. Nie znałem szczegółów zajęcia planety przez Dryblasów, lecz wątpiłem, czy jej mieszkańcy mieli więcej czasu niż osadnicy z kolonialnych globów, które straciliśmy w ostatnich pięciu latach. Oznaczało to, że sięgająca od bieguna skłębiona masa stanowiła całun pogrzebowy dla ponad dwudziestu milionów ludzi, w większości cywilów.

– Sensory włączone – poinformował oficer taktyczny. – Rozpoczynam aktywny omiot.

Na holostole zaczęły pojawiać się informacje. Radary nie wykrywały okrętów ani pól minowych obcych, ale przyrządy optyczne potrafiły je dostrzec na dystansie od krótkiego do średniego. Wszystko, co zostało wykonane przez człowieka, wyskakiwało jednak bez problemu na radarze. Połączenie danych z optyki i sensorów aktywnych odmalowało na holograficznej sferze ponury obraz i pokazało nam, w jakim stopniu na ślepo lecieliśmy przez ostatnie minuty.

– Kurwa mać – skomentował pułkownik Campbell.

Przestrzeń wokół Marsa była zasłana szczątkami, dziesiątki okrętowych kadłubów dryfowały w pustce, z niektórych wciąż wyciekały powietrze i zamrożone płyny. Widziałem, jakie uszkodzenia potrafi zadać naszym jednostkom salwa Dryblasów, ale nie spotkałem się jeszcze z masakrą na taką skalę. Komputer zestawiał informacje uzyskane z sensorów oraz boi awaryjnych na okrągło nadających swoje smutne komunikaty i każdy wrak oznaczył nazwą jednostki oraz numerem bocznym. Okazało się, że Dryblasy nie czynili dla nikogo wyjątków: rozciągające się przed i pod nami morze ikonek stanowiło mieszaninę czerwieni i błękitu, okręty ZCR i WPA zjednoczyły się w obliczu zniszczenia.

– Nadciąga dwóch nieprzyjaciół, zbliżają się szybko z kierunków czterdzieści osiem i sto piętnaście. Oznaczono Lima Jedenaście i Lima Dwanaście. Znajdują się na kursie kolizyjnym, sir. – Oficer taktyczny zaktualizował holowysświetlacz, na którym pojawiły się dwie pomarańczowe ikony, przesuwające się miarowym tempem ku naszej pozycji.

– Idziemy za szybko dla nich, ale zwiększmy trochę zapas. Sternik, pełen ciąg na głównych silnikach. Przez pięć sekund.

– Tak jest, ciąg pięć sekund – potwierdził sternik.

Niebieski symbol oznaczony OOB-1 „Indianapolis” odsuwał się od Marsa, a dwie pomarańczowe ikony reprezentujące okręty obcych zostawały w tyle. Dysponowaliśmy znaczną przewagą przyspieszenia i zostaliśmy dostrzeżeni zbyt późno, by zdołali nas przechwycić na pętli, jaką wykonaliśmy wokół planety. Wprawdzie to niewielkie pocieszenie, ale dobrze było wiedzieć, że nawet okręty nasienne miały ograniczenia.

– Wyłączyć osprzęt aktywny i główne silniki – rozkazał dowódca. – Pełna cisza radiowa. Znowu musimy się stać szybko lecącą dziurą w przestrzeni.

– Tak jest, sir. Przechodzimy w pełną ciszę radiową.

Minęło piętnaście sekund, później trzydzieści. Ścigające nas okręty Dryblasów zniknęły z diagramu, gdy zostawiliśmy je za sobą. Ponieważ sensory aktywne zostały wyłączone, symbole na holostole przechodziły z wyraźnych barw, oznaczających potwierdzony kontakt, do coraz bledszych, przedstawiających dawny kontakt, którego statusu nie można zweryfikować. Klin przestrzeni rozciągający się przed „Indym” był pusty, przynajmniej z tego, co mówiły nam przyrządy optyczne. Za naszą rufą Mars zniknął w ciemności wraz z otaczającymi go polami minowymi i szczątkami ludzkich okrętów. Przez chwilę zastanawiałem się, czy Halley znajdowała się na którejś ze zniszczonych przez Dryblasów jednostek, i myśl ta niemal wywołała we mnie mdłości, lecz znowu zdołałem ją odsunąć. Moja narzeczona przebywała przecież w Szkole Lotnictwa Bojowego na

Lunie i jej tura jako instruktorki miała się skończyć dopiero na początku przyszłego roku. Nie wyciągano ot, tak sobie szkoleniowców z sal lekcyjnych, by przydzielić ich do aktywnej służby. Wokół Czerwonej Planety krążyło jednak mnóstwo zniszczonych kadłubów i mały, dokuczliwy zakątek mózgu nie chciał do końca zrezygnować z paskudnego przypuszczenia, że Halley również tam była, że dryfowała bez życia wokół Marsa, a może wciąż tkwiła w fotelu rozbitej Osy gdzieś na powierzchni planety.

Godzinę po zakończeniu pętli grawitacyjnej wokół Marsa sensory wciąż nie wskazywały, by przed nami znajdowało się cokolwiek oprócz pustej przestrzeni. Za rufą została Czerwona Planeta, obracająca się wokół własnej osi w liczącym dwadzieścia cztery i pół godziny cyklu dobowym, jak zawsze czyniła i zawsze czynić będzie, nie przejmując się tym, jaki gatunek tymczasowo zajął jej powierzchnię. Pomyślałem, że być może już nigdy nie ujrzę jej na własne oczy. Może żaden człowiek już nie zbliży się na tyle, aby dowiedzieć się, ile zwłok leżało teraz na jej glebie, zarówno ludzi, jak i Dryblasów.

– Opuścić stanowiska bojowe – polecił dowódca.

Major Renner podniosła mikrofon i przez radiowęzeł przekazała rozkaz całemu okrętowi. Następnie spojrzała na diagram, na którym pełziliśmy po trajektorii kończącej się na Ziemi.

– Sto czterdzieści cztery godziny do punktu odwrócenia ciągu – rzekła. – Nigdy nie pokonywałam tak szybko tej trasy.

– Odwrócenie kursu zużyje naszą resztkę deuteru – powiedział główny inżynier. – Gdy wejdziemy na orbitę, reaktory będą zasysać oczyszczone powietrze.

– Jeśli tylko zdołamy wejść w zasięg radiowy, zanim napęd odmówi posłuszeństwa – odezwał się pułkownik – na pewno uda się wywołać jakiś holownik, by zaciągnął nas do Węzłowej. Oczywiście pod warunkiem, że na Ziemi ktoś jeszcze został.

Gdy obserwowałem coraz mniejszego Marsa, zastanawiałem się, co zastaniemy po dotarciu na Ziemię. Niemal czułem wstyd na myśl, że trudniej byłoby mi zaakceptować śmierć Halley niż wiadomość, że ojczystą planetę ludzkości spotkał ten sam los co Marsa.

Rozdział 8

Chłodne powitanie

Wyglądało na to, że na Ziemi wciąż znajdowali się ludzie. Półtora dnia po ominięciu Marsa znów zaczęliśmy odbierać na standardowych kanałach floty i cywilnych. Nadal sunęliśmy z włączonym jedynie pasywnym osprzętem nasłuchowym, lecz nie dostrzegaliśmy kolejnych okrętów nasiennych. Być może Dryblasy zadowalali się kontrolą nad kluczowym obszarem przestrzeni pomiędzy Czerwoną Planetą a naszymi węzłami Alcubierre’a, lecz to z nawiązką wystarczało, aby zablokować wszelkie próby wlotu i wylotu z Układu Słonecznego. Zdołaliśmy wśliznąć się przez szparę w drzwiach, ale straciliśmy przy tym kilka palców u stopy.

– Odbieram długodystansowe sygnały z głównego przekaźnika na Lunie – oznajmił oficer łącznościowy. Ponieważ nie miałem zbyt wiele do roboty, znów znalazłem się w BCI, by słuchać przekazów dochodzących od strony Ziemi. Czułem ogromną ulgę, że w pustce krążą również inne głosy i że nie zostaliśmy jedynymi żywymi ludźmi we wszechświecie.

– Te skurwysyny zniszczyły przekaźnik koło Marsa i wszystkie dalsze – rzekł pułkownik Campbell. – Odbudowanie sieci zajmie całe lata.

– Musieli zrobić też coś więcej – odparł łącznościowiec. – Nawet po wyłączeniu Marsa przekaźnik z Luny powinien mieć dość mocy, by sięgnąć aż do stoczni na Tytanie. Owszem, ze znacznym opóźnieniem, ale powinniśmy ich usłyszeć, gdy tylko wyszliśmy z Alcubierre’a. Tymczasem jeszcze pół godziny temu na pasywnym sprzęcie słyszeliśmy jedno wielkie zero. Co oznacza...

– Że w jakiś sposób nas zagłuszają – uzupełnił pułkownik, wzdychając. – Od pięciu lat taplamy się w tym gównie, a jednak wszystko, co wiemy o tych istotach, mógłbym zapisać na paznokciu i jeszcze zostałoby mi miejsce.

„Indy” sunął ku Ziemi, czy raczej ku punktowi odwrócenia ciągu, na złamanie karku, znacznie szybciej, niż dotąd latałem na trasie Mars–Ziemia. Był to najczęściej wykorzystywany szlak w całym Układzie Słonecznym, nieledwie autostrada. Niemal każdy okręt, który opuszczał system lub leciał do baz wojskowych czy placówek naukowych na planetach zewnętrznych, obierał tę drogę, ponieważ pozwalała w największym stopniu zaoszczędzić energię. Do tej pory powinniśmy już minąć dziesiątki jednostek, a tymczasem wciąż byliśmy sami.

– Kontakt – ogłosił oficer taktyczny. Na holostole na samym krańcu sfery działania naszego sprzętu pojawiła się wyraźna niebieska ikona. Symbolizowała okręt, który skanował przestrzeń przed sobą radarem aktywnym.

– Emituje kody IFF ze Wspólnoty. CG-760, OWPA „Egida”. Krążownik typu

Obuch.

– Proszę znów sprawdzić z tyłu – polecił dowódca.

– Czysto. Żadnych kontaktów, odkąd oddaliliśmy się od blokady Marsa.

– Zatem przejdźmy w tryb aktywny. Proszę oznajmić, że lecimy, zanim wywęszą nas sprzętem aktywnym i zaczną strzelać na oślep. Włączyć radar, nadać nasze kody transpondera. Stańmy się znów widzialni.

– Tak jest, sir. Włączam sensory aktywne i IFF.

Gdy zaczęliśmy emitować w przestrzeń megawaty promieniowania, a transponder IFF zdradził naszą pozycję, nie minęło wiele czasu, zanim odległy okręt Wspólnoty podjął nasz trop. Niedługo później łącznościowiec powiadomił o transmisji przychodzącej.

– Wywołują nas na kanale łączności międzyokrętowej, sir.

– Na głośnik – rzekł pułkownik Campbell. – I proszę otworzyć dla mnie linię.

– Tak jest, sir. Jest pan na linii.

– Tu OWPA „Egida” do zbliżającej się jednostki emitującej kody Wspólnoty. Proszę o identyfikację.

– „Egida”, tu OWPA „Indianapolis”, mówi dowódca. Dobrze słyszeć, że ktoś tam jeszcze jest. Już zaczynaliśmy sądzić, że tylko my zostaliśmy między Marsem a Ziemią.

Z powodu dzielącej nas odległości musieliśmy poczekać chwilę na odpowiedź.

– „Egida” do „Indianapolis”. W zasadzie to zostaliście. Stacjonujemy na zewnętrznym kordonie. Jaki jest wasz status i misja?

– „Egida”, właśnie odbyliśmy upiorny przelot wokół Marsa. Wchodzimy w skład zespołu zadaniowego, który w poszukiwaniu schronienia trafił do systemu Fomalhaut. Wróciliśmy do Układu Słonecznego przed blisko stu godzinami dzięki węzłowi ZCR. Przestrzeń pomiędzy pasem asteroid a Marsem roi się od Dryblasów. Mój okręt został uszkodzony i niemal kończy nam się paliwo. Jesteśmy w drodze na Ziemię, aby zatankować i dokonać niezbędnych napraw. Jeśli oczywiście wciąż istnieje.

Odpowiedź nadeszła nieco później, niż powinna, z uwagi na dzielący nas dystans.

– „Indianapolis”, potwierdzam. Ziemia wciąż istnieje. Macie zwolnić i spotkać się z zespołem zadaniowym z kordonu, aby ruszyć w stronę Ziemi pod eskortą. Nie próbujcie przekroczyć linii kordonu bez zezwolenia, inaczej zastosujemy środki obronne. Proszę o potwierdzenie.

Pułkownik Campbell i major Renner wymienili spojrzenia. Żołądek zwinął mi się w supeł, jak zawsze, kiedy wyczuwałem, że czekają nas kłopoty. Nie takiego powitania się spodziewałem, a jeśli oceniać po minach otaczających mnie osób, obsada BCI „Indy’ego” wydawała się równie zaskoczona.

– „Egida”, potwierdzam odebranie rozkazu. Informuję, że „Indy” odniósł poważne uszkodzenia w walce i kończy się nam paliwo do reaktora. Gdybyśmy teraz zastosowali ciąg, by zwolnić, nie wystarczy nam opału, by dotrzeć na Ziemię, i ktoś będzie musiał nas zaholować.

Na kolejną odpowiedź czekaliśmy jeszcze dłużej. Dowódca „Egidy”

najwyraźniej musiał skonsultować się z centralą.

– „Indianapolis”, rozumiem. Wykonajcie odwrócenie ciągu i zwolnienie zgodnie z instrukcjami. Mamy w gotowości statek transportowy, który spotka się z wami jak najszybciej i przekaże wam paliwo. Ograniczcie łączność do minimum i nie zbaczajcie z bieżącego kursu. Proszę o potwierdzenie.

– O co chodzi, do cholery? – odezwała się major Renner. – Prześliznęliśmy się przez blokadę i dotarliśmy do przyjaznej przestrzeni, a oni rozmawiają z nami w taki sposób, jakbyśmy wieźli w ładowni kilku Dryblasów.

– Dysponujemy przewagą przyspieszenia – rzekł oficer taktyczny. – Możemy skręcić kilka stopni w którąś stronę i nigdy nas nie dogonią. Nie są zdolni do takiego ciągu, nawet Obuch.

– Nie wiemy, jak głęboko sięga ten kordon – uznał dowódca. – Nie ma sensu dawać im pretekstu, by do nas strzelili. – Spojrzał na mnie i uśmiechnął się. – Może ten bezużyteczny jednogwiazdkowy urzędas i grupa lotniskowca „Midway” zdołali wrócić na Ziemię, a wieści o naszych wyczynach na Nowym Svalbardzie nas wyprzedziły, panie Grayson.

– Możliwe – przyznałem. – Nie mogę powiedzieć, by szczególnie mnie to teraz obchodziło.

– Mnie również. Zawsze wiedzieliśmy, że kiedyś będziemy musieli stawić czoła konsekwencjom. – Pułkownik gestem dał znak oficerowi łącznościowemu. – Proszę otworzyć kanał.

– Jest pan na linii, sir.

– „Egida”, tu dowódca „Indy’ego”. Potwierdzam wasze rozkazy. Przeprowadzimy odwrócenie ciągu, spotkamy się z eskortą i uzupełnimy paliwo zgodnie z instrukcjami. Dopilnujcie tylko, by cysterna czekała, bo jedziemy na oparach.

– Potwierdzam – dobiegła zwięzła odpowiedź z „Egidy”.

Pułkownik Campbell przyjrzał się diagramowi i naszej małej niebieskiej ikonce sunącej powoli ku innej, oznaczonej CG-760 „Egida”. Odetchnął powoli i potarł skronie opuszkami.

– Słyszeliście rozkaz. Przygotować się do odwrócenia ciągu. Proszę o obliczenia dotyczące ciągu i przygotowanie głównych silników.

„Egida” dotrzymała słowa. Gdy po kilku godzinach osiągnęliśmy umówioną pozycję, czekały na nas trzy okręty. Jednym z nich była sama „Egida”, nowoczesny krążownik typu Obuch. Pozostałe to niszczyciel „Michael P. Murphy” oraz statek zaopatrzeniowy „Portland”.

– Wygląda na to, że macie za sobą ciężki dzień w pracy – nadał operator wysięgnika z „Portland”, gdy ustawialiśmy się obok siebie, by pobrać paliwo do reaktora. – Nieźle was podziurawiło.

– Żebyś wiedział – odparł nasz łącznościowiec. – Od miesiąca gównem na nas spada z mocą huraganu.

– Taa, tutaj tak samo.

– „Indianapolis”, proszę ograniczyć do minimum pogawędki niezwiązane z misją – wtrąciło się BCI z „Egidy”. – Zakończyć tankowanie i przygotować się na odbiór instrukcji dotyczących kursu i ciągu podczas podróży na Ziemię.

– „Egida”, tu „Indy”, odbiór. – Oficer łącznościowy spojrzał na pułkownika Campbella. – Co ich ugryzło w tyłek?

– Nie wiem, ale zaczyna mnie to męczyć – odrzekł pułkownik. – Tankujmy. Łączność, proszę zwracać baczną uwagę na sprzęt pasywny. Jeśli zacnie się dziać coś dziwnego, chcę być natychmiast poinformowany. Mam kiepskie przeczucia.



Napełnienie opróżnionych zbiorników paliwa do reaktora zajęło „Indy’emu” kilka godzin. Podczas całej procedury byliśmy podłączeni bakburtą do „Portland” poprzez jego wysięgnik paliwowy, „Egida” zaś pozostawała na naszej sterburcie, w odległości zaledwie kilku kilometrów. Obuchy zostały zaprojektowane jako ciężkie krążowniki, główne ofensywne jednostki kontroli przestrzeni w naszej flocie, lecz z uwagi na ich rozmiar wszyscy nazywali je „krążownikami liniowymi”. Jedynie lotniskowce przewyższały je wielkością, choć „Egida” nie była dużo mniejsza niż lotniskowiec szturmowy. Na burtach widniały rzędy wyrzutni raketowych, a na opancerzonym grzbiecie umieszczono dwie baterie podwójnych dział elektromagnetycznych. Wpatrywałem się w nieskazitelnie czysty, nowiutki laminatowy pancierz ze świeżo naniesionymi farbą oznaczeniami, od dziobu do rufy podświetlony lampami manewrowymi i pozycyjnymi. Rakiety kryjące się za włazami mogłyby wyrwać w polu minowym Dryblasów otwór wielkości pół kilometra sześciennego, a w pionowych wyrzutniach na dziobie kryły się głowice nuklearne zdolne zamienić mały księżyc w bryłę radioaktywnego żużlu. Obuchy stanowiły szczytowe osiągnięcie ludzkości w dziedzinie machin bojowych, były naszymi najlepszymi narzędziami zniszczenia umieszczonymi w solidnym, smukłym kadłubie, a jednak do tej pory nie zdołały nic wskórać przeciwko okrętom nasiennym obcych.

– Zakończono procedurę tankowania, sir – poinformowała pierwsza oficer. – Wróciliśmy do stu procent w zbiorniku głównym i obu dodatkowych. Przynajmniej nie żałują nam paliwa.

– Pewnie nie zostało zbyt wiele okrętów, którym byłoby ono potrzebne – odrzekł dowódca. – Łączność, proszę otworzyć kanał do „Egidy” i dać im znać, że czekamy na instrukcje.

– Tak jest, sir.

„Portland” wciągnął z powrotem wysięgnik paliwowy i włączył na chwilę pędniki na sterburcie, by odsunąć się od znacznie mniejszego „Indy’ego”. Obserwowałem obraz z kamery zewnętrznej ukazujący, jak wielki zaopatrzeniowiec odpływa z powrotem w mrok, oświetlony lampami pozycyjnymi.

– „Indianapolis”, tu „Egida”. Przekazuję współrzędne. Macie udać się za „Murphym” na Niepodległość. Wszelkie zmiany kursu są absolutnie wykluczone.

Nie nawiązywać łączności z nikim oprócz „Murphy’ego”. Potwierdzić.

– „Egida”, tu „Indy”, potwierdzam. Po co w ogóle ta zabawa w szpiegów? Nie potrzebujemy przyzwoitki, by znaleźć drogę do Węzłowej. – Pułkownik Campbell był z lekka rozdrażniony.

– „Indy”, obowiązują nowe zasady bezpieczeństwa. Proszę mi zaufać, gdy mówię, że lepiej jest nie zbliżać się obecnie do wewnętrznego perymetru obronnego bez przyzwoitki. Jeśli chcecie dotrzeć do Węzłowej w jednym kawałku, trzymajcie się „Murphy’ego”.

– Potwierdzam – oznajmił pułkownik Campbell po krótkim milczeniu. – Niech „Murphy” prowadzi. „Indy” bez odbioru.

Gestem wskazał oficerowi łącznościowemu, by zamknął połączenie. Następnie założył ramiona na piersi i rozejrzał się po BCI.

– Słyszeliście. Wyznaczyć kurs i uruchomić reaktor. – Obrócił się do mnie i odezwał ściszym głosem: – Panie Grayson, proszę zajrzeć do naszego oddziału PK i dopilnować, aby nie znajdowali się zbyt daleko od swych panczerzy lub broni, gdy zadokujemy tam, gdzie nam każą. A właściwie to proszę przekazać porucznikowi Gregory’emu, że cały oddział ma znaleźć się w ryszunku bojowym, zanim dotrzemy na miejsce.

– Tak jest, sir – odparłem i skierowałem się do wyjścia z BCI.

Spotkanie z innymi ocalałymi jednostkami floty i potwierdzenie, że Ziemia wciąż należała do ludzi, powinno wzbudzać w nas radość, ale nieokreślony strach, który odczuwałem od pierwszego zwięzłego kontaktu radiowego z „Egidą”, jedynie się zwiększył.

Rozdział 9

Nie ma powrotu

Gdy „Indy” i towarzyszący nam niszczyciel znaleźli się na tyle blisko Ziemi, by moja ojczysta planeta stała się widoczna przez osprzęt optyczny, w BCI bardziej niż zwykle zaroilo się od ludzi. Wyglądało na to, że każdy, kto dysponował choćby najslabszą wymówką, by przebywać w ośrodku nerwowym okrętu, wybrał akurat tę chwilę. Nawet Dmitrij mi tam towarzyszył. Stał z boku centralnego zagłębienia i opierał się o sięgającą pasa barierkę.

– A jednak się kręci – powiedziała major Renner, gdy kamera z dziobowej matrycy sensorów ukazała znajomą niebiesko-białą sferę, a przynajmniej tę jej połowę, którą akurat oświetlało Słońce. Jak zawsze powierzchnia była w większości zasnutą chmurami, ale dało się zobaczyć obszary czystego nieba. Zauważyłem fragment wyglądający na wschodnie wybrzeże Australii oraz sąsiadującą z nim południową część Pacyfiku. Wciąż znajdowaliśmy się zbyt daleko, by dostrzec ruch w przestrzeni, ale widziałem na orbicie stacje kosmiczne, każdą wielkości małego miasta: Niepodległość, Węzłowa, chińskorosyjska Jedność, a także kilka placówek Europejczyków, Afrykańczyków i Australijczyków, których nie potrafiłem odróżnić, nie sięgając do przewodnika. W oddali dostrzegałem też Lunę. Świadomość, że mogę znów znaleźć się w kontakcie radiowym z Halley, niemal pozwoliła mi zapomnieć o dziwnym powitaniu.

– „Indianapolis”, skontaktuj się z centrum kontroli na Niepodległości, które zajmie się podejściem – nadało BCI „Murphy’ego”. Nasz łącznościowiec odesłał potwierdzenie odbioru na niszczyciel, który przez całą drogę na Ziemię nie zamienił z nami nawet dziesięciu słów z wyjątkiem instrukcji nawigacyjnych.

– Baba z wozu, koniom lżej – skomentowała major Renner. – Łączność, proszę wywołać Niepodległość i dać ją na głośnik.

– Tak jest. Niepodległość na linii.

– Centrum kontroli Niepodległość, tu OWPA „Indianapolis”. Proszę o wektory podejścia i zezwolenie na dokowanie.

– „Indianapolis”, tu centrum kontroli Niepodległość. Zwolnij do siedmiu kilometrów na sekundę i przejdź do schematu podejścia trzysta trzysta Alfa. Czekać na końcowe instrukcje dokowania.

– Niepodległość, zwalniamy do siedmiu kilometrów na sekundę i przechodzimy na trzysta trzysta Alfa – potwierdziła Renner, po czym podniosła mikrofon radiowęzła: – Do wszystkich, uwaga, mówi pierwsza oficer. Wszystkie sekcje, przygotować okręt do dokowania. Przeszliśmy na schemat podejścia. Znajdziemy się na miejscu za dziewięćdziesiąt minut.

Na naszej sterburcie OWPA „Murphy” wciąż dotrzymywał nam kroku, jakby chciał się upewnić, że nie umkniemy w ostatniej chwili z nakazanego kursu i nie zaczniemy swawolić bez nadzoru tak blisko Ziemi. Nie wiedziałem, dlaczego zasłużyliśmy sobie na eskortę pod same drzwi, ale wydawało się dość oczywiste, że nasze niespodziewane pojawienie się w Układzie Słonecznym nie uradowało zbyt wielu osób, które tu dowodziły.

Przeszedłem na tył BCI, odsuwając się od holostolu, w który wszyscy się bacznie wpatrywali, i wyciągnąłem OTI. Z okrętu widzieliśmy wielkie przekaźniki nad Luną, służące jako węzeł komunikacyjny dla całej łączności wojskowej między Księżycem a Ziemią, i nie mogłem się doczekać, by pozwolić systemowi zsynchronizować urządzenie oraz pobrać zapisane wiadomości z trzech miesięcy od Halley i mamy. Gdy jednak wszedłem do MilNetu, straciłem połączenie. OTI widział sieć, jednak procedura aktualizacji przebiegała z szybkością pieszego podczas zimy na Nowym Svalbardzie. Synchronizacja danych nigdy nie zajmowała mi więcej niż minutę, nawet po drugiej stronie pasa asteroid, lecz teraz, po kilku minutach ukradkowego zerkania, pasek postępu ledwo się przesunął. Gdy w końcu przy chyba dziesiątej próbie wyciągnąłem urządzenie z kieszeni, by spojrzeć na wyświetlacz, ujrzałem komunikat: PRZEKROCZONO CZAS OCZEKIWANIA, SKONTAKTUJ SIĘ Z ADMINISTRATOREM. Powstrzymałem ochotę, by z wielką siłą cisnąć czytnikiem o pancerną gródź.

Brak sieci, pomyślałem. Nigdy nie przebywałem w tej części Układu Słonecznego, w zasięgu wzroku z Ziemi, nie dysponując porządnym, solidnym łączem z MilNetem. Był to podstawowy sposób komunikacji wszystkich wojskowych. Jeśli sieć nie działała nawet na ziemskiej orbicie, to nasza infrastruktura łącznościowa została naprawdę nieźle rozpieprzona.

Diagram na holostole aktualizował się z każdą minutą w miarę naszego zbliżania się do stacji Niepodległość. Na orbicie znajdowały się okręty, ale znacznie mniej niż zwykle. Kilka jednostek WPA i ZCR dozorowało przestrzeń między Ziemią a Luną, lecz były to małe zespoły zadaniowe: pary fregat, samotne niszczyciele, grupki patrolowców orbitalnych. Nie widziałem żadnych dużych okrętów – ani krążowników, ani lotniskowców, nic większego niż niszczyciel typu Błękit, wciąż towarzyszący nam na sterburcie. Jeśli tylko tyle zostało nam do obrony Ziemi, to nie wyskrobywalismy już resztek z dna garnka, lecz odwróciliśmy go do góry nogami i wytrząsnęliśmy ze środka wszystko, co w nim zostało.

Nie byliśmy na tyle blisko Luny, żebym zdołał dostrzec budowle na niemal pozbawionej atmosfery powierzchni, ale wystarczająco, bym mógł włączyć celownik laserowy w swoim karabinie M-66C i odbić promień od retroreflektorów zainstalowanych, gdy astronauta z dawnych Stanów Zjednoczonych po raz pierwszy postawili tam stopę przed stu pięćdziesięciu laty.

Tak blisko, pomyślałem. Tak cholernie blisko.

– Tyle pustych stanowisk kotwicznych – powiedziała major Renner.

Znajdowaliśmy się na podejściu do przydzielonej nam pozycji i lecieliśmy równoległe do stacji Niepodległość. – Nigdy nie widziałam, żeby było tu tak łyso.

– Zastanawiam się, czy podobnie jest na Węzłowej – odrzekłem. – Na orbicie panuje niewielki ruch militarny.

– Niewielki, ale nie zerowy – odezwał się pułkownik Campbell. – Niech pan jednak spróbuje znaleźć na diagramie jakikolwiek ruch cywilny.

Spojrzałem znów na wyświetlacz i uświadomiłem sobie, że dowódca miał absolutną rację. Każda jednostka w zasięgu naszego skanera nadawała wojskowy sygnał. Większość okrętów należała do flot WPA i ZCR, ale widziałem również kilka z Unii Europejskiej, dwa lub trzy ze Wspólnoty Afrykańskiej oraz korwetę z Unii Ameryki Południowej. Ani jednego statku cywilnego – żadnych transportowców korporacyjnych czy drobnicowców przewożących pracowników albo rudę pomiędzy Ziemią a koloniami, zero pojazdów badawczych lecących na misję eksploracyjną w dalekiej przestrzeni, nawet żadnych lotów pasażerskich na niskiej orbicie.

– „Indianapolis”, masz zezwolenie na dokowanie na stanowisku Fokstrot Trzy Dziewięć. Pamiętaj o obowiązującej procedurze kwarantanny. Twojej załodze nie wolno opuszczać pokładu po przybyciu. Wykonaj procedurę dokowania i czekaj na dalsze instrukcje.

– Niepodległość, potwierdzam odbiór zezwolenia na dokowanie w Fokstrot Trzy Dziewięć zgodnie z procedurą kwarantanny – odparła major Renner.

Kilkakrotnie przybijałem już do stacji Niepodległość na okrętach wojskowych. Była ośrodkiem cywilnym, jedynie okazjonalnie wykorzystywanym przez wojsko. Gdy ostatnio tu dokowałem, miało to miejsce po powrocie z zakończonego katastrofą desantu na Syriusza A d. Dryblasy przerwali starcie pomiędzy naszym zespołem zadaniowym a garnizonem ZCR i po zaledwie kilku godzinach żałośnie jednostronnej bitwy straciliśmy sześć okrętów oraz dziesięć tysięcy żołnierzy i marynarzy. Wróciłem do domu na fregacie „Nassau”, jednej z niewielu jednostek, które wyszły stamtąd cało. Po powrocie do Układu Słonecznego przybiliśmy do Niepodległości, po czym kilka kolejnych dni spędziłem na szeregu przesłuchań, które wydawały się ciągnąć bez końca.

– Fokstrot Trzy-Dziewięć – powiedział pułkownik Campbell, sprawdzając oznaczenia podejścia na holostole. – Gdyby ta stacja miała dupę, dok F Trzy-Dziewięć leżałby najbliżej niej.

Powyżej i lekko za nami niszczyciel „Murphy” pełznął powoli wzdłuż pustych stanowisk kotwicznych po tej stronie Niepodległości, mniej niż kilometr na sterburtę od nas.

– Zamierzają lecieć za nami aż do klamer dokujących? – mruknęła major Renner.

Przez parę następnych minut sunęliśmy wzdłuż odgałęzienia Fokstrot, mijając kolejne stanowiska, a nasze światła pozycyjne odbijały się od tytanowego poszycia stacji.

– Jest promień – oznajmił sternik. – Uruchamiam sekwencję autodokowania. Na promieniu do Fokstrot Trzy Dziewięć.

Komputer nawigacyjny przejął stery „Indy’ego” i kierował okrętem ze staranną precyzją krzemowego mózgu. Obracaliśmy się i zwalnialiśmy, gdy pędniki odpalały się sekwencyjnie, by wprowadzić nas na stanowisko z zalecaną prędkością podejścia. Lokalizacja okazała się wystarczająco przestronna, by pomieścić niszczyciel albo krążownik, i „Indy” niemal gubił się w wielkim doku w kształcie litery U.

Klamry zacisnęły się na kadłubie od strony bakburty i wciągnęły nas na pozycję spoczynkową. Następnie do naszej burty przypięły się przewody serwisowe oraz konserwacyjne i wreszcie na zewnętrzny właz „Indianapolis” nasunął się kołnierz dokujący.

– Potwierdzam prawidłowe mocowanie kołnierza – odezwała się pierwsza oficer. – Wyłączyć napęd i przestawić reaktor w tryb czuwania.

– Nie jest to szczególnie ciepłe powitanie – powiedziałem.

Pułkownik Campbell potarł podbródek dłonią.

– Nie jest – zgodził się. – Lepiej nie ściągajmy jeszcze butów i nie czujmy się zbyt swobodnie. Ta cała kwarantanna zupełnie mi się nie podoba.



Nie miałem żadnych palących spraw przy głównej śluzie, ale czułem ciekawość, więc i tak tam poszedłem. Sierżant sztabowy Philbrick i kapral DeLuca pilnowali przejścia od naszej strony kołnierza dokującego, trzydziestometrowej rury z giętkiej lamelowej stali łączącej okręt ze stacją.

– To jakieś bzdury – powiedział do mnie Philbrick, gdy podszedłem do otwartego włazu wraz z Dmitrijem.

– Co się dzieje?

– Nie pozwalają opuszczać okrętu. Nie puszczają nikogo przez kołnierz.

Na drugim końcu tunelu, od strony stacji, czterech uzbrojonych strażników pilnowało jedynej drogi wyjścia z „Indy’ego”. Nie byli to żołnierze PK, lecz cywilna służba bezpieczeństwa w granatowych mundurach i białych pancerzach. Philbrick i DeLuca również byli opancerzeni i wyglądali znacznie groźniej w pełnych wojskowych skorupach niż tamci gliniarze. Kosmiczni piechociarze mieli na wyposażeniu karabiny M-66, broń krótką oraz bojowy przydział magazynków. Pełne oprzyrządowanie to zwykle przesada w przypadku służby wartowniczej w sojuszniczej placówce, ale cieszył mnie tak przesadny pokaz siły po tym, jak żołądek skręcał mi się przez ostatnie godziny.

– Tak, to bzdury – zgodziłem się. Miesiąc w tej małej wannie i nawet nie mogliśmy rozprostować nóg. Poza tym naprawdę nie lubiłem być traktowany jak cholerny jeniec.

– Spójrz na tych dupków. – Philbrick wskazał głową drugi kraniec kołnierza dokującego. – Blokują przejście w tych swoich ubrankach klaunów. Mógłbym rozbić te pancerzyki swoim nieśmiertelnikiem. To jeszcze gorzej, niż gdyby zostawili właz bez dozoru.

– To nie jest pancerz bojowy – powiedział Dmitrij. – Zbyt lekki. Nie służy do walki, tylko... Jak to powiedzieć? Na pokaz?

– Są z policji cywilnej – wyjaśniłem. – Niepodległość nie jest stacją militarną.
– Policja cywilna – powtórzył Dmitrij z lekkim uśmiechem, jakby czuł się urażony tym, że Wspólnota próbuje utrzymać go na pokładzie okrętu przy pomocy jedynie garstki lekko opancerzonych cywilów.

– Ktoś przychodził już z tamtej strony? – spytałem sierżanta.

– Tak. Półtorej godziny temu. Trzech cywilów, kilku medyków, dwóch oficerów sztabowych: major i podpułkownik. – Philbrick przesunął ciężar karabinu w dłoniach. Polimerowa obudowa broni zazgrzytała cicho o laminat pancerza.

– Z jakiej służby?

– Flota – odrzekł kapral DeLuca. – Ale bez naszywek jednostki. To trochę dziwne. I nic do nas nie mówili. Ledwo odpowiedzieli na nasze saluty.

Znów popatrzyłem na drugi kraniec tunelu. Cywilni policjanci stali parami, po dwóch po każdej stronie wjazdu, z bronią ochrony osobistej na piersi. Za ich plecami, za służą stacji, znajdowały się pomieszczenia rekreacyjne i medyczne, stołówki ze świeżą żywnością oraz terminale MilNetu dla personelu wojskowego. Gdyby udzielono nam pozwolenia na opuszczenie „Indy’ego”, zgarnąłbym coś do jedzenia, wziął długi prysznic, a później zadzwonił do Halley, by powiedzieć jej, że dotrzymałem obietnicy i zdążyłem na nasz ślub, na dodatek w jednym kawałku. Byłem tak blisko niej i nie mogłem się z nią skontaktować. Czuję się przez to gorzej niż przed desantem bojowym. Pokonałem odległość trzydziestu lat świetlnych i przedarłem się obok Dryblasów, a tymczasem pomiędzy nią a mną stanęła grupka lekkobrojnnych gliniarzy. Część mnie chciała zejść na dolny pokład, nałożyć pancerz, pobrać karabin ze zbrojowni i sprawdzić, czy będą mieli dość jaj, by zrobić cokolwiek, gdy postanowię przez nich przejść. Uciekinierom czekającym na nasz powrót na Nowym Svalbardzie z każdym dniem kurczyły się zapasy, a tymczasem musieliśmy bawić się w protokolarne gierki z kimś, kto tu rządził.

– Sierżant sztabowy Grayson ma się zgłosić do mesy dla podoficerów. Powtarzam: sierżant sztabowy Grayson ma się zgłosić do mesy dla podoficerów.

Usłyszawszy swoje nazwisko w okrętowym radiowęźle, poczułem ukłucie niepokoju. Wyciągnąłem OTI z kieszeni na nogawce i znów spojrzałem na ekran. Tak blisko stacji Niepodległość powinienem dysponować nieograniczonym dostępem do MilNetu z pełną prędkością sieci, jednak próby synchronizacji wciąż kończyły się komunikatem o błędzie. Bywałem już celowo odcinany od wojskowej sieci, ale tym razem było inaczej, zupełnie jakby cały MilNet był przeciążony.

– Muszę iść – powiedziałem do Philbricka. – Lepiej uważaj. Dzieje się tu jakieś niezłe gównno.

– Mam to samo wrażenie – odparł sierżant sztabowy. – Odkąd zadokowaliśmy, nie przerywamy łączności na kanale oddziału. Też uważaj na siebie.

– Chodź, Dmitrij – odezwałem się. – Muszę cię zostawić w kajucie, zanim tam zejdziesz.

Rosjanin wzruszył ramionami i podążył za mną.

Zostawiliśmy żołnierzy PK przy wejściu i ruszyliśmy korytarzem w stronę

windy. Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie zawrócić i nie poprosić Philbricka o broń ręczną. Byłem wyczerpany i zaniepokojony. Nigdy nie czułem się mniej przygotowany na nadciągające kłopoty.

Rozdział 10

Najtwardszy ziomek na dzielni

Przeszedłem przez właz do mesy podoficerskiej, pomieszczenie było niemal puste, nie licząc dwóch nieznanymi siedzących przy stoliku najbliżej kontuaru, z za którego wydawano dania. Jeden z nich, cywil, miał okrągłą twarz, łysiejącą głowę i staroświeckie okulary. Wszystko aż w nim krzychało: „urzędnik”. Nosił niebieski kombinezon, podobnie jak każdy cywil na stacjach, ale wyglądał on tak, jakby został dopiero co wydany. Pod spodem dostrzegłem ciemnoczerwony strój z wysokim kołnierzem, dość modny wśród ziemskich pracowników rządowych i prezenterów wiadomości.

Obok niego siedział oficer niemający w sobie nic z urzędnika. Miał na sobie standardowy mundur roboczy floty w nowym niebiesko-szarym wzorze kamuflażu, wprowadzonym dopiero w zeszłym roku. Na barkach zauważyłem pagony majora: srebrny dębowy wieniec z jedną czteroramienną gwiazdką w środku. Naszywka na piersi głosiła, że mężczyzna nazywa się Carter. Gdy wszedłem do pomieszczenia, przyjrzał mi się surowymi szarymi oczyma i natychmiast poczułem do niego niechęć. Stałem przy stoliku nieznanymi i wykonałem salut, który przy minimalnie większej niedbałości zahaczałby o niesubordynację. Ci ludzie byli intruzami na okręcie. Nie należeli do załogi, z którą przez ostatni miesiąc ryzykowałem życie, i nie podobało mi się, że tak się rozpanoszyli w jedynym miejscu na pokładzie, gdzie podoficerowie mogli od czasu do czasu zrelaksować się oraz porozmawiać.

– Sierżant sztabowy Grayson zgłasza się na rozkaz – powiedziałem do majora, zupełnie ignorując cywila. Oficer podbródkiem wskazał puste krzesło.

– Spocznijcie, sierżancie.

Usiadłem i przyglądałem się mundurowi majora, podczas gdy cywil stukał w ekran tabletu. Technicznie rzecz biorąc, uniform wydawał się w porządku: czysty, roboczy strój wojskowy z prawidłowymi oznaczeniami na ramionach, granatowy beret floty wsunięty pod lewy pagon, wszystko odprasowane i zgodne z regulaminem. Nad kieszenią na prawej piersi widziałem jednak tylko naszywkę z nazwiskiem. Żadnej odznaki specjalizacyjnej, żadnych skrzydełek za desant bojowy, nic, co pozwoliłoby mi odgadnąć przydział majora we flocie. Na ramionach, gdzie powinny się znajdować naszywki jednostki i formacji, widziałem jedynie puste pola. Siedzący przede mną oficer nie wyróżniał się zupełnie niczym.

– To spotkanie jest objęte klauzulą tajności – oznajmił cywil bez żadnego wstępu czy przedstawienia się. – Nie wolno panu dzielić się szczegółami naszej rozmowy z kimkolwiek, kto nie przebywa obecnie w tym pomieszczeniu. Zanim

zaczniemy, proszę położyć swój OTI na stole.

– Czy mogę spytać, kim pan jest? – spytałem cywila. – Nie widzę naszywki z nazwiskiem ani oznaczeń stopnia.

– Połóżcie OTI na stole zgodnie z poleceniem – rzekł major. – Moje oznaczenia stopnia widzicie, prawda?

– Widzę – potwierdziłem. – I nie wiem również, kim pan jest, sir. Do jakiego rodzaju sił floty pan należy? Nie zauważyłem naszywki jednostki.

Major popatrzył na mnie i błysnął krótkim, pozbawionym wesołości uśmiechem.

– Logistyka – odparł. – Ale to nie dla mnie powinniście być mili, tylko dla tamtego dżentelmena.

Nie podnosząc wzroku znad tabletu, cywil wyciągnął z kombinezonu futerał, otworzył go i mignął holograficzną odznaką oraz legitymacją.

– Agent specjalny Green ze Służby Bezpieczeństwa Wspólnoty. Proszę wykonywać moje prośby bez ociągania, inaczej sytuacja zrobi się nieprzyjemna.

Spojrzałem na jego dokumenty. Nigdy dotąd nie widziałem odznaki SBW, równie dobrze mógł mi więc pokazać kupon zakupowy wydany dla urzędnika rządowego z Halifax, ale legitymacja wyglądała na autentyczną.

– SBW to agencja cywilna. To okręt wojskowy. Nie ma pan tu jurysdykcji. Jeśli ma pan do mnie jakąś sprawę, powinienem rozmawiać z profosem lub Biurem Śledczym Floty.

Agent Green wymienił spojrzenia z majorem Carterem i uśmiechnął się nieznacznie.

– O rany – powiedział. – Kolejny domorosły prawnik. – Wskazał podbródkiem najbliższą gródź. – Dokujecie przy stacji Niepodległość, która jest placówką cywilną. Mogę pana zapewnić, że mamy jurysdykcję w obiektach cywilnych. Nie wezwałem tu jednak pana po to, by debatować o aspektach prawa Wspólnoty z żołnierzem rangi E-6. – Spojrzał znów na swój tablet i przerzucił palcem kilka ekranów. – Sierżancie Grayson, czy miał pan na sobie pancerz, gdy „Indianapolis” podchodził do asysty grawitacyjnej wokół Marsa?

– Cóż, zastanówmy się – odrzekłem. – Podchodziliśmy do perycentrum przy planecie zajętej przez Dryblasów, tuż obok kilku ich okrętów nasiennych. Oczywiście, że miałem na sobie pancerz. Wszyscy znajdowali się w kombinezonach próżniowych.

– Wystarczyłoby tak lub nie, sierżancie Grayson. – Green znów podniósł wzrok znad urządzenia i spojrzał kpiąco. – Proszę przyjąć założenie, że nie musi robić pan na mnie wrażenia swoim intelektem ani nieustępliwością.

– Nie czuję potrzeby, by robić na panu wrażenie – odparłem. – Jestem tylko zwykłym żołnierzem rangi E-6, sam pan na to zwrócił uwagę. Dlaczego pan ze mną teraz rozmawia? Właśnie minęliśmy blokadę wokół Marsa. Dryfuje tam setka wraków. Czy dowódca powiedział panu, że trzydzieści tysięcy osób czeka, aż wrócimy do Fomalhaut i wskażemy im drogę do domu?

– Fomalhaut – powtórzył agent. – Tak, czytałem logi. Właśnie dlatego pan tu siedzi.

Znów zerknął na tablet. Powstrzymałem nagłą ochotę, by wyrwać mu go z rąk i wepchnąć w gardło. Zniszczono setkę okrętów, na Marsie zginęły miliony ludzi, dziesiątki tysięcy czekały na wieści na Nowym Svalbardzie. Dlaczego teraz marnowaliśmy czas na te bzdury?

– Uczestniczył pan w przeprowadzonym w dobrej wierze buncie na Nowym Svalbardzie. Sprzeciwił się pan bezpośrednim rozkazom dowódcy zespołu zadaniowego i brał udział w walce z sojusznicznymi żołnierzami. Wciąż zapoznaje się ze szczegółami, ale z tego, co widzę, już zebrało się panu na dwadzieścia pięć lat w Leavenworth, sierżancie Grayson.

– Te rozkazy były niezgodne z prawem – rzekłem.

– Ich ocena nie należała do pana. Jest pan E-6. Żołnierzem liniowym, nie wojskowym prawnikiem.

– Ocena należała do mnie – odparłem. – Pierwszą rzeczą, jakiej uczą w szkole podoficerskiej, jest, aby nigdy nie wydawać rozkazu, jeśli się wie, że nie zostanie on wykonany. Drugą, że jesteśmy uprawnieni do odmówienia wykonania nielegalnych rozkazów. Dowódca zespołu zadaniowego nie miał prawa wykorzystywać nas do zajęcia siłą zasobów cywilnych.

– Pamiętajcie, by wspomnieć o tym podczas sądu wojskowego – wtrącił major Carter.

– Tak zrobię – powiedziałem. – Nie zapomnę również o tym, że wygnaliście z Ziemi dwa bataliony i skierowaliście je do kolonii niemal pozbawionej zasobów, po czym wyłączyliście sieć Alcubierre’a.

Agent Green kolejny raz zaprezentował swój uśmieszek.

– Dwa bataliony – rzucił, przedrzeźniając mój ton. – Pięć tysięcy żołnierzy.

– I koloniści.

– I koloniści – odparł. – Proszę powiedzieć jeszcze raz, ile osób żyje na tej zamrożonej kuli gówna?

– Dziesięć, może piętnaście tysięcy – podsunął major Carter. – To dość nowa kolonia. Ma najwyżej dziesięć lat.

– Zatem maksymalnie dwadzieścia tysięcy ludzi. – Green westchnął. – Z czego ćwierć to niesubordynowani wichrzyciele uważający, że ich przysięga to raczej luźna sugestia.

– A pozostałe trzy czwarte to cywile.

Agent znów westchnął i położył tablet na stole przed sobą.

– Czy wie pan, sierżancie, ilu cywilów zginęło w koloniach zajętych przez Dryblasów? – spytał.

– Mam ogólne pojęcie – odparłem. – Przez cztery lata brałem udział w desantach bojowych. Widziałem zdecydowanie za dużo ciał.

– Osiemset pięćdziesiąt tysięcy – oznajmił cywil. – Plus minus kilkadziesiąt tysięcy. I są to wyliczenia sprzed dwóch miesięcy. Po Marsie mówimy o dwudziestu, może dwudziestu jeden milionach. Ale wie pan co? Ta liczba to mały pikuś w porównaniu z tym, ilu ludzi zginie, gdy Dryblasy pojawią się na orbicie Ziemi.

Popatrzyłem na ziemskiego urzędasza w jego schludnym stroju pod

pożyczonym kombinezonem, z legitymacją w kieszeni i tabletem na stole.

– Mamy kilka tygodni – oznajmiłem. – Może parę miesięcy. Przestrzeń pomiędzy Marsem a pasem asteroid patroluje dwanaście okrętów Dryblasów. Gdy skończą zasiedlać Marsa, skierują się tutaj. W obecnej sytuacji Leavenworth nie będzie chyba moim największym problemem.

– No proszę, jest z pana najtwardszy ziomek na dzielni – odrzekł agent Green. – Oczywiście zrobiło to na mnie stosowne wrażenie. Gdzie znajduje się pańska kajuta, sierżancie?

– Nie wiem, jak to się mogło stać, ale w tej chwili nie pamiętam. Może przypomnę sobie, gdy zostanie tu sprowadzony wojskowy prawnik. Chyba nie powinienem już nic więcej mówić.

Agent pokręcił głową, a na jego twarzy pojawił się wyraz poirytowania. Po chwili znów podniósł tablet i stuknął w ekran.

– Niech profos odnajdzie i otworzy kajutę sierżanta sztabowego Graysona. Następnie zabezpieczy moduł danych z jego pancerza i zgłosi się do kołnierza dokującego. Ponadto niech przejmie jeńca z ZCR.

– To nie jest jeniec – przerwałem. – Jest członkiem z zespołu zadaniowego Związku, z którym połączyliśmy siły w Fomalhaut. Wydawało mi się, że wypytaliście dowódcę?

– A mnie się wydawało, że nie będzie już pan nic mówił bez prawnika wojskowego – zripostował Green.

– Potrzebujemy Rosjanina, aby wrócić przez węzeł Związku do Fomalhaut. Dysponuje kodami dostępowymi.

– Ten okręt donikąd się obecnie nie wybiera, sierżancie. Gdy rozwikłamy sprawy osobowe, „Indianapolis” dołączy do ziemskich sił obronnych. Być może zauważył pan, że straciliśmy ostatnio parę jednostek.

– Jeśli nie wrócimy do Fomalhaut, zginie trzydzieści tysięcy ludzi – powiedziałem. – Czekają, aż wrócimy i wskażemy im drogę powrotną. Po to tu przylecieliśmy. Wykonujemy misję zwiadowczą dla zespołu zadaniowego liczącego kilkanaście okrętów. Nie zdołają przejść przez komin bez informacji od nas. Co się z wami dzieje?

– Jeśli wrócić do Fomalhaut, zginą miliardy – odparł Green. – I tak zresztą nie zdołalibyście wrócić. To niesamowite, że udało się wam w tę stronę. – Odsunął krzesło od stołu i spojrzał na majora Cartera. – Zbieramy rzeczy i idziemy z tej łajby. Proszę wezwać policjantów, aby zabrali sierżanta Graysona do aresztu.

Nie wiedziałem dlaczego, ale postanowili nie pozwolić nam odlecieć, a ja nie mogłem opuścić okrętu i skontaktować się z Halley lub kimkolwiek innym. Z jakiegoś powodu chcieli nas uciszyć. Jeśli zamierzali zastąpić dowództwo i przejąć jednostkę, oznaczało to, że ryzykowaliśmy życie na próżno, a Fallon i wszyscy pozostali na Nowym Svalbardzie mieli umrzeć w ciągu kilku miesięcy.

Popatrzyłem na agenta Greena. Odwzajemnił moje spojrzenie z pewnym siebie uśmiechem, który natychmiast wywołał we mnie furję. Może i miał swoje priorytety, ale nie przejmował się tym, że jeśli postawi na swoim, moi przyjaciele zginą. Uznałem, że skoro i tak wyląduję w brygu na ostatnie chwile ludzkości,

mogę chociaż spuścić facetowi manto i zmasać ten uśmieszek z urzędniczej gęby. W końcu i tak nie miałem już wiele do stracenia.

Pękła bańka ledwo powstrzymywanej wściekłości, która nabrzmiwała tuż pod powierzchnią mojej świadomości, i pozwoliłem, by złość przejęła nade mną kontrolę. Złapałem swój OTI i cisnąłem nim w agenta. Dostrzegł to i uniósł własny tablet, by odbić mój rzut, ale spóźnił się zaledwie o ułamek sekundy. Twarda polimerowa obudowa urządzenia trafiła go prosto w nasadę nosa. Zaskowyczał i upuścił tablet, który wylądował na stole z tępym brzękiem.

Major wstawał już z krzesła, gdy rzuciłem się przez stół. Złapałem go za przód bluzy mundurowej i szarpnąłem mocno. Zaparł się z całej siły, by nie dać się przeciągnąć po blacie. Odczekałem pół sekundy i zamieniłem ciągnięcie na pchnięcie, puszczając bluzę i uderzając oficera oburącz w pierś. Poleciał prosto na znajdujący się tuż za nim kontuar, po czym upadł na podłogę, wymachując kończynami.

– Policja do mesy dla podoficerów! – krzyknął Green. Z nosa lała mu się krew. Odstąpił o krok, gdy obszedłem stół. Kiedy znalazłem się wystarczająco blisko, cofnął rękę i zaskakująco wprawnie wyprowadził lewy prosty w mój policzek. Byłem tak napompowany gniewem i adrenaliną, że ledwo poczułem trafienie. Odpowiedziałem własnym lewym prostym, który zablokował przedramieniem. Następnie uderzyłem prawym, wkładając w cios cały ciężar i siłę. Ugodziłem go pięścią w nos, niemal w to samo miejsce, w które przed chwilą oberwał moim OTI. Upadł, wydając zduszone stęknienie.

Za sobą usłyszałem charakterystyczny odgłos odciąganego zamka pistoletu. Obróciłem się i ujrzałem, że major Carter celuje do mnie jedną dłonią ze sponiewieranej pozycji na podłodze. Lufa broni drżała całkiem mocno, ale na tym dystansie nie musiał być dobrym strzelcem. Wystarczyłoby mu szczęście i trzydzieści nabojów w magazynku.

– Rusz się choć o centymetr – powiedział. – Proszę.

Zamarłem w miejscu i odsunąłem dłonie od ciała, po czym bardzo powoli obróciłem się bokiem, prezentując sobą jak najmniejszy cel.

– Jesteś z logistyki – rzekłem. – I chodzisz z pustą komorą.

Za nami otworzył się z trzaskiem właz do mesy, do środka wpadło czterech cywilnych policjantów, celując z broni ochrony osobistej. Na prawo ode mnie agent Green usiadł, stękając cicho. Zasłaniał dłonią twarz, spod palców sączyła się krew.

– Skujcie tego dupka – polecił przytłumionym głosem.

Celowało we mnie pięć luf, starałem się więc jak mogłem, by udawać element wyposażenia. Policjanci otoczyli mnie i jeden z nich wymierzył mi broń w głowę.

– Łapy do tyłu. Rusz się, to ci łeb odstrzele.

Wykonałem polecenie i przełożyłem dłonie za plecy. Ktoś inny złapał mnie natychmiast za mundur i brutalnie szarpnął. Poczułem twarde plastik elastycznych kajdanek zaciskanych na nadgarstkach.

Green wstał z podłogi i wyprostował się. Grzbietem dłoni otarł sobie krew z twarzy. Przód jego wypożyczonego kombinezonu oraz wysoki kołnierzyk

znajdującego się pod spodem stroju znaczyły czerwone plamy. Spojrzał na mnie przymrużonymi oczyma, po czym podszedł bliżej. Bez słowa wziął zamach i uderzył mnie w twarz pięścią, trafiając w policzek i sprawiając, że zobaczyłem gwiazdy. Ugięły się podę mną kolana, lecz gliniarze nie pozwolili mi upaść. Agent cofnął się o krok i obserwował, jak się chwieję. Twarz zdrętwiała mi z jednej strony, lecz wiedziałem, że za chwilę to otępienie przerodzi się w pulsujący ból.

– Najtwardszy ziomek na dzielni, co? – rzuciłem.

Nawet nie próbował zaskoczyć mnie kolejnym ciosem. Zamachnął się szerokim łukiem i uderzył pięścią w nasadę nosa, w to samo miejsce, gdzie ja go niedawno trafiłem. Tym razem przed oczyma zrobiło mi się najpierw czerwono, później czarno. Nagły ostry ból w czaszce powiedział mi, że mam złamany nos. Poleciałem do tyłu, a policjanci puścili mnie i pozwolili upaść na podłogę. Ciepła krew spłynęła mi po górnej wardze do ust, zakrztusiłem się. Agent Green potrafił solidnie przyłożyć, jak na urzędasę.

– Teraz jesteście kwita – oznajmił.

Otworzyłem oczy i podniosłem na niego wzrok. Otarł zakrwawiony nos o rękaw kombinezonu, zostawiając na materiale ciemnoczerwoną smugę.

– Proszę zabrać stąd sierżanta sztabowego Graysona i zaprowadzić do aresztu w sekcji Fokstrot. Jeśli znów spróbuje bawić się w twardziela, strzelcie mu w kręgosłup i zostawcie robotom sprząającym.

Policjanci powlekli mnie korytarzami „Indy’ego” i przez kołnierz dokujący. Dwóch szło z tyłu z bronią przewieszoną przez pierś, pozostała dwójka zaś po moich bokach, prowadząc mnie za ramiona. Gdy dotarliśmy do głównej służy, sierżant sztabowy Philbrick i kapral DeLuca nie stali już na swoich stanowiskach. Zamiast nich z obu stron łącznika pilnowało po dwóch cywilnych policjantów.

W giętym tunelu łączącym „Indy’ego” ze stacją uświadomiłem sobie, że być może już nigdy nie wejść na jego pokład. Nie zostawiłem w kajucie żadnych rzeczy osobistych, ale z ludźmi z tego okrętu żyłem i mieszkalem od kilku pełnych napięcia miesięcy. Niemożność pożegnania się z nimi, gdy wyciągano mnie niczym worek ze śmieciami, bolała bardziej niż złamany nos czy spuchnięty i obolały policzek.

Korytarze sekcji Fokstrot były niemal opuszczone. Kręciło się po nich paru cywilnych techników, lecz omijali nas szerokim łukiem. Nigdy nie widziałem takich pustek na stacji kosmicznej. Wrażenie pogłębiał jeszcze fakt, że Niepodległość była większa i przestronniejsza niż Węzłowa, zawsze aż po grodzie wypełniona towarami i żołnierzami transferowanymi z jednego punktu do drugiego. Ze wszystkiego, czego doświadczyłem, odkąd Dryblasy pojawili się w Układzie Słonecznym, widok jednej z dwóch największych orbitalnych placówek WPA niemal pozbawionej ludzi wywoływał chyba najbardziej apokaliptyczne wrażenie.

Policjanci przeprowadzili mnie przez całą sekcję Fokstrot, co oznaczało długi marsz centralnym korytarzem. Na głównym skrzyżowaniu łączącym sekcję

z zasadniczą częścią stacji w pobliżu szerokiej śluzy znajdował się posterunek sił bezpieczeństwa. Dowódca gliniarzy machnął identyfikatorem przed drzwiami. W środku było biurko i kolejnych dwóch policjantów, tym razem w standardowych czarnych mundurach i z bronią ręczną.

Eskortujący mnie funkcjonariusze kazali mi usiąść. Jeden z nich przejechał po moim ciele skanerem.

– Czysty. Dajcie mu coś do nosa. Zakrwawi cały areszt.

Któryś policjant rozkuł mi jedną dłoń, inny wyciągnął zza biurka rolkę bandaża i rzucił w moim kierunku. Złapałem go i przyłożyłem do nosa. Krew na twarzy już zdążyła porządnie skrzepnąć, próby usunięcia kleistej masy zakończyły się więc umiarkowanym powodzeniem. Nos bolał jak diabli, podobnie głowa, ale nie chciałem prosić gliniarzy o środki przeciwbólowe. W ogóle o nic nie chciałem ich prosić. Za bardzo przypominała mi się niepotrzebna brutalność funkcjonariuszy prewencji, których spotkałem przed kilkoma miesiącami podczas pobytu na Ziemi.

– Zamierzam zdjąć ci do końca kajdanki – oznajmił policjant po mojej prawej. – Żadnych wygłupów, inaczej krwawiący nos stanie się najmniejszym z twoich problemów. Zrozumiano?

– Zrozumiano – odparłem.

Gliniarz rozpiął kajdanki, wcześniej zaciśnięte tak mocno, że zostawiły mi na nadgarstkach głębokie czerwone ślady.

– Tędy – powiedział. – I spokojnie.

Poprowadził mnie do drzwi na tyłach posterunku i otworzył je identyfikatorem. Weszliśmy do aresztu, czyli kwadratowego pomieszczenia o boku jakichś pięciu metrów, wzdłuż ścian którego znajdowały się przynitowane do podłogi ławki z nierdzewnej stali. W rogu umieszczono toaletę, a na jednej ze ścian, pod sufitem – holoe Kran z wyciszonym dźwiękiem, nastawiony na sieciowizyjną stację informacyjną.

– Usiądź i odpocznij chwilę, zanim przyjdą po ciebie żandarmi.

– Odpocznij – powtórzyłem. Kłęb bandaża, który przyciskałem do twarzy, był teraz zabarwiony na różne odcienie czerwieni, a głowa bolała mnie tak, że aż łzawiły oczy. – Tak właśnie zrobię. Dzięki.

Gliniarz wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Położyłem się na ławce. Przez pięć lat służby nie trafiłem do aresztu, ale wyglądało na to, że teraz będę musiał przyzwyczaić się do takich warunków.

Zamknąłem oczy i próbowałem na tyle zignorować ból, by się zdrzemnąć. Bez większych rezultatów.



Niedługo później drzwi znów się otworzyły. Usiadłem, spodziewając się żandarmerii wojskowej, która zawlecze mnie na prom udający się do aresztu floty w Norfolk. Do środka wszedł jednak cywilny policjant, a za nim Dmitrij i pułkownik Campbell.

– Usiądźcie, panowie – polecił gliniarz.

Pułkownik skinął mi głową i spoczął na ławce naprzeciwko.

Dmitrij roztarł nadgarstki, rozejrzał się po pomieszczeniu, po czym spojrzał na mnie i pokręcił lekko głową.

– Andrew, przyjacielu – powiedział – wyglądasz fatalnie. Czy znowu masz jakieś nie za dobre pomysły?

– *Iz ognia da w połyimia* – zgodziłem się.

Rozdział 11

Ja tylko wykonuję rozkazy

Co panu przyszło do głowy, żeby wszczynać bójkę z tymi dupkami z SBW? – spytał pułkownik Campbell.

Znów leżałem na ławce, ponieważ w ten sposób łatwiej mi było utrzymać krew w głowie. Dmitrij siedział z założonymi rękoma pod czystą białą ścianą, z lekko znudzoną miną oglądając wyciszone wiadomości. Pułkownik przechadzał się po ograniczonej wolnej przestrzeni, trzymając dłonie w kieszeniach spodni mundurowych.

– Sam nie wiem – przyznałem. – Chyba uznałem, że skoro i tak mają mnie zawlec do aresztu, to przynajmniej trochę to sobie osłodzę.

– Myślę, że w ogólnym rozrachunku nie ma to większego znaczenia. Ma pan jednak szczęście, że nie naszpikowali pana fleszetami.

– Ten major był bardzo bliski pociągnięcia za spust – odrzekłem. – Ale nie mogłem się powstrzymać. Powiedziałem agentowi SBW, że musimy wrócić do Fomalhaut, inaczej trzydzieści tysięcy ludzi zginie. A on tylko wzruszył ramionami, jakby mówił: „No szkoda”.

Usiadłem ze stęknieniem i popatrzyłem na trzymany w dłoni bandaż. Przynajmniej przestałem krwawić z nosa, ale głowa wciąż bolała.

– Nie pozwolą nam odlecieć – powiedziałem.

– Przecież wiem – odparł pułkownik Campbell. – Zostałem pozbawiony dowodzenia. Wymienią szefów działów i starszy personel, a później wcielą „Indy’ego” do resztek floty stacjonujących wokół Ziemi.

– To głupota. „Indy” jest uszkodzony. Na gównu się zda, gdy zjawią się Dryblasy. Bez urazy, panie pułkowniku.

– Nie uraził mnie pan. I ma pan słuszość. Okręt potrzebuje miesiąca w stoczni, a załoga sześciu tygodni urlopu, aby wrócić do formy bojowej. – Wygladził bluzę i usiadł naprzeciwko mnie. – Wszystko to jest nie w porządku. Do aresztowania buntowników nie wysyła się cywilnych gliniarzy, tylko żandarmerię wojskową. Co robi agent SBW na okręcie wojennym? I czemu ma służyć wtrącenie tu razem z nami sierżanta Czistiakowa? To wyraźne naruszenie postanowień traktatu. Powinien zostać wsadzony na prom i przewieziony na stację Jedność.

– Z tym majorem, który towarzyszył agentowi SBW, też było coś nie tak – rzekłem. – Nie miał symbolu jednostki ani specjalizacji, tylko naszywkę z nazwiskiem i oznaczenie stopnia.

– Zauważyłem to – odpowiedział Campbell. – Nic się nie zgadza, odkąd nawiązaliśmy kontakt z perymetrem. Pozbawili „Indy’ego” wszelkiej łączności. Pełna cisza radiowa. Możemy rozmawiać jedynie ze stacją za pośrednictwem

kabla.

– To wyjaśnia, dlaczego mój OTI nie mógł połączyć się z MilNetem. – Chciałem wyrzucić zakrwawiony bandaż, ale w pomieszczeniu nie było kosza na śmieci, więc niechętnie go trzymałem.

– Zablokowali nas – uznał pułkownik. – Pilnują, żebyśmy z nikim nie rozmawiali.

– O czym? O Fomalhaut? Albo Marsie? Sądzi pan, że trzymają w sekrecie, co wydarzyło się na Marsie?

– Nie wydaje mi się, by to było możliwe – odparł. – Takie wydarzenie w takiej bliskości Ziemi? Przecież są ludzie, którzy codziennie dzwoniли do krewnych na Marsie. Zapewne wiedzieli o inwazji jakieś dwanaście i pół minuty po tym, jak pierwszy okręt Dryblasów pojawił się tam na orbicie.

– Zatem po co jesteśmy izolowani?

– Sam chciałbym wiedzieć – przyznał pułkownik. – Ale jeśli „Indy” nie odleci w ciągu trzech dni i nie wróci na Fomalhaut..

Nie dokończył zdania, lecz wiedziałem, co miał na myśli. Nawet bez Dryblasów koloniści i żołnierze stłoczeni na małym lodowym księżycu nie mogli przeżyć nadchodzącej ciężkiej zimy. Gdy dorastałem, często bywałem głodny, i wiedziałem, że człowiek jest zdolny zrobić naprawdę dużo dla paru dodatkowych kalorii, kiedy głód przegryza się przez żebra. Z pewnością wolałbym walczyć z Dryblasami, niż umierać w podziemnym mieście, z temperaturą na zewnątrz tak niską, że natychmiast zamrażała odsłonięte ciało.

– Może spróbujesz zwiać? – Dmitrij odezwał się sennie ze swego rogu. – To może być następny nie za dobry pomysł. Jest szansa, że tym razem cię trafią.

– Nie zamierzam walczyć wręcz ze zgrają opancerzonych gliniarzy – powiedziałem. – Jednak to nie ja jestem potrzebny, żeby udało nam się wrócić na „Indy’ego”, tylko ty.

Dmitrij uniósł brew i oderwał wzrok od ekranu sieciowizji.

– Jak to?

– Bez kodów dostępowych do węzła Alcubierre’a „Indy” nie zdoła wrócić do Fomalhaut. Na pewno nie pozwolą nam skorzystać z węzła Wspólnoty. Musimy wrócić, skąd przybyliśmy.

– Gdzie jest pański pancierz, sierżancie Czistiakow? – spytał pułkownik Campbell.

– W kajucie na tym waszym szpiegowskim okręcie. Gdy po mnie przyszli, nie pytali o pancierz, a ja uznałem, że nie będę im przypominać.

– Gdyby jednak sobie przypomnieli i spytali, proszę im powiedzieć, że na okres podróży daliśmy panu jeden z naszych skafandrów próżniowych – rzekł pułkownik. – Tak na wszelki wypadek.

– Jaki wypadek? – zapytałem. – Major Renner sama wykradnie „Indy’ego” z doku i ucieknie do Fomalhaut?

Campbell oparł się z westchnieniem o ścianę i wyciągnął nogi.

– Wymieniają całą kadrę dowódczą – rzekł. – Major Renner kieruje łajbą tylko do przekazania jej nowemu dowódcy i pierwszemu oficerowi. „Indy” donikąd

teraz nie poleci.

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się krótko, w wyniku czego w ostrym diodowym świetle zmarszczki w kącikach jego oczu wydawały się pogłębiać.

– Nigdy jednak nie wiadomo, co może się wydarzyć w wyniku pośpiechu, panie Grayson.

Nie musieliśmy długo czekać. Jakies pół godziny po tym, jak pułkownik i Dmitrij dołączyli do mnie w areszcie, drzwi znów się otworzyły i jeden z gliniarzy wsunął głowę do środka.

– Wstawać – powiedział. – Przyszła po was żandarmeria.

Podnieśliśmy się zgodnie z poleceniem. Dmitrij ziewnął i przeciągnął się. Wciąż wyglądał, jakby nasza trudna sytuacja nudziła go na śmierć, ale dostrzegłem, że szybkim spojrzeniem ocenił policjanta w wejściu. Pułkownik wydawał się po prostu wkurzony.

Funkcjonariusz odsunął się od drzwi i do środka weszło czterech żandarmów wojskowych. Jeden stanął przy drzwiach z dłonią na kaburze z bronią krótką. Pozostali trzej podeszli do każdego z nas.

– Idziemy, chłopaki – odezwał się ten przy drzwiach, z insygniami sierżanta. Drugi miał stopień kaprała, a reszta starszych szeregowych.

– Nie jestem „chłopakiem” – odrzekł pułkownik Campbell. – Jestem pułkownikiem i dowódcą okrętu floty. Gównu mnie obchodzi, kto was przysłał ani dokąd nas zabieracie, ale macie zwracać się do mnie „sir”. – A potem wskazał na mnie i Dmitrija. – A tak poza tym to każdy z nas przewyższa stopniem każdego z was.

– W areszcie stopień nie ma znaczenia – zripostował sierżant żandarmerii. – Sir – dodał po chwili.

Żandarmi zapięli nam kajdanki na nadgarstkach. Gdy podeszli do Dmitrija, napiął lekko mięśnie barków i skuwający go szeregowy odruchowo cofnął się o krok. Sierżant przy drzwiach złapał mocniej pistolet.

– Buu! – odezwał się Rosjanin. Wyszczrzył się w moją stronę i nie potrafiłem nie odwzajemnić uśmiechu. Teoretycznie był moim wrogiem i jeszcze dwa miesiące temu moglibyśmy stanąć naprzeciwko siebie na polu bitwy, jednak go polubiłem. Poza tym sądziłem, że mógł być lekko zwariowany, a może po prostu jeszcze nie przywykłem do zachowania Rosjan.

– Jakie właściwie otrzymał pan rozkazy, sierżancie? – spytał pułkownik.

– Mam doprowadzić was do promu i dostarczyć do aresztu w Norfolk. Tam będziecie mogli rozmawiać o kwestiach prawnych. Jestem tylko sierżantem. Sir.

Campbell skinął głową w stronę drzwi.

– Nie traćmy zatem czasu. Pan przodem, sierżancie.

Po wyjściu z posterunku poprowadzili nas przez dużą śluzę oddzielającą sekcję

Fokstrot od reszty stacji. W głównej części Niepodległości panował nieco większy ruch. Cywilni technicy i piloci promów zajmujący się swoimi sprawami odprowadzali wzrokiem naszą grupkę składającą się ze skutych dwóch marynarzy floty i jednego podoficera ZCR, eskortowanych przez czterech umundurowanych żandarmów.

Uszliśmy jakieś sto metrów, gdy konwój skierował się w inny korytarz na prawo.

– Sekcja Echo – oznajmił sierżant. – Idziemy tędy.

– Wiecie, że sierżant Czistiakow nie podlega kodeksowi postępowania wojskowego, prawda? – odezwałem się. – Nie jest jeńcem wojennym. Związek się wkurzy, gdy się dowie, że podeptaliście traktat.

– Związek może mnie pocałować w środek dupy – odparł sierżant. – Ja tylko wykonuję rozkazy. Nie mój cyrk, nie moje małpy.

– Jeśli nazwiesz mnie małpą, to wyrwę ci zza pasa tę elektryczną pałkę i wsadzę w grube dupsko – odparł spokojnie Dmitrij.

Dowódca żandarmów zatrzymał się i odwrócił do Rosjanina, który spoglądał na niego z beztroskim uśmiechem na twarzy.

– A jeśli ty się nie zamkniesz i nie będziesz szedł spokojnie, kacapie, to wyrzucę twoją dupę przez najbliższą śluzę.

Spiąłem się, przygotowany do szarpaniny, która mogła się rozpocząć w każdej chwili. Byliśmy skuci i nieuzbrojeni, ale mogłem się założyć, że przynajmniej powaliłbym tego chełpliwego gnojka na ziemię, zanim obezwładniliby nas paralizatorami.

Za nami, z głównej części stacji, dobiegły odgłosy niewielkiego zamieszania. Usłyszałem za rogiem dudnienie opancerzonych butów na gumowanej podłodze. Odwróciliśmy się w stronę śluzy, przez którą dopiero przeszliśmy.

Dwóch żołnierzy PK w pełnych pancerzach bojowych wyłoniło się z narożnika i wycelowało w nas karabiny – a konkretniej w otaczających nas żandarmów. Lasery celownicze malowały zielone smugi na lekkich osłonach nałożonych na mundury naszej eskorty i wyglądających zupełnie nie na miejscu w porównaniu z tym, co mieli na sobie kosmiczni piechociarze.

– Łapy z dala od broni – zabrzmiał wzmocniony głos, w którym rozpoznałem sierżanta sztabowego Philbricka. – Odsunąć się od ludzi z floty i na kolana. Już.

Dmitrij odstąpił od eskortującego go żandarma, ten złapał go za kajdanki i próbował przyciągnąć z powrotem. Wówczas Rosjanin zmienił kierunek i odrzucił kaprała na bok barkiem. Żandarm był niemal o głowę wyższy i miał na sobie lekki pancerz, a jednak zatoczył się, jakby trafiły go otwierające się wrota śluzy.

Obok mnie sierżant żandarmerii wyciągnął pistolet z kabury na boku i uniósł go w stronę Dmitrija. Rosjanin dostrzegł sunącą ku niemu lufę i rzucił się naprzód, dzieliło ich jednak pięć metrów i nie było szans, by Dmitrij prześcignął palec trzymany przez żandarma na spuście. Znajdowałem się znacznie bliżej i zadziałałem odruchowo.

Skoczyłem na sierżanta i narzuciłem kajdanki na unoszoną przez niego broń.

Lewą dłonią trafiłem w górną część zamka pistoletu, w miejscu jego styku z lufą, i odepchnąłem na bok, z dala ode mnie i Dmitrija. Broń wypuściła trzypociskową serię, która tak blisko mojej twarzy zabrzmiała wyjątkowo głośno. W lewej dłoni poczułem nagły palący ból, przy którym ćmienie w głowie z ostatniej godziny wydawało się śmiechu warte. Krzyknąłem, próbowałem wzmocnić chwyt na pistolecie drugą ręką, ale palce zsunęły mi się ze śliskiego od krwi polimeru i upadłem na kolana. Wtedy znalazł się przy mnie Dmitrij, który wpadł na sierżanta żandarmerii i odrzucił go w tył. Spojrzałem w prawo i ujrzałem promienie dwóch laserów zbiegające się na napierśniku żandarma.

– RZUC BRONŃ! – zagrział maksymalnie wzmocniony głos Philbricka, tak głośno, że pobliska gródź zatrzęsała się od natężenia dźwięku.

Żandarm podniósł wzrok. Miał minę kojarzącą się ze spanikowanym, skruszonym dzieciakiem, który skrzywdził kogoś swoim psikusiem. Upuścił pistolet, który wylądował na podłodze z głuchym stukiem. Następnie podniósł ręce i wciągnął głowę głęboko między ramiona. Laserowe wskaźniki na jego piersi nawet nie drgnęły.

Pozostali żandarmi uznali, że zastygnięcie w miejscu będzie najrozsądniejszym posunięciem. Za Philbrickiem i drugim żołnierzem ze służby wyłoniło się dwóch kolejnych PK w pancerzach bojowych i z karabinami w gotowości.

– Ty pieprzony idioto – oznajmił sierżant Philbrick, gdy wszedł między nas i podniósł pistolet żandarma. – Zobacz, co narobiłeś. Nez, podaj mi pakiet ratunkowy.

– Tak jest, sierżancie. – Piechociarz stojący obok Philbricka opuścił karabin i sięgnął do kieszeni kryjącej zestaw medyczny.

Miałem wrażenie, jakby ktoś rozciął mi lewą dłoń siekierą. W rzeczywistości wcale nie wyglądała dużo lepiej. Przycisnąłem ją do piersi, spojrzałem, by ocenić szkody, i natychmiast tego pożałowałem. Brakowało dwóch palców. Tam, gdzie dotąd miałem palce mały i serdeczny, zostało jedynie spalone prochem, poszarpane mięso. Musiałem trzymać je tuż przed lufą i gazy wylotowe zadały równie poważne szkody, jak poprzedzające je trzy przeciwpancerne pociski. Bolało tak bardzo, że nie byłem w stanie wrzeszczeć, choć bardzo chciałem.

– Trzymaj się, Grayson.

Sierżant Philbrick wziął od kaprała Neza pakiet ratunkowy, zdarł osłonę zębami i przyłożył zestaw do mojej dłoni, litościwie ją zasłaniając. Ugniótł pakiet, formując go wokół zranionego obszaru. Poczułem natychmiastową ulgę, gdy koktajl zawarty w zestawie leków jednocześnie otepił ranę i wyzwolił szybko działający miejscowo środek przeciwbólowy.

– Skujcie tych dupków i idziemy – polecił Nezowi Philbrick. – Strzelanina przyciągnie na pewno uwagę i za chwilę drużyna taktyczna dorwie się nam do tyłków.

– Tak jest – odparł kapral Nez.

Żołnierze PK otoczyli żandarmów i użyli ich kajdanek, by spiąć ich ze sobą wokół jednego ze wsporników stacji. Piechociarze zabrali im całą broń, rozładowali i wrzucili do pobliskiego zsypu na odpadki.

– Ruszamy. Wracamy na koniec sekcji Fokstrot. Pójdę przodem. Nez, ty zabezpieczaj tyły. Niech Grayson i reszta idą między nami. Grayson, możesz iść?

– Tak – potwierdziłem. – Chodźmy.

Gdy przechodziliśmy przez służę do głównej części stacji, obejrzałem się na skutych żandarmów. Sierżant, który odstrzelił mi dwa palce, wpatrywał się jedynie w belkę przed sobą, jakby z obawy przed zemstą wciąż nie chciał napotkać niczyjego wzroku.

Ja tylko wykonuję rozkazy, pomyślałem. Czy od wieków ludzie nie próbują tak się rozgrzeszać?

Rozdział 12

Cała wstecz

O d sekcji Echo do służby na końcu sekcji Fokstrot mieliśmy sto metrów. Nie pokonaliśmy jeszcze połowy tej odległości, gdy nad naszymi głowami rozbrzmiał irytujący, świergotliwy alarm. Większość cywilów rozproszyła się już na widok uzbrojonych i opancerzonych żołnierzy PK w bojowym nastroju, byliśmy więc na tym odcinku niemal sami.

– To alarm bezpieczeństwa piątego stopnia. Do wszystkich, znaleźć schronienie i zabezpieczyć służbę.

Sierżant sztabowy Philbrick omiół lufą korytarz, by wbudowane w broń czujniki zidentyfikowały ewentualnych wrogów, po czym machnął na nas.

– Pięćdziesiąt metrów. Pospieszmy się.

Moja dłoń była teraz przyjemnie odrętwiała, środki przeciwbólowe zaczęły już działać, lecz wiedziałem, że nie minie wiele czasu, zanim ból wróci. Na razie biegłem za Philbrickiem obok Dmitrija oraz pułkownika Campbella, ciesząc się, że dzięki chemikaliom krążącym w moim krwiobieg mózgu nie jest świadom, iż powinien odczuwać dotkliwe cierpienie.

– Major Renner przesyła pozdrowienia! – zawołał sierżant przez ramię do pułkownika. – Rozgrzewa właśnie reaktor fuzyjny. Na okręcie zarządzono stanowiska bojowe.

– A co z tymi wszystkimi policjantami na pokładzie?

– Zajął się nimi trzeci oddział. Zostali rozbrojeni i zamknięci w magazynie na Fokstrocie.

Dotarliśmy do służby sekcji Fokstrot, czyli laminatowego wjazdu o szerokości sześciu metrów. Philbrick gestem kazał nam się zatrzymać, po czym machnął na Neza. W szybki i efektywny sposób wspólnie sprawdzili rozciągający się dalej korytarz.

– Czysto – oznajmił Philbrick. – Chodźmy. Drugi oddział, idziemy w waszą stronę. Przygotujcie się do wycofania na pokład.

Podczas drogi powrotnej na „Indy’ego” sekcja Fokstrot wydawała się trzykrotnie dłuższa, niż zapamiętałem, choć poruszaliśmy się teraz znacznie szybciej. Liczyłem mijane grodzie – pierwsza, druga, trzecia, czwarta, piąta... Gdy szedłem z okrętu, było ich dwadzieścia pięć.

Zanim sierżant Philbrick dotarł do grodzi numer sześć, z jej szczytu zjechała cicho służba, odcinając nam drogę do dalszej części.

– Kontakt z tyłu! – zawołał szeregowy zamykający nasz mały pochód. Dostrzegłem czerwone i zielone lasery celownicze odbijające się od ścian sekcji. Po chwili w korytarz z głównej części stacji wbiegli policjanci w granatowych

pancerzach.

– W róg! – rozkazał Philbrick. Opancerzonym barkiem popchnął Dmitrija i pułkownika w moim kierunku, ku belce wspornikowej tuż przed grodzią. Jego oddział rozwinął się w wachlarz i zajął pozycje strzeleckie, celując w stronę, z której przed chwilą przyszliśmy.

– Tu policja bezpieczeństwa! – zagrział wzmocniony głos. – Rzućcie broń, inaczej użyjemy śmiertelnych środków.

To niesamowite, ale kapral Nez zachichotał.

– Użyjemy śmiertelnych środków? – skomentował. – Kto tak mówi, do cholery?

– Nie zabijajcie nikogo, chyba że zostaniecie zmuszeni – nakazał Philbrick. – Jeśli oni strzelą pierwsi, odpowiemy ogniem.

Oslonięte miejsce między słupem a pobliską grodzią okazało się żałośnie małe. Byłem boleśnie świadom, że znalazłem się w zamkniętej przestrzeni z grupą żołnierzy, którzy zamierzali do siebie strzelać, a nie miałem na sobie pancerza.

– Strzeżcie Rosjanina – powiedziałem. – Jeśli polegnie, nikt nie zdoła wrócić do Fomalhaut.

Philbrick wyciągnął pistolet z kabury i podał mi rękojęcią do przodu.

– Rzucić broń! – dobiegło znów wołanie z korytarza.

– Nie ma szans! – odkrzyknął Philbrick. – Jeśli do nas strzelicie, zginiecie.

Zaryzykowałem wyrzucenie z za belki, i tak niewystarczająco mnie zasłaniała. Policjantów w korytarzu naliczyłem przynajmniej czterech, chroniły ich cięższe pancerze niż gliniarzy, którzy aresztowali nas wcześniej, i mieli broń ochrony osobistej. Towarzysząca nam czwórka kosmicznych piechociarzy była wyraźnie lepiej wyposażona, a poza tym dysponowała znacznym doświadczeniem bojowym, gdyby jednak obie strony otworzyły ogień w wąskim korytarzu, skończyłoby się to krwawą jatką.

– Wszystkie śluzy w tej sekcji są zablokowane! – ostrzegł gliniarz. – Nie da się wyjść inaczej niż przez nas. Drużyna szybkiego reagowania dotrze tu w każdej chwili. Nie bądźcie głupi, trepy. Odłóżcie broń.

Sierżant sztabowy Philbrick odetchnął powoli, po czym pokręcił głową.

– Nie mamy czasu na takie bzdury – stwierdził. – Obserwujcie znaczniki celów. Krótkie serie na mój znak.

Popatrzył po kolei na każdego z policjantów. Wiedziałem, że wykorzystuje komputer z pancerza, aby poprzez tak-łaczę przesłać priorytetowe dane o celach do swego zespołu ogniowego.

– Jeden, dwa, ognia.

Żołnierze PK unieśli równocześnie karabiny i cztery palce zacisnęły się na spustach, wykonując rozkaz. Jeden z policjantów dostrzegł, co się święci, rzucił się w tył i wypuścił serię. Wysoki terkot strzałów z broni ochrony osobistej poniósł się echem po sekcji. Pociski trafiły w pierś oraz bok kaprala Neza i tym razem to on rzucił się do tyłu.

Cztery M-66 wystrzeliły jednocześnie. Dwóch najbliższych gliniarzy zostało natychmiast skoszonych z nóg przez dziesiątki tungstenowych fleszet, których ich

lekkie pancerze nie miały szans zatrzymać. Sierżant Philbrick dał sygnał i wówczas dwaj szeregowi podnieśli się z kucek i ruszyli w stronę pozostałych policjantów. Jeden z nich wystawił broń zza słupa służącego mu za osłonę i zaczął na ślepo zasypywać korytarz pociskami. Cofnąłem się w głąb własnej kryjówki i próbowałem wtopić w ścianę.

Rozległy się dwie kolejne krótkie serie karabinowego ognia i zaległa cisza.

– Czysto! – krzyknął Philbrick.

Kapral Nez podniósł się z gumowanej podłogi i sprawdził pancerz. Niewielkie, wystrzelowane z wysoką prędkością pociski policjantów pozostawiły srebrnoszare smugi na jego skorupie. Widziałem, że kosmiczni piechociarze nie poszli na skróty – ich pancerze uzupełnione były o opcjonalne płyty balistyczne, które zakładaliśmy tylko wtedy, gdy spodziewaliśmy się ciężkiej walki w warunkach ograniczonej przestrzeni. Przez nie zbroja ważyła dziesięć kilogramów więcej, ale mogła wytrzymać wszystko, co lżejsze niż przeciwpancerne pocisk z działka automatycznego.

Czterej gliniarze leżeli bez ruchu na ziemi. Philbrick stanął nad nimi, odkopnął na bok ich broń i znów pokręcił głową.

– Tępe głowy – rzekł. – Policjanci przeciwko żołnierzom liniowym.

Sprawdziłem, czy nie doszły mi żadne dodatkowe otwory, i na szczęście żadnych nie znalazłem. Pułkownik Campbell i Dmitrij również wyszli bez szwanku, choć słup, za którym się chowaliśmy, poznaczony był śladami po pociskach, na dodatek całkiem niedaleko od miejsca, gdzie jeszcze niedawno znajdowała się moja głowa.

– Musimy otworzyć służę – powiedziałem. – Oddział szybkiego reagowania będzie miał lepszą broń i pancerze.

– Nie żartuj. – Philbrick przywołał nas machnięciem. – Szefie, zapraszam tutaj. Musimy użyć klucza uniwersalnego. Proszę przykucnąć w rogu i zasłonić uszy. Nez, Watson, załadować burząco-przeciwpancerne.

Wyciągnął granat z upręży i wsunął do otwartej komory granatnika umieszczonego poniżej lufy karabinu. U podstawy ładunku dostrzegłem barwy oznaczające jego rodzaj: czerwony, biały, czerwony. Pociski burząco-przeciwpancerne do naszych wyrzutni okazywały się w zasadzie bezużyteczne przeciwko pojazdom zakutym w nowoczesny pancerz, ale dobrze spisywały się w przypadku stalowych słuz i ścian. Właśnie dlatego stosowaliśmy je przy zdobywaniu umocnionych pozycji.

Dmitrij zauważył, co zamierzają żołnierze PK, i nie trzeba mu było mówić, żeby wycofał się za najbliższy róg i zakrył uszy. Postąpiłem tak samo i przykucnąłem obok Rosjanina.

– Celować w sam środek. Na trzy. Raz, dwa, trzy.

Rozległ się grzmot z luf trzech granatników. Ułamek sekundy później głucha, lecz silna eksplozja ładunków uderzyła mnie po bębenkach usznych i pozbawiła równowagi. Podniosłem się i obróciłem w stronę służy, w której środku widniał teraz otwór o półmetrowej średnicy. Pod sufitem uruchomił się alarm przeciwpożarowy, wydając z siebie skowyczący odgłos, jeszcze bardziej irytujący

niż alarm bezpieczeństwa.

– Jazda, jazda, jazda! – ponaglił Philbrick. – Okręt czeka.

Kolejne cztery odcinki pokonaliśmy, za każdym razem wysadzając śluzę.

– Ile granatów burząco-przeciwpancernych zabraliście? – spytałem Philbricka, przechodząc za nim przez trzeci otwór wyrąbany w grubym na trzy centymetry kompozytowym włazie.

– Wystarczająco, by dwa razy przejść przez każdą śluzę w tym pierdolniku – odrzekł. – Uznałem, że mogą nas nie wypuścić po dobroci.

– Podoficerskie myślenie – skomentowałem, a on wyszczerzył zęby.

Ostatnia śluza w sekcji Fokstrot padła pod czterema kolejnymi granatami. Choć za każdym razem zasłaniałem uszy dłońmi, wciąż słyszałem w nich ostre brzęczenie i miałem wrażenie, że nigdy już nie ustąpi.

Żołnierze PK przeprowadzili szypra i Dmitrija przez nowe prowizoryczne przejście na środku włazu. Gdy ja tamtędy przełaziłem, krawędzie otworu wciąż się jarzyły i były gorące. Pomogłem się przedostać szeregowemu Watsonowi, a kapral Nez zabezpieczał tyły.

Gdy Nez przekroczył dziurę jedną nogą, od drugiej strony doleciał grad pocisków. Słyszałem, jak wbijają się w solidny laminat, i odruchowo rzuciłem się na podłogę, odczołgując od śluzy. Kapral krzyknął, potknął się, po czym celowo wpadł w otwór wyrąbany przez granaty i przewrócił się bezwładnie na ziemię.

– Kontakt z tyłu! – wrzasnął niezbyt potrzebnie, po czym przeczołgał się na przeciwną stronę korytarza niż ja. O śluzę zagrzechotały kolejne pociski. Szeregowy Watson podszedł do krawędzi dziury, wysunął lufę i wypuścił długą serię.

– To zespół szybkiego reagowania! – zawołał. – Siedmiu, ośmiu ludzi, może więcej. Musimy iść.

Do śluzy łączącej stację z „Indym” mieliśmy zaledwie dwadzieścia metrów. Kilku opancerzonych żołnierzy PK wybiegło z kołnierza dokującego i wskoczyło w korytarz z bronią w gotowości.

– Drugi oddział, pomóżcie! – krzyknął sierżant Philbrick. – Ponad siedmiu przeciwników po drugiej stronie tamtego włazu.

Kapral Nez wyciągnął granat z upręży i zdjął osłonkę. Uderzył bezpiecznikiem w pancerz, by aktywować ładunek, i cisnął pociskiem w otwór.

Nagle śluza zaczęła otwierać się zgrzytliwie.

– Cholera – skomentował Nez.

Dolna krawędź włazu uniosła się może dziesięć centymetrów nad podłogę, gdy granat eksplodował w rozciągającym się dalej korytarzu. W wyniku fali uderzeniowej laminatowa płyta zarezonowała niczym stłumiony gong. Śluza podjechała kolejne dziesięć centymetrów, dwadzieścia, trzydzieści. Gdy poszarpane brzegi otworu dotknęły krawędzi grodzi, ruch w górę zakończył się przy akompaniamencie pisków i przenikliwego metalicznego zgrzytu.

– Zaprowadźcie ich na okręt! – zawołał Philbrick, wskazując Dmitrija i mnie.

Szyper znajdował się już w połowie drogi do kołnierza dokującego, eskortowany przez szeregowego Bennetta, który trzymał się bezpośrednio za nim, by jego pancerz osłaniał dowódcę przed strzałami. Dwóch członków drugiego oddziału przemknęło do nas, by zapewnić nam podobną asystę. Szybko, choć nieco niezgrabnie ruszyliśmy razem ku kołnierzowi, a pozostali kosmiczni piechociarze strzelali przez szczelinę pod śluzą, osłaniając nasz odwrót. Jeden z policjantów z sił specjalnych wykorzystał sztuczkę kaprała Neza i rzucił granat przez otwór, ale sierżant Philbrick zatrzymał go pancernym butem i odkopnął na drugą stronę. Ekspłodował tuż za włazem, który zatrzęsł się, po czym opadł raptownie. W całym korytarzu dudniły rozmaite alarmy, łącząc się w kakofonii z trwającą strzelaniną.

Żołnierze PK wprowadzili nas do kołnierza dokującego. Za naszymi plecami pierwszy oddział wycofywał się po kolei, kładąc równocześnie ogień osłonowy na dziurę we włazie. Nie chciałem nawet myśleć, co się stanie, jeśli któryś z policjantów wpadnie na pomysł, by strzelić przez otwór z granatnika. Pocisk wpadłby wtedy w kołnierz, w którym wciąż przebywaliśmy.

I nagle znalazłem się z powrotem na „Indym”, za główną śluzą, w korytarzu łączącym obie burty okrętu. Po chwili do środka wbiegła reszta pierwszego oddziału.

– Zamknąć śluzę! – krzyknął sierżant Philbrick. Kapral Nez podbiegł do ściany i kolbą karabinu wdusił przycisk bezpieczeństwa. Rozległ się ostry dźwięk sygnału alarmowego i śluza opadła w prowadnice w pancernym poszyciu, zupełnie odcinając odgłosy z zewnątrz.

– Zahermetyzować pancerze i strzec tej śluzy! – rozkazał Philbrickowi pułkownik Campbell. – Nikt nie może wejść ani wyjść. Przekażcie do BCI, że idę. Panie Grayson, za mną.



Bojowe Centrum Informacyjne wrzało już aktywnością, gdy wchodziłem do środka z pułkownikiem. Dowódca przeszedł na środek centralnego zagłębienia, a ja stanąłem w swoim zwyczajowym miejscu przy barierce, chwytając ją mocno, by utrzymać równowagę.

– Raport sytuacyjny – warknął pułkownik.

– Reaktor działa z pełną mocą. Napęd włączony – odparła major Renner. – Cały personel obecny.

– Proszę nas odczepić od stacji.

– Nie zwolnię klamer, sir. Zainicjowaliśmy sekwencję odejścia, ale nas zablokowali.

– Wysadzić blokady bezpieczeństwa na klamrach dokujących. W diabły – rozkazał dowódca.

Główny inżynier wahał się zaledwie moment, po czym przełączył swój panel kontrolny na inny ekran i wcisnął po kolei kilka guzików.

– Tak jest, sir. Zainicjowano zwolnienie awaryjne.

Przez pokład przebiegło drżenie, gdy ładunki wybuchowe rozrywały gniazda

dokujące „Indy’ego” i je odrzucały. Była to procedura awaryjna i przez pięć lat służby nie widziałem, by jej użyto. Skoro punkty przyłączeniowe zostały oderwane od pokładu, okręt nie zdoła już zadokować przy żadnej stacji. Zainstalowanie nowych gniazd wymagało wizyty w stoczni i pełnego remontu.

– Sternik, pędniki na całą wstecz. Musimy się oderwać.

– Tak jest, cała wstecz – potwierdził sternik.

Major Renner wywołała na stole holograficzną sferę. Stacja zajmowała całą przestrzeń przed nami, więc nasze pole widzenia ograniczało się do półkuli z tyłu.

– Sir, „Murphy” przemieszcza się na pozycję przechwytyjącą.

Niebieska ikona przedstawiająca niszczyciel znajdowała się niecałe trzy kilometry za nami i powyżej nas. Przyspieszali powoli, lecz na tym dystansie nie musieli wciskać gazu do dechy, żeby błyskawicznie nas dopaść, a w ich arsenale nie było broni, która by nas nie dosięgła z tej odległości.

– „Indianapolis”, wyłącz napęd oraz sensory aktywne i wróć natychmiast na miejsce postojowe, inaczej otworzymy ogień.

– Zirytowali się – powiedział pułkownik. – Łączność, nie odpowiadać. Odpalić cały aktywny sprzęt.

– Odległość od stacji: pięćdziesiąt metrów – poinformował sternik. – Siedemdziesiąt pięć. Sto.

– Gdy tylko się odsuniemy, kurs minus pięć na zero i gazu – rozkazał dowódca.

– Aktywny radar kierowania ogniem – ostrzegł oficer taktyczny. Na jego konsoli zaćwierkał sygnał ostrzegawczy. – Namierzają nas. „Murphy” otwiera wyrzutnie rakiet.

– Pieprzeni szaleńcy – rzekła pierwsza oficer. – Jesteśmy zbyt blisko. Od nich i od stacji.

– Włączyć środki zakłócające i system obrony bezpośredniej! – polecił pułkownik Campbell.

– Odpalona rakiet! Dwie rakiety...

Na wyświetlaczu taktycznym dwa symbole w kształcie odwróconej litery V oddzieliły się od ikony „Murphy’ego” i pomknęły ku środkowi diagramu. Czas lotu był niedorzecznie krótki. Nie zdążyłem nawet przełknąć z trudem śliny, zanim obie rakiety pokonały dystans. Jedna z nich zniknęła na ułamek sekundy przed dotarciem do centrum diagramu. Druga przemknęła obok „Indy’ego”. Nie usłyszałem eksplozji przed okrętem, ale fala uderzeniowa cisnęła nami w tył.

– Trafili stację! – krzyknął oficer taktyczny. – Uderzenie w Niepodległość. System obrony bezpośredniej zniszczył drugą.

– Proszę o widok z przodu. Zbrojmistrz, proszę o możliwość strzału z działą elektromagnetycznego.

– Cel namierzony – odrzekł oficer od uzbrojenia. – Obracają okręt, by użyć własnego działą elektromagnetycznego.

– Nie można im na to pozwolić. Strzelać bez rozkazu. Trafić w matrycę sensorów na dziobie, oślepić ich. Jeśli obróć się na tyle, by odsłonić punkt mocowania działą, utrać im je.

– Tak jest, sir. Strzelać bez rozkazu.

„Murphy” podchodził do nas z tyłu i z góry, co oznaczało, że jego działo grzbietowe znajdowało się po nieodpowiedniej stronie, by do nas strzelać. Nasz zbrojmistrz bezlitośnie wykorzystał tę pomyłkę. Gdy „Murphy” zaczął się obracać i sunąć ku nam, działo elektromagnetyczne „Indy’ego” wystrzeliło trzykrotnie w jednosekundowych odstępach. Oficer taktyczny wywołał obraz z sensorów akurat w momencie, byśmy zdążyli zobaczyć, jak pociski kinetyczne wdzierają się w dziób starzejącego się niszczyciela i rozrywają pancierz. „Murphy” wyraźnie zadrżał pod potężnymi ciosami. Działa elektromagnetyczne nie są skuteczne na większy dystans lub przeciwko solidnie opancerzonym okrętom, ale nawet tytanowe poszycie niszczyciela nie mogło wytrzymać strzału praktycznie z przyłożenia.

– Okręt opuścił stanowisko!

– Przejść na nowy kurs minus pięć na zero, cała wstecz – rozkazał pułkownik. – Trzymać się!

Nie potrzebowałem zachęty. Poprawiłem zdrową dłoń kurczowy chwyt na barierce, gdy „Indy” odpalił pędniki dziobowe i ostro pochylił dziób. Przez pokład przeszło dudnienie fuzyjnego systemu napędowego przechodzącego od stanu czuwania do pełnego ciągu. „Murphy” znajdował się w połowie obrotu o sto osiemdziesiąt stopni, który dałby jego działu odpowiednie pole ostrzału, a nasz oficer od uzbrojenia wypuścił trzy kolejne ładunki. Jeden przeszedł nad niszczycielem i pomknął w przestrzeń. Drugi trafił go w burtę pod ostrym kątem i odbił się od poszycia. Trzeci wdarł się prosto w opancerzone mocowanie dział elektromagnetycznego. Nastąpiło uderzenie, a po nim zaczęła się bezgłośnie powiększać chmura metalowych szczątków. W tym momencie cielsko stacji weszło między nasze sensory optyczne a „Murphy’ego” i zaczęliśmy przechodzić pod Niepodległością.

– Dobre strzały – pochwalił dowódca. – Proszę nie przerywać zakłócania. Jak najdłużej utrzymujemy stację między nami. Taktyczny, proszę diagram.

Oficer taktyczny powiększył zasięg skanowania na holograficznym wyświetlaczu. Niepodległość była otoczona kilkoma niebieskimi ikonami, z których większość wciąż znajdowała się na pozycjach postojowych. Nie licząc „Indy’ego” i „Murphy’ego”, w pobliżu przebywały jeszcze trzy inne jednostki, ale żadna z nich nie szła kursem przechwytyjącym.

– Sternik, proszę zmienić kurs na czterdzieści minus trzy. Podążać za ruchem obrotowym stacji. Utrzymać prędkość.

– Miejmy nadzieję, że nikt nie wycofa się pospiesznie z miejsca parkingowego – odezwała się major Renner.

– Musimy się oddalić i zniknąć w przestrzeni, zanim „Murphy” nas dogoni i zamieni w chmurę pyłu – odparł pułkownik. – Mieliśmy ogromne szczęście. Gdyby znajdowali się nie powyżej, a poniżej, zostałyby z nas powiększający się obłok szczątków.

– Ale nieźle nam poszło – uśmiechnęła się pierwsza oficer. – Mały orbitalny okręt bojowy dał prztyczka niszczycielowi.

– Owszem, całkiem nieźle – zgodził się pułkownik Campbell. – Ale zapewne zabiliśmy na tym niszczycielu z dziesięciu marynarzy. Raczej nie jest to dla mnie powód do dumy.

Kilka minut później „Murphy” przeszedł pod stacją Niepodległość i znów pojawił się na naszym wyświetlaczu, ale nie nabierał przyspieszenia.

– Ciągną za sobą szczątki – oznajmił oficer taktyczny. – Porządnie ich trafiliśmy.

– Cztery trafienia z niewielkiego dystansu. Nie zdziwiłabym się, gdyby rozorały kadłub do połowy – odparła major Renner.

Znajdowaliśmy się już dość daleko od stacji i sunęliśmy uzyskanym pędem z wyłączonymi wszystkimi sensorami aktywnymi, czyli robiliśmy to, w czym „Indy” sprawdzał się najlepiej. Z każdą mijającą minutą odkładaliśmy coraz więcej przestrzeni między nami a „Murphy”, stacją Niepodległość i Ziemią.

– Coś aktywnego? – spytał pułkownik Campbell.

– Tylko krótkodystansowa łączność między okrętami. Nic skierowanego w naszą stronę.

– Właśnie wykradliśmy okręt z klamer dokujących i strzelaliśmy się z niszczycielem – zadumała się pierwsza oficer. – Dlaczego pozostałe jednostki nie szukają nas z włączonym całym aktywnym osprzętem?

– Dobre pytanie. Cała ta sprawa coraz bardziej mi śmierdzi. – Pułkownik wsunął dłoń w holograficzny diagram i naszkicował palcem trajektorię.

– Proszę o ciąg korygujący, żebyśmy obeszli Niepodległość od drugiej strony. Chcę się lepiej zorientować, co się dzieje. Wyłącznie pasywne sensory.

– Tak jest, sir. – Pierwsza oficer odczytała sternikowi nowy kurs. – Na mój znak ciąg trzy sekundy.

– Tak jest, ciąg trzy sekundy.

Przyjemne otępienie otulające lewą dłoń powoli ustępowało zdecydowanie nieprzyjemnemu pulsującemu bólowi, który narastał z każdą chwilą. Lekarstwa z pakietu ratunkowego przestawały działać. Wsunąłem dłoń pod prawą pachę i skrzywiłem się, czując nacisk. Nie poświęciłem jeszcze zbyt wiele czasu zastanawianiu się, co znajduje się pod opatrunkiem (a raczej, czego tam nie ma), i naprawdę nie miałem na to ochoty.

– Panie Grayson – odezwał się pułkownik.

– Sir?

– Wygląda pan fatalnie. Proszę iść do izby chorych, aby przyjrzała się temu sanitariuszka. Zakrwawi mi pan całe BCI.

Zdołałem zmusić się do półuśmiechu.

– Tak jest, sir. Przepraszam, sir.

Odwrociłem się i ruszyłem w stronę wjazdu do BCI, zostawiając dowódczą kadrę „Indy’ego” przy pracy. Skoro wyglądało na to, że w najbliższych minutach raczej nie wylecimy w powietrze, chyba mogłem pozwolić sobie na luksus i pokazać komuś odniesione obrażenia.

Gdy znalazłem się na korytarzu, napięcie uleciało ze mnie niczym tlen z dekompresującej się śluzy i poczułem się po prostu wyczerpany. Pomimo wszelkich przeciwności dotarliśmy do Ziemi. Powinienem siedzieć teraz w mesie, jeść świeżą żywność i czytać wiadomości od Halley oraz mamy. Zamiast tego znów znajdowałem się na uszkodzonym okręcie uciekającym przed teoretycznymi sojusznikami i miałem się zaraz przekonać, ile zostało mi z lewej dłoni. Bardzo żałowałem, że nie zostałem na Nowym Svalbardzie z Fallon i pozostałymi ludźmi z SOZ.

To mógł nie być twój najlepszy pomysł w tym tygodniu, pomyślałem, a głos w głowie wypowiedział te słowa z silnym rosyjskim akcentem.

Rozdział 13

Dostajemy to, co nam dają

Pokładową sanitariuszką na „Indym” była żołnierka nazwiskiem Randall. Miała stopień E-6, czyli sierżanta sztabowego, zupełnie jak ja, i często widywałem ją w mesie podoficerskiej, ale jak dotąd nasze kontakty nie wykraczały poza kilkukrotne pobranie przeze mnie z izby chorych tabletek nasennych podczas lotu z Nowego Svalbardu.

– Złamany nos mogę naprawić w jakieś pięć minut – oznajmiła po przyjrzeniu się moim rozmaitym defektom. – Nie zostanie nawet ślad. Gorzej jednak z dłonią. Jak wam się to udało?

– Sięgnąłem przed lufę. Myślę, że podmuch wyrządził więcej szkód niż kule.

– Oj, jedno i drugie zrobiło swoje – odparła. – Leki z pakietu już przestają działać?

Przytaknąłem i skrzywiłem się w odpowiedzi. Odsunęła taboret i wstała. Izba chorych na „Indym” była mała, zaledwie dwa razy taka jak moja kajuta, i większość miejsca zajmował fotel służący do przeprowadzania zabiegów i operacji. Randall otworzyła jedną z umieszczonych wzdłuż grodzi szuflad i wyciągnęła automatyczną strzykawkę. Próbowałem ignorować palący ból w dłoni, gdy wciągała dawkę leku, który zamierzała mi podać.

– To powinno dać wam trochę ulgi. Chyba nie należycie do tych, którzy szukają odlotu. – Mrugnęła do mnie i usiadła znów na taborecie. – No iii... już.

Poczułem ukłucie igły w zgięciu łokcia. Niemal natychmiast zakręciło mi się w głowie i poczułem silne mdłości.

– Wytrzymajcie sekundkę i zaraz przejdzie – poradziła sanitariuszka. – Z początku jest źle, ale będzie lepiej.

„Będzie lepiej” okazało się poważnym niedopowiedzeniem. Chwilę po początkowym oszołomieniu, w wyniku którego niemal zwymiotowałem, zalała mnie silna fala rozluźnienia i ulgi. W ciągu kilku sekund ból w dłoni przeszedł od takiego niemal nie do zniesienia do zupełnie nieodczuwalnego. Pozwoliłem głowie opaść na zagłówek i westchnąłem głęboko.

– Nieźle, co? Współczesne farmaceutyki to magia w strzykawce.

– Mroczna, rozkoszna magia – mruknąłem, a ona się roześmiała.

– Teraz unieruchomię na jakiś czas lewą rękę i posprzątam ten bałagan. Postarajcie się nie patrzeć. Możecie też się zdrzemnąć. Nie mam nic przeciwko.

– Nie za bardzo mam ochotę na drzemkę – odparłem, choć czułem, jak ciężą mi powieki. Lek, który Randall wpuściła mi do krwiobiegu, nie tylko zlikwidował ból, lecz również wprowadził w bardzo zrelaksowany nastrój. Niemal mógłbym zapomnieć, że znajdowałem się na uszkodzonym okręcie w samym środku wojny

na trzy fronty. W porównaniu z tym, jak się czułem, odkąd opuściliśmy Ziemię i wylądowaliśmy w systemie Fomalhaut, teraz mój stan zahaczał o euforię. Zamknąłem oczy, słuchając nieustannego szumu okrętowych systemów podtrzymywania życia.

– Jak wylądowaliście na „Indym”? – zainteresowała się Randall. – Widywałam was od Nowego Svalbardu, ale nigdy nie pytałam.

– Jestem kontrolerem walki – wymamrotałem. – Niańczyę rosyjskiego sierżanta, który dysponuje kodami do ich węzła Alcubierre’a. To zresztą ściśle strzeżony sekret.

– Nikomu nie powiem – obiecała.

Ręka była już odrętwiała i czułem w niej cokolwiek tylko wtedy, gdy sanitariuszka na tyle mocno ciągnęła za dłoń, że ruszał mi się staw barkowy. Pamiętałem o jej radzie i trzymałem zamknięte oczy, nie spoglądając, co zszywa.

– Służyłem już kiedyś pod naszym szyprem – powiedziałem. – Pięć lat temu, na „Wersalu”. Podczas pierwszego kontaktu z Dryblasami.

– Byliście tam? Ja dopiero co opuściłam wtedy przygotowawczy.

– Gdzie przechodziliście szkolenie?

– OSWPA Orem. Od stycznia do marca w ósmym.

– Żartujecie? Ja też. Który pluton?

– Tysiąc sześćdziesiąty ósmy.

– Ja byłem w tysiąc sześćdziesiątym szóstym. Sierżant Randall, wygląda na to, że nasze buty deptały ten sam pył.

– I w tym samym czasie – odparła. – Świat jest mały.

– I staję się coraz mniejszy. – Zastanawiałem się, ile osób, które kończyły przygotowawcze razem z nami, zginęło już w akcji. Wokół Marsa wirowało mnóstwo zniszczonych wraków, dziesiątki okrętów, tysiące marynarzy. – Sprawnie awansowaliście na sierżanta sztabowego – rzekłem. – Wydawało mi się, że to mnie szybko dali E-6.

– Taa, jasne. Fucha sanitariusza oznacza, że zawsze nas potrzebują. Chyba zresztą tak jak was. A tak w ogóle, to nieźle wam idzie, zważywszy sytuację. Nie powinniście zbyt wiele czuć.

– Cokolwiek dostałem, pewnie bym nic nie poczuł, nawet gdybyście zaczęli odcinać mi tę rękę.

– Myślę, że do tego nie dojdzie – odpowiedziała. – Choć nieźle się urządziliście, sierżancie.

– Andrew – podsunąłem. – Mamy ten sam stopień i ten sam staż.

– Nancy – odrzekła. – A teraz skorzystaj z okazji i się zdrzemnij, gdy będę cię zszywać i nastawiać złamany nos. Może mamy ten sam stopień, ale siedzisz w mojej izbie chorych i musisz wykonywać moje rozkazy.

– Tak jest, pani sierżant.

Nie opierałem się, gdy lekarstwa oraz okrętowe odgłosy tła wciągały mnie w przyjemny, głęboki sen.

Gdy sierżant Randall mnie obudziła, ciepłe, miłe wrażenie z powodu leków w większości już się ulotniło. Lewa ręka wciąż była odrętwiała, lecz mózg nie wydawał się już otulony watą, ale nawet gdyby została mi odrobina wcześniejszej euforii, wyparowałyby w chwili, gdy otworzyłem oczy i spojrzałem na dłoń. Wyglądała asymetrycznie, bardziej jak szpon niż kończyna, której używałem do posługiwania się przedmiotami przez ostatnie ćwierć wieku. Tam, gdzie wcześniej rozszerzała się łagodnym łukiem, teraz widziałem prostą linię biegnącą od nadgarstka aż do podstawy środkowego palca, który obecnie stał się skrajny. Rana została owinięta świeżym przyklepnym bandażem, nie widziałem więc, jak wyglądają obrażenia po zajęciu się nimi przez Nancy, ale miałem uczucie, że zniknęła spora część mnie.

– Jak się czujesz? – spytała.

– Jakbym zeszedł nocy wypił za dużo kiepskiego sojowego piwa – odparłem, nie odrywając wzroku od opatrunku. – Jaki wyrok dostała ta dłoń?

– Kiepska wiadomość brzmi tak, że koniec z grą na gitarze.

– Nigdy nie nauczyłem się grać na żadnym instrumencie. I wychodzi na to, że już nie zacznę.

– Dopasują ci nowe palce w Wielkich Jeziorach – oznajmiła Randall. – Daleko zaszliśmy w dziedzinie medycznej cybernetyki. Inne niż własne, ale działające równie dobrze.

– Tak, teraz potrafią sporo zdziałać – przyznałem. – Moja przyjaciółka zawdzięcza korpusowi medycznemu nową nogę. Mówi, że jest znacznie lepsza od starej i nie miałaby nic przeciwko drugiej, żeby był komplet.

– Posprzątałam wszystko i usunęłam odłamki kości. Trafienie roztrzaskało ci zupełnie stawy śródrečno-paliczkowe na dwóch zewnętrznych palcach.

– Jakie stawy?

– Śródrečno-paliczkowe – powtórzyła. Podniosła własną dłoń i postukała się w kostki u nasady palców. – O, tutaj. Niełatwo będzie to naprawić. I muszą się pospieszyć, by na nowo podłączyć zakończenia nerwowe.

– Jak bardzo się pospieszyć?

– Im szybciej, tym lepiej. Uporządkowałam tylko to, co najgorsze, i połączyłam co nieco. Ta dłoń wymaga znacznie więcej uwagi, niż potrafię jej dać. Musisz odwiedzić lekarza floty. I to prędko.

– Z tym może być problem. – Usiadłem i skrzywiłem się. – Nie sądzę, żebyśmy pozostawali obecnie w dobrych kontaktach z flotą.

Znów obróciła się do szuflad i wyciągnęła pojemnik z lekarstwem. Otworzyła go, sprawdziła zawartość, zamknęła i podała. Złapałem zdrową dłoń.

– Nie zamierzam zakładać tu zamka DNA. Bierz po prostu, jeśli będzie cię bolało. Ale nie więcej niż dwie co cztery godziny, inaczej dostaniesz zatwardzenia na miesiąc. I nie obsługuj okrętu kosmicznego ani ciężkiego sprzętu. Istnieje spora szansa, że nie wystarczą w pełni na ból, który wkrótce poczujesz. Jeśli będzie zbyt silny, przyjdź do mnie, wstrzyknę ci coś mocniejszego.

– Dzięki. – Włożyłem pojemnik do kieszeni na piersi, wciąż poplamionej krwią z nosa. – A co, jeśli nie zdołam pokazać tej dłoni lekarzowi floty przez miesiąc czy

dwa?

– Wtedy będziesz musiał nauczyć się wiązać buty, mając tylko półtorej dłoni.

Gdy znów przeszedłem przez właz, BCI wróciło do zwyczajowego poziomu aktywności. Nie miałem już krwi na twarzy, ale opatrunek na dłoni nie pozwalał mi czuć się w pełni przywróconym do formy.

– Pan Grayson – odezwał się na mój widok pułkownik. – Jak ręka?

– To, co z niej zostało, jest w porządku – odrzekłem. – Ale dwóch palców wciąż nie ma.

Campbell skrzywił się, widząc bandaż.

– Ci głupi, narwani policjanci.

– Nie zamierzał do mnie strzelić. Celował w Dmitrija.

– Tak, widziałem. Jeśli stanowi to dla pana jakieś pocieszenie, te palce umożliwiły nam podróż powrotną do Fomalhaut. Pierwsza?

– Tak jest, sir – odparła major Renner.

– Proszę wezwać sierżanta Czistiakowa do BCI.

– Tak jest. – Pierwsza oficer podniosła słuchawkę ze znajdującej się przed nią konsoli.

Pułkownik Campbell podszedł do holostolu na środku BCI. Zszedłem za nim i spojrzałem na diagram. Lecieliśmy po pętli pomiędzy Ziemią a Luną. Na schemacie widać było niewielkie skupiska niebieskich i czerwonych ikon, oznaczających okręty WPA i ZCR przemieszczające się małymi grupkami lub samodzielnie, dokujące w stacjach kosmicznych odpowiednich bloków politycznych lub patrolujące na orbicie.

– Znajdujemy się w trybie niewidzialności – rzekł pułkownik. – Obecnie nikt nas aktywnie nie szuka, ale nie wychylamy się, ponieważ nie mamy czasu, by rozwikłać, co właściwie się tutaj dzieje. – Skinął na umieszczony na grodzi wyświetlacz z datą i godziną. – Poświęciliśmy dwa tygodnie, by się tu dostać, a podróż powrotna zajmie jeszcze dłużej.

– Przynajmniej mamy pełne baki. Dobrze, że akurat wtedy skończyło nam się paliwo – uznała major Renner.

– A jak stoimy z żywnością i wodą pitną?

– Wystarczy nam racji żywnościowych na podróż z powrotem. Gorzej z wodą. Coś mnie tknęło, by zacząć uzupełniać zapasy, gdy zadokowaliśmy, ale musieliśmy przerwać procedurę w związku z naszym, hmm, przyspieszonym odlotem. Zbiorniki są wypełnione w połowie.

– Powinno wystarczyć, jeśli nie będziemy codziennie brać długich pryszniców.

– Tak jest, sir. Poradzimy sobie.

Spojrzałem na diagram i odetchnąłem powoli. Znajdowaliśmy się tak blisko Luni. Od czasu wizyty u Halley w placówce szkoleniowej dla pilotów desantowców nie byłem bliżej. Wróciłem zgodnie z obietnicą, ale nie miałem jak jej przekazać, że jestem, że bez powiększenia widzę przez kamery nadziemne budowle Szkoły Floty. Dotarłem tu i musiałem znowu odlecieć, być może bez

możliwości powrotu. Okręt był uszkodzony, załoga wyczerpana, i zbyt wiele razy wymykaliśmy się już śmierci o włos, by szanse dalej były po naszej stronie. Wykorzystałem już nie tylko całe swoje szczęście, ale i paru innych żołnierzy: Strattona, Patersona, żołnierzy PK poległych podczas desantu na Syriusza A d, tych z SOZ, którzy spłonęli lub zostali rozerwani na strzępy przez działka Dzierzb w Nowym Longyearbyen, oraz jeden Bóg wie ilu innych, walczących i umierających obok mnie, gdy udawało mi się za każdym razem wrócić na desantowiec, a następnie na lotniskowiec. Odczuwane przeze mnie dojmujące rozczarowanie i żal, że nie ujrzę znów narzeczonej, wydawało mi się małostkowe i samolubne, ale nie mogłem nic na nie poradzić.

Za moimi plecami otworzył się właz i do BCI wszedł Dmitrij eskortowany przez kaprala Neza. Skinąłem mu głową, odpowiedział tym samym.

Pułkownik Campbell wziął mikrofon z konsoli przed sobą.

– Radiowęzeł, komunikat dla całego okrętu – powiedział do oficera łącznościowego.

– Radiowęzeł do wszystkich – potwierdził łącznościowiec.

Pułkownik wziął długi, powolny oddech, po czym podniósł mikrofon i wduślił przycisk nadawania.

– Do wszystkich, mówi dowódca. Posłuchajcie. Znajdujemy się w trybie niewidzialnym, jakieś pięćdziesiąt tysięcy kilometrów od Luny, a pierwsza oficer przygotowuje okręt do podróży powrotnej do Fomalhaut. Wiem, że przebywacie na swoich stanowiskach znacznie dłużej, niż ktokolwiek z nas się spodziewał, gdy wyruszyliśmy w ten rejs. Nasz okręt nie został zaprojektowany pod kątem działań w dalekiej przestrzeni, a jednak właśnie to robiliśmy przez ostatnie dwa miesiące. Wiem, że wszyscy jesteście zmęczeni, i gdyby zależało to ode mnie, dałbym wam z miejsca kilka tygodni wolnego, po czym przekazał łajbę załozde zastępczej. Nie to jednak nas czeka. Nasze dotychczasowe i obecne działania to otwarty bunt. Opieraliśmy się przed aresztowaniem, walczyliśmy z funkcjonariuszami żandarmerii wojskowej, braliśmy udział w strzelaninie z cywilną policją, wbrew rozkazom wykradliśmy ten okręt z doku. Następnie w samoobronie zaatakowaliśmy inną jednostkę floty i ją uszkodziliśmy, najprawdopodobniej zabijając przy tym kilku członków załogi. Jeśli inny okręt floty złapie nas tu, w Układzie Słonecznym, zapewne wylądujemy na oddziale dla szczególnie niebezpiecznych przestępców w Leavenworth, a być może od razu nas zamienią w pył. Nie jest to już prawna szara strefa, jak przy naszej odmowie wykonania rozkazów nad Nowym Svalbardem. Postanowiono, że okręt otrzyma nowe dowództwo i dołączy do obrony Ziemi. Nie tylko sprzeciwiliśmy się tym rozkazom, ale i opieraliśmy się im zbrojnie. Wybrałem jednak taki bieg wydarzeń, ponieważ zespół zadaniowy i trzydzieści tysięcy osób czekają na nas w systemie Fomalhaut. Musimy ich poinformować, w jaki sposób mogą wrócić, ponieważ nie są w stanie dokonać przejścia na ślepo. Tak wygląda nasza misja i wykonamy ją. Nie zamierzam poświęcić tylu ludzi, by w nieistotny sposób wzmocnić perimetr obronny Ziemi. Wszyscy wiedzieliście, do czego zdolni są Dryblasy. Jeśli pokażą się tutaj, nasza obecność nie zrobi najmniejszej różnicy. Do

każdego, kto ma wątpliwości: nie potrafię z czystym sumieniem sprzeciwić się danym mi rozkazom i jednocześnie oczekiwać, że wszyscy wykonacie te, które ja wydaję. Jeśli chcecie opuścić okręt, zgłóście się do mesy dla podoficerów w ciągu najbliższych piętnastu minut. Zostaniecie skierowani na desantowiec i przewiezieni do najbliższej placówki floty po tej stronie Luny. Powtarzam: piętnaście minut. Dowódca bez odbioru.

Pułkownik Campbell odłożył mikrofon na miejsce i zamknął na chwilę oczy. Następnie spojrzął na wyświetlacz na holostole i wygładził bluzę mundurową, która wcale nie była pognieciona.

– Pierwsza – odezwał się.

– Sir. – Major Renner podeszła do niego.

– Niech pilot desantowca przygotowuje go i czeka. Następnie proszę zejść do mesy podoficerskiej po każdego, kto zechce opuścić tę łajbę. Wykonać.

– Tak jest, sir. – Pierwsza oficer podniosła mikrofon i odwróciła się.

– Panu nie mogę złożyć tej samej propozycji, sierżancie Czistiakow – powiedział pułkownik do Dmitrija. – Musi pan znów otworzyć dla nas drzwi, inaczej pańskich towarzyszy na Nowym Svalbardzie czekają ciężkie czasy. Ewentualnie może pan przekazać nam kody i zostawić swój pancierz. W takim przypadku desantowiec zabierze pana na Lunę wraz z pozostałymi i dostarczy do najbliższej placówki wojskowej ZCR.

– Nie mogę przekazać kodów. – Dmitrij uśmiechnął się i pokręcił lekko głową.

– Zatem chyba zostanie pan z nami na podróż w drugą stronę. Przykro mi.

– Otrzymałem rozkaz, by wrócić na „Mińsk” tym waszym imperialistycznym szpiegowskim okręcikiem. – Rosjanin wzruszył ramionami. – Zwykłem wykonywać rozkazy. Kompani ze Sto Czterdziestego Czwartego Kosmicznego Pułku Desantowo-Szturmowego bardzo by się wściekli, gdyby zginęli dlatego, że nie wróciłem.

– Miło mi to słyszeć, sierżancie. – Dowódca uśmiechnął się niemal niezauważalnie, po czym obrócił się do mnie. – A co z panem, panie Grayson?

– Co ze mną, sir? – spytałem.

– Został pan dotkliwie ranny. Pańską dłoń powinien obejrzeć chirurg w odpowiedniej placówce medycznej. Jeśli postanowi pan polecieć na Lunę, nie stracę o panu dobrego zdania. – Wskazał podbródkiem mój bandaż. – Nie ma sensu, żeby niepotrzebnie tracił pan te palce. Nie sądzę też, żebyśmy musieli martwić się o zachowanie sierżanta Czistiakowa podczas podróży powrotnej. Proszę wykorzystać miejsce w desantowcu.

Nagła, szalona nadzieja, jaką poczułem, była niemal jak dzikie zwierzę, próbując wyrwać się z mojej klatki piersiowej. Przeniosłem wzrok z pułkownika na Dmitrija, a później znów na dowódcę.

– Aresztują mnie, gdy tylko postawię stopę na Lunie, sir.

– Zapewne tak zrobią. Może nie, jeśli jeszcze nie dotarły do nich wieści. Mimo to wyślą pana do szpitala, by pana poskładano. I tak wszyscy wylądujemy w areszcie, jeśli wrócimy. A pan będzie miał już to z głowy.

– Czy mogę skonsultować się z sanitariuszką, sir?

– Oczywiście, że tak – odrzekł pułkownik. – Ma pan... – zerknął na zegar na grodzi – jedenaście minut na decyzję, zanim każę desantowcowi odpalać silniki. Proszę się w tym czasie zastanowić.

– Tak jest, sir.

Opuściłem centralne zagłębienie i podszedłem do wyjścia. W progu obejrzałem się za siebie. Pułkownik Campbell stał koło holostolu, szkicując piórem świetlnym na diagramie. Dmitrij trzymał się na skraju zagłębienia z rękoma skrzyżowanymi na piersi, przyglądając się otaczającym go działaniom ze swym zwyczajowym swobodnym rozbawieniem na twarzy, jak ktoś słuchający przyjaciela, który opowiada komuś innemu znany dowcip. Zauważyłem, że na niego patrzę, i pochylił lekko głowę w moją stronę. Odwzajemniłem skinienie i wyszedłem.

Gdy zszedłem na jej pokład, sierżant Randall stała w korytarzu pod izbą chorych i zabezpieczała właz. Gdy dostrzegła, że idę, znieruchomiała z dłonią na dźwigni zamykającej.

– Już wracasz? Leki nie działają?

– Leki są w porządku – odparłem. Zauważyłem niewielki plecak na jej ramieniu. – Lecisz na Lunę?

Zmarszczyła brwi i pokręciła głową.

– Nie. Tylko ja na całym okręcie znam się na medycynie. Jeśli odejdę, nikt nie otrzyma innej pomocy niż ta pochodząca z fiołki.

– Masz rodzinę na Ziemi? Nie brzmiś jak urodzona w kolonii.

– Owszem, mam rodzinę. – Jej oczy zmrużyły się lekko. – Mam siedmioletnią córkę i męża pracującego w służbie cywilnej. Tam na dole, w Wirginii. – Wskazała brodą pobliską gródź. – Nie widziałam ich od jedenastu miesięcy i właśnie godzę się z perspektywą, że już nigdy ich nie zobaczę. Jeśli więc mógłbyś szybko załatwić swoją sprawę, byłabym bardzo zobowiązana.

– Przepraszam – odrzekłem. – Nie chciałem cię zdenerwować.

Spojrzała na antygravitacyjne płyty pokrywające podłogę.

– Ty pewnie też masz kogoś na Ziemi – odezwała się po chwili. – Wszyscy mamy.

– Mamę – powiedziałem. – W Bostonie, w porządniejszej części DZK-7. I narzeczoną na Lunie.

– Dlaczego chciałeś się teraz ze mną widzieć?

– Szyper mówi, że powinienem lecieć na Lunę. Jeśli przez miesiąc ta dłoń nie zostanie zoperowana, to być może...

– Powinieneś lecieć – rzekła natychmiast. – Nie jestem neurochirurgiem, ale wiem, że jeżeli potrzebne są implanty cybernetyczne, dzień lub nawet tydzień to znacznie lepiej niż miesiąc. Na pewno chciałbyś używać tych palców do czegoś więcej niż tylko do ozdoby.

– Dzięki za poradę.

– Luna, tak? – powiedziała Randall, gdy odwróciłem się, by odejść.

– Yhm. Rzut beretem. Obiecałem jej, że wrócę na ślub.

– Powinieneś dotrzymać obietnicy. Małżeństwo to świetna rzecz. Daje radość. Bóg mi świadkiem, że wszechświat nie ofiaruje nam jej teraz zbyt wiele.

Uśmiechnęła się i skończyła zamykać drzwi do izby chorych.

– Cokolwiek postanowisz, życzę ci szczęścia, Andrew.

– Tobie też, Nancy – odparłem. Obserwowałem, jak idzie korytarzem i znika na najbliższym skrzyżowaniu.

Spojrzałem na zegarek. Miałem jeszcze pięć minut, by zgłosić się do mesy podoficerskiej, jeśli chciałem lecieć na Lunę.

Mogłem jeszcze dziś zobaczyć się z Halley. Jutro moglibyśmy się pobrać. I nawet gdybyśmy zginęli, to przynajmniej razem. Świat miał się skończyć. Jakie to wszystko miało znaczenie w ostatecznym rozrachunku?

Gdzieś tam była Halley. I mama. Z drugiej strony byli też chorąży Fallon, komendant Guest, doktor Stewart, sierżant Randall. Gdybym poleciał, być może spędziłbym parę chwil z Halley, zanim to wszystko rozwaliliby się w drzazgi. Czy zrobiłoby to różnicę, gdybym został na „Indym” i wrócił do Fomalhaut, ryzykując, że utknę w przestrzeni, umrę z głodu, uduszę się albo zostanę rozwalony przez okręt Dryblasów? A jeśli nie zostanę na „Indym”, a oni znajdą się w sytuacji, w której moja obecność mogłaby choć w drobny sposób wpłynąć na rezultat...

I tak nie miałem jak się tego dowiedzieć.

Znowu zerknąłem na zegarek. Cztery minuty, coraz mniej.

Przeszedłem korytarzem do następnego rozwidlenia. Na lewo: droga do klatki schodowej, którą mogłem zejść do mesy podoficerskiej. Na prawo: łącznik z głównym korytarzem prowadzącym do BCI.

Spojrzałem na zabandażowaną dłoń. Miała teraz kształt z grubsza trójkątny, niczym szpon skorupiaka. Nie chciałem, aby tak wyglądała do końca życia.

I nagle usłyszałem w głowie głos sierżanta Burke’a. Instruktor z obozu przygotowawczego brzmiał równie wyraźnie, jakby stał obok mnie w wąskim przejściu:

„Nikogo nie obchodzi, czego my chcemy. Dostajemy to, co nam dają, i prosimy o dokładkę. Tak to działa”.

Dostajemy to, co nam dają, pomyślałem. Czasami jest jednak menu i mamy wybór. Owszem, gówniany, ale zawsze to coś.

Wiedziałem oczywiście, w którą stronę pójść. Wiedziałem to, odkąd kilka minut wcześniej opuściłem BCI. Już się za to nienawidziłem, ale za inną decyzję też bym się nienawidził, być może nawet trochę mocniej.

Postanowiłem pójść w lewo, do mesy dla podoficerów. Po drodze musiałem zahaczyć o kajutę i zabrać parę rzeczy.



Gdy niedługo później przeszedłem przez właz, w mesie podoficerskiej było pusto. Znowu spojrzałem na zegarek i okazało się, że przekroczyłem wyznaczony termin o trzy minuty. Odwróciłem się na pięcie i pobiegłem korytarzem do schodów prowadzących na dół.

Na pokładzie lotniczym powarkowały w trybie oczekiwania silniki jedyne

okrętu desantowego na „Indym”. Tylne kłapy były otwarte i w ładowni widziałem kilka osób sadowiących się na siedzeniach. Major Renner stała u dołu rampy. Gdy podbiegałem do ogona desantowca, odwróciła się na odgłos moich kroków.

– Sierżant sztabowy Grayson – powiedziała. – Niemal spóźnił się pan na podróż.

– Nie lecę, pani major.

Uniosła brew.

– Czy szyper nie rozkazał panu polecieć i naprawić tę dłoń?

– Nie rozkazał, pani major. Dobitnie zasugerował.

– Zatem zostaje pan z nami na rejs powrotny.

– Na to wygląda, pani major.

Wyciągnąłem dwa małe standardowe pojemniki pocztowe, które w pośpiechu przygotowałem przed chwilą w swojej kajucie.

– Miałem nadzieję, że przekażę to komuś udającemu się na Lunę, by wrzucił w moim imieniu do tuby pocztowej.

Pierwsza oficer spojrzała na dwie zapieczętowane plastikowe koperty i na jej twarzy pojawiło się zaskoczenie. Wskazała głową otwartą ładownię desantowca.

– Tylko szybko – rzekła.

Wdrapałem się po rampie i rozejrzałem po wnętrzu. Na rozkładanych siedzeniach widziałem sześcioro marynarzy. Znałem ich jedynie z okazyjnych spotkań w okrętowych korytarzach, jednak wszyscy mieli bandaż albo gips, co oznaczało, że to właśnie oni zostali ranni, gdy kilka dni temu Dryblasy zaatakowali „Indy’ego”. W przejściu leżały cztery ciemnozielone worki z ciałami poległych w tym samym ataku. Wszyscy marynarze byli szeregowymi i choć się spieszyłem, nie czułem się zbyt dobrze z myślą, że miałbym któremuś z nich powierzyć swoje przesyłki. Trzymałem listy do Halley i do mamy, staroświeckie, ręcznie pisane, które musiały wystarczyć w związku z brakiem dostępu do MilNetu. Nie mogłem ponownie opuścić systemu, nie podejmując choćby próby, by przekazać kilka ostatnich słów dwóm osobom, które znaczyły dla mnie najwięcej.

Dobiegające z zewnątrz odgłosy wzrosły po dziesięćkroć, gdy pilot podkręcił silniki do ciągu roboczego. Szef załogi desantowca siedział w swym zwyczajowym miejscu obok przedniej grodzi, we wnęce przy pokładowej zbrojowni i wąskim przejściu prowadzącym do kokpitu. Był to E-7 nazwiskiem Williamson, facet z wąsami ledwo mieszczącymi się w regulaminie i sporym nożem umocowanym rękojeścią w dół do kombinezonu lotniczego. Kilka razy zamieniłem z nim parę słów w mesie podoficerskiej. Gdy do niego podszedłem, podniósł wyczekująco wzrok.

– Czy moglibyście w moim imieniu wrzucić coś do tuby pocztowej na Lunie? – spytałem. – Jeśli tak, to spróbuję jakoś się odwdzięczyć.

Williamson parsknął i wyciągnął dłoń.

– Nie musicie mnie przekupywać, ale nie odmówię.

Podąłem mu koperty. Wsunął je do kieszeni na piersi, nie patrząc na nie.

– Wyślę je, sierżancie sztabowy. A teraz zmykajcie stąd, jeśli nie lecicie.

Wstrzymujecie ruch.

Skinąłem w podziękowaniu głową i opuściłem desantowiec Williamsona. Już wystarczająco długo brałem udział w desantach, by wiedzieć, kto tak naprawdę rządzi na tego typu pojazdach – właśnie szef załogi, a piloci jedynie biorą je czasami na przejażdżkę.

Major Renner stała już przy włączonym wyjściowym. Wbiegłem po schodach na galerię, by ją dogonić. Za moimi plecami tylna rampa okrętu desantowego uniosła się z hydraulicznym szmerem i zamknęła. Zaczęło mrugać pomarańczowe światło ostrzegawcze na ogonie Osy.

– Rozpoczyna się procedura startowa, opuścić pokład lotniczy – odezwał się automatyczny komunikat. – Zabezpieczyć właz pokładu lotniczego.

Przeszedłem za pierwszą oficer do korytarza, a właz zamknął się za nami i zablokował.

Major Renner podeszła do konsoli łącznościowej na grodzi, podniosła słuchawkę.

– Do BCI, tu pierwsza. Ptaszek odlatuje. – Przez chwilę słuchała odpowiedzi, która do mnie nie docierała, bo stałem za daleko. – Sześć, sir. Wszyscy chodzący ranni. Plus czworo poległych w akcji. Nie dotarł nikt inny. – Znow odpowiesz dowódcy. – Tak jest, sir.

Odłożyła słuchawkę na miejsce.

– I już – powiedziała do mnie. – Odleciała właśnie ostatnia możliwość opuszczenia tego luksusowego wycieczkowca.

Ruszyła korytarzem w kierunku rozwidlenia prowadzącego do schodów na górę. Obserwowałem, jak odchodziła, a jednocześnie nasłuchiwałem odgłosów desantowca rozkręcającego silniki do pełnej mocy za zamkniętym włazem pokładu lotniczego.

Niezły luksus.



„Indy” nie miał zewnętrznych okien. Dzięki sensorom optycznym nie trzeba było umieszczać w poszyciu otworów, które zmniejszyłyby możliwości maskujące okrętu i trwałość kadłuba. W związku z tym nie miał również pomieszczenia obserwacyjnego, z którego mógłbym oglądać Ziemię i Lunę, gdy znow szykowaliśmy się do opuszczenia systemu. Nie mogłem nawet wrócić do kajuty, nałożyć pancerza i podłączyć się do zewnętrznych kamer, ponieważ nie posiadałem dostępu administracyjnego do sieci neuronowej. Jedyne, co mi pozostało, to zejść na najniższy pokład i przedostać się na rufę, gdzie znajdował się zapasowy węzeł sieciowy, zanim Dryblasy przebili go penetratorem. Ekipy naprawcze załatały już dziury w kadłubie i przed rozerwanym odcinkiem korytarza ustawiły przenośną śluzę.

Podszedłem do grodzi i położyłem na niej dłoń. W tym momencie jedynie kilkadziesiąt centymetrów laminowanego pancerza, okablowania neuronowego, izolacji i wyściółki odbijającej pociski dzieliło mnie od kosmicznej próżni. Luna leżała po drugiej stronie tej pustki, oddalona o pięć tysięcy kilometrów.

– Przepraszam – powiedziałem w niemal całkowitej ciszy. Słyszeć było jedynie delikatny szmer maszynerii i odległe pulsowanie napędu. „Indy” był najcichszym okrętem, na jakim się znalazłem. Tak cichym, że gdy nikt nie znajdował się w pobliżu, dało się usłyszeć własne myśli.

Nie chciałem się żegnać, nie chciałem myśleć, że nigdy nie znajdę się już bliżej Halley i domu, gdybym bowiem poddał się temu strachowi, mógłbym po prostu otworzyć blokady przenośnej śluzy i wyjść w próżnię, by rzucić szybkie i ostatnie spojrzenie w stronę Ziemi. Na pokładzie przebywało jednak niemal sto osób i każda z nich chciałaby opuścić pokład, by znaleźć się z ukochanymi. Nie tylko ja miałem prawo rozczulać się nad sobą.

Rozdział 14

Omijanie kordonu

Pułkownik Campbell podniósł wzrok znad diagramu na holostole, gdy wszedłem z powrotem do BCI.

– Wydawało mi się, że leci pan promem na Lunę, panie Grayson.
– Nie chciałem ryzykować, że zostanę aresztowany albo zastrzelony, sir.
– Gówno prawda – odparł. Kącki jego ust uniosły się na chwilę w nieznacznym uśmiechu.

– Jestem kontrolerem walki, na dodatek wyszkolonym w dziedzinie sieci neuronowych, sir. Mogę naprawić wiele rzeczy, jeśli zepsują się w drodze powrotnej.

– Doceniam to. I nie mówię tego ot, tak sobie. Mamy niewielką załogę. Odleciało sześćcioro szeregowych i pierwsza oficer musi rozdzielić zadania pomiędzy tych, którzy zostali. Tak bardzo oddaliliśmy się od pierwotnej misji okrętu, że stało się to aż groteskowe. Mały OOB odkomenderowany do zwiadu w dalekiej przestrzeni.

Spojrzałem na wyświetlacz, na którym sytuacja nie różniła się zbyt wiele od stanu sprzed mojego wyjścia: niewielkie grupki okrętów z różnych koalicji odbywające orbitalne loty patrolowe. Niebieskie dla WPA, czerwone dla ZCR, zielone dla UE, nawet kilka fioletowych ikon przedstawiających jednostki z Unii Ameryki Południowej. Okręty UAP kiedyś były reprezentowane przez nasze komputery w kolorze ciemnej żółci, ale słabo odróżniała się ona od pomarańcza wybranego dla Dryblasów i przy każdym pojawieniu się wywoływała zbyt niepokój w naszej flocie, zmieniono więc barwę. Nie licząc ZCR i WPA, żadna ziemską flotą nie posiadała możliwości działania w dalekiej przestrzeni, czyli przeprowadzania i utrzymywania operacji międzygwiazdnych. Europejczycy i Południowoamerykanie zadowalali się wydobywaniem zasobów w Układzie Słonecznym i ograniczali swe budżety obronne do lokalnych jednostek defensywnych. Po zniszczeniu większości armad ZCR i WPA wokół Marsa oba wielkie bloki polityczne być może również musiały się zadowalać podobnymi rozwiązaniami.

– Sir, „Murphy” odsuwa się od Niepodległości – oznajmił oficer taktyczny. – Wygląda na to, że opuszczają stację. Idą dziesięć metrów na sekundę i przyspieszają.

– Doprawdy – skomentował pułkownik. Wsunął dłoń w diagram, po czym przesunął i przybliżył obraz, aż ikona stacji Niepodległość znalazła się na środku ekranu. Powoli, lecz miarowo oddalał się od niej błękitny symbol oznaczony DD-770 „Murphy”.

– Przewidywany czas przybycia desantowca?
– Dziewiętnaście minut, sir – odrzekła pierwsza oficer. – Dopiero zakończyli rozładunek.
– Proszę im powiedzieć, żeby się pospieszyli i pominęli polerowanie szyb. Taktyczny, proszę naprawdę bacznie pilnować „Murphy’ego”.
– Tak jest, sir.
– Myśli pan, że wiedzą, gdzie jesteśmy? – spytała major Renner.
– „Indy”? Nie. Nic nie pojawiło się na sensorach aktywnych. Jesteśmy oddaleni o sto tysięcy kilometrów, a ich pasywny sprzęt jest do dupy. Może jednak dostrzegli desantowiec, gdy pilot dał ciąg. Zobaczymy. Bądźmy gotowi do wciśnięcia gazu, jeśli ruszą w naszą stronę.
– Tak jest, sir – potwierdziła pierwsza oficer.
– Nigdy nie widziałem sensorów pasywnych lepszych niż nasze – powiedziałem. – Przy takiej optyce nie potrzebujemy nawet radaru.
– Są najlepsze w całej flocie – odparł pułkownik Campbell. – Powinni byli zbudować sto kolejnych takich jednostek zamiast tych kretyńskich, przerośniętych lotniskowców.
– Bez nich trudno chyba mówić o marynarce dalekiej przestrzeni?
– Są zbyt wielkie, o wiele za drogie i mało uniwersalne. Dobrze się nadają do szturmów planetarnych, i to tyle. Nasza łajba waży pięć procent tego, co one, i ma jedną dziesiątą ich siły ognia, a jednak tylko nam udało się przedostać przez Dryblasów. Owszem, jesteśmy kiepscy pod względem ofensywnym, ale może nie na tym trzeba było się skupiać przez te wszystkie lata. Dokąd to nas doprowadziło?



– Dokąd on leci, do cholery? – chwilę później zastanawiał się na głos oficer taktyczny. Ikonka „Murphy’ego” oddalała się od stacji kosmicznej, lecz jego nowa trajektoria wskazywała na otwartą przestrzeń.
– Ciągnie za sobą powietrze i szczątki, ale nie leci na Węzłową ani do stoczni floty – skomentowała pierwsza oficer. – Dokąd wybierają się uszkodzonym okrętem?
Oficer taktyczny wydłużył bieżący kurs „Murphy’ego” na centralnym diagramie.
– Nic tam nie ma – rzekł. – Żadnej stoczni, stacji kosmicznej czy choćby placówki wydobywczej.
– Jestem pewien, że nie zabierają dziurawej jak sito łajby na radosną przejażdżkę po wewnętrznej części Układu Słonecznego wyłącznie dla zabawy. – Pułkownik Campbell postukał palcami w krawędź holostolu. – Śledźmy jego ruchy. Gdy tylko desantowiec będzie bezpieczny, podążymy za nimi w bezpiecznej odległości. Tylko przez jakiś czas. Jestem ciekaw, dlaczego chcieli nas trzymać tak krótko.
Piętnaście minut później doleciał do nas desantowiec. Choć „Indy” był niewidzialnym okrętem, nie dotyczyło to Osy, a jeśli tamci chcieli określić nasze

położenie, sekwencja dokowania niosła za sobą największe zagrożenie. Nie namierzyły nas jednak żadne aktywne radary, a jednostki widoczne na ekranie taktycznym nie zmieniły nagle kursu, by się na nas rzucić.

– Ptaszek wrócił do kurnika – oznajmiła major Renner niedługo później.

– Proszę lecieć za niszczycielem – polecił dowódca. – Pilnować dystansu i trzymać się na ich rufie. Odległość dziesięć tysięcy kilometrów.

– Odkąd skuliśmy im pysk, ani razu nie musnęli nas aktywnym promieniowaniem – wskazała pierwsza oficer.

– Zniszczyliśmy im przednią matrycę sensorów i zapewne tylko dlatego wciąż istniejemy. Nie ryzykujemy jednak. Gdy tylko będzie się wydawało, że nas dostrzegli, zawracamy i dajemy pełny ciąg. Nie ma co kusić losu.

Kusimy los, odkąd ruszyliśmy do Fomalhaut, pomyślałem, spoglądając w miejsce, gdzie wcześniej miałem dwa palce. Czułem ból pulsujący pod chemiczną otuliną błogości wywołanej przez środki przeciwbólowe i byłem bardzo wdzięczny nowoczesnej farmakologii.



„Murphy” zostawiał za sobą Ziemię i Lunę, a „Indy” leciał za nim.

Przyspieszał bardzo powoli, zapewne z powodu wyrządzonych przez nas uszkodzeń. Niszczyciele typu Błękit były wielkie, niemal trzykrotnie przewyższały nas rozmiarami, a także znacznie lepiej opancerzone i uzbrojone, ale służyły do walki w dalekiej przestrzeni i w najmniejszym nawet stopniu nie posiadały możliwości maskujących. Szliśmy za nimi i szum z ich silników oślepiał im sensory.

Siedzieliśmy „Murphy’emu” na ogonie od niespełna czterech godzin, gdy oficer taktyczny ożywił się i zaktualizował wyświetlacz.

– Przed nami użyto radaru aktywnego. Dwa... nie, trzy źródła.

Na holostole na skraju naszego zakresu skanowania pojawiły się trzy bladoniebieskie ikonki otoczone trójwymiarowymi obszarami w kształcie romboedrów. Nasz pasywny sprzęt wychwycił sygnały radarowe, ale nie wskazał jeszcze dokładnej lokalizacji źródeł, romboedry oznaczały więc prawdopodobne strefy, w których znajdowały się kontakty.

– Źródło? – spytał pułkownik.

– Wojskowe, to zdecydowanie jednostki Wspólnoty. System rozpoznaje właśnie profile ELINT – odparł oficer taktyczny. – Jeszcze chwilę.

– Zgodnie z mapami w tym miejscu znajduje się jedno wielkie nic – rzekła major Renner. – To nawet nie szlak podróżny, ani cywilny, ani wojskowy.

– Przekonajmy się zatem, co tu jest – powiedział dowódca. – Tylko proszę uważać na te aktywne źródła. Jeśli będą bliscy wykrycia nas, odrywamy się i zostawiamy ich.

Komputer i całe elektroniczne wyposażenie szpiegowskie „Indy’ego” potrzebowały jeszcze dwudziestu minut, by rozszyfrować dla nas sygnały radarowe. Jeden po drugim symbole na wyświetlaczu taktycznym zmieniały się z OBIEKT NIEPOTWIERDZONY, DOMNIEMANY SOJUSZNIK na rzeczywiście

oznaczenia typów. Bryły oznaczające położenie nadających okrętów kurczyły się z każdą sekundą naszego pościgu za „Murphy”.

– To kolejny perymetr – oznajmiła pierwsza oficer. – Fregata typu Traktat. Kolejna fregata, nieznanego typu. I krążownik Obuch.

– Same nowe jednostki – skomentował pułkownik Campbell. – Dlaczego są milion kilometrów od Ziemi zamiast na orbicie?

– Mam niemal pewność, że „Murphy” z nimi rozmawia. Odbieram szum transmisji – poinformował znad swej konsoli oficer od walki elektronicznej.

– Porozumiewają się na wąskim paśmie.

– Nie na wąskim paśmie, sir. To zaszyfrowany protokół komunikacyjny okręt-okręt, ale nie z kluczem floty. A przynajmniej nie z takim, który mielibyśmy w komputerze.

– Rozmowa prywatna. Ciekawe. – Pułkownik nachylił się nad holostolem i oparł dłonie na szklistej powierzchni. Palcami stukał w holograficzną kulę, która przekształcała się pod jego dotykiem. – Zmiana kursu na minus dwadzieścia na czterdzieści pięć. Utrzymać go przez dziesięć minut i wrócić na poprzedni, równoległy do „Murphy’ego”. Oraz odpalić matryce pasywne.

Diagram stopniowo zmieniał się w ciągu kolejnej godziny, gdy „Murphy” zbliżał się do perymetru nieznanymi okrętami Wspólnoty, a my trzymaliśmy się z tyłu i poniżej niego. Okręty z perymetru wykonywały patrolowe schematy ruchu i omiatały przestrzeń przed sobą aktywnymi radarami. „Indy” musiał kilkakrotnie korygować kurs, by nie dostać się w promień namierzenia, i każdy zwrot oddalał nas nieco od miejsca, do którego zmierzał „Murphy”.

– Myślę, że dalej już nie zdołamy się podkraść bez wykrycia – stwierdził pułkownik, gdy diody wskaźnika zagrożenia radarowego w ciągu jednej minuty dwukrotnie zmieniły się z zielonych na żółte. – Proszę obrócić okręt i lecieć pędem. Nowy kurs: sto dwadzieścia na dwieście dziesięć.

– Moment – wtrącił się oficer taktyczny. – Wiele kontaktów na pasywnym, kierunek dwadzieścia stopni. Pięć, siedem, dziesięć... Sir, sprzęt optyczny pokazuje przynajmniej dwanaście oddzielnych kontaktów.

– Proszę powiększyć i zweryfikować – polecił dowódca. Wszyscy obecni w BCI spoglądali na holostół, gdzie na skraju zasięgu działania naszych przyrządów wyskoczyło skupisko jasnoniebieskich ikon. Blokowały nas okręty z perymetru, lecz „Murphy” mijał je i kierował się prosto na nową grupę.

– Któryś z nich nadaje tożsamość?

– Odbieram sygnały IFF z okrętów perymetru. Obuch to „Falanga”. Fregaty to „Lozanna” i... „Acheron”? – Taktyczny spojrział na pułkownika z konsternacją na twarzy. – Sir, nigdy nie słyszałem o fregacie nazwanej „Acheron”.

– Nie istnieje jednostka o nazwie „Acheron” – oznajmiła major Renner.

Najbliższe ikony zaktualizowały się o nazwy okrętów i numery boczne: CG-761 „Falanga”, FF-481 „Lozanna”. Zadając kłam słowom pierwszej oficer, podpis pod trzecim symbolem zmienił się z „nieznany” na FF-901 „Acheron”.

– Co to, do cholery, jest Acheron? – spytał nasz specjalista od uzbrojenia.

– Rzeka – odparłem. – W greckich zaświatach. Z mitologii.

Pułkownik Campbell skierował w moją stronę nieznaczny uśmiech wyrażający lekkie rozbawienie i odrobinę aprobaty.

– Ciekawe, czy za chwilę natkniemy się też na Styks i Lete – stwierdził.

Spec od broni spojrział bez wyrazu. Pułkownik westchnął cicho.

– Rzeki – wyjaśnił. – Kolejne rzeki ze starożytnych greckich zaświatów.

– Tak jest, sir.

– Miejmy nadzieję, że ktoś, kto nazwał ten okręt, miał jedynie ciągotki do klasyki – uznał dowódca. – Ta nazwa to przecież gówniany omen.

– Dlaczego, sir? – zapytał człowiek od broni.

– Acheron to rzeka, którą muszą przebyć dusze zmarłych, by dostać się w zaświaty – podsunąłem.



Fregaty i krążownik poruszały się wprawnym schematem patrolowym, w którym zasięgi ich sensorów nakładały się na siebie. „Indy” rozpoznawał teren kilometr po kilometrze, sunął po trajektorii parabolicznej tuż poza zakresem sensorów jednostek z perymetru. Z każdą minutą skracaliśmy odrobinę dystans, a nasze pasywne czujniki dostarczały coraz więcej danych. Jedno omiecenie radarem aktywnym pozwoliłoby nam zmapować całą okolicę co do centymetra i podałoby nam położenia każdego kawałka metalu większego niż kosz na śmieci, ale zachowalibyśmy się wówczas jak złodziej, który w ciemnym budynku przypina sobie do głowy latarkę o mocy dziesięciu tysięcy watów.

– Tu jest mnóstwo okrętów – rzekła major Renner.

Skupisko niebieskich ikon wciąż się powiększało. Co jakiś czas, gdy zbliżaliśmy się i pasywne matryce wyłapywały kolejne źródła promieniowania oraz dostrzegały nowe jednostki, komputer dodawał do niego jeden czy dwa symbole.

– Osiem, dziesięć, dwanaście... czternaście. W środku niczego zbierają zajeżdżacie wielki zespół zadaniowy.

– Jest coś jeszcze. – Oficer taktyczny wywołał na holostole okno, po czym zwiększył rozmiar i zasięg skanowania. – Zbyt duże na okręt, zbyt małe na stację. I znajduje się w centrum całej tej aktywności.

Pułkownik Campbell przyglądał się obrazom z matrycy optycznej „Indy’ego”. Odkryte przez nas okręty były na ekranie zaledwie plamkami zgromadzonymi wokół asymetrycznej, białoszarej struktury.

– To kotwiczowisko – uznał. – Mają tu kotwiczowisko. Może małą stocznię. Popatrzcie. Tam są rozgałęzienia, a tu część centralna. – Stuknął wyświetlacz palcem wskazującym, po czym przesunął obraz, kręcąc dłonią zgodnie z ruchem wskazówek zegara.

– Cokolwiek tam robią, utrzymują to w solidnej tajemnicy – skomentował oficer taktyczny.

– Owszem. Ile zostało nam dronów zwiadowczych?

– Czternaście, sir. Zużyliśmy połowę zapasu na Fomalhaut. – Major Renner spojrzała na specjalistę od wywiadu elektronicznego, który potwierdził jej słowa skinieniem.

– Przygotować drony do wystrzelenia. Chcę umieścić je w sześcianie wokół tego kotwiczowiska. – Pułkownik zaczął oznaczać punkty na diagramie. – Zbierają się tutaj i montują coś, co leży po drugiej stronie. Musimy umieścić cztery drony od naszej strony: tu, tu, tu i tu. Cztery kolejne po przeciwnej, w tych współrzędnych. – Pokazał miejsca, stukając je palcem. – Obejmiemy cały obszar. Chcę informacje o każdym zbliżającym się i oddalającym okręcie.

– Tak jest, sir. Zbrojmistrz, umieścić drony w wyrzutniach i przygotować do wystrzelenia.



Nasze autonomiczne drony były niczym miniaturowe niewidzialne okręciki. Dysponowały napędem, systemami naprowadzania, matrycą sensorów i sprzętem łącznościowym. Nie znałem nawet połowy wchodzącej w ich skład technologii, ponieważ stanowiły ściśle tajny sekret, ale z czasów zajmowania się sieciami neuronowymi wiedziałem, że okręt zwiadowczy, który rozciągnie sieć swych sensorów dzięki dronom, będzie wart całą eskadrę starych jednostek, niewyposażonych w tak nowoczesne rozwiązania.

– Drony zwiadowcze gotowe w wyrzutniach numer dwa, cztery, pięć i sześć – poinformował specjalista od broni, gdy zakończyła się procedura ładowania. Boty miały rozmiar umożliwiający wystrzeliwanie ich ze standardowych wyrzutni rakiet przeciwokrętowych – „Indy” nie dysponował zewnętrznymi mechanizmami miotającymi, tak więc wszystko, co opuszczało okręt, musiało przechodzić przez główną śluzę, hangar albo właśnie wyrzutnie.

– Klucz Jeden gotowy do wystrzelenia – potwierdziła pierwsza oficer. – Wypuszczamy z minimalnym hałasem. Przejść do przyspieszenia ćwierć g, gdy znajdą się w odległości przynajmniej dziesięciu kilometrów.

– Tak jest. – Oficer od broni podniósł na swej konsoli osłonki bezpieczeństwa przycisków służących do odpalania, po czym wdusił je po kolei.

– Odpalam dwójkę. Odpalam czwórkę. Odpalam piątkę. Odpalam szóstkę. Drony poleciały, sir.

– Potwierdzam wystrzelenie – oznajmił oficer taktyczny. – Drony lecą balistycznie w trybie pasywnym.

Cztery wystrzelone przez nas boty pojawiły się na diagramie jako niebieskie symbole w kształcie odwróconej litery V. Powoli odsuwały się od „Indy’ego”, rozchodząc się przy tym na boki.

– Mamy dobre połączenie.

– Przygotować Klucz Dwa i wystrzelić, gdy będzie gotów.

Niemal od razu po wypuszczeniu dronów odbierane przez nas dane znacznie zwiększyły jakość i rozdzielczość. Diagram taktyczny jakby drgnął, aktualizując holograficzną kulę o nowe informacje, a ikony okrętów przemieściły się lekko na poprawione współrzędne.

– Nie mają dość jednostek, by ustawić porządną perymetr – oznajmił pułkownik po kilku minutach wpatrywania się w diagram. – Nie dla takiego kawałka przestrzeni. Są te trzy tutaj – wskazał okręty, które właśnie ominęliśmy –

które odstrasza każdego próbującego podejść do Ziemi i Luny.

– Blokada nie ma być szczelna, a tylko zniechęcać wścibskich sąsiadów – zgodziła się major Renner.

– W końcu i tak ruch wokół Ziemi znacznie się zmniejszył.

Drony oddalały się od trajektorii „Indy’ego”, napędzane wyłącznie przyspieszeniem uzyskanym dzięki wyrzutni elektromagnetycznej. Po pokonaniu dziesięciu kilometrów uruchomiły własne systemy napędowe i pomknęły w odpowiednich kierunkach. „Indy” szykował się już wtedy do wysłania czterech kolejnych zestawów oczu i uszu na bardzo długich smyczach, czyli robił to, do czego został pierwotnie zaprojektowany.

– Klucz Dwa wjeżdża właśnie do wyrzutni – ogłosił zbrojmistrz. – Rozpoczyna się trzyminutowa procedura przedstartowa.

Gdy druga grupa botów opuściła wyrzutnie, pierwsza znajdowała się już w odległości setek kilometrów, lecąc w stronę wyznaczonych im pozycji w taki sposób, by oszczędzać paliwo i nie rzucać się w oczy. Klucz Dwa zostawił za sobą okręt i drony pomknęły uzyskanym pędem ku własnym punktom uruchomienia napędu, skąd miały ruszyć ku ustalonym współrzędnym. W ciągu dwóch godzin wszystkie znalazły się mniej więcej tam, gdzie chcieliśmy: powyżej, poniżej i po obu stronach niezidentyfikowanego kosmicznego kotwicowiska. „Indy” po długim łuku ominął okręty z perymetru, które zostały teraz nieco powyżej i za nami od strony sterburty. Kotwicowisko leżało z kolei przed nami od sterburty, w odległości miliona kilometrów.

– Skorygować kurs – rozkazał pułkownik. – Sternik, skreć piętnaście stopni na bakburtę, zerowy kąt nachylenia. Zmniejszmy trochę profil, w razie gdyby ich sensory okazały się równie dobre, jak nasze.



Podkradaliśmy się do kotwicowiska niczym złodziej śledzący swą ofiarę na ciemnych ulicach DZK po północy, gdy w pobliżu krążą policyjne patrole. Rzeczywiście było tam kotwicowisko i połączone przekazy sensoryczne z pasywnego sprzętu „Indy’ego” oraz ośmiu niewidzialnych dronów obejmujących odpowiedni sektor przestrzeni malowały coraz wyraźniejszy obraz w miarę naszego zbliżania.

– Osiemnaście okrętów – policzyła pierwsza oficer. – Cholera, to pokaźny zespół zadaniowy.

– Są przynajmniej dwa kolejne – powiedział oficer taktyczny. Podświetlił kotwicowisko na ekranie nad holostolem. – Tutaj, w stanowiskach dokujących. I to duże. Moim zdaniem lotniskowce.

– Można je zidentyfikować?

– Nie, sir. Nie odbieram od nich żadnych sygnałów, nawet IFF.

Skupisko okrętów po drugiej stronie kotwicowiska po kolei zdradzało swoje tożsamości. Sieć dronów i komputer „Indy’ego” porównywały elektroniczne sygnatury jednostek i przydzielały numery boczne lub deskryptory typu.

– Kolejny lotniskowiec – wskazała major Renner. Identyfikator głosił: CV-2153

„Polluks”.

– Krążownik, dwie kolejne fregaty. Tam jest statek zaopatrzeniowy floty. Wygląda na typ Hampton. I jeszcze jeden. I następny. – Pierwsza oficer spojrzała na pułkownika i zachichotała. – Dobrze pan stawiał, sir. Z nazwami tych fregat.

Wskazała ikony fregat, które w formacji z krążownikiem eskortowały lotniskowiec. Ich identyfikatory zmieniły się z „nieznany” na FF-902 „Lete” i FF-900 „Styks”. Pułkownik uśmiechnął się, choć bez śladu wesołości.

Nagle zaktualizowały się oznaczenia okrętów w środku grupy i dowódca gwizdnął cicho.

– Dwanaście pomocniczych frachtowców floty.

– Jaki zespół uderzeniowy potrzebuje tyle przestrzeni ładunkowej? – zastanawiała się głośno pierwsza oficer. – To w sumie wyporność niemal miliona ton.

– To nie jest zespół uderzeniowy – oznajmiłem.

Pułkownik Campbell pokręcił głową.

– Nie, panie Grayson. Nie jest – potwierdził.

Położył dłonie na krawędzi holostolu i pochylił się, skupiając wzrok na centralnym zgrupowaniu ikon. Hologram odbijał się błękitem w jego oczach.

– Siedem okrętów bojowych, trzy statki zaopatrzeniowe i dwanaście wielkotonażowych frachtowców zdolnych do wchodzenia w Alcubierre’a. To jest flota ewakuacyjna. Jesteśmy świadkami exodusu.

Rozdział 15

Jak w starym kapitalistycznym filmie wojennym

Może szykują pomoc dla Marsa? – odezwała się major Renner. Dyskusja w BCI trwała już jakiś czas i widać było wyraźnie, że pierwsza oficer próbowała wyjaśnić sytuację w inny sposób niż tylko jako zdradę na wielką skalę ze strony dowództwa.

– Po co by im tu była niemal jedna czwarta floty handlowej? – spytałem. – Nie lecą z nią na Marsa. Równie dobrze mogliby ją tu wysadzić w drzazgi i zaoszczędzić paliwo do reaktora.

– Za cholerę nie wiem. Przewożą armię naziemną? Kilka pułków pancernych? Chyba nie wierzycie, że uciekaliby przed Dryblasami i zostawiali Ziemię bez obrony. Ile osób zmieściłoby się w ogóle na tych frachtowcach? – dopytywała Renner.

– Mnóstwo – odrzekł główny inżynier. – Gdyby takiego kolosa przerobić tak, by mieścił pasażerów, do środka dałoby się wepchnąć niemal dziesięć tysięcy. Więcej, jeśli nie wybrzydzałoby w kwestii warunków.

– To jednak w sumie daje... ile, sto pięćdziesiąt tysięcy? Zaledwie dwa kwartały uliczne z DZK. Bez sensu.

– Nie sądzę, by ewakuowali DZK – oznajmiłem.

Major Renner spojrzała na mnie w sposób sugerujący, że nie podoba jej się mój tok rozumowania.

– Myślę, że pan Grayson ma słuszość – stwierdził pułkownik Campbell. – I że obowiązująca tutaj procedura nie obejmuje całościowej ewakuacji ludności cywilnej. Wszyscy wiemy, że jest to niemożliwe pod względem logistycznym. Cały tonaż floty pomieściłby jedynie ułamek procenta cywilów. – Stuknął palcami w szkło holostolu. – Jeśli ktoś jest ewakuowany, to na pewno nie motłoch.

– Dron Pięć przesyła lepszy materiał z kotwicowiska – powiedział specjalista od walki elektronicznej. – Myślę, że powinien pan na to spojrzeć, sir.

– Proszę wyświetlić na diagramie – polecił dowódca.

Nad sferą taktyczną i przemieszczającym się powoli po niej skupisku niebieskich ikon pojawiło się okno.

– Co to, kurwa, ma być? – spytała pierwsza oficer.

Materiał z drona pokazał kotwicowisko „z góry”, pozwalając nam przyjrzeć się całości w rzucie prostokątnym. Okazało się mniejsze niż stacja kosmiczna, ale i tak znacznie większe niż każde z widzianych do tej pory przeze mnie kotwicowisk. Z segmentu centralnego odchodziło sześć rozgałęzień ze stanowiskami dokowania, z czego trzy były obecnie zajęte. Przy jednym dostrzegłem znajomą sylwetkę niszczyciela typu Błękit – uszkodzonego

„Murphy’ego”, który właśnie dokował. Czegoś takiego jak pozostałe dwa okręty jeszcze dotąd nie widziałem. Ponieważ znajdujący się obok „Murphy” stanowił punkt odniesienia, ocenilem, że obie jednostki po przeciwległej stronie kotwiczowiska były ogromne: niemal dwa razy dłuższe niż niszczyciel i znacznie szersze.

Pułkownik Campbell przyglądał się obrazowi. Sięgnął w głąb i przybliżył widok palcami, po czym przesunął go w prawo i w lewo.

– Czegoś takiego nie znajdziecie w bazie danych floty – rzekł. – Wyglądają jak lotniskowce, ale nimi nie są, choć rozmiar by na to pozwalał. Jak pani sądzi, pierwsza? Sto? Sto dziesięć tysięcy ton?

– Trudno zgadywać, nie wiedząc, co znajduje się w środku – odparła major Renner. – Sto tysięcy, jeśli połowę wnętrza stanowi pokład lotniczy. A jeśli to nie jest lotniskowiec, wtedy przynajmniej sto pięćdziesiąt tysięcy.

Oficer taktyczny gwizdnął cicho.

– Cholernie wielki kadłub – skomentował.

Spoglądałem na dwa nieznane okręty spoczywające obok siebie na stanowiskach. Nie wyglądały według mnie na lotniskowce. Wydawały się inne, bardziej zwarte, agresywniejsze, jakby wziąć krążownik Obuch i rozplaszczyć, a następnie nadmuchać do dwukrotności pierwotnego rozmiaru. W każdym razie nie miałem jednak wątpliwości, że mam przed sobą jednostki bojowe, zdolne zbliżyć się do niebezpiecznego wroga i rozbić go w pył.

– Nie są skończone – stwierdził główny inżynier.

– Jak to? – Major Renner pochyliła się i przyjrzała uważniej obrazowi.

– Widzi pani ten warstwowy wzór na kadłubie? – Główny inżynier również podszedł bliżej i powiększył obraz. – Jestem przekonany, że to pancerne osłony boczne. Może to nowe aktywne rozwiązanie, które testowano rok czy dwa lata temu na poligonie. O, tutaj widać mocowanie. – Wskazał fragment obrazu. Dostrzegłem jedynie cienie na kadłubie układające się we wzór szachownicy, ale i tak skinąłem głową. – Nie sięgają jednak od dziobu do rufy – ciągnął. – Na tym okręcie dochodzą tutaj, mniej więcej do jednej trzeciej długości. Na drugim nieco dalej. I proszę spojrzeć na rufy. To prostopadłe wsporniki grodzi, otwarte na przestrzeń. Jeśli celem konstruktorów nie było opancerzenie jedynie części dziobowych, to okręty nie zostały ukończone. – Inżynier oddalił lekko obraz i przesunął na rozgałęzienia dokujące, po czym stuknął hologram palcem. – Wciąż spawają kadłub. Tutaj i tutaj widać ramiona laserów. Te jednostki są w trakcie budowy. Moim zdaniem są wykonane w dwóch trzecich, może trochę więcej.

– Ale w jakim celu powstały? – zastanawiał się na głos pułkownik. – Co oni tu budują, do cholery, z dala od wszystkiego i w tajemnicy? – Przerzucił obraz na skraj wyświetlacza taktycznego i spojrzął na diagram. – Czy możemy przysunąć Drona Pięć nieco bliżej kotwiczowiska? Chciałbym lepiej się przyjrzeć tym kadłubom, może nawet odczytać profil ELINT, jeśli mają już zainstalowany i uruchomiony sprzęt sensoryczny. Przy takim kolosie nie czeka się na montaż całego pancerza przed instalacją wyposażenia.

– Tak jest, sir. Mogę podlecieć jeszcze kilkaset kilometrów.

– Tylko nie na tyle blisko, by odezwały się u nich jakieś czujniki. Jeśli znajdą drona zwiadowczego, będą wiedzieć, że ktoś podsłuchuje, i przeczeszą okolicę.

Spędziłem w BCI sporo czasu od naszego pospiesznego odlotu ze stacji Niepodległość i byłem naprawdę zmęczony. Pułkownik Campbell wyglądał na równie wyczerpanego. Zmarszczki w kącikach jego oczu sprawiały wrażenie, jakby pogłębiły się przez noc. Zdusił ziewnięcie i spojrzał na zegar na grodzi. Była druga trzydzieści rano, czyli pora, gdy człowiek posiada najwolniejszy czas reakcji. Na okręcie kosmicznym ta godzina była równie pozbawiona znaczenia, jak każda inna, ale świadomość, że w okolicach południka zerowego na Ziemi trwa właśnie środek nocnej wachty, w jakiś sposób pogłębiała odczuwane przeze mnie zmęczenie. Nikt z nas od dawna nie miał okazji się wyspać.

Pułkownik zauważył, że również zerkam na zegar, i uśmiechnął się do mnie ze znużeniem.

– Nie ma pokoju dla zmęczonych, panie Grayson.

Zamknął okna z obrazami z dronów i zwiększył skalę diagramu, aż „Indy” i wszystkie okręty wokół tajemniczego kotwicowiska stały się jedynie małymi niebieskimi kropkami w środku. Widziałem niebiesko-zieloną sferę przedstawiającą Ziemię, a za nią mniejszą, szarą – Lunę.

– Sierżancie sztabowy Grayson, proszę zabrać naszego gościa ze Związku i przyjść razem z nim do sali odpraw Delta. Pierwsza, proszę również się zjawić wraz z szefami działów. Taktyczny, przejmuje pan mostek.

– Tak jest, przejmuję mostek – potwierdził oficer.

– Musimy pomyśleć, co, do ciężkiej cholery, mamy teraz zrobić – oznajmił dowódca. – A później prześpiemy się trochę na zmianę, zanim załoga padnie z wyczerpania.



Gdy poszedłem po Dmitrija, spał w swojej kajucie, ale chyba miał na sobie mundur roboczy, ponieważ minęło zaledwie sześćdziesiąt sekund, odkąd zapukałem do jego wjazdu, i był już gotowy.

Sala odpraw na pokładzie Delta była jednym z większych pomieszczeń na „Indym”. Nie tak przestronnym, jak mesy dla szeregowych i podoficerów, ale i tak mieszczącym więcej niż BCI. Co ważniejsze, znajdowało się w niej dwadzieścia przynitowanych do podłogi krzeseł obróconych ku przedniej grodzi, na której umieszczono duży holograficzny wyświetlacz, sięgający od podłogi do sufitu.

Gdy weszliśmy obaj do środka, połowa miejsc okazała się zajęta. Pojawiła się już większość szefów działów, a także porucznik dowodzący pokładowym oddziałem PK. Skinął głową na mój widok, a ja odwzajemniłem gest. Wszyscy obecni sprawiali wrażenie, jakby potrzebowali całodziennego przydziału do swych kajut, a później miesiąca urlopu.

– Philbrick mówił mi o dłoni – powiedział porucznik, gdy siadłem obok niego. – Sanitariuszka nie zdołała ich przyszyć?

Pokręciłem głową.

– Te palce zostały na sporym obszarze podłogi na stacji – odrzekłem. – Nie było czego przyszywać. Nigdy nie będę się już wyśmiewać z tych gównianych policyjnych pistolecików.

– Przynajmniej to nie dłoń, którą trzyma się broń – skomentował.

– Taa, chyba miałem szczęście, prawda?

Właz znów się otworzył i do wnętrza weszli pułkownik Campbell oraz major Renner. Pierwsza oficer zajęła jedno z pustych krzeseł, dowódca zaś przemaszerował na przód sali i obrócił się do holoeckranu, wykonując gest dłonią. Wyświetlacz ożył i pokazał sferę taktyczną, taką samą jak na stole sytuacyjnym w BCI. Grupa pomocniczych frachtowców floty stacjonowała w przestrzeni, otoczona kilkoma okrętami bojowymi. Daleko z tyłu za naszą sterburtą siły perymetru kontynuowały patrol, co jakiś czas podświetlając diagram rozbłyskami aktywnych sygnałów radarowych, by wypłoszyć ewentualnych kryjących się w ciemności intruzów. „Indy” był niczym włamywacz podsłuchujący spotkanie rodzinne w salonie, gdy zdołał już przekraść się obok uzbrojonych strażników pilnujących zamkniętego osiedla.

– Oto, jak wygląda sytuacja – oznajmił pułkownik. – Znajdujemy się w dalekiej przestrzeni milion kilometrów od Ziemi. W zasięgu sensorów optycznych mamy niezidentyfikowaną strukturę o wyraźnie militarnej naturze. W pobliżu znajduje się spora cywilna flota handlowa, którą eskortują wyjątkowo potężne okręty bojowe. W tym trzy fregaty, których nie obejmuje rejestr floty, oraz dwie niedokończone jednostki, większe niż wszystko, co do tej pory wchodziło w skład floty.

Obrócił się i zaznaczył odpowiednie ikony. Symbol oznaczający „Indy’ego” oddalał się powoli od stacji i grupy na perymetrze, jednak osiem dronów utrzymywało pozycje wokół kotwiczowiska i zgromadzonych tam jednostek.

– Sposób, w jaki nas przyjęto, gdy wróciliśmy niespodziewanie do Układu Słonecznego, każe mi sądzić, że temat kotwiczowiska i otaczających je okrętów nie jest szczególnie znany na Ziemi. Bardzo próbowali zachować nasze przybycie w tajemnicy i byli gotowi nas zniszczyć, aby powstrzymać przed kolejnym odlotem. Wyraźnie planują coś, co według nich nie powinno się przedostać do publicznej wiadomości. Pytanie brzmi: co zrobimy teraz z tą wiedzą?

– Wróćmy na Ziemię, prześlijmy współrzędne tego zgrupowania każdemu napotkanemu okrętowi, a później, na wszelki wypadek, także sieciom cywilnym – odezwała się major Renner.

– W jakim celu? – spytał nasz oficer taktyczny. – To zły pomysł, pani major. Bez obrazu.

– Proszę rozwinąć myśl, kapitanie Freeman – rzekł pułkownik.

Kapitan zapewne nie był od mnie starszy więcej niż o dziesięć lat, lecz w tej chwili sprawiał wrażenie, jakby dobiegał pięćdziesiątki. Wydawał się wymizerowany i zmęczony, miał mocno podkrążone oczy. Nie spoglądałem od jakiegoś czasu w lustro, ale podejrzewałem, że sam też nie wyglądałem młodo i kwitnąco.

– Cóż, tamte jednostki wyraźnie nie chcą zostać odkryte – zaczęła. – I stanowią

jedyny zespół zadaniowy przebywający obecnie w okolicy Ziemi. Jeśli ktoś poleci sprawdzić podane przez nas współrzędne, zestrzela go.

– Zatem przekażmy informacje cywilom – odparła major Renner. – Niech to się pojawi w sieciowizji. To przecież temat stulecia.

– A co później? – spytałem. – Cywile dowiedzą się, że flota podwinęła ogon i ucieka. Spowodowałyby pani zamieszki od Wschodniego Wybrzeża do Zachodniego. – Nagle przyszła mi do głowy paskudna, nieprzyjemna myśl. – To wszystko przy założeniu, że władze w ogóle pozwoliłyby sieciowizji nadać taki materiał. Jestem przekonany, że wszystkie te cywilne frachtowce nie przewożą wyłącznie wojskowych zasobów. Zdziwiłbym się, gdyby nie znajdowali się tam głównie bogacze z przedmieść i urzędnicy rządowi.

– To dopiero wesoła perspektywa – mruknął obok mnie porucznik Shirley. – Szczury opuszczają tonący statek.

– Dobrze ustosunkowane szczury – sprostowałem, a on uśmiechnął się słabo.

– A więc co mamy zrobić? – dopytywała się pierwsza oficer. – Dać nogę i ich zostawić? Ci z kotwicowiska chcą zabrać większość sił bojowych znajdujących się po tej stronie blokady. Może po obu stronach. Kto wie co tam zostało?

– Właśnie tak powinniśmy zrobić – stwierdził pułkownik Campbell.

– Chyba nie mówi pan poważnie, sir – odparła Renner.

– Owszem, mówię. – Pułkownik wyświetlił na ekranie taktycznym okno z datą i godziną. – Opuściliśmy Fomalhaut już niemal piętnaście dób temu. Nie możemy sobie pozwolić, by siedzieć tu i pilnować tej wesołej gromadki. Zboczenie z drogi już kosztowało nas dość czasu i paliwa. Niech się spakują i opuszczą system. W tej chwili gównie mnie to obchodzi. Trzydzieści tysięcy osób czeka na Nowym Svalbardzie na nasz powrót i informacje, gdzie przyczaili się Dryblasy. Pozostawimy drony na pozycjach. Jeśli kiedyś tu wrócimy, zgarniemy je i pobierzemy zebrane dane. – Rozejrzał się po sali. – Czy ktokolwiek sprzeciwia się w jakiejś konkretnej kwestii?

Major Renner nie wyglądała na zadowoloną, ale pokręciła przecząco głową.

– Chcę wiedzieć, jeśli ktoś się nie zgadza – oznajmił pułkownik. – Słuchajcie, mówię poważnie. Wszyscy wsadziliście wraz ze mną głowę w pętlę, gdy postanowiliście wyciągnąć mnie z aresztu. Zasłużyliście sobie na prawo podejmowania tu decyzji.

W pomieszczeniu zapanowało milczenie, zakłócanie jedynie szelestem mundurów, gdy ludzie wiercili się na krzesłach. Nagle major Renner odchrząknęła.

– Jeśli nie wrócimy i nie dokończymy misji, wszystko to nie okaże się warte sądu wojskowego – powiedziała. – Tamci nie zaryzykują przejścia na ślepo do Układu Słonecznego, zwłaszcza jeśli zaginiemy.

Zgromadzeni pomrukami wyrazili aprobatę. Dowódca skinął głową, po czym odetchnął powoli i ścisnął palcami nasadę nosa.

– Dobrze – rzekł. – Zastanówmy się w takim razie, jak wrócić do Fomalhaut, a potem stąd spadajmy.

– Dwie możliwości – powiedziała pierwsza oficer, gdy wróciliśmy do BCI. – I żadna z nich się panu nie spodoba.

Podświetliła na hologramie dwie odmienne trajektorie. Wyświetlacz pokazywał w dużej skali trójwymiarową mapę Układu Słonecznego, a przynajmniej tej jego części, która rozciągała się od Ziemi do pasa asteroid za Marsem.

– Oto pierwsza z nich – ciągnęła, a wybrana trasa rozjarzyła się na chwilę na żółto. – Wracamy tą samą drogą, którą tu przylecieliśmy, poprzez blokadę i wokół Marsa. Znowu stosujemy asystę grawitacyjną i mamy nadzieję, że ponownie się nam poszczęści. Jeśli się przedostaniemy, przekradamy się do punktu przejścia Sojuszu, czekamy na szczelinę we wzorcu patrolowym Dryblasów i skaczemy do Fomalhaut. Czyli to, co wcześniej, tylko na odwrót. Dziesięć dni. Trochę mniej, jeśli zdołamy też wykorzystać odpowiednio grawitację Ziemi, żeby się odepchnąć.

Podświetliła drugą trajektorię na zielono.

– Opcja druga, czyli jedziemy objazdem. Przy bieżącym układzie planet możemy polecieć przez daleką przestrzeń, ale nie da się nigdzie wykorzystać grawitacji. Zajmie to znacznie więcej czasu i paliwa.

– Ile więcej? – spytał pułkownik Campbell.

– Jeśli chcemy, by po dotarciu do Fomalhaut zostało nam cokolwiek w zbiornikach, podczas podróży nie możemy stosować pełnego ciągu. Trzydzieści pięć dni przy akceleracji jeden g utrzymywanej w obu fazach lotu i nie zalecałabym kuszenia się o choćby minimalnie wyższą prędkość, bo wtedy możemy wlecieć w punkt przejścia z pustymi bakami.

Dowódca wpatrywał się w mapę, drapiąc się po brodzie. Na jego twarzy widniała siwa szczecina, przez którą wyglądał wyjątkowo nieschludnie, jak na siebie.

– Podoba mi się szybka wersja – uznał. – Trzydzieści pięć dni to dla nas za długo. Jednak flota z Fomalhaut nie przejdzie później obok Marsa.

Wsunął dłoń w wyświetlacz i przybliżył obszar wokół węzła Alcubierre'a należącego do Związku. Dwie odmienne trajektorie zbiegały się tam lub rozdzielały, w zależności od przyjętej perspektywy i punktu początkowego. Obrócił lekko obraz, śledząc obie trasy palcem.

– Jeśli polecimy przez daleką przestrzeń, być może znajdziemy inną drogę z węzła na Ziemię. Możliwe, że nie patrolują tak mocno tego skrawka układu.

– Może w ogóle go nie patrolują – podsunęła major Renner.

– Tyle że pomiędzy tym punktem a węzłem na tamtej trasie jest jedno wielkie zadupie. Jeśli utkniemy, to na dobre. Nie ma tam nawet przekaźnika łącznościowego, nie mówiąc już o placówce wojskowej czy górniczej. I droga zajmie trzydzieści pięć dni.

Obserwowałem dyskusję z pewnym niepokojem. Nie wiedziałem, co bardziej mnie przerażało: perspektywa ponownej szaleńczej jazdy wokół Marsa i kolejnego rzucania monetą z szansą pół na pół czy spędzenia ponad miesiąca w środku totalnej pustki.

Nagle Dmitrij, który stał obok mnie i obserwował wszystko z uprzejmą miną,

odchrząknął. Wszyscy w BCI spojrzeli na niego.

– Pomiędzy tym punktem a węzłem wcale nie jest jedno wielkie zadupie – rzekł.

– Słucham, sierżancie? – odparł pułkownik, unosząc brew.

Rosjanin podszedł do holostolu i stuknął palcem zieloną trajektorię numer dwa.

– Lećcie tędy. To nie jest wyłącznie pustka. Nazywamy to *Krasnyj Marszrut Odin*. Czerwona Droga Jeden. Zupełnie jak w starym kapitalistycznym filmie wojennym. Jest tam kotwiczowisko, gdzie można uzupełnić paliwo i żywność. – Wskazał punkt w połowie trasy. – Używamy go czasem, gdy testujemy nowy okręt, który musi pozostać tajemnicą. Albo przy operacjach specjalnych. Tajnych przez poufne – dodał, karykaturalnie naśladowując amerykański akcent.

– Kurczę – powiedziała major Renner. Wszędzie dookoła słychać było pełne niedowierzania chrząknięcia i chichoty. – Mówi nam pan, że ZCR ma sekretny punkt zaopatrzeniowy dla sił specjalnych. I że znajduje się on w pobliżu trajektorii, którą musimy obrać, aby dostać się do waszego węzła przejścia.

– *Da* – odparł życzliwie Dmitrij.

– A pan przekazuje tę informację dobrowolnie. Zupełnie jakby nie stanowiła tajemnicy wojskowej.

– *Da* – powtórzył Rosjanin.

– Dlaczego pan to robi? – spytał pułkownik.

– To najlepszy sposób na powrót. Nie tak szybki, jak ponowny lot wokół Marsa, ale bezpieczniejszy. Można dać większy ciąg, zużyć więcej paliwa, uzupełnić je na kotwiczowisku Związku. Żywność też można uzupełnić, choć nie zalecam.

– I dysponuje pan współrzędnymi tego kotwiczowiska – bardziej stwierdziła, niż zapytała pierwsza oficer.

– W panczerzu, w komputerze.

– A pozwolą nam tam zatankować? Przekona ich pan, by dali paliwo okrętowi Wspólnoty? To poważne ryzyko.

– Nikogo tam nie ma – rzekł Dmitrij. – Kotwiczowisko działa automatycznie.

– Sierżancie Czistiakow, gdy dowiedzą się, że ujawnił pan tak ważną wojskową tajemnicę, wtrąca pana do więzienia i wyrzucą kartę dostępu – powiedział pułkownik.

– Zatem nie możecie ich o tym poinformować – odparł Dmitrij z krzywym uśmiechem.

– Przy założeniu, że możemy tam dotrzeć na pełnym ciągu, znika problem zużycia paliwa. Ile czasu byśmy potrzebowali, gdybyśmy zatankowali na kotwiczowisku Związku? – spytał pułkownik Campbell pierwszą oficer.

Major Renner zajrzała do swego OTI i przez chwilę stuknęła w ekran.

– Siedemnaście dni, sir.

– Do kotwiczowiska czy do punktu odwrócenia ciągu?

– Do węzła przejścia, sir. Cała trasa.

Pułkownik spojrział najpierw na panią major, później na mnie i wreszcie na Dmitrija, po czym pokręcił głową z uśmiechem.

- Żyjemy w naprawdę dziwnych i wspaniałych czasach – stwierdził.
- *Choroszo?* – spytał Dmitrij. – Jest dobrze?
- *Oczeń choroszo* – odparł dowódca. – Bardzo dobrze. Pierwsza, proszę wyznaczyć trajektorię dla opcji drugiej i przygotować okręt do odlotu. Mamy przed sobą długą trasę, którą trzeba szybko przebyć. I miejmy nadzieję, że po drodze nie natkniemy się na duży ruch.

Rozdział 16

Trybiki w maszynie do mięsa

Nie chciałem świadomie uczestniczyć w ponownym mijaniu przez nas Ziemi w drodze powrotnej do Fomalhaut. Nie chciałem spoglądać na ojczystą planetę i Lunę przez matrycę optyczną, pozwalającą dostrzec kontynenty na Ziemi i budowle stworzone ręką człowieka na Lunie, ponieważ mogłoby mnie skusić, żeby wskoczyć w jedną z kapsuł ratunkowych i wystrzelić się w stronę planety. Na szczęście czułem się tak zmęczony, że zupełne pozbawienie się przytomności nie stanowiło najmniejszego problemu.

Gdy znalazłem się w kajucie, zażyłem podwójną dawkę leków przeciwbólowych, które dała mi sanitariuszka Randall. Następnie położyłem się na koi, zamknąłem oczy i czekałem na ciepłe, przytulne wrażenie wlewających się do mózgu farmaceutyków.



Kiedy się obudziłem, miałem wrażenie, jakby moje ciało straciło wszelką ochotę na jakikolwiek ruch. Po zaciągnięciu zasłony byłem niczym w małym pudełeczku, gdzie wszystko wydawało się przyjemne i przewidywalne. Pozwalało mi udawać, że poza koją nie ma nic więcej, że nie czekają mnie nużące dni wachty na okręcie pędzącym przez wrogą próżnię, gdy od unicestwienia dzieli jedynie maleńkie pęknięcie kadłuba, że nie znajduję się w Galaktyce pełnej morderczych obcych i że rasa ludzka wcale nie wypada lepiej w kwestiach etycznych.

Spojrzałem na zegarek i stwierdziłem, że spałem trzynaście godzin. Powinienem być wypoczęty i przytłaczające zmęczenie nie zasnuwało mi już myśli, ale czułem jedynie wycieńczenie.

Podniosłem się i wreszcie nałożyłem świeży mundur roboczy. Ten poplamiony krwią, który miałem dotąd na sobie, pochodził z kwatermistrzostwa na lotniskowcu „Regulus”, podobnie jak pancerz wiszący w szafce obok. Uzupełniłem go o naszywkę z nazwiskiem i oznaczenia stopnia, ale pominąłem naszywkę jednostki. Nie byłem już pewien, gdzie obecnie jest moje miejsce. We flocie? W nowosvalbardzkich siłach porządkowych? W zbuntowanych pułkach SOZ? W załodze „Indy’ego”? Deklarowanie członkostwa w jednej z tych grup przy jednoczesnym pominięciu pozostałych wydawało się nie w porządku, postanowiłem więc, że mój mundur nie będzie wyrażał żadnej przynależności.

Nie chciałem wracać do BCI i wpatrywać się nieskończone godziny w holograficzną sferę, która z dokładnością do jednej dziesiątej kilometra pokazywała mi, jak daleko znajduję się znów od Halley i Ziemi, a także jak szybko się od nich odsuwam. Zapiąłem buty i obmyłem się jedną dłonią we wnęce

łazienkowej, po czym przeszedłem przez właz i skręciłem w lewo, w stronę mesy podoficerskiej.

Dogłębnie zaznajomiłem się już z ograniczoną ofertą żywniową „Indy’ego”. Miałem do wyboru dwa rodzaje kanapek: ze standardową wojskową mortadela, tylko w połowie składającą się z soi i naprawdę zawierającą trochę mięsa, a także z masłem orzechowym i dżemem, które mięsa nie zawierały. Nawet gdy wzięło się pod uwagę wszystkie obrzydliwe kombinacje i możliwość dorzucenia plasterka sojowego sera, istniało tylko siedem czy osiem wariacji tego menu. Były też równie standardowe racje polowe, podgrzewane w kambuzie i dostępne w sześciu różnych wersjach, wszystkie tylko odrobinę bardziej zjadliwe niż porcje z podstawowego przydziału żywniowego, które kiedyś wmuszałem w siebie w DZK. Od tygodni nie jedliśmy nic innego niż gotowe racje i to zdumiewające, jak brak różnorodności w ofercie żywniowej może osłabiać ogólne morale żołnierzy oraz marynarzy. Leki przeciwbólowe tłumiły resztki apetytu, ale czułem burczenie w żołądku, mimo wszystko pobrałem więc tacę i położyłem na niej kanapkę z mortadela oraz kubek kawy.

Byłem w połowie kawy i po dwóch kęsach mięsnej kanapki, gdy do mesy wszedł Dmitrij. Zobaczył, że siedzę sam w rogu, podszedł do mnie z butelką w dłoni. Postawił ją przede mną na stole i usiadł.

– Prezent – oznajmił. – Z destylarni na „Mińsku”.

– Co to? – spytałem. Zawartość butelki wyglądała klarownie i niewinnie, jak woda z kranu.

– Produkt fermentacji.

– Produkt fermentacji czego konkretnie?

– Lepiej nie pytać – odparł Rosjanin. Kciukiem podważył plastikowe zamknięcie i wlał mi do kawy trochę płynu, zanim zdążyłem odsunąć kubek. – Spróbuj. Nie jest takie złe.

– Na waszym lotniskowcu szturmowym naprawdę jest destylarnia?

– To rosyjski okręt. W całej flocie ZCR nie znajdziesz okrętu, na którym nie przebywałby inżynier wiedzący, jak w sekrecie zrobić coś dobrego do picia.

– A ja myślałem, że wszystkie moje opinie na temat Rosjan są błędne – rzekłem.

– Mogłeś zabrać ze sobą dziesięć kilogramów rzeczy osobistych i wziąć alkohol? Dmitrij wzruszył ramionami.

– Czasami się przydaje – odparł. – To lepsze niż pudełko medali czy zabawek.

Podniosłem kubek i powąchałem. Nie poczułem zbyt wiele z powodu uszkodzonego nosa, ale znajoma, lekko kwaskowata woń standardowej we flocie kawy z ziaren soi nabrała teraz ostrzejszej nuty. Upiłem łyk, spodziewając się, że zakrztuszę się taką mieszanką, ale smak okazał się całkiem znośny i spodobało mi lekkie ciepło na podniebieniu.

– Niezłe – powiedziałem i wziąłem kolejny łyk. Dmitrij z uśmiechem przesunął butelkę na moją stronę stołu.

– Weź. Zachowaj sobie na wszelki wypadek.

– To naprawdę cenna waluta, Dmitrij. Pewnie mógłbyś to przehandlować u kucharzy za możliwość wybierania przez tydzień takich racji, jakie chcesz.

– Płacę za to, co jestem dłużny – odrzekł, po czym wskazał moją zabandażowaną dłoń. – Ty przehandlowałeś palce za wrogiego koordynatora przestrzeni walki.

Otworzyłem usta, by powiedzieć mu, że wcale tak nie było, ale uciszył mnie niecierpliwym machnięciem.

– Tak, tak. Mam kody do punktu przejścia. To nie była przysługa osobista. Ocaliłeś siebie i okręt, żebyśmy mogli wrócić do Fomalhaut. – Wymówił nazwę systemu jak „Fomalgaut”. – Ale to nieistotne, dlaczego tak zrobiłeś. Straciłeś palce, a ja wciąż mam powietrze w płucach. Może, jeśli wszystko się znów nie zesra, pewnego dnia wrócę do domu. Bo wyciągnąłeś dłoń przed broń i kule nie poszły tu. – Stuknął się w czoło i pierś.

– Masz kogoś w domu? Rodzinę?

Zamrugnął, jakby moje pytanie zbiło go z tropu, po czym sięgnął do kieszeni munduru w gadzi wzór i wyłowił mały futerał na dokumenty osobiste. Wersja ZCR wyglądała bardzo podobnie do naszej: niewielka wodoodporna okładka mieszcząca jedynie kilka czipów identyfikacyjnych i może jeden czy dwa papierowe listy. Ze środka wyjął wydrukowane zdjęcie i niemal nieufnie położył je przede mną.

– Maksim – oznajmił. – Mąż. Wielki, głupi, ale z dobrym sercem.

Fotografia przedstawiała żołnierza mniej więcej w moim wieku, o bardzo krótko ściętych włosach i ubranego w taki sam gadzi kamuflaż, jaki widniał na uniformie Dmitrija. Wystający spod bluzy mundurowej podkoszulek miał na przemian białe i granatowe poziome pasy, a wsunięty pod pagon берет był błękitny.

– Też jest w piechocie morskiej? – spytałem.

– Jak już mówiłem. Duży i głupi.

Uśmiechnąłem się i oddałem zdjęcie. Dmitrij wsunął je ostrożnie z powrotem do futerału.

Ujawnienie czegoś tak osobistego wymagało wzajemności. Z kieszeni na nogawce wyciągnąłem własny futerał i otworzyłem. W środku znajdowała się moja legitymacja wojskowa, ostatni list otrzymany od mamy i dwa zdjęcia Halley. Wysunąłem to, na którym była ubrana w kombinezon lotniczy. Przysłała mi je, zanim jeszcze wstąpiłem do tego, co wówczas było marynarką, i odtąd nosiłem je przy sobie.

Spoglądając na jej uśmiech i niesforne krótkie włosy, poczułem przez chwilę ból znacznie dotkliwszy niż ten, który towarzyszył zdrowiejącemu nosowi i zabandażowanej dłoni. Podałem fotografię Dmitrijowi, który uniósł brew i pokiwał z aprobatą głową.

– Jest pilotką – skomentował. – Dobrą?

– Dobrą – potwierdziłem. – Uczy w Szkole Lotnictwa Bojowego.

– A co pilotuje? To wielkie *gawno* z wielkim działem służącym do strzelania do rosyjskich marines? Jak to nazywacie? Dzierzba?

– Nie lata Dzierzbą, tylko okrętami desantowymi Osa i Ważka. Mniejsze *gawno* z mniejszym działem służącym do strzelania do rosyjskich marines.

Dmitrij zachichotał, wciąż przyglądając się zdjęciu Halley.

– Pokaż mi drugie.

Podaliśmy mu drugą fotografię przedstawiającą nas oboje w kompleksie wypoczynkowym floty przed dwoma laty. Mieliliśmy na sobie niebieskie mundury galowe i mozaika baretek Halley była lekko, choć zauważalnie większa niż moja.

– Dziewczyna? Żona?

– Narzeczona.

– Kto to narzeczona?

– Zamierzamy się pobrać – odparłem. – Gdy tylko wrócę. Jeśli wrócę.

Rosjanin sięgnął do innej kieszeni i wyciągnął mały przedmiot, który podniósł i obrócił powoli opuszkami palców. Był to stylizowany orzeł trzymający w szponach wieniec. Pośrodku wieńca umieszczono rzymską liczbę III. Z rozłożonymi szeroko skrzydłami drapieżny ptak sprawiał wrażenie, jakby pikował z wielką szybkością ku zdobyczy.

– Kolejny prezent – oznajmił. – Mam to od piętnastu lat. A teraz daję tobie.

Podał mi odznakę. Położyłem ją na dłoni i przyjrzałem się.

– To skrzydełka za skok?

– Dostałem na kursie desantowym. Do munduru galowego, żeby ładnie wyglądać. Nie do polowego. Weź, daj narzeczonej. Możesz jej powiedzieć, że zabrałeś z ciała martwego Rosjanina.

– Nie mogę wziąć twoich cholernych skrzydełek, Dmitrij. – Odłożyłem odznakę na stół i ostrożnie przesunąłem w jego stronę. Jeśli chińsko-rosyjscy marines przykładali choć połowę tej wagi do swych pierwszych skrzydełek za desant w ich wersji Szkoły Piechoty Kosmicznej, co nasi żołnierze PK, to właśnie oddał mi najbardziej wartościową rzecz, jaką miał, nie licząc zdjęcia Maksima.

– Weź to, inaczej znów tak ci przywalę, że osiwiejesz – powiedział bez uśmiechu, a jego mina wyraźnie dawała do zrozumienia, że nie zniesie sprzeciwu. – Wiem, to kiepska wymiana za lewą dłoń. Ale i tak weź.

Pchnął orła znów po stole. Odznaka zdecydowanie wyglądała na noszoną od piętnastu lat. Złota emalia na wieńcu wytarła się w niektórych miejscach, podobnie jak wszystkie wystające elementy. Zastanawiałem się, czy te maleńkie skrzydełka przebywały wraz ze swym właścicielem na którejś ze spornych planet, gdy kiedyś wymieniałem z nim strzały.

– Dobrze – rzekłem. – A teraz przestań już o tym gadać. Jak mówiłeś, pilnowałem tylko, by nikt nie pozbawił nas biletu powrotnego.

Otworzyłem butelkę i znów wlałem sobie odrobinę do kawy, po czym oddałem Rosjaninowi, który przyjął ją bez wahania i wypił spory haust. Następnie zamknął flaszkę i odstawił na stół.

– Jesteśmy tacy sami, ty i ja. Obaj *duraki*. Głupcy. Idioci. Mówią nam: „Idź tam, zastrzel tego człowieka, wezwij raketę na ten budynek”, i robimy to. Strzelamy do siebie nawzajem od lat, zabijamy sobie towarzyszy i dostajemy małe kawałki metalu z kolorowymi wstążkami. Nie powinniśmy tu być. Powinniśmy być w domu, ty i ja. W domu z Maksimem i... Jak ma na imię ta twoja narzeczona? – starannie wymówił nowe słowo.

– Halley – odparłem. – Na imię ma Diana, ale go nie cierpi, więc wszyscy mówią na nią po prostu Halley.

– Halley – powtórzył. Z jego rosyjskim akcentem zabrzmiało to jak „Geli”.

To niemal jak stereotyp ze starego filmu wojennego, pomyślałem. Wrogowie siedzą ze sobą, piją, wymieniają się błyskotkami i pokazują zdjęcia ukochanych, a później uświadamiają sobie, że mają ze sobą tyle wspólnego, iż nie chcą już dłużej ze sobą walczyć. Bezsens wojny, młodzi mężczyźni i kobiety, którym dowództwo każe mordować się z głupich powodów, i tak dalej. Nie miałem jednak wrażeń, by mnie to uszlachetniało czy oświecało. Raczej czułem, jakbym zmarnował ostatnie pięć lat życia, strzelając do ludzi, których nie musiałem ani nie chciałem zabijać, jakbym stanowił część wielkiej, głupiej maszyny, która pochłaniała środki potrzebne nam do walki z Dryblasami, z prawdziwym zagrożeniem. Byłem małym ponumerowanym trybikiem w maszynie do mięsa, gotowym obracać się na rozkaz. A teraz ci sami ludzie, którzy kręcili rączką, szykowali się zapewne, by uciec od całego bałaganu. Umywali ręce i zostawiali resztę nas swemu losowi.

– *Duraki* – przyznałem.

Dmitrij uśmiechnął się smutno i podniósł z krzesła.

– Pójdę teraz spać albo może poznam jakieś nowe sekrety tego waszego wymyślnego imperialistycznego okręciku szpiegowskiego. Smacznego produktu fermentacji.

Obserwowałem, jak wychodził z mesy podoficerskiej, w której zostałem znowu sam z butelką przemyconego rosyjskiego etanolu.

Bez większego entuzjazmu dokończyłem kanapkę. Znow zaczęła mnie boleć dłoń, więc wyciągnąłem pudełko z lekami i otworzyłem wieczko. Wrzuciłem dwie małe białe pastylki do ust i popiłem łykiem kawy z prądem. Jeśli już miałem wymeldować się na chwilę z rzeczywistości, to równie dobrze mogłem to zrobić na całego.

Otworzył się właz do mesy i do środka weszło dwóch żołnierzy PK: kapral DeLuca i sierżant Acosta. Szybko zgarnąłem butelkę i wcisnąłem do kieszeni na nogawce. Każda sekunda lotu wzdłuż Czerwonej Drogi Jeden w kierunku punktu przejścia oddalała mnie od Halley o następnych kilka tysięcy kilometrów pustki. Wiedziałem, że podjąłem słuszną decyzję, ale mijające godziny zwiększały obecnie złość, jaką czułem na samego siebie, i musiałem się trochę uspokoić. Skinąłem głową nowo przybyłym i wstałem od stolika, by wrócić do kajuty, gdzie czekała mnie znowu ciepła, przytulna, wspomagana lekami samotność.

Rozdział 17

Czerwona Droga Jeden

Do cholery, spokojniej z tymi pędnikami dziobowymi. Pół stopnia więcej. Utrzymać wzniesiony dziób.

Pierwsza oficer stała na środku zagłębienia w BCI, koordynując próbę dokowania, niczym dyrygent prowadzący niewielką orkiestrę. Wszyscy byli spięci, a już najbardziej sternik, któremu przypadło zadanie utrzymania czterech tysięcy ton „Indy’ego” w idealnej synchronizacji z kotwicowiskiem ZCR, leżącym niespełna trzydzieści metrów od naszej bakburty. Podejmowaliśmy już czwarte podejście w ciągu ostatnich kilku godzin i manewr, który powinien trwać w sumie dwie godziny, zamieniał się w wydarzenie całodzienne.

– Już blisko. A teraz kontrciąg dziesięć procent na dziobie przez pół sekundy. Jakby mysz pierdnęła.

„Indy” nie miał już mocowań cumowniczych. Odrzuciliśmy je niczym pszczoła żądło, gdy przed ośmioma dniami uciekaliśmy ze stacji Niepodległość. Nie miało to jednak znaczenia, ponieważ ZCR posługiwał się systemem, który nie był kompatybilny z naszym, musieliśmy więc lecieć w bardzo precyzyjnym szyku i rozwinąć coś, co nazywało się wiszącym połączeniem: elastyczny kołnierz dokujący rozpięty między dwiema śluzami, utrzymywany w miejscu wyłącznie dzięki umiejętnościom sternika.

– I mamy – powiedziała major Renner. – Proszę teraz nie poluzować. Jeśli stracimy kołnierz, nie zatankujemy.

Dmitrij i ja znów mieliśmy na sobie pancerze. Z powodu opatrunku wyściółka lewej rękawicy wydawała się nieprzyjemnie ciasna, ale na szczęście wciąż mogłem założyć cały strój, bez konieczności pomijania jednej rękawicy i narażania tym samym całego systemu. Czekaliśmy, gdy obsada BCI wykonywała manewry konieczne do przycumowania. Sierżant Związku, stojący w pełnym rynsztunku bojowym na środku centrum dowodzenia okrętem Wspólnoty, przez miesiąc już się na tyle wszystkim opatrzył, że nie zwracali na niego uwagi.

– Wysunąć kołnierz dokujący – poleciła pierwsza oficer. – Powoli i spokojnie. Pół metra na sekundę.

Na holostole było otwartych sześć okien, wszystkie przedstawiały procedurę cumowania z różnych kamer, a także wskaźniki liczbowe: dystans, względną prędkość obu obiektów, czas od początku misji, odległość radarową. „Indy” dysponował własnym elastycznym kołnierzem służącym do łączenia okrętów. Na naszych oczach zaczął on wysuwać się z kadłuba i rozciągać na dwadzieścia pięć i pół metra dzielących nas od jednej z pomocniczych śluz automatycznego chińsko-rosyjskiego kotwicowiska Luzhōu-19.

– Dokonano połączenia – odezwał się ze swego stanowiska główny inżynier. – Rozbieżność wynosi jedną czwartą centymetra i utrzymuje się. Możemy dokonać przejścia.

Major Renner spojrzała na mnie i na Dmitrija.

– Wasza kolej, panowie sierżanci. Idźcie otworzyć sezam.

Zeszliśmy do głównej śluzy, gdzie czekał już na nas w pełnym oprzyrządowaniu zespół ogniowy Charlie z PK: sierżant Humphrey, kapral DeLuca oraz szeregowi Andrews i Pulaski.

– Gotowi do wycieczki? – spytała nas sierżant Humphrey, gdy podpięliśmy się do ich kanału łączności. Włączyła swój karabin M-66 i odbiła laser celowniczy od najbliższej grodzi, by sprawdzić jego działanie.

– Jestem gotów na wszystko, by choć na kilka minut wyjść na zewnątrz – odparłem. Zamiast zwyczajowo stosowanego przeze mnie M-66 przez pierś miałem przewieszoną broń ochrony osobistej. Kilka dni wcześniej sprawdzałem na strzelnicy celność z karabinu i brak dwóch palców nieco utrudniał mi manewrowanie krótką, lecz ciężką bronią. BOO sprawdzała się wyłącznie na krótki dystans, ale ważyła mniej więcej połowę tego, co M-66, i była od niego o połowę krótsza, dzięki czemu łatwiej się ją obsługiwało, mając półtorej dłoni.

Dmitrij miał na sobie pancerz bojowy, lecz był nieuzbrojony. Spojrzał na grupę gotowych do walki żołnierzy i pokręcił głową.

– Stacja jest zautomatyzowana – stwierdził. – Nie ma obsady. Nie ma z kim walczyć. Możecie zostawić broń.

Sierżant Humphrey uśmiechnęła się bez cienia wesołości.

– Nie obchodzi mnie, ile posiłków zjadłeś z szyprem. Nie zamierzam włamywać się do placówki ZCR nieuzbrojona.

Podeszła do ekranu kontrolnego śluzy i wprowadziła kod dostępu. Wewnętrzne drzwi otworzyły się i weszliśmy do środka.

– Potwierdzić szczelność kołnierza dokującego – powiedziała do panelu łącznościowego.

– Szczelność potwierdzona – nadszedł odzew z BCI.

Opuściliśmy wizjery hełmów i pancerze włączyły systemy podtrzymywania życia.

Humphrey zamknęła wewnętrzne wrota i otworzyła właz zewnętrzny. Powietrze umknęło ze śluzy, lecz nie w formie gwałtownej dekompresji, jaka następuje przy kontakcie z próżnią, lecz względnie powoli, jak zawsze przy zetknięciu obszaru o wyższym ciśnieniu z niższym. Za otwartym głównym włazem leżała dwudziestopięciometrowa tuba z elastycznego aluminium, łącząca nas z zapasowym włazem do kotwicowiska. Zewnętrzna powierzchnia Luzhōu-19 wyglądała tak, jakby od montażu stacji nikt nie zwracał sobie głowy jej odmalowywaniem albo czyszczeniem.

– Idziemy – oznajmiła sierżant. – Naprzód.

Przesuwaliśmy się powoli i ostrożnie, uważając na nieznaczące pionowe

i poziome wahnięcia tuby, która stanowiła jedyne połączenie „Indy’ego” ze stacją i mogła się łatwo rozerwać. Gdyby się rozpadła, kiedy znajdowalibyśmy się w środku, nie nastąpiłaby katastrofa, ponieważ nasze pancerze były hermetyczne i moglibyśmy przedostać się z powrotem do służby. Gorzej, że tkwiliśmy między czterema tysiącami ton okrętu i znacznie większą masą kotwicowiska. Lekkie przesunięcie okrętu w niewłaściwą stronę i stalibyśmy się kolejną warstwą brudu na poszyciu placówki ZCR.

– Sierżancie Czerwona Gwiazda, do dzieła. – Humphrey wskazała pomocniczy właz oraz znajdujące się obok niego wyrzucenie odbiornika sieci bezprzewodowej.

Dmitrij skinął głową i odwrócił się, by odszukać w komputerze pancerza kody dostępu. Po chwili właz otworzył się z głośnym stukiem i wibracją, od której powłoka kołnierza dokującego lekko zafalowała. Sierżant Humphrey uniosła M-66 i włączyła umieszczoną w nim latarkę, by oświetlić wejście. Właz wsunął się w szczelinę w kadłubie, a w służbie i rozciągającym się dalej korytarzu zapłonęły lampy.

Opuściliśmy kołnierz i weszliśmy na teren Luzhōu-19. Humphrey objęła prowadzenie, a reszta szła blisko za nią. Wewnątrz kotwicowisko okazało się niewiele czystsze niż na zewnątrz. Nie wiedziałem, kiedy ustawiono ten przystanek na Czerwonej Drodze Jeden, ale po stopniu wytarcia wykładziny podłogowej oraz niezliczonych rysach i smugach farby na grodziach można było sądzić, że okręty ZCR tankowały tu i uzupełniały zapasy już od wielu dziesięcioleci.

Kotwicowisko zbudowano na planie krzyża, z dużą sekcją centralną i wyrastającymi z niej czterema mniejszymi rozgałęzieniami. Gdy sierżant Humphrey upewniła się, że pluton marines ZCR nie wyskoczy na nas nagle z ciemnych kątów, pozwoliła Dmitrijowi iść pierwszemu. Zaprowadził nas do głównego stanowiska kontrolnego w centralnej części towarowej, gdzie zaczął uruchamiać wyświetlacze i pstrykać przełącznikami.

– Przygotowałem suwnice towarowe i system tankowania – oznajmił. – Kotwicowisko ma paliwa dla dwudziestu małych imperialistycznych okręcików szpiegowskich.

– „Indy”, tu Delta Sześć – nadała sierżant Humphrey. – W środku czysto. Nasz rosyjski przyjaciel mówi, że jest pełno opału.

– Delta Sześć, tu „Indy”. Wspaniałe wieści – odrzekła pierwsza oficer. – Wysyłamy zespół inżynieryjny. Na razie przejrzyjcie obiekt od góry do dołu i sprawdźcie, czy znajdzie się jakieś urozmaicenie do kuchni. Może Związek ma racje żywnościowe, które nie są aż tak niedobre.

Albo Dmitrij miał tak czuły słuch, że usłyszał odpowiedź w słuchawkach Humphrey, albo też znalazł sposób, by włamać się do naszego chronionego obwodu łącznościowego.

– Kolejny nie za dobry pomysł – odezwał się do mnie. – Jeśli upuścisz rosyjskie jedzenie na podłogę, wyżre dziurę w kadłubie słabego okrętu Wspólnoty.

Uzupełnienie zapasów zajęło ze cztery razy dłużej niż moje dotychczasowe najbardziej nużące tankowanie. Końcówki paliwowe ZCR nie były zgodne z naszymi, zespół inżynierski potrzebował więc kilku godzin i sześciu wycieczek w przestrzeń po kadłubie „Indy’ego”, aby skonstruować improwizowany układ przejściowy.

Gdy technicy trudzili się nad przeniesieniem chińsko-rosyjskiego deuteru do naszych zbiorników, my, żołnierze, przejrzelśmy składy kotwiczowiska w poszukiwaniu innych przydatnych rzeczy. Stacja posiadała osiem dużych magazynów, każdy mieszczący około tysiąca ton zapasów na paletach. Znaleźliśmy amunicję niekompatybilną z naszymi karabinami fleszetowymi, ciężką amunicją do broni pokładowej, której nie mieliśmy, a także części zapasowe do desantowców, z których nie korzystaliśmy. W końcu szeregowy Pulaski znalazł sekcję ze spakowaną żywnością. Zebraliśmy się tam, by ją przejrzeć.

– Dość słabo stoję z rosyjskim i chińskim, nie licząc zwrotów typu „odłóż tę pieprzoną broń” – rzekła Humphrey. – Co tu jest?

Dmitrij oderwał oliwkowozieloną folię spowijającą paletę i spojrzał na stertę pojemników z racjami, po czym wskazał kilka z nich po kolei.

– Typ A to gulasz z soczewicy. Typ B: sojowa wołowina z pomidorami. Typ C: gulasz, też sojowy. Typ D: kaszka jęczmienna.

– Brzmi wybornie – skomentował kapral DeLuca. – Ukradnijmy trochę.

– Sami tego chcieliście. – Dmitrij wzruszył ramionami.

Zdążyliśmy przeciągnąć pół palety racji żywnościowych przez kołnierz dokujący na okręt, zanim inżynierowie zdołali podpiąć system paliwowy do „Indy’ego”. Gdy bogata w deuter i tryt mieszanka zaczęła przelewać się do naszych baków, poszukaliśmy jeszcze innych zapasów, ale nie znaleźliśmy zbyt wiele, przynajmniej w kwestii rzeczy potrzebnych ludzkim ciałom, a nie reaktorom fuzyjnym czy broni. Zdołaliśmy jednak do pełna uzupełnić zbiorniki z wodą.

– Procedura tankowania potrwa jeszcze dziesięć minut – nadała z BCI pierwsza oficer. – Proszę zakończyć wykonywane czynności, wrócić na „Indy’ego” i przygotować się do odlotu.

– Tak jest, pani major. Wracamy na okręt – odpowiedziała sierżant Humphrey. – Słyszeliście. Wszyscy z powrotem do kołnierza dokującego. Jeśli ktoś zostanie, może długo czekać na następny kurs.

Osiem godzin od pierwszej próby dokowania odeszliśmy od kotwiczowiska ZCR z pełnymi zbiornikami deuteru i wody. Przy standardowych procedurach floty nawet problematyczne tankowanie nie powinno zająć więcej niż półtorej godziny, jednak w związku z tym, że wpinaliśmy się do infrastruktury nieprojektowanej pod kątem zgodności z naszym okrętem, i tak postój okazał się

względnie krótki. Mieliśmy niemal pół dnia opóźnienia na trasie do węzła Związku, ale dysponowaliśmy teraz paliwem pozwalającym „Indy’emu” lecieć tam najszybciej jak mógł, czyli całkiem prędko. Gdybyśmy zginęli podczas próby przejścia, przynajmniej umarlibyśmy czysto, w cieple, na dodatek stosunkowo dobrze najedzeni.

Rozdział 18

Płotki i rekiny

Stanowiska bojowe, stanowiska bojowe. Do wszystkich: zająć stanowiska bojowe. To nie są ćwiczenia. Powtarzam...

Miałem już na sobie skafander próżniowy, gdy spod sufitu dobiegł odgłos alarmu. Spodziewałem się go, ale po dwóch tygodniach całkiem spokojnego przemierzania prowincjonalnych obszarów Układu Słonecznego powrót do rzeczywistości okazał się dość nagły. Znajdowaliśmy się na okręcie bojowym i znów pędziliśmy w stronę wroga.

Podniosłem hełm i opuściłem kajutę. Przechodząc przez właz, niemal zderzyłem się z Dmitrijem i Philbrickiem, którzy przeciskali się akurat korytarzem.

– No i znowu – powiedział Philbrick. Jego stanowisko bojowe znajdowało się tuż przy BCI, którego pilnował wraz ze swym zespołem ogniowym na wypadek abordażu. Niezbyt to było prawdopodobne w przypadku natknięcia się na Dryblasów, ale tak właśnie wyglądały procedury pokładowe. Dmitrij miał się znaleźć w BCI, ponieważ musiał znów otworzyć dla nas drzwi, a ja tuż przy nim, by pilnować, że nie zrobi nic więcej, gdy wepnie się do krzemowego mózgu „Indy’ego”.

Pobiegliśmy z umiarkowanym pośpiechem korytarzem i po schodach prowadzących na pokład dowodzenia. Wszędzie dookoła załoga wykonywała dobrze przećwiczoną choreografię okrętu szykującego się do walki.

– Powodzenia – życzył Philbrick, gdy dotarliśmy do pancernego włazu BCI, a on skręcał, by dołączyć do swego zespołu ogniowego na zewnątrz.

– Nawzajem – odparłem. Gdyby sytuacja zrobiła się nieciekawa, znajdowałyby się bliżej kapsuł ratunkowych niż obsada BCI, ale w takim wypadku i tak nie byłoby ratunku dla nikogo z nas.

Pułkownik Campbell i major Renner stali na swych zwyczajowych miejscach w centralnym zagłębieniu. Dmitrij i ja zajęliśmy pozycje przy barierce. Na diagramie taktycznym nie działo się zbyt wiele. Widziałem tam tylko trzy ikony, dwie z nich miały pomarańczową barwę pozytywnie zidentyfikowanych okrętów nasiennych.

– Nieprzyjaciel Jeden, kierunek dwieście siedemdziesiąt na trzynaście, idzie prostopadle z prędkością dziesięć metrów na sekundę, otrzymał oznaczenie Lima Dwadzieścia. Nieprzyjaciel Dwa, kierunek dwieście dziewięćdziesiąt na sto pięćdziesiąt dwa, idzie prostopadle kontrkursem z prędkością piętnaście metrów na sekundę, otrzymał oznaczenie Lima Dwadzieścia Jeden. – Oficer taktyczny uzupełnił ikony o przydzielone im kryptonimy.

Diagram pokazywał, że znajdowaliśmy się pięćdziesiąt tysięcy kilometrów od węzła Alcubierre'a. Dwa okręty Dryblasów powoli przemierzały przestrzeń przed nim. Szliśmy po szerokiej trajektorii eliptycznej, samym pędem, wyłącznie na sensorach pasywnych, podobnie jak wcześniej, gdy wyskoczyliśmy z punktu przejścia i niemal otarliśmy się o obcych kadłubem.

– Snują się – skomentowała pierwsza oficer.

– Nie muszą się spieszyć – odrzekł pułkownik Campbell. – Wystarczy, że będą blokować drogę. Ale gdzie jest trzeci? Gdy weszliśmy do układu, natknęliśmy się na trzy okręty.

– Sprzęt optyczny nie pokazuje nic poza Lima Dwadzieścia i Lima Dwadzieścia Jeden, sir.

– Te skurwysyny są niemal niewidzialne nawet z takiej odległości. Tamten może być pięćdziesiąt tysięcy kilometrów dalej, a my go nie zobaczymy, jeżeli nie będziemy wiedzieli, gdzie konkretnie szukać. Do ciężkiej cholery, jak udaje im się ukryć coś tak wielkiego?

Na materiale z kamer okręty nasienne wyglądały jak powoli przesuujące się kleksy na tle ciemnej przestrzeni. Ich kadłuby nie odbijały światła w taki sposób jak nasze, pokryte metalicznymi stopami. Zawsze bardziej kojarzyły mi się ze skorupami owadów niż z pokrytymi pancerzem pojazdami kosmicznymi. „Indy” mógł uchodzić za niewidzialnego, ponieważ był mały i wypchany po nadburcia najnowocześniejszą technologią maskującą. Nikt jeszcze nie wiedział, dlaczego tak trudno było dostrzec okręty Dryblasów i dlaczego nie pokazywały się na radarze, w termografii ani w spektrometrii promieniowania gamma. Trudno jest badać coś, co wywala w tobie mnóstwo dziur, gdy tylko zbliżysz się na tyle blisko, by to zauważyć.

– Ile zostało nam dronów? – spytał dowódca.

– Sześć, sir.

– Proszę umieścić cztery w wyrzutniach i przygotować do wystrzelenia. Zanim spróbujemy podejść, chcę się przyjrzeć sytuacji z każdej strony.



Klucz dronów zwiadowczych został wystrzelony pięć minut później. Przy dystansie niecałych pięćdziesięciu tysięcy kilometrów ich systemy napędowe do przyspieszenia potrzebowały ciągu jedynie przez pięć sekund. Rozeszły się wachlarzem od ikony oznaczającej pozycję „Indy’ego” i pomknęły ku okrętom Dryblasów.

– Jeśli cokolwiek pokażą po sobie, że nas zauważyli, odwracamy kurs i wracamy pełnym ciągiem, skąd przybyliśmy – oznajmił pułkownik Campbell.

– Łaskoczemy smoka w ogon. – Major Renner obserwowała, jak małe niebieskie symbole pokonują odległość dzielącą je od większych pomarańczowych. – Jest zabawnie, dopóki smok się nie odwróci i nie capnie nas w tyłek.

Drony przemieszczały się już od pół godziny, gdy okręty nasienne zmieniły kurs, oba najwyraźniej w tej samej chwili.

– Lima Dwadzieścia obraca się względnie o minus dziesięć stopni. Piętnaście stopni. Dwadzieścia.

Ikona symbolizująca Limę Dwadzieścia pokazywała, że okręt Dryblasów skręcał szerokim łukiem, ale nie w kierunku nas czy drona znajdującego się teraz o tysiąc kilometrów od jego bakburty, lecz w przeciwną stronę. W tym samym czasie symbol Limy Dwadzieścia Jeden również zaczął wykonywać podobny zwrot, mający go wyprowadzić na podobny kurs, lecz w odległości setek kilometrów od drugiego okrętu nasiennego. Oba widzieliśmy teraz od ruf.

– Okrążają punkt przejścia – rzekł w zadumie dowódca. – Pamiętacie, co było, gdy przylecieliśmy? Jak rekin szukający ofiary?

Dane docierające z dronów potwierdzały spostrzeżenia pułkownika. Obserwowaliśmy, jak okręty Dryblasów wykonały kolejny etap wzorca patrolowego, po czym znów zmieniły kurs. Ich trajektoria na diagramie zaczęła tworzyć elipsę. W każdym momencie znajdowały się po przeciwległych stronach osi, a punkt przejścia leżał pośrodku.

– Nie mogą być tacy głupi – powiedziała pierwsza oficer, gdy zobaczyliśmy już pięć czy sześć zwrotów.

– W jakim sensie, pani major?

– Jak brzmi pierwsza zasada planowania i wykonywania trasy patrolu? – Renner nie skierowała tego pytania do nikogo konkretnego.

– Patrol powinien mieć przypadkowy wzorzec – powiedział Dmitrij. – Żeby wróg nie mógł przewidzieć trasy.

Pierwsza oficer i dowódca spojrzeli na Dmitrija z mieszaniną zaskoczenia i rozbawienia.

– Dziesięć punktów dla naszego rosyjskiego gościa – rzekła major Renner. – Właśnie o to chodziło. Ale oni działają inaczej. Zaczekajcie na następny zwrot. – Wskazała jedną z ikon na diagramie. – Lima Dwadzieścia za dziewięćdziesiąt sekund zmieni względnie kurs na sto siedemdziesiąt pięć stopni. Lima Dwadzieścia Jeden pięć lub sześć sekund później zmieni względnie kurs na trzysta stopni. Obserwujcie.

Dzieliłem uwagę między diagram i zegar na grodzi. I rzeczywiście, półtorej minuty od słów pierwszej oficer symbole znów zmieniły kierunek w sposób, jaki przewidziała. Renner poniosła z holostolu znacznik i wstukała trajektorię na diagram.

– Oto wzorzec patrolowy. Całkowicie przewidywalny z dokładnością do pięciu sekund i jednego lub dwóch kilometrów.

– To piramidalna głupota – oznajmił oficer taktyczny.

– Owszem, w naszych kategoriach. – Pułkownik obrócił mapę i zmienił skalę, żebyśmy lepiej zobaczyli położenie przestrzenne trasy patrolowej Dryblasów w stosunku do naszej pozycji. – Ale oni nie są ludźmi. Nie mamy pojęcia, w jaki sposób myślą. Czy w ogóle myślą. Być może kierują się wyłącznie instynktem. Wróćcie do analogii z rekinami. Czy rekin musi przejmować się tym, że porusza się w sposób przewidywalny?

– Być może wiedzą o nas równie niewiele, co my o nich – podsunąłem.

– Być może. Rzecz w tym, że wcale nie muszą nas rozpracowywać. Jak rekiny z płótkami. – Dowódca znów stuknął w diagram, by zresetować skalę. – Poobserwujmy jeszcze jakiś czas ich wzorzec ruchu i upewnijmy się, czy pozostaje niezmienny. Chcę otrzymać najlepszą trajektorię do punktu przejścia, obliczoną konkretnie dla chwili, w której oba te okręty znajdą się na swej trasie jak najdalej od węzła. Będziemy musieli po drodze skręcić i włączyć ciąg, by nabrać prędkości.

– A może zrobimy małą dywersję? – zaproponowała pierwsza oficer. – Tak na wszelki wypadek.

– Co ma pani na myśli?

– Możemy użyć pozostałego nam myśliwca pomocniczego. Załadujmy go taktycznymi atomówkami, podlećmy od przeciwległej strony i wpakujmy kilka megaton w najbliższego Dryblasa.

– Możemy też go wypuścić, wyjść nim z trybu niewidzialnego i popędzić w przeciwnym kierunku – zasugerował oficer taktyczny. – Być może Dryblaszy ruszą w pościg. Nawet jeśli nie, szum tła wywołany paroma atomówkami odwróci od nas uwagę. A przynajmniej ją przyciągnie do myśliwca.

– Poświęcimy resztę naszych sił ofensywnych, aby przeprowadzić kosmiczny odpowiednik rzucenia kamieniem w boczny zaułek. – Pułkownik Campbell przygryzł w zadumie dolną wargę. – To bardzo kosztowna dywersja.

– Ale może być tego warta, jeśli pozwoli zwiększyć ich margines błędu.

Dowódca rozważał przez chwilę ten pomysł, po czym wzruszył ramionami.

– Zróbmy to. To i tak taniej, niż stracić okręt, gdybyśmy dotarli do węzła trzy sekundy za późno.



Minęła kolejna godzina, zanim przygotowaliśmy i załadowaliśmy jedyny pozostały na „Indym” pomocniczy myśliwiec, mały i niewidzialny dla radarów pojazd, podobnie jak drony kontrolowany ze stanowiska zbrojmistrza w BCI. Jednak w przeciwieństwie do dronów został on zaprojektowany pod kątem walki i jego celem było zapewnić okrętowi możliwość ataku z zaskoczenia. Myśliwiec dysponował wyrzutniami raketowymi i w czasie, gdy specjalista od broni szykował pokładowe systemy namierzania i naprowadzania, obsługa pokładu lotniczego ładowała cztery taktyczne nuklearne pociski przeciwokrętowe.

– Ptaszek gotów do wystrzelenia. Siła ładunku pięćset kiloton dla każdej rakiety.

– W najgorszym razie zrobią śliczne fajerwerki – stwierdziła pierwsza oficer.

– Następny punkt włączenia ciągu dla przejścia w największej odległości od nieprzyjaciół nastąpi za siedem minut. – Oficer taktyczny umieścił odpowiedni znacznik na holowyświetlaczu.

– Wystrzelić myśliwiec – rozkazał pułkownik Campbell. – Przygotować się do włączenia ciągu i wejścia w Alcubierre’a. Mamy tylko jedną szansę. Nie spieprzmy jej.

„Indy” kilkakrotnie włączył na krótko ciąg, by pomknąć po parabolicznej trajektorii i zawrócić w celu nabrania prędkości przed przejściem. Osiągnęliśmy wierzchołek krzywej i zakręciliśmy szerokim łukiem, aby ruszyć prosto na węzeł, co oznaczało, że celowaliśmy dokładnie w punkt pomiędzy dwoma okrętami Dryblasów. Niewidzialny myśliwiec znajdował się pięć tysięcy kilometrów od naszej sterburty i leciał na bliższy z okrętów nasiennych, niczym komar zamierzający się na słońca.

– W ciągu od piętnastu sekund, utrzymujemy pięć g – ogłosiła major Renner.

– Trzydzieści sekund do wystrzelenia rakiet. Proszę o zgodę na użycie broni jądrowej – odezwał się specjalista od broni.

– Wyrażam zgodę na użycie broni jądrowej, mówi dowódca, czas pokładowy czwarta trzydzieści siedem UTC.

– Potwierdzam otrzymanie zgody na użycie broni jądrowej – rzekł zbrojmistrz.

Wszystko, co mówiliśmy i robiliśmy w BCI, było zapisywane przez komputer i przechowywane w okrętowych bankach pamięci. Jeśli to przeżyjemy i załoga zostanie zawleczona przed trybunał wojskowy, logi niewątpliwie posłużą za dowód.

– Dwie minuty i czterdzieści pięć sekund do przejścia – oznajmiła pierwsza oficer. Spojrzałem na Dmitrija, który obserwował wszystko ze swą zwyczajową stoicką miną, ale znałem go już na tyle dobrze, by wiedzieć, że czuje niepokój jak my wszyscy.

– Dziesięć sekund do wystrzelenia rakiet. Pięć sekund. Trzy. Dwie. Jedna. Rakiety wystrzelone.

Na diagramie tuż przy ikonie oznaczającej myśliwiec pojawiły się cztery odwrócone V i pomknęły ku bliższemu z okrętów Dryblasów z przyspieszeniem, które zamieniłoby nas w budyń, gdyby „Indy” mógł w ogóle poruszać się z taką prędkością.

– Wszystkie cztery pociski śledzone optycznie. Czas do celu: czterdzieści pięć sekund.

Połączona siła niszczycielska dwóch milionów ton konwencjonalnych środków wybuchowych pędziła ku pojazdowi obcych. Nawet w przypadku naszych największych okrętów bezpośrednie trafienie dwiema megatonami oznaczałoby katastrofalne zniszczenia, a może nawet natychmiastową destrukcję, widziałem już jednak, jak cały zespół zadaniowy bezskutecznie wypuszczał setki megaton przeciwko jednemu okrętowi nasiennemu, nie spodziewałem się więc, by Dryblas miał nagle zniknąć z wyświetlacza.

– Trzydzieści sekund do celu. Jedna minuta czterdzieści pięć sekund do punktu przejścia.

– Sierzancie Czistiakow – odezwał się dowódca – proszę przygotować się do nadania kodów dostępowych przy trzydziestu sekundach do punktu przejścia.

– Przy trzydziestu sekundach – potwierdził Dmitrij. Podszedł do oficera łącznościowego i wywołał hologram na konsoli. – Gotów do nadania kodów.

– Dwadzieścia sekund do celu.

Odstęp pomiędzy oboma okrętami Dryblasów wynosił niemal sto kilometrów, czyli najwięcej na ich przewidywalnej marszrucie patrolowej. Oddalały się od punktu przejścia. Wiedziałem, że penetratory stosowane przez nie jako broń działały skutecznie wyłącznie na bliskim dystansie, a same jednostki były zbyt masywne, by skręcić po prostu w miejscu, jeśli wykryją nas w ostatniej chwili, jednak celowe skierowanie „Indy’ego” między te dwa potwory wydawało się najstraszniejszą i najgłupszą rzeczą, jaka wydarzyła się w moim życiu. Stawialiśmy wszystko na jedną czy dwie sekundy oraz ułamek kilometra. Nie tylko łaskotaliśmy smoka w ogon, ale też planowaliśmy właśnie przelot przez jego paszczę, gdy będzie ziewał.

– Dziesięć sekund do uderzenia rakiet. Pięć sekund. Trzy. Dwie. Jedna. Trafienie. Nieprzyjaciel Lima Dwadzieścia Jeden został trafiony przez broń nuklearną.

Kamery pokazały oślepiająco jasne miniaturowe słońca czterech eksplozji nuklearnych w próżni, idealne kule światła, gorąca oraz śmiertelnie promieniowania. I nagle okręt nasienny przedarł się przez jądrowy ogień, ciągnąc za sobą rozgrzane do ogromnej temperatury cząsteczki.

– Obrócić myśliwiec i włączyć nadajniki zakłócające – rozkazała major Renner.
– Dajmy skurwysynowi coś do ścigania.

Bezałogowy myśliwiec wykonał przy pełnym przyspieszeniu ostry zwrot z przeciążeniem dwadzieścia g i popędził w odwrotną stronę, w kierunku obszaru, z którego „Indy” rozpoczął galop ku punktowi przejścia. Na diagramie ikona myśliwca zmieniła rozmiar, gdy moduł walki zakłócania elektronicznego zaczął wyrzucać z siebie megawaty promieniowania elektromagnetycznego odpowiadające sygnaturze ELINT fregaty. Dla jednostki ZCR uciekający pojazd wyglądałby na znacznie większy okręt i mieliśmy nadzieję, że Dryblas uzna go za godnego pościgu.

– Lima Dwadzieścia Jeden zmienia względny kurs dwadzieścia stopni na sterburtę. Skurwysyn połknął haczyk. – Oficer taktyczny brzmiał niemal jak rozradowany.

– Jedna minuta do przejścia. Proszę o gotowość, sierżancie Czistiakow.

– Gotów – oznajmił Dmitrij.

– Lima Dwadzieścia wykonuje zwrot! Zmiana kursu dla nieprzyjaciela Lima Dwadzieścia, obrót względny na dwieście siedemdziesiąt stopni. Przyspiesza. Dziesięć metrów na sekundę. Trzydzieści. Pięćdziesiąt.

– Nie dość szybko – powiedział pułkownik Campbell. Wpatrywał się ponuro w diagram, na którym drugi okręt rozpoczął właśnie ociężały zwrot o sto osiemdziesiąt stopni w stronę naszej trajektorii. – Wygląda na to, że rozmiar to nie wszystko, co?

Daleko za naszą sterburtą myśliwiec umykał w próżnię, błyskając fałszywą tożsamością, a my pędziliśmy ku wrotom z maksymalną prędkością. Sześćdziesięciu ludzi w małej skorupce przeciwko dwóm niemal niezniszczalnym niszczycielom światów.

– Lima Dwadzieścia też dał się skusić. Nie sądzę, by nas dostrzegł, sir.

– Nie mam nic przeciwko – odparł pułkownik, napinając mięśnie żuchwy.

– Przejście za trzydzieści sekund.

– Sierżancie Czistiakow – pierwsza oficer odezwała się zaledwie kilka decybeli poniżej poziomu krzyku – proszę teraz.

Palce Dmitrija pomknęły po rozciągającym się przed nim wyświetlaczu. Wykorzystywał system łączności „Indy’ego” jako wzmacniacz własnego sprzętu komunikacyjnego i przesyłał kody dostępowe z ZCR z mocą nadawczą okrętu, zamiast z tą pancerna. Mimo to przy bieżącej prędkości pozostawaliśmy w zasięgu transmisji jedynie przez kilka sekund i gdybyśmy przegapili okno, ominęlibyśmy punkt Alcubierre’a i pozostalibyśmy w lokalnej przestrzeni, zamiast pomknąć ku Fomalhaut z prędkością nadświatlną.

– Już – oznajmił.

– Widzę pozytywny namiar na wiązce – potwierdził sternik. – Włączam automatyczny namiar przejścia. Przejście za piętnaście sekund.

Pierwsza oficer podniosła mikrofon radiowęzła.

– Do wszystkich, proszę przygotować się do wejścia w Alcubierre’a za dziesięć sekund. Trzymajcie się.

– Odległość do Lima Dwadzieścia wynosi obecnie dziewięćdziesiąt tysięcy. Osiemdziesiąt. Siedemdziesiąt...

– Trzy, dwa, jeden. Przejście.

Ikony zniknęły z diagramu. Poczujęm w kościach znajomy ból pojawiający się zawsze, gdy wlatywałem w bańkę Alcubierre’a. Tym razem jednak po raz pierwszy powitałem z ochotą to wrażenie.

Rozdział 19

Nadrabianie zaległości

Dwadzieścia dziewięć dni od wylotu OWPA „Indianapolis” kierował się z powrotem na orbitę wokół księżycy planety Fomalhaut c, mieszczącego kolonię o nazwie Nowy Svalbard. Wróciliśmy z prawie pustymi zbiornikami deuteru, dwudziestopięcioprocentowym zapasem wody oraz z niemal opróżnionymi magazynami żywności, nie licząc naprawdę niezjadliwych racji ZCR, które trzymaliśmy na najczarniejszą godzinę i groźbę śmierci z głodu. Jeśli chodzi o sprawy osobiste, to przybyłem bez narzeczonej i bez dwóch palców lewej dłoni. Straciłem również ostatnie resztki idealizmu, które pozostały mi jeszcze po pięciu latach dymania przez dowództwo, a także ochotę, by narażać jeszcze kiedyś własną głowę dla kogokolwiek powyżej stopnia pułkownika.

– Proszę spojrzeć na to, sir – powiedziała pierwsza oficer od holostolu. Pułkownik odszedł od wjazdu BCI, gdzie rozmawiał z dowódcą pokładowego oddziału PK, porucznikiem Shirleyem.

– O co chodzi?

Major Renner wskazała diagram i podświetliła kilka ikon, które pojawiły się na radarze, odkąd dokonaliśmy zwrotu, by trafić na orbitę. Zwróciła uwagę na skupisko niebieskich symboli oddalonych nieco od głównego zespołu zadaniowego. Pułkownik roześmiał się głośno.

– No proszę, proszę. Wrócił lotniskowiec marnotrawny.

Podszedłem do zagłębienia i spojrzałem na diagram. Podkreślone przez pierwszą oficer jednostki były oznaczone jako CV-233 „Midway”, FF-471 „Trypolis” i CG-97 „Long Beach”, czyli nasz zagubiony zespół zadaniowy 230.7, który podwinął ogon i uciekł, gdy Dryblasy pojawili się dwa miesiące z małym okładem temu.

– To niezwykle, jak puste zbiorniki na wodę mogą odświeżyć komuś pamięć – skomentowała cierpko Renner. – Generał przypomniał sobie, że na tym zadupiu leży kolonialny księżyc, którego miał bronić.

Utrzymywaliśmy kontakt radiowy z połączonymi siłami WPA-ZCR, odkąd wystrzeliliśmy z komina Alcubierre’a w systemie Fomalhaut, ale obecność „Midway” stanowiła sporą niespodziankę. Uznałem za dobry znak, że rozmawialiśmy z tym samym dowództwem, które kierowało zespołem zadaniowym, gdy odlatywaliśmy, czyli radą najwyższych rangą oficerów z obu bloków politycznych, co oznaczało, że chimeryczny generał z ZZ 230.7 nie zdołał przejąć kontroli nad całą flotą, argumentując to swoją rangą.

– „Regulus”, tu dowódca „Indy’ego”. Proszę o zgodę na podejście do jednego ze statków transportowych, gdy tylko wlecimy na orbitę. Skończyło się nam wszystko i „Indy” jest pełen dziur.

– Dowódca „Indy’ego”, tu „Regulus”. Udzielam zgody. Wejdz na orbitę i skontaktuj się z „Portsmouth”, aby otrzymać wektory podejścia. Wyglądacie, jakbyście mieli za sobą niezłą podróż.

– „Regulus”, nie macie nawet pojęcia – nadał w odpowiedzi pułkownik Campbell.

Włączyliśmy ciąg, by wejść na trajektorię, która miała gładko wprowadzić okręt na orbitę nad Nowym Svalbardem, gdzie górne warstwy atmosfery odpowiednio by nas spowolniły. Ktoś w BCI wyświetlił obok sfery taktycznej duże okno z widokiem na lodowy księżyc i znajdującego się za nim gazowego giganta, w wysokiej rozdzielczości, na którą pozwalała nam już odległość. Nowy Svalbard, jak niemal zazwyczaj, spowijała pokrywa chmur, lecz w strefie umiarkowanej wokół równika zdarzały się wolne od nich obszary. Był to surowy, ale piękny świat. Czysty, zimny i nieskalany.

– Raport pogodowy dla Nowego Longyearbyen mówi, że operacje lotnicze są możliwe, jeśli nie mamy nic przeciwko odrobinie wstrząsów – odezwał się do mnie pułkownik Campbell. – Na pewno chętnie polecisz pan na powierzchnię. Dobrze rozprostować nogi po niemal miesiącu na tej małej krypie.

– Panie pułkowniku – rzekłem – uważam, że ten okręt jest najlepszą jednostką w całej flocie i z tą załogą chętnie znów poleciałbym na nim do walki, nieważne przeciw komu. Proszę nie wziąć jednak tego do siebie, gdy powiem panu, że nigdy tak bardzo nie pragnąłem zejść z pokładu, jak obecnie.

Major Renner zachichotała, a pułkownik uśmiechnął się oszczędnie i pokręcił głową.

– Bóg mi świadkiem, że zasłużył pan sobie na odrobinę świeżego powietrza. Na pewno będą chcieli, żeby wziął pan udział w omówieniu misji, ale może pan to zrobić z dołu. I radzę nie zwlekać zbyt długo z wizytą u chirurga.

Dmitrij i ja znów lecieliśmy sami w ładowni desantowca. Siedział naprzeciwko mnie z torbą ustawioną między nogami i przypiętą do remizek umieszczonych w równych odstępach w podłodze. Reszta załogi „Indy’ego” miała w razie potrzeby przenieść się bezpośrednio na inne okręty zespołu zadaniowego, jednak z powodu niekompatybilności mocowań Dmitrij musiał znów zmienić środek transportu na powierzchnię. Jeśli ten wymuszony koniecznością, niepewny sojusz miał się utrzymać, będziemy musieli wprowadzić jakieś rozwiązania standaryzacyjne w obu flotach, a przynajmniej w tym, co z nich do tej pory zostało.

Desantowiec opuścił klamry dokujące, a ja włączyłem sieć w panczerzu i wpiąłem się do zewnętrznych kamer, jak zawsze, gdy leciałem jako pasażer, a nie uczestnik desantu. Przez chwilę opadaliśmy swobodnie, po czym pilot łagodnie wszedł w łuk na bakburcie.

– Jasna cholera – powiedziałem głośno, pierwszy raz widząc uszkodzenia, jakich kadłub „Indy’ego” doznał w walce. Otwory w przedniej bakburcie miały przynajmniej po dwa metry średnicy, a strzał najbliżej dziobu spowodował wiele szkód. Straciliśmy dwie wyrzutnie rakiet, a kilka metrów kwadratowych poszycia wokół nich zostało zerwanych, gdy przeszły przez nie z wielką prędkością penetratory Dryblasów. Tak prosta broń, a tak skuteczna przeciwko gatunkowi, który musiał przebywać w wypełnionych powietrzem skorupach, aby przetrwać w przestrzeni.

Obserwowałem, jak „Indy” maleje na wyświetlaczu hełmu, i wreszcie widziałem jedynie skupisko błyskających światła pozycyjnych zbliżających się do znacznie większego transportowca „Portsmouth”. Smukły mały kadłub wydawał się drobinką na tle gazowego giganta za Nowym Svalbardem i rozciągającej się dalej próżni.

Faza lotu w atmosferze okazała się mniej przyjemna niż etap w przestrzeni. Porywiste wichry miotają nami z prawa na lewo i z góry na dół. Po miesiącu przebywania w stałej sztucznej grawitacji czułem się jak kamyk potrząsany w puszcze i było to irytujące. Utrzymywałem włączony wyświetlacz w hełmie i jak zwykle obserwowałem obraz ze wszystkich kamer jednocześnie, co mocno redukowało mdłości.

Sześć kilometrów nad Nowym Longyearbyen i po przebyciu piętnastu kilometrów w pokrywie chmur wreszcie ustąpiła ona miejsca bładoniebieskiemu niebu. Poniżej nas rozciągały się białe przestworza zaśnieżonej tundry, aż do odległych łańcuchów górskich na północy i południu. Na sterburcie biały pióropusz unoszący się znad sporego płaskiego budynku wskazywał położenie jednej z sześćdziesięciu czterech stacji terraformowania, rozlokowanych niczym pas wokół równika w odstępach stu pięćdziesięciu kilometrów.

Pilot desantowca przeleciał nisko nad miasteczkiem i podszedł do lądowania. Spoglądałem na bunkrowate budowle kolonii, pozbawione okien kopuły z żelazobetonu na tyle grube, by wytrzymać wicher wiejący z prędkością dwustu kilometrów na godzinę i obciążenie kilku metrów śniegu. Ulice wytyczono w sposób maksymalnie ograniczający porywy wiatru, więc z góry Nowe Longyearbyen przypominało trochę wzór fraktalowy. Widziałem parę odśnieżarek, a nawet kilka osób zakutanych w stroje ochronne. Wiedziałem, że na zewnątrz panowała temperatura, przy której odsłonięta skóra zamarzlaby w trzy sekundy, lecz po miesiącu spędzonym na maleńkim okręcie nie mogłem się doczekać, aż będę mógł przez parę minut iść w linii prostej bez konieczności przestępowania grodzi ani skręcania na rozwidleniach co dwadzieścia pięć metrów.

Kilka minut później desantowiec osiadł na lądowisku. Tylne rampa opadła, odsłaniając panującą na płycie aktywność. Przed pobliskimi hangarami parkowało kilka rzędów okrętów desantowych: Osy i Ważki WPA tuż obok Akuł ZCR. Jedna Ważka i jedna Akula stały z włączonymi silnikami i mrugającymi światłami pozycyjnymi.

Zeszliśmy wraz z Dmitrijem po rampie i po raz pierwszy od ponad miesiąca

stanęliśmy na stałym gruncie. Powstrzymałem ochotę, by przykleknąć i pocałować zamrożony beton, co zapewne kosztowałoby mnie utratę warg. Rosjanin zarzucił torbę na ramię i skinął mi głową.

– Powodzenia, Andrew. Pewnie się już nie spotkamy.

Wyciągnąłem zdrową dłoń i potrząsnął nią mocno.

– Tobie również powodzenia, Dmitrij. Do zobaczenia pewnego dnia na polu bitwy. Oby po tej samej stronie.

– To mało prawdopodobne. Ale nigdy nie zapomnę tego, co zrobiłeś. Jeśli postanowisz przejść do Związku, wystawię ci dobrą opinię. Może nawet zrobią z ciebie starszego sierżanta.

– Przemyślę to.

– *Da swidanija* – pożegnał się, po czym odwrócił i skierował do czekającej Akuły.



Na lądowisku sporo się działo, ale nie widziałem żadnej czekającej na mnie znajomej twarzy. Wszedłem do budynku kontroli lotów, a następnie do tunelu prowadzącego do oddalonej o półtora kilometra Elipsy. Zacząłem iść, wdzięczny za tę chwilę samotności i możliwość rozprostowania nóg.

Elipsa była równie zatłoczona, jak wtedy, gdy opuszczałem przed miesiącem Nowe Longyearbyen. Cywilni górnicy lodowi i ich rodziny mieszały się z żołnierzami w mundurach Sił Obrony Ziemi i nielicznymi z Piechoty Kosmicznej. Z niektórych stoisk dobiegała muzyka, w powietrzu unosiła się woń czegoś smażonego i na ten zapach aż zaburczało mi w żołądku. Skoro działały tutaj stragany z żywnością, oznaczało to, że nasza sytuacja nie była jeszcze rozpaczliwa, albo też oficjalne zaopatrzenie okazało się już na tyle kiepskie, że wytworzył się czarny rynek. Odkąd za młodych lat handlowałem skradzionymi fantami w DZK, wiedziałem co nieco o ekonomii w realiach niedoboru.

Przeciskałem się między przechodniami, czując się nieco nie na miejscu w masywnym pancerzu bojowym. Szedłem do centrum administracyjnego, leżącego oczywiście niemal na przeciwległym krańcu Elipsy w stosunku do wylotu tunelu prowadzącego z lotniska.

Gabinet komendanta Guesta był jednym z pierwszych pomieszczeń za holem wejściowym. Zajrzałem do środka przez otwarte drzwi, policjant siedział za biurkiem, z ogromnymi butami na blacie i tabletem na kolanach. Zobaczył mnie w wejściu i aż zamrugał z zaskoczenia.

– Skąd pan w ogóle bierze buciory w takim rozmiarze? – spytałem. – Widziałem już pojazdy opancerzone zostawiające węższe ślady.

– Specjalne zamówienie. Dostarczenie pary z Ziemi trwa sześć miesięcy. A przynajmniej trwało. – Komendant odłożył tablet i zsunął nogi z biurka, po czym wstał z fotela i podszedł do drzwi. – Dobrze znowu pana widzieć. Wiedziałem, że „Indy” wchodzi na orbitę, ale uznałem, że dopiero za jakieś trzy, cztery godziny puścicie desantowiec na dół. – Popatrzył na moją obandażowaną dłoń i uniósł brew. – To nie wygląda za dobrze.

- I nie jest – przyznałem. – Gdy chcę policzyć do dziesięciu, muszę zdjąć buty.
- Widział to już lekarz?
- Powiedzmy, że musieliśmy opuścić stację w pośpiechu. Widziała to pokładowa sanitariuszka.
- Zatem musi pan pójść do któregoś z naszych doktorów. Klinika znajduje się tutaj, na parterze. Korytarzem C do końca i w prawo.
- Niedługo pójde – odrzekłem. – Nie ma co się spieszyć. Palce są stracone, nie cofnę tego. Widział pan gdzieś panią chorążą Fallon? – spytałem, chcąc zmienić temat.
- Policjant podrapał się po głowie.
- Proszę sprawdzić w centrum operacyjnym. Jeśli tam jej nie ma, to pewnie będzie albo w sekcji naukowej z doktor Stewart, albo też w „Z Lodem”. Również z doktor Stewart.
- Co Fallon robi z szefową waszej misji naukowej? Bierze korepetycje z astrofizyki?
- Komendant Guest uśmiechnął się i pokręcił głową.
- Wydaje mi się, że ich wspólnym polem zainteresowań jest chemia. A konkretniej destylacja.



Zostawiłem pancernik w kącie gabinetu komendanta, obok stojaka z solidnie znoszonym karabinem M-66 zablokowanym zamkiem DNA. Udałem się do centrum operacyjnego i zajrzałem do środka, lecz znalazłem tam tylko trzech cywilów i dwóch nieznanych mi żołnierzy w mundurach SOZ. W pokoju doktor Stewart zastałem jedynie imponujący bałagan na biurku, wyglądający na eksperyment naukowy z dziedziny ograniczeń sił statycznych. Zbiegłem na dół do przejścia prowadzącego do Elipsy, chcąc jak najszybciej spotkać się z przyjaciółką i dawną dowódczynią.

W „Z Lodem” było dość hałaśliwie. Stoliki i krzesła ustawiono również na zewnątrz baru, gdzie zajmowały kawałek tunelu. Ludzie pili tam i rozmawiali tak głośno, że słyszało się ich pięćdziesiąt metrów za najbliższym załosem. Przecisnąłem się przez niewielki labirynt siedzących i wszedłem do zatłoczonego wnętrza. Przebywali tu głównie cywile, choć kilka stolików zajmowali żołnierze, większość w mundurach SOZ. Wyłącznie przy jednym blacie w rogu cywile mieszały się z wojskowymi. Fallon siedziała plecami do ściany, obrócona w stronę drzwi i pogrążona w rozmowie z doktor Stewart. Podeszedłem do nich. Gdy Briana mnie dostrzegła, podniosła wzrok.

- Andrew – powiedziała, po czym podniosła się i mocno mnie objęła, aż powietrze wyleciało mi z płuc. – Cieszę się jak idiotka, że nie zginąłeś.

- To jest nas już dwoje – odparłem, a ona się roześmiała. Po tym, jak musiała odzyskać równowagę, zanim mnie puściła, wnioskowałem, że toczona przez nią z doktor Stewart dyskusja dotycząca destylacji musiała trwać już od jakiegoś czasu.

- Siadaj i się napij, do cholery, sierżancie sztabowy Grayson. To rozkaz.

Sama usiadła i przysunęła mi krzesło. Fizyczka obserwowała naszą interakcję z sarkastycznym rozbawieniem.

– Janet – rzekłem – miło cię znowu widzieć.

– Ciebie również, Andrew. Jak tam wycieczka na Ziemię?

– Zdarzało mi się już lepiej bawić. – Spocząłem na zaoferowanym krześle i uniosłem zabandażowaną dłoń. – Ale wykonaliśmy zadanie. Poniekąd.

– Nigdy w to nie wątpiłam – stwierdziła Fallon. – Co ci się stało?

– Cywilny policjant na Niepodległości odstrzelił mi dwa palce. To długa opowieść.

– Cóż, czasu akurat nam nie brakuje – odparła Briana. Wstała ponownie i klepnęła mnie w ramię, przeciskając się obok. – Porozmawiajcie sobie trochę, a ja pójdę po następną kolejkę. A później opowiesz mi, co się działo podczas tej misji.



Pierwsza Pizgawica weszła gładko i szybko, popchnąłem ją więc kolejną. Znowu bolała mnie dłoń, tym nieprzyjemnie mocnym i dotkliwym pulsowaniem, które pojawia się przy poważnych uszkodzeniach tkanki, wykorzystałem więc ostatnie łyki, aby popić dwóch maleńkich farmakologicznych pomocników od sanitariuszki Randall. Następnie wtajemniczyłem Fallon i doktor Stewart w wydarzenia misji widziane z mojej perspektywy. Gdy kończyłem, alkohol solidnie już mnie rozgrzał, a środki przeciwbólowe zaczęły czynić swoje dzieło.

– Ogólny obraz miałyśmy z protokołu z odprawy, który przysłał twój szyper. Już kilkakrotnie rozmawiali w tej sprawie. O Boże, ile gadaniny. To jak ze smokiem gryzącym się we własny ogon. Donikąd nie dojdziemy. – Briana upiła łyk własnego drinka.

– A o co chodzi z „Midway”? Kiedy wrócili na imprezę?

– Ten pieprzony tchórzliwy rezerwista – powiedziała z nagle spochmurniałą miną. – Po waszym odlocie wciąż wysyłaliśmy im wiadomości. Znajdowali się w dalekiej przestrzeni i próbowali wytyczyć podświetlną trajektorię na Ziemię, zupełnie jakby mieli ze sobą paliwo na trzydzieści lat. Jakiś tydzień temu przykuśtykali z powrotem z wyschniętymi zbiornikami na wodę. I teraz posłuchaj: dowódca próbował przejąć dowodzenie. Nad wszystkimi jednostkami Wspólnoty w systemie. Rozumiesz, dlatego że ma na pagonach złoty wieniec i gwiazdkę.

– Zakładam, że osiągnął sukces – odparłem.

– O tak. Szyper z „Regulusa” powiedział mu, żeby spierdalał na bambus. Oczywiście nie w tyłu słowach. Okazało się, że generał spędził trzy tygodnie w swojej kajucie i nawet raz nie zaszedł do BCI. Kazał lekarzowi napisać sobie zwolnienie i twierdził, że jest strasznie chory. Pierwszy oficer miał mu przynosić posiłki do kajuty osobiście. No to pierwszy pozbawił go dowództwa i zamknął w kabinie na dobre. Nie wiadomo, czy wlepił mu też parę klapsów.

Nie chciałem się śmiać, bo rozkazy omawianego jednogwiazdkowego dupka kosztowały nas trzydzieści osób i kilka desantowców, ale mentalny obraz tego

rezerwisty z odzysku ze spodniami mundurowymi wokół kostek, lanego w tyłek, i tak doprowadził mnie do uśmiechu.

– No to wrócili i dołączyli do parady na orbicie. Od tego czasu stanowimy wielką, dysfunkcyjną rodzinę – kontynuowała Fallon. – Nic szczególnie ekscytującego. Na pewno nie równa się z waszymi przejściami.

– To kto teraz dowodzi?

– Obecnie rządzi komitet. Tu, na dole dowodzą szefowie batalionów SOZ. Raz dziennie zbieramy się na wideokonferencji ze wszystkimi dowódcami z orbity. Ustalamy patrole, uzupełnienia, takie sprawy. Nudzi mnie to śmiertelnie. Jednak chyba lepiej rozmawiać, niż do siebie strzelać.

– Wszystko jest lepsze niż strzelanie do siebie – skomentowałem, spoglądając na zabandażowaną dłoń.

– Nie martw się tym zanadto – rzekła Fallon. – Teraz potrafią czynić cuda z cybernetycznymi protezami. Spytaj, skąd to wiem.

Naprawdę nie chciałem już dłużej rozmawiać o krótkim pobycie w pobliżu Ziemi, ponieważ za każdym razem, gdy o tym myślałem, przypominałem sobie, jak bliski byłem zejścia z „Indy’ego” i odlotu na Lunę. Tylko jedna krótka podróż desantowcem i oddychałbym tym samym powietrzem co Halley. Zamiast tego wróciłem tu, na zadupie zasiedlonego wszechświata, do lichego baru na zamarznętym księżycu, między mną a Halley zaś znów znajdowało się dwadzieścia osiem lat świetlnych próżni oraz jeden Bóg wie ile okrętów Dryblasów. Nie miałem jednak ochoty mówić o tym swoim towarzyszkom. Nie znałem doktor Stewart na tyle dobrze, by dzielić się z nią tak osobistymi uczuciami, a marudzenie o tym, że nie widziałem się z narzeczoną i odstrzelono mi dwa palce, okazałoby się nadmiernym użalaniem nad sobą w porównaniu z doświadczeniami kobiety, która straciła w walce nogę i która wylądowała tu z powodu swoich przekonań, wygnana z Ziemi. Zrobiłem więc jedyną rozsądną rzecz, jaka pozostała komuś w mojej sytuacji. Podniosłem pustą szklaneczkę i obróciłem ją w dłoń.

– Myślicie, że da się dostać jeszcze jedną kolejkę?

Rozdział 20

Exodus

Gdy obudziłem się rano, czułem się, jakby poprzedniego wieczora ktoś grzmotnął mnie w głowę kolbą karabinu.

Leżałem na pryczy i wciąż miałem na sobie spodnie mundurowe, ale zupełnie nie rozpoznawałem, gdzie jestem. Usiadłem – powoli – i próbowałem rozeznaczyć się w sytuacji, a w tym czasie pokój nie tylko lekko wirował, ale i na zmianę tracił oraz zyskiwał ostrość.

Moje buty znajdowały się obok pryczy, schludnie ustawione obok siebie, a bluza mundurowa była starannie przewieszona przez oparcie pobliskiego krzesła. Pokój okazał się dość ascetyczny, niemal równie sterylny, jak kajuta na okręcie. Na jednej ze ścian widziałem otwarte drzwi prowadzące do małej łazienki, zwlokłem się więc z pośłania, by zająć porannymi sprawami oraz przywrócić działanie mózgu i zmysłów.

Myślałem, gdy otworzyły się drzwi po drugiej stronie i weszła Fallon.

– Dzień dobry – powiedziała, widząc mnie chwiejącego się nad umywalką. – Jak samopoczucie?

– Jak u gówna zbitego młotkiem – wychrypiałem.

– Nie chciałeś słuchać, gdy mówiłam, że piąta Pizgawica to kiepski pomysł. A tak w ogóle, to jesteś trochę cięższy, niż wyglądasz.

– Sama mnie tu przytargałaś? – Wziąłem ręcznik z wieszaka i zacząłem wycierać twarz. – I gdzie w ogóle jest „tu”?

– Moja kwatera – odparła. – Nie przydzielono ci jeszcze nic i nie za bardzo byłeś w formie, by prosić o cokolwiek cywilów. Wyglądało na to, że przyszedłeś do baru prosto z lądowiska. Doceniam, gdy żołnierz ma tak wyraźnie poukładane priorytety.

– No, najpierw zajrzałem do centrum operacyjnego – sprostowałem. – Zostawiłem pancierz u komendanta. – Spojrzałem na pryczę, czyli standardowe wojskowe składane łóżko polowe. – Moment. Skoro ja spałem tutaj, to gdzie ty?

– Obok ciebie, durniu. Podłoga jest kurewsko twarda. – Zachichotała, widząc moją zaskoczoną i zawstydzoną minę. – Nie martw się, chucherko. Sama też się nieźle ubzdryngoliłam. Nic między nami nie zaszło. Nawaliłeś się w trupa, a ja i tak nie kłusuję wśród młodszych podoficerów. Zwłaszcza takich niemal żonatych. – Podniosła moją bluzę i rzuciła we mnie. – Ubieraj się i weź coś na ból głowy. Za piętnaście minut konferencja z dowództwem. Wygląda na to, że wkrótce lecimy do domu.

Połączenie odbywało się w sali spotkań centrum administracyjnego. Skuteczny i rutynowy sposób organizacji spotkania świadczył, że wszyscy uczestnicy już wielokrotnie przećwiczyli procedurę, odkąd „Indy” wyruszył w kierunku Ziemi. Zająłem miejsce przy dłuższej krawędzi dużego stołu konferencyjnego, tuż obok Fallon. Dowódcy obu batalionów SOZ, podpułkownicy Decker i Kemp, siedzieli naprzeciwko mnie, wraz z asystującymi im podoficerami. Nasze grono uzupełniali cywilny administrator i doktor Stewart. Na ścianie pomieszczenia rozstawiono wielki holoe ekran podzielony na dziesięć okien, w których wyświetlały się transmisje od pozostałych uczestników. W jednym z segmentów dostrzegłem pułkownika Campbella, stojącego w dobrze mi znanym BCI „Indy’ego” z major Renner za plecami po lewej. Przez chwilę poczułem się dziwnie, jakby tam było moje miejsce.

– Pozwolę sobie rozpocząć od stwierdzenia, że jeśli po powrocie na Ziemię natkniemy się na wciąż działającą administrację wojskową, zarekomenduję pana do Medalu Honoru, pułkowniku Campbell – powiedział pułkownik Aguilar z BCI „Regulusa”. – Wraz z załogą wypełnił pan niemożliwą misję i dzięki waszym umiejętnościom oraz odwadze wszyscy jesteśmy dłużnikami „Indianapolis”.

– Bardzo doceniam te słowa, pułkowniku Aguilar. Jednak po prostu przeprowadziliśmy zgodnie z rozkazem rozpoznanie Układu Słonecznego. A jeśli wziąć pod uwagę sposób, w jaki odlecieliśmy, to zamiast zawiesić mi medal na szyi, być może postawią mnie przed plutonem egzekucyjnym.

– Zajmiemy się tym, gdy wlecimy na orbitę Ziemi zespołem zadaniowym obejmującym trzy lotniskowce – odrzekł Aguilar.

– Mamy krytyczną sytuację zaopatrzeniową – poinformował generał Park. Oficer ZCR wyglądał na zmęczonego, a cienie padające mu na twarz jeszcze bardziej podkreślały jego ostre rysy. – Z paliwem nie jest tak źle, ale z żywnością kiepsko. Zostało nam piętnaście procent rezerw. To najwyżej półtora tygodnia.

– U nas wcale nie jest lepiej – odpowiedział pułkownik Aguilar. – Na powierzchni mamy do wykarmienia dziesięć tysięcy żołnierzy, a nie możemy wyeksploatować kolonii. Na „Portsmouth” zaczęliśmy już zmiatać okruszki. Został najwyżej tydzień, później musimy przejść na racje awaryjne.

– Zatem w naszym najlepszym interesie leży jak najszybsze wdrożenie uzgodnionego planu.

– Zgadza się, generale Park. Jeśli nie zgłasza pan sprzeciwu, w ciągu dwudziestu czterech godzin przygotowujemy się do odlotu i rozpoczniemy powrót do Układu Słonecznego za pośrednictwem węzła Związku. Jeśli sobie pan tego życzy, wcześniej możemy wyrównać sytuację zaopatrzeniową i po równo rozdystrybuować między okrętami Wspólnoty i Związku to, co zostało.

– Bylibyśmy wielce zobowiązani.

Nowy duch współpracy i uprzejmości, pomyślałem. To niezwykle, jak cywilizowani potrafimy się stać, gdy nie ma już o co do siebie strzelać.

– Przy bieżącej sytuacji transportowej będziemy potrzebować od sześciu do ośmiu godzin, aby zabrać wszystkich żołnierzy SOZ z terraformerów i przewieźć ich na lotniskowiec – wtrącił się podpułkownik Decker. – A i to tylko wtedy, jeśli

pogoda nie zmusi nas do zawieszenia lotów.

– Zatem zacznijcie najszybciej, jak możecie – rzekł Aguilar.

– Sir, chciałbym umieścić swoje oddziały Sił Obrony Ziemi na „Regulusie”. Wiem, że przybyliśmy tu na „Midway”, będą jednak potrzebować miejsca na pułk Piechoty Kosmicznej z obozu Sopol. Chyba lepiej, żebyśmy nie przebywali na tym samym pokładzie lotniczym co ludzie z PK, zważywszy, co działo się tutaj przed waszym przybyciem.

– Nie mam nic przeciwko. „Regulus” i tak dysponuje większym pokładem lotniczym, a nie mamy kompletu desantowców. Będziecie mieć mnóstwo przestrzeni.

– A co z wami, panie administratorze? – spytał pułkownik Campbell. – Ilu cywilów wysyłacie razem z nami?

– Wszystkich, którzy zechcą lecieć. Muszę jednak przyznać, że nie będzie ich wielu. W pewnym sensie już się tu zadomowiliśmy.

– Jeśli Dryblasy znów tu trafią, możecie żałować tej decyzji.

– Jeśli Dryblasy znów tu trafią, zejdziemy pod ziemię z nadzieją, że uznają, iż jest tu dla nich za zimno. Na podstawie informacji, jakie przywieźliście z Ziemi, mogę stwierdzić, że tam wcale nie byłoby nam lepiej.

– Wybór należy do was i nie mamy prawa was od niego odwozić. Proszę tylko dopilnować, by chętni do ewakuacji byli gotowi do odlotu na lotniskowce najpóźniej dzisiaj o osiemnastej zero zero – powiedział pułkownik Aguilar.

– Rozumiem – odparł administrator. – Ci, którzy zechcą odlecieć, zjawią się na czas.

Dowódcy ustalali szczegóły naszego odlotu, a ja słuchałem, próbując ignorować pulsujący ból w skroniach. Najwyraźniej szefostwo zaczęło planować powrót, gdy „Indy” wciąż jeszcze leciał w stronę Nowego Svalbardu. Nie miałem pojęcia, jak zamierzali przedostać się przez okręty nasienne po drugiej stronie komina Alcubierre’a, ale nie do mnie należało o to pytać. Wiedziałem jedynie, że odlatywaliśmy na dobre w ciągu czterdziestu ośmiu godzin i znów kierowaliśmy się na teren nieprzyjaciela.

– Wiesz, że możesz zostać? – powiedziała do mnie Fallon, gdy wyszliśmy z sali konferencyjnej i wracaliśmy do centrum operacyjnego.

– Tu? Na Nowym Svalbardzie?

– Dowódcy dają żołnierzom z SOZ możliwość pozostania tutaj i wejścia w skład stałych sił obronnych. Naszym zdaniem Wspólnota porzuciła ich tu na dobre. Mają prawo sami zdecydować.

– A co z tobą? Zostajesz?

– Zastanawiałam się nad tym – odrzekła. – Krótko. Bardzo krótko.

– Ale nie.

– Ale nie – potwierdziła. – Żaden z moich ludzi nie chce zostać na Lodowej Stacji Zadupie, a ja nie zamierzam ich zostawić. Poza tym naprawdę szybko zanudziłabym się na śmierć.

- Tak, możliwości rekreacyjne są ograniczone – zgodziłem się.
- Miejsce ma swoje dobre strony. Czyste powietrze, piękna okolica. Cisza i spokój, wiele osób to ceni. – Jej ton mówił wyraźnie, że sama niezbyt to ceniła, zupełnie jakbym potrzebował wyjaśnienia.
- Nie przebywałaś na okręcie, gdy w pobliżu są Dryblasy – powiedziałem. – Tutaj możesz chwycić karabin i do nich strzelać. Uciekać, kryć się, walczyć. Tam na górze nie masz nic. Zostaje ci jedynie trzymać się najbliższej barierki w nadziei, że dowództwo wie, co robi. Właśnie tam byłem najbardziej przerażony w całym życiu, nie kłamię.
- Fallon milczała jakiś czas. Doszliśmy do drzwi centrum operacyjnego i położyła dłoń na kłamce.
- Byłeś przerażony, bo wciąż masz coś do stracenia – odezwała się w końcu. – To główna różnica między nami. I naprawdę mam nadzieję, że znów uda nam się przejść. Ty będziesz mógł wtedy poślubić ukochaną i przestać nadstawiać idealistyczny kark dla większego dobra. Uwierz mi, nie chciałbyś po paru latach odbębniania tego żołnierskiego gówna stwierdzić, że nie boisz się już na myśl o śmierci.
- Jeśli nie boisz się śmierci, nie masz już po co żyć – odparłem.
- Wywróciła oczyma i pokręciła głową.
- Oszczędź mi cytatów z kalendarza motywacyjnego. Za każdym razem, gdy sądzę, że czegoś się nauczyłeś, wyskakujesz z tą swoją szlachetnością. Jesteś takim dzieciuchem. – Szarpnięciem otworzyła drzwi. – Zostało osiem godzin. Spakuj graty i ostatni raz naciesz się czystym białym śniegiem. Widzimy się na lądowisku o osiemnastej zero zero UTC.
- Tak jest, pani chorąży – odrzekłem. – Do widzenia.



- Udałem się do gabinetu doktor Stewart, gdzie zastałem jeszcze większy bałagan niż zwykle. Janet grzebała w szufladzie biurka i wrzucała rzeczy do dwóch otwartych pojemników transportowych stojących na środku podłogi. Gdy stanąłem w otwartych drzwiach, podniosła wzrok.
- A oto najbardziej ulubiany żołnierz na świecie – rzekła. – Z naukowego punktu widzenia jestem zaskoczona, że możesz chodzić.
 - Z pewnymi trudnościami – odparłem. – Pakujesz się w jakimś celu?
 - Rozejrzała się po otaczającym ją rozgardiaszu.
 - Prowadziłam tu badania przez cztery lata. Można by pomyśleć, że to wystarczający czas, by wprowadzić jakąś organizację. W końcu niewiele tu rzeczy odwracających uwagę.
 - Słyszałaś kiedyś o cyfrowym magazynowaniu danych?
 - Tak, jasne – stwierdziła, machając lekceważąco dłonią. – Jestem staromodna. Lubię zaznaczać fragmenty na stronach, pijąc kawę. Wtedy mój mózg działa najlepiej. Ale większość z tego jest zeskanowana i siedzi w bankach pamięci.
 - Wnioskuje więc, że ewakuujesz się dzisiaj z nami.
 - Ażebyś wiedział, że tak. – Ze sterty luźnych wydruków wyciągnęła mały

notatnik i wsadziła do bliższego z pojemników. Sterta straciła spoistość i papiery zsunęły się na podłogę. Janet odsunęła je na bok stopą. – Jestem tu od czterdziestu siedmiu miesięcy. Rodziny nie widziałam od ponad roku. Nie mam dzieci, które się tu urodziły. Moja rodzina mieszka na Ziemi, w Pensylwanii. Już pół roku temu skończył mi się pierwotny kontrakt. Nic dziwnego, że wsiadam do ostatniego pociągu. Nie sądzę, żeby w przyszłości były tu szczególnie potrzebne badania astrofizyczne.

– Są na Marsie – powiedziałem. – Dryblasy. Zlikwidowali całą kolonię. Widziałem, gdy przelatywaliśmy obok planety. Trudno stwierdzić, kiedy ruszą na Ziemię, ale na pewno to zrobią.

– Tym bardziej muszę wrócić do domu. Wolę zginąć z mężem i dziećmi niż sama tutaj. – Podniosła kolejną małą kupkę notatników i wrzuciła je do pojemnika. – Coś ci poradzę, Andrew. Jeśli kiedyś się ożenisz i będziesz miał dzieci, a ktoś zaproponuje ci pracę trzydzieści jebanych lat świetlnych od domu, powiedz, żeby cię cmoknęli. Nawet gdy zaproponują ci podwójną pensję. Nie możesz czytać bajek na dobranoc swojemu kontu bankowemu, czesać mu włosów ani uczyć jeździć na rowerze.



Nie miałem nic do zabrania oprócz pancerza bojowego, który został w gabinecie komendanta Guesta. Gdy wszedłem, wysoki funkcjonariusz siedział za biurkiem. W przeciwieństwie do pokoju doktor Stewart, tu panował porządek, a policjant się nie pakował.

– Zostaje pan – stwierdziłem, a nie zapytałem.

– Oczywiście, że zostaję – odparł. – To mój dom.

Nawet nie przyszło mi do głowy, by próbować skłonić go do zmiany decyzji, ponieważ wiedziałem, że zupełnie nic bym nie osiągnął. Mieszkał tu od dziesięciu lat z własnego wyboru, dorastały tu obie jego córki i był ważnym członkiem lokalnej społeczności. Jeśli miał nadejść koniec ludzkości, w jego przypadku miało to się zdarzyć właśnie tutaj i w pełni odpowiadała mu ta perspektywa.

– Nie sądzę, byśmy mieli się znowu zobaczyć za kilka tygodni, nadszedł zatem czas na porządne pożegnanie – powiedziałem.

– W klasycznym, dosłownym sensie – odparł, po czym podniósł się z fotela i wyciągnął dłoń. – Niech się panu dobrze wiedzie, sierżancie. Nie tylko podczas tej podróży, ale i we wszystkim, co nastąpi później.

Chwyciłem jego dłoń, prawie dwa razy większą od mojej.

– Panu również, komendancie.

Wziąłem pancerz i opuściłem gabinet. Policjant usiadł i wrócił do przerwanej przeze mnie roboty papierkowej, opanowany i przewidywalny niczym wschód słońca.



Resztę dnia spędziłem, po raz ostatni spacerując Elipsą i czekając, aż zegarek

wskaże osiemnastą. W „Z Lodem” było równie tłoczno, jak poprzedniego dnia, ale tym razem ominąłem bar szerokim łukiem. Na sam widok małych plastikowych szklaneczek, w których serwowano tam drinki, znów poczułem mdłości.

Po południu nie miałem już gdzie spacerować. Czułem niepokój, jak zawsze przed jakimś ważnym wydarzeniem: wyjazdem na szkolenie przygotowawcze czy desantem bojowym. Nałożyłem na siebie pancerz w centrum administracyjnym i przez zewnętrzne drzwi wyszedłem na zalane słońcem, zaśnieżone ulice Nowego Longyearbyen. Ponad dwa miesiące temu stoczyliśmy tu bitwę przeciwko swoim. Podszedłem do rogu, gdzie stało wtedy jedno z naszych działek automatycznych. Już dawno usunięto betonowe bariery, których używaliśmy jako osłon, ale wciąż dobrze pamiętałem, gdzie się znajdowałem i co robiłem, gdy żołnierze PK próbowali dokonać desantu przed budynkiem. Na grubych ścianach za moimi plecami nadal widać było głębokie kraterzyki po ostrzale Dzierzb z „Midway”. Na innym narożniku, tuż na lewo ode mnie, straciliśmy pod tymi pociskami sześciu ludzi z SOZ. Nigdy dotąd nie miałem możliwości znaleźć się ponownie w miejscu stoczonej walki i teraz stwierdzałem, że patrzę na nie z dziwnego dystansu. Centrum administracyjne zostało zbudowane tak solidnie, że przetrwa nie tylko bieżące pokolenie, ale i kilka następnych. Przetrwa nawet atak Dryblasów, jeśli postanowią zająć ten księżyc. Za sto lat ta ściana wciąż będzie poznaczona śladami po pociskach przeciwpancernych z Dzierzb, choć wszyscy, którzy brali udział w bitwie, już dawno umrą i zostaną zapomniani, a starcie, jakie tu miało miejsce, doczeka się zaledwie drobnej wzmianki w bardzo krótkim rozdziale historii kolonialnej.



Trwała faza dnia polarnego, więc gdy dotarłem na lądowisko, by załapać się na ostatnie odloty, wciąż było jasno i słonecznie. Zimno okazało się na tyle znośne, że nie miałem na głowie hełmu. Czułem się trochę podobnie jak kilka miesięcy wcześniej, gdy po raz pierwszy postawiłem stopę na księżycu, zanim jeszcze zaczęły się wszystkie miejscowe problemy.

Na ziemi znajdowało się mniej desantowców, niż gdy przybyłem tu rankiem. Klucz czterech Os stał rzędem z opuszczonymi tylnymi rampami oraz z końcówkami paliwowymi we wlotach zbiorników. Na płycie widziałem ślady po pospiesznie naprawionych uszkodzeniach w miejscach, gdzie pociski z Dzierzb doprowadziły do eksplozji podziemnego zbiornika. Teraz okręty desantowe tankowały z ruchomych, umieszczonych na gąsienicach cystern.

Około pięćdziesięciu cywilów czekało w pobliskim budynku mieszczącym wieżę kontrolną. Część stanowiły rodziny z dziećmi. Wszyscy mieli ze sobą bagaż: standardowe pojemniki transportowe oraz różnorodną zbieraninę toreb i polioplastowych walizek. Zważywszy, że niewojskowa populacja Nowego Svalbardu liczyła między dziesięć a piętnaście tysięcy osób, spodziewałem się, że więcej z nich zdecyduje się na możliwość ewakuacji.

W grupie dostrzegłem doktor Stewart, wyglądającą na nieco zagubioną w swym za dużym kombinezonie. Obok niej stała torba na kółkach, a w dłoniach

fizyczka trzymała OTI. Gdy podniosła wzrok i mnie zauważyła, uśmiechnąłem się i skinąłem głową, by dodać jej otuchy. Skoro ja czułem niepokój na myśl o przedzieraniu się przez blokadę Dryblasów, nie wyobrażałem sobie, co musieli myśleć cywile.

Na zewnątrz przed budynek zajechały trzy wielkie sześciokołowe traktory śnieżne. Otworzyły się tylne drzwi i ze środka wysypało się grono żołnierzy SOZ, wszyscy z karabinami na piersiach i workami na ramionach. Kilku z nich rozpoznałem z czasów obrony kolonii. Byli to najwierniejsi towarzysze Fallon z 330. batalionu, podoficerowie i piloci pełniący kluczowe role podczas naszej rebelii. Jak mogłem się spodziewać, jako ostatni wysiedli Fallon oraz dowódca jej batalionu, podpułkownik Kemp. Wyszedłem na zewnątrz, by się z nimi przywitać.

– Spieprzajmy już stąd – rzekła Briana, gdy się do nich zbliżyłem. – Oddajmy tym ludziom ich księżyc.

– Ilu naszych zostaje?

– Trzydziestu z Trzysty Dziwiątego – odparł Kemp. – I jedenastu z Trzysty Trzydziestego.

– Oddaliśmy ich pod dowództwo administratora i komendanta Guesta – wyjaśniła Fallon. – W Sopl'u też został garnizon. Jedna wzmocniona kompania PK.

– Wiedzą, że nikt ich nie wymieni, jeśli wszystko się zesra?

– Wiedzą. Chyba wolą niebezpieczeństwo, które już znają.

– Zatem to już – powiedziałem, spoglądając nad smaganą wiatrem płytą na czekające desantowce.

– Już – potwierdziła Briana. – No to dopilnujmy, by ci cywile się przypięli, i lećmy. Nigdy nie przepadałam za służbą garnizonową. Zbyt wiele okresów nudy.



Niemal wszyscy wsiadali w desantowce grupami. Żołnierze Sił Obrony Ziemi zajęli jeden pojazd, cywile zostali skierowani do trzech pozostałych. Niektóre mniejsze dzieci marudziły i płakały, gdy prowadzono je po rampach do groźnie wyglądających maszyn bojowych. Uświadomiłem sobie, że są na tyle małe, iż choć urodziły się w kolonii, mogły nigdy nie znaleźć się na pokładzie okrętu kosmicznego.

Postanowiłem ulokować się razem z cywilami, żeby mieli na pokładzie jeszcze kogoś w pancerzu oprócz szefa załadunku, gdyby za bardzo trzęsło. Lot desantowcem przez atmosferę mógł obfitować w turbulencje, nawet gdy nie startowało się z lodowego księżycy o kapryśnej pogodzie, i moja obecność mogła ich nieco uspokajać.

Oderwaliśmy się od ziemi punkt 18.00 UTC i zaczęliśmy się wznosić. Nie zawracałem sobie głowy nakładaniem hełmu i proszeniem pokładu lotniczego o dostęp do danych, aby jak zwykle przeglądać obrazy z zewnętrznych kamer. Dość napatrzyłem się tu na śnieg i lód, by wystarczyć mi przynajmniej na kilka dni.

Powodzenia, komendancie, pomyślałem. Oby czekało pana wraz z rodziną długie i spokojne życie.

Pokład lotniczy „Regulusa” był wielki i zdecydowanie pusty. Gdy opuszczaliśmy orbitę Nowego Svalbardu, stacjonowały tam po jednej stronie nasze cztery Osy, po drugiej trzy Dzierzby, a pomiędzy nimi zostało mnóstwo wolnej przestrzeni. Lotniskowiec typu Nawigator, skonstruowany pod kątem przewozu sił służących do szturmów planetarnych, mieścił zazwyczaj trzydzieści dwa okręty desantowe, wystarczające do przewiezienia dwóch pełnych batalionów Piechoty Kosmicznej, lecz w momencie pojawienia się Dryblasów „Regulus” przebywał w doku remontowym i jego Dzierzby oraz Ważki albo zostały przydzielone na inne okręty floty, albo też zniszczone podczas bitwy o Marsa. Na sytuację można jednak było patrzeć pozytywnie: dzięki temu mieliśmy dość miejsca dla cywilów i niemal trzystu żołnierzy z 309. oraz 330. Samodzielnego Batalionu Piechoty, którzy już wzięli się za wznoszenie tymczasowych ścianek i ustawianie rzędów łóżek polowych.

Jako podoficer floty miałem prawo zająć każdą wolną koję na okręcie, ale uznałem, że nie w porządku byłoby dać nogę i zostawić żołnierzy SOZ, u boku których walczyłem przeciwko własnemu dowództwu, znalazłem więc Fallon, by trzymać się blisko jej gangu buntowników.

– Zajmujemy te desantowce – powiedziała do mnie, gdy dotarłem do miejsca, gdzie sekcja dowódcza 330. sbp doglądała konstrukcji ich części miasteczka namiotowego.

– Zajmujecie w jakim celu? – spytałem.

– Na stanowiska dowodzenia. Jeden dla Trzysty Dziewiątego, drugi dla Trzysty Trzydziestego, trzeci do zmagazynowania wszystkich racji awaryjnych, żebyśmy mogli pilnować dystrybucji. I tak zajmują miejsce na pokładzie, więc równie dobrze można ich użyć jako tymczasowych kajut. W środku jest dość miejsca.

– W sumie tak – przyznałem.

Ponad nami z radiowęzła dobiegł sygnał oznaczający początek komunikatu.

– Uwaga, do wszystkich: przygotować się do odlotu. Powtarzam: przygotować się do odlotu. Zabezpieczyć wszystkie kołnierze dokujące.

– No dobrze – stwierdziła Fallon po sygnale kończącym. – Teraz wóz albo przewóz. Ziemia albo nic.

– Ziemia albo nic – zgodziłem się, lecz bez entuzjazmu. Zbyt wiele razy widziałem, jak okręt kosmiczny zamieniał się w przestrzeni w jedno wielkie nic.

Rozdział 21

Możesz rozpocząć przejście

Cztery dni później w przestrzeni w głębi systemu Fomalhaut najdziwniejszy i najbarwniejszy zespół zadaniowy, jakiego byłem członkiem, rozpoczął proces wytracania prędkości przed punktem przejścia.

Dysponowaliśmy trzema lotniskowcami: „Regulusem”, „Mińskiem” oraz „Midway”. „Regulus” wielkością dorównywał znacznie starszym „Mińskowi” i „Midway” razem wziętym, ale i tak trzy lotniskowce szły w zwartej formacji i nigdy nie widziałem aż tylu w jednym miejscu. Mieliśmy również dwa krążowniki: „Mściciela” i „Long Beach”; jeden niszczytel: chiński „Shen Yang”; oraz trzy fregaty. Wraz z trzema statkami zaopatrzeniowymi z ZCR i naszym szybkim tankowcem „Portsmouth” przed punktem przejścia zgromadziło się w szyku bojowym trzynaście okrętów z dwóch flot i czterech różnych państw. Czternasty, czyli „Indy”, miał wejść w komin oddzielnie. Dmitrij bez wątplenia znajdował się na „Mińsku” wraz z innymi marines i przypuszczałem, że na ich pokładzie lotniczym było jeszcze tłoczniej niż u nas.



– Rozpoczynam procedurę uzupełnienia – oznajmił operator na „Portsmouth”, gdy „Mściciel” podleciał, by pobrać paliwo do reaktora.

Znajdowałem się w ładowni Osy służącej za punkt dowodzenia dla 330. sbp. Jako podoficer o niskiej randze nie miałem nic do roboty w BCI lotniskowca, ale nie chciałem wypaść z obiegu i wpatrywać się jedynie w strop pokładu lotniczego, gdy trwała operacja bojowa, wykorzystałem więc możliwość wpięcia się do nietajnej części pokładowej sieci „Regulusa” jako kontroler walki. Zorganizowaliśmy projektor holograficzny i przednia gródź desantowca posłużyła za ekran prezentujący przekazy z komputerów Osy porozumiewających się z siecią taktyczną. Nie było to rozwiązanie regulaminowe, ale albo załoga „Regulusa” jeszcze tego nie odkryła, albo też po prostu ich to nie obchodziło. Kanał łączności międzyokrętowej wrzuciłem na głośniki sufitowe, a na ekranie widzieliśmy obraz z licznych kamer zewnętrznych naszego lotniskowca. Wszędzie wokół nas okręty krążyły między formacjami. Przed wejściem w komin Alcubierre’a i przelotem do Układu Słonecznego musieliśmy uzupełnić paliwo na wszystkich jednostkach.

– Boże, co za twarde gówno – powiedziała Fallon zza mojego lewego barku, po czym pomachała w stronę ekranu na wpół zjedzonym awaryjnym batonem żywnościowym. – Jeśli chciałeś wiedzieć, dlaczego cywile z DZK jedzą gówno, oto odpowiedź. Na to poszły wszystkie pieniądze. – Wzięła kolejny kęs i się skrzywiła.

– A skoro mowa o jedzeniu gówna, to jest ohydne. Smakuje jak kawałek podeszwy z buta przez tydzień marynowanej w pocie. Wydawało mi się, że flota je lepiej niż piechociarze.

– To racje awaryjne – odparłem. – Gdy przychodzi do ich jedzenia, nie przejmujesz się już smakiem. Tysiąc kalorii w każdym batonie.

– Andrew, poproszę cię o obiektywną opinię opartą na doświadczeniu we flocie i w boju. Jaki sens ma ten wymyślony przez nich plan?

Zastanawiałem się przez chwilę. Owszem, od dzisiejszej odprawy już ze sto razy rozegrałem cały scenariusz w głowie. Nie zapraszano mnie już na narady dowództwa, ale szefów batalionów SOZ owszem i byli na tyle uprzejmi, że dzielili się informacjami ze swymi najwyższymi rangą podoficerami.

– Szczerze mówiąc, jest całkiem niezły – rzekłem. – Wymyślił go ten mały koreański generał brygady. Sprytny gnojek. Nie chciałbym walczyć przeciwko niemu.

„Indy” znów miał się bawić w zwiadowcę. Przejrzeli wszystkie przywiezione przez nas dane z rekonesansu i stworzyli algorytm pozwalający przewidzieć wzorzec patrolowy okrętów nasiennych. Za czterdzieści pięć minut „Indy” miał przyspieszyć i samodzielnie przejść do Układu Słonecznego. Jeśli algorytm okaże się prawidłowy, OOB wypadnie z węzła w chwili, gdy Dryblasy będą znajdować się na najdalszych krańcach elipsy. Siedem minut później w jego ślady miały pójść puste już statki zaopatrzeniowe i zabawić się w przynętę, a w tym czasie reszta zespołu zadaniowego przejdzie z maksymalną bezpieczną prędkością. Załogi „Indy’ego” i zaopatrzeniowców zostały zredukowane do absolutnego minimum. Pozostała na nich obsada składała się wyłącznie z ochotników, którzy dobrowolnie zgłosili się do misji zahaczającej o samobójstwo. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, Dryblasy rzucą się w pogoń za pustymi statkami zaopatrzeniowymi i zrobią miejsce dla reszty zespołu, który wyjdzie z węzła po kolejnych siedmiu minutach.

– A co, jeśli zaminowali wyjście po waszym przejściu?

– Wtedy statki zaopatrzeniowe posłużą za saperów – odrzekłem. – Którzy mylą się tylko raz.

– Cholera. – Fallon zawinęła z powrotem baton i wsunęła go do kieszeni bluzy.

– Nie pozwól mi już nigdy powiedzieć, że sprzątacze z floty nie mają jaj.

Obserwowaliśmy układ choreograficzny mniejszych jednostek po kolei podchodzących od obu stron do „Portsmouth”. Na zaopatrzeniowcach nie zostało nic poza paliwem do reaktora i wodą pitną. Poprzedniego dnia zużyliśmy ostatnie pakowane racje oraz żywność wziętą z Nowego Svalbardu, a teraz zostały nam batony awaryjne. Mogły nas utrzymać przy życiu, dopóki nie wrócimy – jeśli wrócimy – ale pozbawiały całej zabawy płynącej z posiłku. W normalnych okolicznościach szybko znudziłby mnie widok tankujących fregat, ale teraz nie miałem nic przeciwko, by cały proces się przeciągał, bo gdy się skończy, znów wskoczmy do basenu z rekinami. Wszyscy na naszym pokładzie lotniczym byli nerwowi i niespokojni. Ale też wszyscy starali się udawać, że wcale tak nie jest.

Gdy ustawione w kolejce do tankowania okręty zostały już wreszcie obsłużone,

statki zaopatrzeniowe zajęły pozycje przed i lekko powyżej zespołu zadaniowego. Na obrazie z kamer nie widziałem w ogóle „Indy’ego” – ponieważ niełatwo jest dostrzec niewidzialny okręt nawet przy niewielkiej odległości, chyba że wiadomo, gdzie konkretnie wycelować obiektyw, ale wiedziałem, że już gdzieś tam jest, że pędzi wokół zgrupowania, nabierając prędkości do przejścia. Czułem się winny, że nie stoję w jego BCI, chociaż przy tej misji i tak na nic bym się nie przydał. Pokład opuściły wszystkie osoby, które nie były niezbędne, co obejmowałyby również mnie, jednak nie mogłem się pozbyć irracjonalnego wrażenia, że zawodzę pułkownika Campbella oraz major Renner.

– Stanowiska bojowe, stanowiska bojowe. Do wszystkich: zająć stanowiska bojowe. To nie są ćwiczenia. Powtarzam: zająć stanowiska bojowe.

Alarm i komunikat brzmiały znacznie głośniejszym na ogromnym pokładzie lotniczym niż w BCI „Indy’ego”. Musieliśmy pozostawać w trybie gotowości bojowej przez cały czas przejścia przez komin Alcubierre’a, ponieważ wiedzieliśmy, że gdy tylko wyłonimy się po stronie Układu Słonecznego, czeka nas walka i desperacka ucieczka.

– Do wszystkich. Uwaga, mówi dowódca. Za dwadzieścia jeden minut rozpoczynamy przejście. Przygotować się i zająć stanowiska. „Regulus” idzie do walki.

W oddali, od strony punktu przejścia, na chwilę błysnęły światła pozycyjne, jakby wykonując salut.

– „Indianapolis”, za jedną minutę możesz rozpocząć przejście. Powodzenia, z Bogiem.

Słuchałem gwaru na kanałach łączności międzyokrętowej. Wszystkie jednostki w zespole zadaniowym pozdrowiały „Indy’ego”.

Jeśli nie uda wam się przedostać, to mam nadzieję, że chociaż staniecie się jasną kometą, pomyślałem.

– Przejście za trzydzieści sekund. Potwierdzam zamiar na wiązce. Do zobaczenia po drugiej stronie. „Indianapolis” bez odbioru – z głośników dobiegł głos major Renner. Nie wydawała się ani trochę zaniepokojona.

– Dwadzieścia sekund – odezwał się oficer taktyczny „Regulusa”. – Dziesięć sekund. Pięć, cztery, trzy, dwa, jeden. „Indy” wszedł w komin.

– Siedem minut do przejścia Klucza Dwa. Klucz Dwa, przejść na pozycje.

Czekaliśmy, aż statki zaopatrzeniowe zajmą pozycje. „Indy” wleciał w węzeł z niewielką prędkością, by w możliwie dyskretny sposób wyłonić się po drugiej stronie. Zaopatrzeniowce wchodziły w komin dokładnie siedem minut po „Indym” i poruszały się z pełnym przyspieszeniem. Miały wystrzelić z węzła, pędząc pięćset metrów na sekundę, i zabawić się w zające, by lisy miały za czym rzucić się w pościg. Ominęły szerokim łukiem zespół zadaniowy i pomknęły ku punktowi przejścia. Nagle zniknęły, przemieszczając się z prędkością nadświetlną do miejsca oddalonego o dwadzieścia siedem lat świetlnych.

– Siedem minut do przejścia Klucza Trzy. Klucz Trzy, przejść w formacji na

pozycje i utrzymać ustaloną kolejność.

Szyk obejmujący trzy lotniskowce i ich eskortę ustawił się do wejścia w węzeł. Ruszyliśmy z pełnym przyspieszeniem, które mieliśmy utrzymywać siedem minut. W momencie wlotu w komin nasza prędkość miała dorównać wcześniejszemu tempu statków zaopatrzeniowych.

„Regulus” był najszybszym z lotniskowców, zajął więc czołowe miejsce w szyku. Żołądek coraz bardziej skręcał mi się z każdą minutą przybliżającą nas do węzła Alcubierre’a. Po wleceniu w niego nie dało się już nacisnąć hamulca ani zawrócić.

– Jedna minuta do przejścia. Trzydzieści sekund do przejścia. Dziesięć, dziewięć, osiem, siedem, sześć...

Obok mnie Fallon wyciągnęła znów baton z kieszeni i wywalila język.

– Wiesz co? Jeśli okaże się, że to ostatnia rzecz, jaką zjem, zanim kopniemy w kalendarz, to się naprawdę wkurwię.

Rozdział 22

Plan Romeo

Do wszystkich: przygotować się na wyjście. Wyjście za dziesięć sekund. Pięć, cztery, trzy, dwa, jeden. Wyjście.

Sto tysięcy ton i trzy tysiące dusz składające się na „Regulusa” znów pojawiły się w normalnej przestrzeni, czemu towarzyszyła jedynie delikatna wibracja kadłuba. Na żadnym innym okręcie nie doświadczyłem tak gładkiego wylotu z Alcubierre’a.

– O kurwa mać – u mego boku odezwała się Fallon, gdy wyświetlacz na grodzi ożył na nowo. Hełm z uniesionym wizjerem nieco tłumił jej głos.

– Do wszystkich jednostek, do wszystkich jednostek. Wykonać plan Romeo.

Wróciliśmy do zwykłej przestrzeni. Przed nami i powyżej naszej trajektorii majaczyło charakterystyczne cielsko okrętu nasiennego Dryblasów, jednak w oddali i odsuwające się od nas pod kątem trzydziestu stopni. Nie mogłem rozeznaczyć w sytuacji równie dobrze, jak wtedy, gdy miałbym przed sobą trójwymiarowy diagram taktyczny zamiast nakładających się na siebie obrazów z kamer, ale widziałem, że plan powiódł się przynajmniej częściowo: Dryblas odchodził od komina Alcubierre’a i dzieliło nas od niego przynajmniej pięćdziesiąt kilometrów.

„Regulus” zboczył ostro na bakburkę, aby zwolnić miejsce dla jednostek wyskakujących z węzła tuż za nami, a na kanałach łączności międzyokrętowej nagle rozbrzmiał lakoniczny wojskowy żargon:

– Kontakt na względnej czterdzieści pięć na trzydzieści!

– Wejść za „Regulusa”. Obierz nowy kurs trzysta czterdzieści jeden na minus trzydzieści. Z życiem, do cholery!

– Dajcie mi namiar na tego wielkiego skurwysyna.

– Wstrzymać wszelkie ataki raketowe. Powtarzam: wstrzymać wszelkie ataki raketowe. Odsłonić baterie dział elektromagnetycznych i ustawić się do salwy.

Próbowałem otworzyć na wyświetlaczu możliwie wiele okien z obrazem z kamer, aby widzieć jak najwięcej z rozgrywających się wydarzeń. „Regulus” prowadził przełamanie przez węzeł, a pozostałe okręty szły za nami w rozproszonym szyku bojowym. Tworzyliśmy literę V z punktem Alcubierre’a jako wierzchołkiem i powoli rozchodzącymi się ramionami, gdy składające się na nie jednostki starały się jak najsprawniej oddalić od okrętu obcych.

– Do wszystkich: otworzyć ogień. Strzelać bez rozkazu, strzelać bez rozkazu.

Szczęki opadły nam z zachwytu, gdy na ekranie zaczęliśmy oglądać fajerwerki. Dziewięć potężnych okrętów bojowych jednocześnie otworzyło ogień z baterii dział elektromagnetycznych. Setki ton głowic kinetycznych mknęły kolejnymi

salwami ku Dryblasowi. Dystans pięćdziesięciu kilometrów pokonywały w zaledwie kilka sekund i roztrzaskiwały się na kadłubie nieprzyjaciela spektakularnymi termicznymi rozbłyskami. Tak skoncentrowana kanonada wystarczyłaby do unicestwienia każdej jednostki kiedykolwiek wypuszczonej w przestrzeń przez nas lub ZCR, ale okręt nasienny reagował na nasze ciosy jak zwierzę opędzające się od rozżłoszczonych os.

– Nieprzyjaciel zawraca! Zmiana kierunku na względny czterdzieści pięć.

Dryblas wydawał się na tyle rozgniewany salwami, by przerwać pościg za jednostką, która odciągnęła go od punktu przejścia. Możliwe też, że kontrolująca go istota postanowiła ruszyć za liczniejszymi celami, które właśnie wyskoczyły z nicości za jego rufą. Dysponowaliśmy jednak lekką przewagą prędkości, na dodatek nasza grupa przyspieszała w stopniu, na jaki tylko pozwalały możliwości poszczególnych jednostek. Nie wiedziałem, jakie kosmiczne fatum umieściło nas na kursie kolizyjnym z tym gatunkiem, ale przynajmniej obcych wciąż ograniczały prawa fizyki, nawet jeśli mieli okręty wytrzymujące trafienia megadżulami energii kinetycznej.

Jednostki zespołu zadaniowego wystrzeliły kolejną salwę. Światła na pokładzie lotniczym przygasły na chwilę, gdy moc wytwarzana przez reaktory fuzyjne została niemal całkowicie pochłonięta przez system napędowy działający w trybie awaryjnym oraz baterię elektromagnetyczną strzelającą z każdej wyrzutni. Metr za metrem zwiększaliśmy dystans i pchani czystym uporem oraz desperacją próbowaliśmy spowolnić okręt nasienny, kierując w jego stronę artyleryjskie odpowiedniki splunień.

Nasza formacja rozchodziła się szybko. Każda jednostka sunęła z własnym maksymalnym przyspieszeniem i niektóre starsze okręty pozostawały nieco w tyle. „Regulus” szedł na czele, gdy wypadaliśmy z węzła Alcubierre’a, ale choć dysponowaliśmy przewagą dziesięciu sekund, fregata „Trypolis” wysforowywała się przed nas. Ciężki krążownik „Mściciel”, mający za zadanie osłaniać „Regulusa”, zapewne z łatwością zdołałby nas wyprzedzić, ale trzymał się tuż za naszą rufą od strony sterburty, zawzięcie chroniąc swego podopiecznego.

– Rakieta, rakieta! Dryblas wystrzelił salwę.

– Do wszystkich, przygotować się na trafienie – nad nami z radiowężła dobiegł stanowczy głos dowódcy „Regulusa”.

Tym razem udało mi się dostrzec pociski obcych. Jedna z kamer była skierowana pod idealnym kątem i na tle wybuchów naszych głowic kinetycznych zauważyłem w oddali podłużne kształty, w mgnieniu oka pokonujące odległość między nami.

To już, pomyślałem. Trafienie w napęd lub reaktor, zwalniamy, a później Dryblas podchodzi, by zadać zabójczy cios.

„Regulus” musiał się jednak znaleźć tuż poza zasięgiem skutecznego rażenia, ponieważ nic nie ugodziło w nasz kadłub, pokład lotniczy nie został przez nic przeszyty, nie rozległy się wrzaski paniki i bólu. Wciąż przyspieszaliśmy, oddalając się od okrętu nasiennego kontynuującego szeroki i niezgrabny skręt na bakburcie.

Idące za nami jednostki nie miały tyle szczęścia. Bezgłówna eksplozja przysłoniła jedną z kamer i na chwilę ją oślepiła. Gdy wrócił obraz, ujrzeliśmy raptownie rozszerzającą się chmurę płomieni i szczątków. Kadłub któregoś okrętu stracił spójność przy pełnym przyspieszeniu i rozrywały go te same siły, które jeszcze przed chwilą utrzymywały w całości.

– Dobry Boże – powiedział podpułkownik Kemp z poszarzałą twarzą widoczną pod uchylonym wizjerem hełmu.

– Właśnie straciliśmy „Long Beach” – odezwał się ktoś na kanale międzyokrętowym.

Krażownik eskortujący „Midway” musiał otrzymać bezpośrednie trafienie w reaktor fuzyjny lub w gotową do wystrzelenia głowicę jądrową. Dziesięć tysięcy ton stali i aluminium oraz pięciuset mężczyzn i kobiet w mgnieniu oka przestało istnieć jako zwarta całość. Nigdy nie widziałem tak gwałtownej katastrofy. Nikt na pokładzie nie miał czasu, by wsiąść do kapsuły ratunkowej. Nikt zapewne nie wiedział, co ich zniszczyło. Krażownik CG-97 „Long Beach” i jego załoga ot tak, zniknęli.

– „Shen Yang” wypada z szyku – nadał ktoś inny.

Obraz z kamery rufowej pokazywał chiński niszczyciel. Wciąż leciał, ale coś było z nim wyraźnie nie tak, ponieważ zwalniał i skręcał na sterburtę. Gdy coraz bardziej odsuwał się od reszty jednostek, dostrzegłem, że ciągnął za sobą szczątki i zamrożone powietrze.

– O nie. – Przyłapałem się na mówieniu na głos. – Nie, nie, nie, nie!

„Shen Yang” zbaczał w stronę trajektorii okrętu nasiennego, który wyglądał potężnie nawet z tej odległości. Jego opływowy, a jednak dziwnie asymetryczny matowoczarny kształt już wiele lat temu zaczął nawiedzać mnie w koszmarach. Od Dryblasza dzieliło nas jedynie sześćdziesiąt lub siedemdziesiąt kilometrów. Wiedziałem, co zamierzał zrobić chiński szyper, ale nie potrafiłem odwrócić wzroku. Po oddechach gwałtownie wciąganych przez obecnych w ładowni żołnierzy z 330. sbp zgadywałem, że oni również byli świadomi, co się wydarzy.

Gdy okręt nasienny pomknął niszczycielowi na spotkanie, „Shen Yang” zaatakował. Pokrywy wyrzutni dziobowych otworzyły się i wyskoczyły z nich rakiety przeciwokrętowe, najpierw pojedynczo, później parami. Grzbietowe działo elektromagnetyczne nawet na chwilę nie przestawało strzelać. Pociski pędziły ku Dryblasowi i eksplodowały na jego kadłubie wielkimi kulami białego ognia, na chwilę oślepiającymi obiektywy kamer. Wciąż wyskakiwały z wyrzutni, gdy chińska jednostka uderzyła w okręt nasienny i natychmiast zniknęła w powiększającej się szybko chmurze pyłu.

Tak blisko, pomyślałem. Byli tak blisko. Coraz bardziej zwiększaliśmy dystans i widać było wyraźnie, że ważący miliony ton okręt obcych nie jest w stanie równać się z nami przyspieszeniem. Jeszcze dwadzieścia sekund i „Shen Yang” wyrwałby się z jego zasięgu.

Wszelkie protokoły utrzymania pozycji w szyku zostały zawieszono. Każda ocalała jednostka zespołu zadaniowego mknęła z pełnym przyspieszeniem w tym samym kierunku, czyli jak najdalej od nieprzyjaciela. Uciekaliśmy jak najszybciej

i powoli zyskiwaliśmy kolejne kilometry różnicy, zapłaciliśmy jednak za to ogromną cenę. Na dwóch okrętach, które straciliśmy w ciągu trzech minut, zginęło tysiąc osób: marynarzy, marines i żołnierzy Piechoty Kosmicznej, którzy wcześniej przeżyli bitwę o Marsa oraz szturm na Fomalhaut b.

Trzydzieści minut później wciąż żyliśmy i wciąż uciekaliśmy. Okręt nasienny został dziesięć tysięcy kilometrów za zespołem zadaniowym i dalej nas gonił, ale z każdą chwilą coraz bardziej odstawał. Na obrazie z kamer dostrzegłem tylko siedem innych jednostek z naszej grupy, pędzących pełnym ciągiem w peletonie rozciągającym się na sto kilometrów.

Piechociarze w ładowni desantowca nadal wyglądali na mocno zszokowanych tym, co niedawno obejrżeli na zaimprovizowanym wyświetlaczu sytuacyjnym. Na zewnątrz, za otwartą rampą, wśród żołnierzy z pokładu lotniczego panował swoisty spięty spokój typowy dla ludzi, którzy wiedzieli, że znajdowaliśmy się w sytuacji bojowej, ale zachowywali błogą nieświadomość faktu, jak blisko otarliśmy się o śmierć i ile osób zginęło.

– Do wszystkich jednostek, przejść jak najszybciej do punktu zbiórki Alfa – nadał „Regulus” na kanale taktycznym zespołu zadaniowego. Jeden po drugim okręty potwierdzały odbiór rozkazu: „Midway”, „Mściciel”, „Nieustraszymy”, „Mińsk”, „Gomati”, „Trypolis”, „Portsmouth” i dwa zaopatrzeniowce ZCR.

Po długiej przerwie, liczącej może z dziesięć sekund, podczas której wstrzymywałem powietrze, na kanale odezwał się wreszcie głos major Renner:

– „Regulus”, tu „Indy”. Przechodzimy do punktu zbiórki Alfa.

Z drżeniem wypuściłem oddech.

Odczuwana przeze mnie ulga nie trwała zbyt długo. Chwilę później usłyszeliśmy kolejny głos, tym razem z silnym rosyjskim akcentem.

– Statek zaopatrzeniowy „Iwan Donskoj” również został zniszczony. Nikt nie przeżył.

Straciliśmy dwa okręty bojowe i zaopatrzeniowiec.

Cholernie wysoka opłata za możliwość powrotu do Układu Słonecznego. Na szczęście „Mińskowi” się udało, co znaczyło, że Dmitrij wciąż żył.

Plan Romeo pod względem taktycznym okazał się sukcesem. Obcych pilnujących węzła Alcubierre’a ominęła większość zespołu zadaniowego, w tym trzy cenne lotniskowce z pokładami lotniczymi wypełnionymi ludźmi. Ich świta zebrała jednak poważne cięgi podczas wykonywania zadań, do których została przeznaczona, czyli ochraniać wielkich jednostek. Z trzech krążowników eskortujących dwa zostały zniszczone. Pozostał z nami jedynie „Mściciel”, czyli asysta „Regulusa”. W kategoriach tonażu straciliśmy mniej niż dziesięć procent całej wyporności, ale na pewno nie mieliśmy wrażenia, jakbyśmy wykpiłi się niewielkim kosztem. „Long Beach” był starszą jednostką, nie tak

zautomatyzowaną jak nowsze typy krążowników, i wraz z nim przestało istnieć pięćset osób. Od dziesięcioleci wymienialiśmy ciosy z ZCR, ale w porównaniu z dzisiejszymi stratami liczba wcześniejszych poległych wydawała się niewielka: tu pluton piechoty, tam fregata. W starciach z Dryblasami traciliśmy ludzi w znacznie większym zakresie i podczas znacznie krótszych starć.

– Jesteśmy już bezpieczni? – spytał podpułkownik Kemp.

– Na razie – odparłem. – Nie jest w stanie dotrzymać nam kroku, ponieważ mamy odrobinę większe przyspieszenie. Jeśli na Czerwonej Drodze Jeden nie czai się gdzieś inny okręt nasienny, powinniśmy bez przeszkód dotrzeć do domu.

– Ale nie będziemy po drodze zatrzymywać się, by powąchać kwiatki – wtrąciła Fallon.

– Nie będziemy. Dobrym pomysłem było dotankować wszystkich przed przejściem. Nie mamy czasu, by zwalniać na uzupełnienie paliwa, chyba że chcemy, by nas dogonili. Sami widzieliście, jakie mamy szanse przeciwko nim.

Briana zdjęła hełm i postawiła go u swych stóp na podłodze desantowca. Czoło lśniło jej od potu.

– Kiedyś wydawało mi się, że to my, piechota, mamy najniebezpieczniejszą robotę w całej armii – powiedziała. – Po dzisiejszym muszę stwierdzić: cieszę się, że działam na poziomie gruntu.

Rozdział 23

To może być ten dzień

Gdy natknęliśmy się na pierwsze okręty strzegące planety, przez wysokoogniskowe obiektywy „Regulusa” widziałem już Ziemię. Znajdowaliśmy się niecały milion kilometrów od orbity Luny, kiedy omiółł nas radar i została sprawdzona nasza sygnatura IFF.

– Do zbliżających się jednostek, tu kapitan Vigdis Magnusdottir z ISW „Óðinn”. Proszę o identyfikację, inaczej zaczniemy do was strzelać.

– ISW? – spytała Fallon.

– Islandzka Straż Wybrzeża – podsunąłem.

– Islandzka? Nie wiedziałam, że mają w ogóle flotę kosmiczną.

– Tak naprawdę mają dwa czy trzy patrolowce orbitalne. Nie weszłyby w Alcubierre’a.

– I ona grozi nam tą swoją małą łódeczką? – rzuciła Briana z krzywym uśmiechem. – Podoba mi się jej heroizm.

– Oj, Islandczycy to twardzi wojownicy – odparłem. – Wikingowie do szpiku kości. Nie wątpię, że jeśli nie odpowiemy, zaczną strzelać.

Na szczęście dowódca naszego zespołu zadaniowego wolał nie ryzykować niepotrzebnie.

– „Óðinn”, tu OWPA „Regulus”, okręt flagowy Zespołu Zadaniowego Fomalhaut. Wracamy na Ziemię w sześć jednostek Wspólnoty. Mamy ze sobą również pięć okrętów ZCR. Bardzo dobrze was widzieć.

– To was bardzo dobrze widzieć, „Regulus” – nadała kapitan Magnusdottir. – Tak się składa, że nasz perymetr jest dość rzadko obsadzony.



Słowa kapitan „Óðinna” na temat sytuacji obronnej wokół Ziemi okazały się niedopowiedzeniem. Minęliśmy siły perimetru składające się z jej jednostki i korwety „Barroso” z Unii Ameryki Południowej. Obie razem liczyły może dwa tysiące ton wyporności, czyli mniej niż połowę tego, co najstarsza i najmniejsza fregata z naszego zgrupowania. Gdy Zespół Zadaniowy Fomalhaut kilka godzin później wleciał w przestrzeń między Luną a Ziemią, nie natknęliśmy się na wiele więcej. Dostrzegłem jeszcze mniej okrętów niż przed miesiącem, gdy zatrzymaliśmy się na krótko na Niepodległości. Niemal wszystkie jednostki wojskowe patrolujące perymetr obronny Ziemi pochodziły z mniejszych państw i koalicji: Unii Ameryki Południowej, Unii Europejskiej, Wspólnoty Afrykańskiej. Jedyne garstka należała do flot WPA lub ZCR i żadna z nich nie była większa niż korweta lub fregata.

Przejąłem kontrolę nad jedną z zewnętrznych matryc kamer i gdy tylko dysponowałem niezakłóconą linią wzroku, skierowałem ją w stronę stacji Niepodległość. Przy odgałęzieniach dokujących nie stacjonowała żadna jednostka, ani wojskowa, ani cywilna. Część, z której wyrwał się „Indy” i która otrzymała bezpośrednie trafienia rakieta „Murphy’ego”, pozostawała na wpół zasłonięta przez korpus stacji, ale widziałem powyginane i poszarpane płyty poszycia, otoczone długimi smugami spalenizny.

– Coś jest nie tak z łącznością – oznajmiłem, nie kierując tej uwagi do nikogo konkretnego.

– W jakim sensie, sierżancie? – spytał podpułkownik Kemp.

– Czy może się pan łączyć swoim OTI, sir?

Dowódca 330. sbp przez chwilę wyglądał na zaskoczonego, jakby miał problemy z przypomnieniem sobie, o co mi chodziło. Następnie wyciągnął OTI z kieszeni na nogawicy pancerza i włączył.

– Jest połączenie. – Kciukiem pancernej rękawicy stuknął ekran. – Ale nie dostaję żadnych aktualizacji. Nawet czas się nie zsynchronizował.

Fallon wyjęła własne urządzenie i uruchomiła.

– U mnie tak samo – poinformowała.

– Miałem ten sam problem, gdy przylecieliśmy tu miesiąc temu – rzekłem. – Jest sieć, ale jakby zupełnie przeciążona. Poza tym słyszę mnóstwo transmisji z dziesiątek różnych źródeł, ale nic z głównego przekaźnika komunikacyjnego. Tego nad Luną. – Wskazałem w kierunku przekaźnika, z tej odległości niewidocznego przez kamery. – On i drugi nad Marsem transmitowały każdy skrawek komunikacji i danych w pasie wewnętrznym Układu Słonecznego. Wiemy, że Dryblasy rozwalili ten z Marsa. Jeśli tutejszy również nie działa, jest problem z łącznością stąd do Tytana.

– Dowództwo SOZ proszone do sali odpraw. Dowództwo proszone do sali odpraw – z radiowęzła na zewnątrz dobiegł komunikat.

– Chyba zaraz dowiemy się, co się dzieje – oznajmiła Fallon, podnosząc się. – To miło, że pilnują, abyśmy nie wypadli z obiegu.

– Mogę też pójść? – spytałem. – Wiem, że nie wchodzę w skład dowództwa, ale...

– Proszę z nami, sierżancie – powiedział Kemp. – Choć w taki sposób możemy się odwdziżyć za to, że zapewnił nam tu pan oczy i uszy.

Wyłączyłem wyświetlacz i wstałem z krzesła. Dziesiątki żołnierzy na pokładzie lotniczym spoglądały z zainteresowaniem, gdy starsi stopniem członkowie batalionu z tupotem schodzili po rampie i rozpoczynali długi marsz w kierunku wjazdu wyjściowego w przedniej grodzi.

– Panuje po prostu gigantyczny burdel – oznajmił pułkownik Aguilar. Jego hiszpański akcent nadawał lekką wibrację głosom „r”. – Nikt, powtarzam: nikt, nie dowodzi. Kontaktowałem się już z centrum kontroli Węzłowej, dowództwem floty w Norfolk oraz orbitalnym centrum operacyjnym i wszyscy dają mi odmienne instrukcje.

Sala odpraw okazała się mniej przestronna, niż spodziewałem się po takim okręcie jak „Regulus”, ale i tak wystarczyła z nawiązką dla czterech podoficerów oraz dwóch oficerów składających się na dowództwo, wraz, jeśli liczyć mnie, z pasażerami na gapę. Pułkownikowi Aguilarowi towarzyszyła jego pierwsza oficer, oschle wyglądająca major nazwiskiem Archer.

– Prawdę mówiąc, mam ochotę wszystkich zignorować – ciągnął pułkownik. – „Midway” zaczął lądować swoje desantowce, ale nie mamy dokąd skierować żołnierzy. Nie da się rzucić ich wszystkich na Węzłową i na powierzchnię... Zresztą spójrzcie.

Gestem dał znak major Archer, która pilotem włączyła holoeokran na grodzi. Rozciągnął się przed nami panoramiczny obraz półkuli północnej. Większą jej część zasnuwały chmury, ale dostrzegałem wystarczająco wiele czystych obszarów nad Zatoką Meksykańską i Wschodnim Wybrzeżem, by wiedzieć, że spoglądamy na Amerykę Północną.

– Cholera – powiedziała Fallon. – Ciepło tam.

Nawet przez pokrywę chmur w kilku miejscach kontynentu dało się zauważyć wielkie pożary, z tej odległości wyglądające jak rozżarzone węgielki. Metropleksy WPA w końcu wybuchły na wielką skalę.

– Połowa DZK płonie. Zamieszki ciągną się od Kalifornii do Florydy oraz do połowy Wschodniego Wybrzeża. Zdaje się, że Nowy Jork-Boston i północne miasta są w miarę spokojne, ale południe i zachód wyglądają, jakby trwała tam właśnie czwarta wojna światowa.

– Mogę się założyć, że trochę żałowali wysłania na zadupie Galaktyki dwóch pełnych batalionów żołnierzy wyszkolonych do tłumienia rozruchów – stwierdziła cierpko Briana. – Chyba to, co zostało, nie wystarczyło do opanowania sytuacji.

– Tego nie wiem – odezwał się podpułkownik Kemp. – Widzimy apokalipsę. Nie sądzę, żeby udało nam się opanować taką sytuację.

– A co z zespołem zadaniowym, który widzieliśmy przy tamtym kotwicowisku? – spytał Aguilara. – I statkami transportowymi?

– Myślę, że pułkownik Campbell miał rację – odparł dowódca „Regulusa”, wzruszając z rezygnacją ramionami. – Moim zdaniem ci, którzy zebrali tę flotę, są już daleko, i nie muszą sobie tym zaprzętać głowy. – Wskazał holoeokran. – Wysłałem „Indianapolis” przodem, aby zerknął, co z kotwicowiskiem. Pułkownik Campbell mówił, że coś tam zostawił i chce to zabrać.

– Drony zwiadowcze – rzekłem.

Fallon spojrzała na mnie pytająco.

– Zostawiliśmy na tym kotwicowisku sporo niewidzialnych dronów – wytłumaczyłem. – Skierowane na stację i z wyłączonymi napędami.

– Co mamy teraz zrobić? – zapytał podpułkownik Decker. – Żołnierze moi i pułkownika Kempa to w sumie trzy tysiące ludzi siedzących na tyłkach na pokładzie lotniczym, gdy na dole dzieje się to wszystko. – Wskazał podbródkiem wyświetlacz, na którym spleciony z chmur i ognia gobelin naszego kontynentu obracał się powoli w przestrzeni w odległości stu tysięcy kilometrów.

– Chce pan, by wskoczyli w środek tego zamętu? – chciała wiedzieć Fallon. – To jak próbować sikaniem ugasić pożar lasu.

– Możemy wylądować w... – zaczął Decker, lecz nagle oświetlenie w pomieszczeniu zmieniło się z białego na czerwone i rozbrzmiał alarm.

– Stanowiska bojowe, stanowiska bojowe. To nie są ćwiczenia. Powtarzam: stanowiska bojowe, stanowiska bojowe. Dowódca wzywany natychmiast do BCI.

Z szybkością niepasującą do jego krępej sylwetki pułkownik Aguilar rzucił się do wjazdu. Niemal poprzewracaliśmy się na siebie, kiedy zerwaliśmy się z krzeseł i pobiegliśmy za nim.

– Raport sytuacyjny – warknął Aguilar, gdy dotarliśmy do BCI. – Co się dzieje, do cholery?

Oficer taktyczny „Regulusa” był blady jak śmierć.

– Sir, otrzymaliśmy sygnał alarmowy od perymetru, który niedawno mijaliśmy.

Wiedziałem, co zamierzał powiedzieć taktyczny. Ciche jęknięcie pułkownika świadczyło, że on również.

– „Barroso” został zniszczony. „Óðinn” jest uszkodzony i wraca na Ziemię. Sir, Dryblasy siedzą im na ogonie. Musieli lecieć za nami z punktu Alcubierre’a.

– Ile mamy czasu, zanim dotrze tu okręt nasienny? – spytał Aguilar.

– Cztery godziny, trzydzieści pięć minut.

– Jak to możliwe, że nie widzieliśmy ich za sobą? – dopytywał się podpułkownik Decker. Wyglądał, jakby chciał komuś przyłożyć albo zwymiotować, a może jedno i drugie jednocześnie. W BCI „Regulusa” gwar rozmów osiągnął poziom, który w normalnych okolicznościach świadczyłby, że w ośrodku kierowania lotniskowcem brakuje dyscypliny, ale zważywszy sytuację, byłem zaskoczony, że nie zapanował zupełny chaos.

– Ponieważ są skrytymi skurwysynami, których nie widać na radarach. Ponieważ da się ich dostrzec przez optykę tylko na krótkim dystansie i tylko wtedy, gdy wiadomo, gdzie szukać. Ponieważ napierdalaliśmy pełnym ciągiem i sami oślepialiśmy swoje tylne kamery – odpowiedziała major Archer. – Teraz i tak to nie ma znaczenia, racja? Są tutaj.

– A przynajmniej będą – rzekł pułkownik Aguilar, spoglądając na zegarek. – Za cztery i pół godziny.

– Musimy przetransportować wszystkich żołnierzy i cywilów na Ziemię – oznajmił Decker.

– Na powierzchni będą mieć nikłe szanse przeciwko tym istotom – odparłem.

– Sierżancie, będą mieć zerowe szanse, jeśli zostaną na okręcie, gdy te istoty rozwalą nas na strzępy – odpowiedział ostro.

– Mamy cztery desantowce – wtrąciła się Fallon. – Mam kazać je rozgrzać i zacząć przewozić ludzi na Ziemię?

– Podróż tam i z powrotem w idealnych warunkach zajmuje Osie siedemdziesiąt minut – skomentował pułkownik Aguilar. – Trzydzieści osób naraz. Może czterdzieści czy pięćdziesiąt, jeśli zignorujemy zasady bezpieczeństwa i zaryzykujemy parę złamanych kości. Przy jedynie czterech desantowcach...

– Wywieziemy stąd niecałą jedną trzecią – dokończyła major Archer.

Żarówka, która nagle zapłonęła mi w mózgu, miała rozmiar i jasność taktycznej eksplozji nuklearnej. Musiałem powstrzymać się, by nagle nie zacząć podskakiwać w sposób zupełnie niegodny żołnierza, bo pomysł, który przyszedł mi do głowy, dał mi znacznie większy odlot niż cała fiolka połkniętych na raz magicznych środków przeciwbólowych sanitariuszki Randall.

– Ile desantowców może jednocześnie przyjąć i wypuścić „Regulus”? – spytałem.

– Został skonstruowany do przeprowadzania szturmów planetarnych na wielką skalę, synu – odparł pułkownik Aguilar. – Możemy jednocześnie wypuścić trzydzieści dwa okręty desantowe. Nie mamy jednak tylu. „Midway” wykorzystuje już swoje do ewakuacji własnego pułku. Nie ma szans, by zdążyli na czas.

– Wiem, skąd wziąć całkiem sporo okrętów desantowych – poinformowałem.



– Przyznaj się – powiedziała cicho Briana, gdy odeszliśmy na bok BCI, by zapewnić dowództwu miejsce przy konsolach łącznościowych. – Wymyśliłeś to tylko po to, by ostatni raz bzyknąć swoją słodziutką narzeczoną, zanim skończy się świat.

– Odpierdol się – odparłem. – Bez urazy, pani chorąży.

– Brak odpowiedzi z Centrum Kontroli Luny, sir – oznajmił oficer łącznościowy.

– Zupełnie jakby nikt nie odbierał. Co się tam dzieje, do diabła? Nic nie idzie też z przekaźnika. Ktoś wie, do jakiej sieci są wpięte desantowce ze Szkoły Lotnictwa Bojowego?

Aguilar zaklął cicho.

– Ucieka nam czas – rzekła major Renner.

– Pierwsza, proszę wywołać centrum operacji lotniczych – polecił pułkownik. – Niech przygotują jedną Osę. I proszę im powiedzieć, że jeśli chcą ujrzeć jeszcze jeden wschód słońca nad Ziemią, niech przeprowadzą najszybszą procedurę przedstartową w życiu.

Obrócił się do nas.

– Pani chorąży – odezwał się do Fallon – *héroe de guerra*^[4]. Proszę zabrać tego tu sierżanta sztabowego oraz pluton dobrych żołnierzy. Popędzicie na Lunę i zarekwirujecie wszystkie desantowce ze Szkoły Lotnictwa Bojowego, powołując się na mnie jako dowódcę tego, co zostało z floty. Jeśli ktokolwiek spróbuje was powstrzymać, zastrzelcie go. Dwukrotnie.

– Tak jest, sir. – Briana wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

Zanim dobiegłem z Fallon na pokład lotniczy, ekipy techniczne wyciągnęły już pustą Osę z miejsca postojowego i przeholowały do stanowiska tankowania. Dwa tysiące par oczu skierowały się na nas, gdy przechodziliśmy przez włącz wejściowy. Starsi i wolniejsi oficerowie pozostali trochę z tyłu.

– Sierżancie Benoit! – zawołała Fallon i jeden z podoficerów stojących koło tylnej rampy Osy wykorzystywanej przez nas jako punkt dowodzenia stanął na baczność.

– Tak jest!

– Przygotować migiem pierwszy pluton Alfę w pełnym rynsztunku bojowym. Dwie minuty! – wrzasnęła.

– Tak jest! – odkrzyknął. Za jego plecami w zaimprovizowanej części noclegowej żołnierze z pierwszego plutonu kompanii Alfa zerwali się już do działania, bez potrzeby przekazywania im rozkazu.

Z kolei za nami ekipy techniczne tankowały Osę tak szybko, jak tylko pozwalał mechanizm pompy. Na krótką chwilę wróciłem myślami do innego pospiesznego tankowania, pięć lat temu na pokładzie skazanego na zagładę „Wersalu”, podziurawionego przez penetratory Dryblasów i spadającego w atmosferę kolonialnej planety Willoughby. Halley wykonywała wówczas kolejne etapy procedury przedstartowej z ponurą koncentracją i skutecznością.

Żołnierze przygotowali się w półtorej minuty. Ustawili się przed Fallon w hełmach na głowach, zapiętych pancerzach i z karabinami przerzuconymi przez piersi.

– Nieźle, jak na kapryśną bandę pieprzonych leni – powiedziała. – A teraz na pokład. Musimy ukraść parę desantowców!

Pilot nie tracił czasu i maksymalnie otworzył przepustnicę, gdy tylko wyszliśmy z klamry dokującej. Skręcił na bakburtę, zanim jeszcze opuściliśmy pole sztucznej grawitacji „Regulusa”, a żołnierze w ładowni pohukiwali i pokrzykiwali, jakbyśmy byli w drodze na jakieś wielkie wydarzenie sportowe.

Na zewnątrz, w przestrzeni między Luną a Ziemią, nasz zespół zadaniowy zaczął się rozdzielać. Okręty ZCR ustawiły się w szyku wokół „Mińska”, a jednostki WPA zajęły pozycje przy „Regulusie” i „Midway”. Osa znów skręciła, tym razem na sterburtę, aby nie wpaść na fregatę „Trypolis”, która pojawiła się w cieniu kadłuba „Regulusa”.

– Przewidywany czas przybycia: jedenaście minut – poinformował pilot na kanale wewnętrznym. – Wciąż żadnej odpowiedzi z Centrum Kontroli Lotów Luny.

Siedząca obok mnie Fallon podniosła nadgarstek i pokazała mi zegarek, który przypięła sobie na pancerzu. Mały ekran pokazywał „04.21.33”.

– Cztery godziny i dwadzieścia jeden minut do końca świata, Andrew – oznajmiła. – To może być ten dzień, kiedy oboje wyciągniemy kopyta.

- Wierzysz w życie pozagrobowe? – spytałem, a ona się roześmiała.
- To miła perspektywa, ale nie. Choć parę pomysłów mi się podoba. To, co mieli Wikingowie. Valhalla?
- Tam, dokąd po śmierci idą odważni – rzekłem. – Walczą cały dzień, imprezują całą noc.
- Nie brzmi źle. Mam nadzieję, że wyślą mnie właśnie tam, a nie do jakiegoś głównianego płonącego czyścica.
- Myślę, że spełniasz warunki wejścia do Valhali – rzekłem, gestem rysując na szyi wstążkę od medalu.
- Nie dostałam tego cholerstwa za to, że tamtego dnia okazałam się odważniejsza od innych, tylko za to, że nie zginęłam jak inni.

Przelatywaliśmy nad wielkim kompleksem floty na powierzchni Luny z prędkością zdecydowanie wykraczającą poza regulaminową. Szkoła Lotnictwa Bojowego dysponowała własnym małym kosmodromem z hangarami dla jednostek szkoleniowych. Małym, czyli dorównującym wielkością głównemu lądowisku na Nowym Svalbardzie. Nasz pilot ostro zszedł prosto nad stanowiska pionowego startu, usiadł płozami i rozpoczął zautomatyzowaną sekwencję dokowania, nie zwracając sobie głowy pytaniem wieży kontrolnej o pozwolenie. Wtoczyliśmy się przez służę do ogromnego hangaru uczelni, w której pierwsze kroki stawiał każdy kandydat na pilota dowolnej latającej w kosmosie jednostki. We wnętrzu stały liczne rzędy okrętów: Osy, Dzierzby, kilka Ważek i dwa lub trzy typy albo zbyt stare, albo zbyt nowe, bym je rozpoznał, ponieważ nigdy nie widziałem ich we flocie.

Po hangarze kręcili się technicy i niektórzy z nich zrobili zaniepokojone miny, gdy z ładowni naszego desantowca wypadło trzydziestu żołnierzy SOZ w pancerzach bojowych i z bronią przewieszoną przez pierś. Gdy ludzie pani chorąży Fallon zaczęli zajmować pozycje wokół naszej Osy, niektórzy z miejscowych pobiegli do najbliższych wyjść.

- No proszę, mamy z czego wybierać – oznajmiła Fallon.
- Wy! – wrzasnąłem do dwóch ludzi w kombinezonach mechaników, stojących w pobliżu i spoglądających niepewnie na nietypowy widok. – Przyprowadźcie kogoś, kto tu dowodzi. I pospieszcie się, do cholery!

Niedługo później przez jedno z wejść do hangaru wbiegła grupka oficerów w kombinezonach lotniczych z przypiętymi skrzydełkami lotników. Na przedzie znajdował się major wyglądający, jakby ostatnio spędzał znacznie więcej czasu za biurkiem niż w kokpicie.

- Ta placówka nie jest dostępna dla standardowych działań lotniczych – oznajmił, gdy do nas podeszli. – Co tu robicie w pełnym rynsztunku bojowym?
- Szykujemy się do walki, to chyba oczywiste – zripostowała Fallon. –

Potrzebujemy wszystkich okrętów desantowych znajdujących się w tym hangarze oraz wystarczającej liczby pilotów, by je poprowadzić.

– To jednostki szkoleniowe – odparł major. – Nie obejmuje ich standardowa rotacja floty. Nie mógłbym wam ich wydać, nawet gdybyście mieli odpowiednie upoważnienia.

– Szkolenie się zakończyło. Leci tutaj okręt nasienny Dryblasów. Dotrze za cztery godziny. Mamy lotniskowiec, z którego trzeba przewieźć trzy tysiące osób. Jeśli zamierza pan bawić się w protokolarne gierki, odstrzelę panu dupę i spytam o kolejnego oficera pod względem stopnia.

Major przeniósł wzrok z Fallon na mnie, jedyną osobę w naszej grupie w pancerzu floty, a nie Sił Obrony Ziemi.

– Czy to jakiś dowcip?

– Chciałbym, aby to był dowcip, panie majorze – odpowiedziałem. – Naprawdę chciałbym.

– Stanowicie teraz część tego, co zostało z sił obrony planety – zwróciła się Fallon do grupy pilotów. – Upoważnienia pochodzą od pułkownika Aguilara. To on dowodzi tym wielkim lotniskowcem dryfującym w przestrzeni w pobliżu Luny. Ilu pilotów może się zjawić w hangarze w ciągu piętnastu minut?

– Na służbie zostało dwunastu instruktorów – odezwał się jeden z oficerów stojących za majorem. Miał na kombinezonie trzy gwiazdki kapitana. – Będziemy mieć szczęście, jeśli uda się ich wszystkich teraz znaleźć. Jest dwudziesta pierwsza.

– Wezwijcie każdego, kto potrafi latać desantowcem – rzekła Fallon. – A co ze studentami?

– Nikt nie ma jeszcze uprawnień – odparł major. – Starsza grupa ma wylatane samodzielnie godziny, ale jeszcze nie ukończyli kursu. Został im miesiąc.

– Nie będą musieli wykonywać lotów bojowych – poinformowałem. – Weźcie wszystkich, którzy potrafią wyprowadzić Osę z klamry dokującej i polecieć nią na Ziemię. A reszta niech poszuka schronienia. To ważne, sir.

– Dobra Matko Boska – powiedział major drżącym głosem, po czym odwrócił się do kapitana. – Pełny alarm, wszyscy na pokład. Bierzymy też szkoleniowców od Dzierzb. I wszystkich techników, których uda się znaleźć. Niech studenci ze starszej grupy zgromadzą się w mesie. Wykonać.

Kapitan i dwóch pozostałych oficerów pobiegło, nawet nie salutując. Kilka uderzeń serca później w bazie rozległ się alarm.

– Sir – złapałem majora za rękaw kombinezonu, gdy się odwracał – muszę znaleźć jedną z pańskich szkoleniowców. Porucznik Halley.

Spojrzał na mnie zdezorientowany. Przez krótką chwilę byłem przekonany, iż powie mi, że Halley została przeniesiona do aktywnej służby, przebywa na urlopie na Ziemi lub też że nie ma pieprzonego pojęcia, o czym mówię. Wtedy jednak spojrzał na podoficera z siwymi włosami obciętymi na jeża i w kombinezonie lotniczym.

– Sierzancie, gdzie znajduje się porucznik Halley?

– Niemal na pewno zarezerwowała dla swojej grupy ostatnie okienko w sali

symulatorów – odparł podoficer. – To na poziomie minus trzy.

Minąłem ich i pobiegłem w stronę wyjścia, zanim jeszcze skończył zdanie.

Zajął mi chwilę, zanim znalazłem klatkę schodową prowadzącą na niższe poziomy. Pędziłem po cztery, pięć, sześć stopni naraz. Nie miałem pojęcia, gdzie znajdowała się sala symulatorów, biegnąc korytarzem, zaglądałem więc za każdy otwarty właz. Nad głową zaświergotał mi alarm, a światła zamigotały i zmieniły się z białych na pomarańczowe.

Jakieś dwadzieścia metrów przede mną po prawej stronie otworzyły się drzwi i ze środka zaczęli się wylewać ludzie w kombinezonach lotniczych. Biegli na mnie, lecz miałem na sobie pancerz, a przez pierś przewiesiłem broń ochrony osobistej, rozstąpili się zatem niczym woda przed dziobem statku. Dotarłem do pomieszczenia, które opuścili, i zajrzałem do wnętrza.

Sala symulatorów przynajmniej dwukrotnie przewyższała rozmiarami spore przecież BCI na „Regulusie”. Wzdłuż ścian ustawiono kokpity szkoleniowe, a na środku znajdowało się na podwyższeniu stanowisko instruktora z pulpitem kontrolnym. Przy ostatnim symulatorze w lewym rzędzie Halley pomagała studentowi wydostać się z treningowej sterówki, rozpiąć uprząż i pasy. Odwróciła się i zobaczyła mnie, wówczas jej twarz zaczęła okazywać po równo zirytowanie i niepokój. Zauważyłem, że oparła dłoń na ramieniu kursanta.

– Co się dzieje, do cholery? – zawołała, próbując przekrzyczeć hałas alarmu.

Uświadomiłem sobie, że mnie nie rozpoznała mimo uniesionego wizjera. Wdusiłem kłamry hełmu i ściągnąłem go z głowy.

– Jestem wcześniej! – odkrzyknąłem, czując się, jakbym miał zaraz eksplodować z ulgi i szczęścia. Byłem też niemało zadowolony z siebie i uważałem się za bohatera. – Mówiłem, że wrócę na czas.

Na mój widok Halley wypuściła wstrzymywane powietrze i widziałem, że w oczach wezbrały jej łzy. Szybkim krokiem pokonała dzielącą nas odległość.

I przywaliła mi w twarz. Solidnie.

Uderzenie tak mnie zaskoczyło, że nie przyszło mi nawet do głowy, by je zablokować. Dostałem pięścią w kość policzkową i przez chwilę widziałem gwiazdy.

– Ty dupku! – wrzasnęła.

Następnie złapała mnie za uprząż na pancerzu, przyciągnęła do siebie i pocałowała w usta, mocno i żarliwie.

– O co chodzi, do cholery? – wydusiłem, gdy się odsunęła.

– Myślałam, że nie żyjesz! – krzyknęła i znów zamierzyła się do ciosu. Tym razem uniosłem rękawicę, by się zasłonić, ale nie dokończyła uderzenia. Siedzący wciąż w symulatorze student spoglądał na nas w taki sposób, jakby z czół nagle wyrosły nam macki.

– Wysłałem ci list! – zaprotestowałem. – Miesiąc temu!

– Właśnie dlatego myślałam, że nie żyjesz. O co mi chodzi? W tym liście pożegnałeś się ze mną. Dlaczego, do jasnej kurwy, miałbyś to robić, gdybyś

zamierzał zjawić się tutaj żywy? Wiesz, że już cię oplakałam?

Uniosła obie pięści i trzymała je w górze, jakby nie mogła zdecydować, czy przywalić mi, uderzyć siebie czy w najbliższą gródź. Następnie załkała ze złością, znów złapała mnie za uprząż i pocałowała, jeszcze gwałtowniej niż wcześniej, soczyście, jakby chciała wyssać ze mnie życie.

Z tyłu sali kursant postanowił, że jednak spróbuje wydostać się do końca z kokpitu. Halley odwróciła się w jego stronę.

– Nie słyszysz tego hałasu, Stilson? To oznacza stanowiska bojowe. Spierdalaj stąd i leć na górę, jasne?

– Tak jest! – odparł kadet lotniczy Stilson. Wygrzebał się wreszcie i minął nas, biegnąc do drzwi.

– Musimy iść – powiedziałem. – Jest naprawdę źle. Dryblasy lecą na Ziemię.

– Dotarli za wami – odrzekła Halley.

Popędziliśmy do wyjścia. Policzek pulsował mi bólem, lecz nie czułem się równie szczęśliwy, odkąd przed czterema miesiącami opuszczałem Węzłową na tym głównianym „Midway”. I nieważne, że wokół nas rozpadał się świat.

– Mów w skrócie! – zawołała z tyłu Halley, gdy bieглиśmy korytarzem w stronę schodów.

– Do północy wszyscy zginiemy! – odkrzyknąłem.



Gdy wszedłem wraz z Halley do hangaru Szkoły Lotnictwa Bojowego, wrzała tam gorączkowa aktywność. Kilkanaście Os ustawiono już w stronę wrót, a kolejne wspólnie przeciągali na stanowiska na wpół ubrani technicy i piloci. Przy tylnej rampie desantowca z „Regulusa” Fallon mówiła coś do mikrofonu w hełmie i chodziła tam i z powrotem. Dostrzegła nas biegnących przez hangar i wtedy wywróciła oczyma oraz pokręciła lekko głową. Kilku instruktorów lotnictwa zauważyło Halley i skierowało się w naszą stronę.

– Kto jest? – spytała Halley jednego z pilotów, gdy zgromadzili się już wokół nas.

– Wszyscy poza Ricardellim, Carinim i Hornerem – odparł. – Major też zakłada kombinezon próżniowy.

– Boże, miej nas w swojej opiece – powiedziała moja narzeczona i kilku lotników zachichotało.

– Szykuje się też dwanaścioro ze starszej grupy. Nie bardzo podoba mi się pomysł posadzenia ich na fotelach dowódczych, ale mamy znacznie więcej pojazdów niż pilotów.

– Poradzają sobie – uznała Halley. – To jak rutynowy lot. No dobra, zatem robimy tak. – Wskazywała po kolei ustawione okręty. – Instruktorzy biorą cztery Ważki i połowę tych Os. Garner, dla ciebie Whisky Dziewięć. Trochę się telepie przy zimnym silniku, więc uważaj na prostopadłe dopalacze. Lepiej nie dawać go kadetowi. Pozostali kadeci wezmą Osy, począwszy od Whisky Trzyście. Szef niech siada w cokolwiek, co zostanie. Mamy dziś klęskę urodzaju.

– Proszę mi powiedzieć, że macie pilotów do każdego z tych okrętów. – Fallon

podbiegła z karabinem obijającym się o napierśnik.

– Możemy podnieść z ziemi dwadzieścia cztery. Mamy trzydzieści sześć Os, ale sześć jest uziemionych w celu naprawy, a dla reszty skończyli mi się już wykwalifikowani piloci.

– Myślałam, że to szkoła lotnicza – skwitowała Briana.

– Nie przydzielę do desantu bojowego kadetów z wylatanymi samodzielnie dziesięcioma godzinami – odparła Halley. – I sama nie chciałaby pani znaleźć się w ładowni Osy prowadzonej przez kogoś takiego, proszę mi wierzyć.

– Porucznik Halley, chorąży Fallon – wtrąciłem się. – Chorąży Fallon, oto moja narzeczona.

– Nie martw się, nie popsuję jej – odrzekła Briana. – Bardzo mi miło, pani porucznik. A teraz odpalmy te ptaszki. Za trzy godziny i pięćdziesiąt minut znajdziemy się w oku planetarnego cyklonu. Bardzo przepraszam.

Znów odeszła, słuchając komunikatu ze słuchawki, który przykuł jej uwagę. Halley spojrzała na mnie i uniosła brew.

– Moja dawna dowódczyni oddziału – wyjaśniłem. – Wojowniczy nastrój to u niej tryb domyślny.

Żołnierze SOZ zbierali się pod rampą desantowca z „Regulusa”, by wsiąść na pokład. Spojrzałem w ich stronę, lecz Halley dostrzegła to i pokręciła głową.

– Szanowny pan leci ze mną. Jeśli myślisz, że znowu uda ci się wymknąć, to grubo się mylisz. Popilnuj drzwi, a ja przebiorę się w kombinezon próżniowy. – Wskazała Ważkę, którą technicy przeciągali właśnie na pozycję.

– Tak jest, pani porucznik – odparłem. – Nadciąga apokalipsa, a ty przejmujesz się przyzwoitością? Przebierz się po prostu w hangarze.

– Nie obchodzi mnie, czy nadciąga apokalipsa. Nie zamierzam świecić tyłkiem przed swoimi kursantami, nawet jeśli za trzy godziny ma się skończyć świat.

4 Héroe de guerra (hiszp.) – bohater wojenny.

Rozdział 24

Bitwa o Ziemię

Dopiero drugi raz w swojej wojskowej karierze siedziałem w fotelu drugiego pilota okrętu desantowego z Halley za sterami. Nikt inny nie upominał się o miejsce w kokpicie, a ładownia była pusta. Mieliśmy siedemdziesięcotonowy pojazd wyłącznie dla siebie.

– Pamiętasz „Wersal”? – spytałem. – Byłaś wtedy dopiero po szkole.

– A ty byłeś początkującym sieciowcem – odrzekła. – Jasne, że pamiętam „Wersal”. Stare dobre czasy.

Szliśmy w szyku za Osą z „Regulusa”, za nami leciały dwadzieścia trzy kolejne okręty desantowe, wszystkie wyłącznie z pilotem na pokładzie. W oddali przed nami migotały światła pozycyjne Zespołu Zadaniowego Fomalhaut. Na sterburcie widzieliśmy Ziemię niemal zupełnie zasłoniętą chmurami.

Na dole jest tak wielu ludzi i nikt z nich nie wie, co nadciąga, pomyślałem. Gdy przed miesiącem wysyłałem za pośrednictwem sierżanta Williamsona listy do mamy i Halley, napisałem mamie, żeby uciekała z DZK i w jakiś sposób wyrwała się poza miasto, ale podejrzewałem, że nie trzeba jej było do tego zachęcać.

– Żałujesz czegokolwiek? – zapytała Halley. – Teraz, gdy zbliżamy się do końca? Wyrzucasz sobie, że coś zrobiłeś nie tak?

Przez dłuższą chwilę zastanawiałem się nad odpowiedzią, spoglądając na planetę i widoczne za nią gwiazdy.

– Nie – odrzekłem wreszcie. – Opuściłem Ziemię. Zobaczyłem, co jest w przestrzeni. Byłem z tobą. Owszem, żałuję, że nie spędziliśmy ze sobą więcej czasu, ale niczego bym nie cofnął.

– Nawet Detroit?

– Nawet Detroit. No dobra, gdybym mógł to powtórzyć, sprawdziłbym oznaczenie kolorystyczne na tej cholernej rakiecie do MARS-a. A ty?

– Nie – powiedziała bez wahania. – Nie zmieniałabym nic. Poza tym, że może zaproponowałabym ci ślub kilka lat wcześniej.

– Przykro mi – odezwałem się. – Wygląda na to, że nie doczekamy do końca sześciomiesięcznego okresu.

– Kolejny raz wojsko nas wydyma i popsuje nam plany – skomentowała Halley i oboje się roześmialiśmy.



Piętnaście minut później dwa desantowce jednocześnie trafiły w klamry i zostały w tym samym czasie wciągnięte na pokład lotniczy. Do czegoś takiego był zdolny jedynie superlotniskowiec typu Nawigator.

Gdy mechanizm przeciągnął nas przez służę i ustawił na pokładzie, Halley wyłączyła silniki. Miasteczko namiotowe zostało niemal całkowicie zlikwidowane i dwa pełne bataliony żołnierzy Sił Obrony Ziemi stały w rynsztunku bojowym, czekając na rozkaz, który pozwoli im wsiąść na okręty desantowe.

– Tankowanie, załadunek, obrót – powiedziała. – Oceniam, że mamy trzydzieści minut.

Zeszliśmy na pokład, by rozprostować nogi. Kilka rzędów dalej Osa z „Regulusa” opuszczała tylną rampę.

– Chodź ze mną – rzekła Halley. – Mam głupi pomysł.

– Uwielbiam takie – odparłem i ruszyłem za nią w stronę wjazdu wyjściowego.

– Pani porucznik – powiedział stanowczo pułkownik Aguilar. Wziął Halley za ramię i przeszedł z nią w róg BCI. – Za trzy godziny rozpocznie się największa bitwa w życiu nas wszystkich, a pani chce, żebym poświęcił część z pozostałego mi ograniczonego czasu na coś takiego?

– Jest pan dowódcą okrętu bojowego – oznajmiła niezrażona Halley. – Ma pan pełne pełnomocnictwa. To nie zajmie panu więcej niż pięć minut.

Pułkownik przetarł dłonią czoło.

– Nie sądzi pani, że sytuacja wymaga inaczej ustawionych priorytetów? Czy ma to dla pani jakiegokolwiek znaczenie? Proszę się rozejrzeć.

Moja narzeczona ze stanowczym wyrazem twarzy wytrzymała spojrzenie Aguilara. Nigdy nie podziwiałem jej bardziej niż w tej chwili.

– Sir, mam wyraźnie określone priorytety. Będę dziś walczyć i zginę jak wszyscy inni. Proszę jednak, aby najpierw pan to dla nas zrobił. – Skinęła głową w stronę ekranu na grodzi, pokazującego obraz z kamery obróconej ku Ziemi. – Jeśli to nie ma znaczenia, to już nic go nie ma – rzekła. – Przecież dlatego jesteśmy tu, a nie tam, na dole. Dla nich, nie dla siebie.

Pułkownik obejrzał się przez ramię na ekran, po czym westchnął, opuszczając lekko ramiona. Podniósł lewą dłoń i przez chwilę przyglądał się złotej obrączce na palcu.

– No dobrze – odparł. – *De acuerdo* [5]. Sala odpraw, za pięć minut.

– Dziękuję, sir – odpowiedziała Halley z ulgą w głosie.

Zamiast mundurów galowych mieliśmy na sobie kombinezon lotniczy (panna młoda) i uniform roboczy (pan młody). Zamiast rodziny i przyjaciół naszymi świadkami byli jeden żołnierz PK z „Regulusa” (chwilowo oddelegowany ze służby wartowniczej przed BCI) oraz sierżant sieci neuronowych (który akurat przechodził w odpowiedniej chwili przed salą odpraw). Celebransem okazał się bardzo marudny dowódca okrętu i nie mieliśmy kwiatów, ryżu ani innych zwyczajowych rzeczy. Ceremonia ślubna nie mogłaby chyba wyjść bardziej nieformalnie. Halley i ja staliśmy tam jednak razem, co oznaczało, że było

idealnie.

– Zebraliśmy się tutaj, by połączyć węzłem małżeńskim sierżanta sztabowego Andrew Graysona oraz porucznik Dianę Halley – oznajmił pułkownik Aguilar. – Sierżancie sztabowy Grayson, czy bierze pan porucznik Halley za żonę i prawną partnerkę?

– Tak – odrzekłem.

– Porucznik Halley, czy bierze pani sierżanta sztabowego Graysona za męża i prawnego partnera?

– Tak – odpowiedziała Halley, ściskając mnie lekko za dłoń.

Pułkownik podał nam parę obrączek. Nie miały zdobień i wykonano je z czystego aluminium. Wyglądały bardziej jak podkładki pod śruby niż symbol małżeństwa.

– Regulaminowe wyposażenie dowódcy – wyjaśnił. – Nigdy dotąd nie były potrzebne.

Podniosłem wciąż zabandażowaną dłoń.

– Możemy mieć pewien problem – oznajmiłem.

Halley delikatnie dotknęła mojej rannej ręki i opuściła ją powoli.

– Po prostu użyjemy prawych – powiedziała. – Słyszałam, że Europejczycy tak robią.

Wsunęliśmy sobie obrączki na palce. Miały taki sam rozmiar, więc moja okazała się nieco za ciasna, a Halley za luźna.

– Na mocy uprawnień przekazanych mi przez Wspólnotę Północnoamerykańską i jako dowódca tego okrętu łączę was węzłem małżeńskim – dokończył Aguilar.

Nie wspomniał nic o całowaniu panny młodej, ale i tak to zrobiłem, a ona odpowiedziała pocałunkiem.

– Moje gratulacje – ogłosił pułkownik.

Brzęczenie panelu łączności pokładowej w bardzo nieromantyczny sposób zakończyło ceremonię. Aguilar podszedł do konsoli i podniósł słuchawkę.

– Tu dowódca – odezwał się. – Proszę mówić.

Słuchał przez kilka sekund, potwierdził lakonicznie i odwiesił słuchawkę.

– Wracamy do pracy – powiedział do nas. – Okręt Dryblasów jest już widoczny. Nie zwolnili, jak przypuszczaliśmy. Lecą pełnym gazem. Mamy niecałą godzinę.

– Stanowiska bojowe, stanowiska bojowe. Do wszystkich, stanowiska bojowe. To nie są ćwiczenia. Powtarzam: stanowiska bojowe, stanowiska bojowe.

Znów byłem w pancerzu i hełmie. Obrączkę ściągnąłem już z palca, ponieważ nie mogłem na nią nałożyć rękawicy. Wsunąłem ją do futerału na dokumenty osobiste i zamierzałem założyć ponownie później, jeśli w ogóle nastąpi jakieś później. Halley miała na sobie skafander lotniczy i znów siedzieliśmy w kokpicie Ważki Delta Pięć. Nasza ładownia była wypełniona żołnierzami, a gdy spojrzałem w korytarzyk i za gródź, dostrzegłem, że to chorąży Fallon i jej wewnętrzny krąg, jej pluton Spartan.

– Nasza taksówka jest wypełniona po brzegi cywilami – wyjaśniła Briana, gdy podłączyłem się do jej kanału. – Mam nadzieję, że twoja dziewczyna jest zajebistym pilotem.

– Moja żona – sprostowałem. – I jest zajebistym pilotem.

– Kiedy to się stało? – spytała Briana.

– Pięć minut temu. Udało jej się przekonać dowódcę.

Fallon roześmiała się.

– Zatem gratulacje dla was obojga. Możliwe, że ustanowiliście rekord najszybszego ślubu w historii.

– Do wszystkich, uwaga – w radiowęźle rozległ się głos pułkownika Aguilara. – Dryblaszy zmienili nam plany. Krążowniki i eskorta będą osłaniać lotniskowce wycofujące się na tyły, by zapewnić więcej czasu startującym desantom. Gdy desantowce odlecą, lotniskowce dołączą do walki. Nie ustępujcie i wykonujcie swój obowiązek. Gdy wylądują, nie oddajcie im ani piędzi ziemi. Stanowimy ostatnią linię obrony, jesteśmy kapitanami bramy[6].

Rozległ się sygnał ostrzegawczy i klamry przesunęły się nad nasz rząd okrętów desantowych.

– Na każdego człowieka śmierć przyjdzie wcześniej czy później[7]. A jaka śmierć jest lepsza niż ta w obliczu strachu, za prochy ojców i świątynie bogów[8].

Klamry opadły, zatrzasnęły się na naszym desantowcu. Tylna rampa zamknęła się z wizgiem i zahermetyzowała. Halley nakładała Ważkę na siebie niczym pancerz, łączyła się z jej systemami, pozwalając, by okręt stał się jej przedłużeniem.

– Wspaniała przemowa – skomentowała Fallon z ładowni. Gdy obejrzałem się w tył, skinęła mi głową i przyłożyła dwa palce do hełmu w dziarskim salucie. Wyglądała, jakby świetnie się bawiła.



– Mamy widok z pierwszych rzędów na koniec świata – oznajmiła Halley, gdy znaleźliśmy się na pozycji startowej pod pokładem. Poniżej rozciągała się brudna niebiesko-zielona sfera ojczyzny, a przed sobą widzieliśmy jedynie mrok przestrzeni. „Regulus” wykonywał długi zwrot na sterburtę i po zmianie kursu ujrzeliśmy inne jednostki zespołu zadaniowego. Ustawily się w ścisłym szyku między lotniskowcami a okrętem Dryblasów, aby skoncentrować ogień obronny na nadlatujących pociskach. Halley podłączyła się do kanału łączności międzyokrętowej i przerzuciła go na głośniki.

– Teraz jest ścieżka dźwiękowa – powiedziała. – Choć wolałabym jakąś muzykę.

– Dwadzieścia tajwańskich przebojów synthpopowych, które musisz usłyszeć przed śmiercią – rzekłem, a ona się roześmiała.

– Uwaga, do wszystkich jednostek na orbicie Ziemi – pułkownik Aguilar ogłosił na kanale awaryjnym. – Mówi pułkownik Fernando Aguilar z OWPA „Regulus”. Przejmuję dowództwo nad całością sił wojskowych. Do wszystkich jednostek, przejść do sektora dwa osiem siedem na jeden jeden pięć i ustawić się w pozycji blokującej przeciwko zbliżającemu się okrętowi Dryblasów. Nadeszła pora, by

wykorzystać wszystko, co nam zostało.

– Za siedem minut wchodzimy w okienko desantowe – powiedziała Halley. – Gdy się uwolnimy, wcisnę gaz do dechy. Szczury lądowe tam z tyłu, sprawdźcie, czy macie przypięte wszystkie zabawki.

Ocalałe okręty z patroli orbitalnych po kolei wchodziły na wyższą orbitę, by dołączyć do blokady. Na konsoli centralnej Ważki znajdował się wyświetlacz taktyczny i liczyłem przesuwane się powoli ikony, które dołączały do naszego zgrupowania obrońców. Fregata z Ameryki Południowej, korweta z Afryki, jakieś łodzie patrolowe z Oceanii. Nie wystarczą, by zatrzymać młot, który miał na nas spaść, i ich załogi o tym wiedziały, uznały jednak, że śmierć w falandze jest lepsza niż podczas odwrotu.

– Nieprzyjaciel jest już widoczny – nadał „Regulus”. – Kierunek trzysta pięćdziesiąt na jeden, niezmienny, prędkość dwieście metrów na sekundę. Odległość sto tysięcy kilometrów i maleje. Do wszystkich jednostek: odsłonić baterie i przygotować się do otwarcia ognia salwą.

Wszystkie okręty były połączone siecią i informacje z BCI „Regulusa” natychmiast pojawiały się na ich ekranach taktycznych. Na naszym wyświetlaczu, na samym skraju zasięgu skanowania, ukazał się jaskrawopomarańczowy symbol w kształcie odwróconej litery V.

– Strzelać bez rozkazu – oznajmił pułkownik Aguilar. – Do wszystkich jednostek: atakować. Strzelać bez rozkazu.

Znajdowaliśmy się za daleko dla dział elektromagnetycznych, ale większość naszych okrętów zachowała zapasy amunicji i teraz wypuszczała wszystko, co miała w magazynach. Dziesiątki rakiet pomknęły ku Dryblasowi, wciąż oddalonemu o dziesiątki tysięcy kilometrów, lecz zwiększającemu swoją prędkością nasz skuteczny zasięg broni.

– Pięć minut do okienka startowego – rzekła Halley. – Zejdę wcześniej, jeśli będę musiała.

Salwa rakiet trwała nie dłużej niż dwie, trzy minuty, zanim wyczerpały się zapasy wyrzutni. Obserwowałem na wyświetlaczu taktycznym, jak dziesiątki odwróconych niebieskich V mkną ku pomarańczowemu symbolowi i znikają jedno po drugim.

– Rakiety nieskuteczne – nadał „Regulus”. – Przygotować baterie dział elektromagnetycznych.

– Odwołuję ten rozkaz – na kanale awaryjnym odezwał się nowy głos. – Do wszystkich jednostek: wstrzymać ogień z dział elektromagnetycznych. Tu „Indianapolis”. Znajdujemy się na podejściu, dotrzemy za sześćdziesiąt sekund. Lepiej nam teraz nie przeszkadzajcie.

W tle transmisji usłyszałem komunikat nawołujący do opuszczenia okrętu i nagle w moim żołądku zmateriałizowała się ołowiana kula.

– Nie, nie, nie – powiedziałem. Halley załapała w tej samej chwili i wykrzyczała przekleństwo prosto w owiewkę.

– „Indianapolis”, przerwij manewr. To rozkaz. Masz natychmiast przerwać natarcie – polecił pułkownik Aguilar.

– „Regulus”, odmawiam. Zejdźcie z drogi i jak najlepiej wykorzystajcie to, co się wydarzy. Możliwość służby z wami wszystkimi była zaszczytem. Proszę, pozbierajcie kapsuły ratunkowe, które wypuściliśmy. Campbell bez odbioru.

Nowy symbol pojawił się na przeciwległym krańcu ekranu niż Dryblas, który znajdował się już pięćdziesiąt tysięcy kilometrów od nas.

– Do wszystkich jednostek: przerwać ogień! Nie atakować! Nie atakować!

„Indy” szedł pełnym ciągiem i jeśli oceniać po jego szalonej prędkości, musiał przyspieszać już od dłuższego czasu. Mały OOB nie dorównywał jednak wypornością ani osiągniętą szybkością transportowcowi, który wykorzystaliśmy w systemie Fomalhaut do zniszczenia okrętu obcych. Nie byłem zbyt dobry z fizyki, ale nawet ja potrafiłem to zrozumieć. Nasza ostatnia szansa w Fomalhaut, statek przemieniony w pocisk, potrzebował kilku dni nieustannego przyspieszania, by osiągnąć tempo pozwalające zlikwidować Dryblasa. „Indy” dysponował tylko kilkoma godzinami i nie miał szans tak się rozpędzić, by staranować okręt nasienny. Pułkownik Campbell zamierzał poświęcić „Indy’ego” na próżno i nie mogliśmy nic na to poradzić. Orbitalny okręt bojowy zamienił się w kierowany pocisk kinetyczny pędzący z prędkością dziesiątek tysięcy metrów na sekundę prosto w paszczę rekina. W ciągu kilku sekund przemknął przez strefę działania naszych sensorów.

Chciałem zamknąć oczy. Nie miałem ochoty patrzeć na śmierć okrętu i tych członków jego załogi, którzy postanowili nie uciec do kapsuł, by nakierować „Indy’ego” na cel. Nie mogłem jednak oderwać wzroku od wyświetlacza.

I nagle w czerni kosmosu rozbłysło nowe małe słońce.

– „Indy”... Jezu, „Indy” uderzył w Dryblasa. Przy pięćdziesięciu tysiącach kilometrów na sekundę.

Na krótką chwilę wszechświat zamarł.

I nagle z rozgrzanego do białości obłoku po wybuchu wyłonił się okręt nasienny.

– Kurwa mać! – wrzasnąłem i uderzyłem w deskę rozdzielczą Ważki obandażowaną dłonią, czego natychmiast pożałowałem.

– Okręt Dryblasów w odległości czterdziestu ośmiu tysięcy kilometrów, kierunek trzysta pięćdziesiąt dwa na jeden – nadał oficer taktyczny „Regulusa” głosem brzmiącym, jakby odczytywał nazwiska z nagrobka.

– Zmiana profilu, zmiana profilu Dryblasa – powiedział ktoś inny. – Coś wyrzuca. Drugi kontakt, ten sam kierunek.

Jakiś obiekt oderwał się od okrętu nasiennego i został odrzucony na bok z prędkością setek metrów na sekundę. Po nim kolejny, a później ruszył już miarowy strumień. Przedmioty o nieregularnych kształtach i rozmiarach ciągnęły się za nadciągającym okrętem.

– Jest uszkodzony. Do cholery, Dryblas jest uszkodzony. „Indy” oderwał mu kawałek.

Kadłub zbliżającej się jednostki nie miał już gładkiej, organicznej, zwartej formy, do jakiej przywykłem. Brakowało sporej części dziobu i uszkodzenia z jednego boku sięgały do połowy okrętu. Gdy wymierzyłem w tamtą stronę

kamerę w największym powiększeniu, ujrzałem materię odrywającą się od szramy i umykającą w przestrzeń. Dziura miała dziwne, włókniste brzegi.

– Do wszystkich jednostek: strzelać bez rozkazu. Celować w otwór w kadłubie. Poczęstujcie skurwysyna wszystkim, co wam zostało.

Dwanaście okrętów otworzyło ogień z dział elektromagnetycznych. Salwa nie wyrządziła żadnych szkód nietkniętej części kadłuba obcych, lecz dziura wydawała się wchłaniać pociski, zamiast je odbijać. Niektórym jednostkom zostały jeszcze rakiety i teraz uzupełniły nimi szaleńczą kanonadę, w której brali udział zbrojmistrze z każdego okrętu naszego zgrupowania.

– Atak nuklearny – oznajmił „Regulus”. – Strzały z wyrzutni od jeden do osiem. Wszystkie jednostki: przygotować się na skutki uderzenia.

Osiem kolejnych rakiet pomknęło ku Dryblasowi, który znajdował się już w odległości czterdziestu tysięcy kilometrów i szybko się zbliżał.

– Odsunąć się! Do wszystkich jednostek: manewry uchyleniowe. Zejdźcie mu z drogi!

Dwanaście okrętów desperacko ruszyło w dwunastu różnych kierunkach, by uniknąć kolizji z kilometrowej długości behemotem pędzącym w stronę naszej grupy bojowej. Pierwsza atomówka z „Regulusa” poszła szerokim łukiem i ominęła Dryblasa. Druga ugodziła w nieuszkodzoną sekcję dziobu i wybuchła krótkim rozbłyskiem. Wtedy nadleciała reszta. Wydawało się, że trafiły równocześnie. Przynajmniej trzy rakiety zniknęły w ranie wrytej w okręcie obcych.

Burta jednostki Dryblasów ugięła się niczym skrzela rekina. Nagle znacznie większy fragment kadłuba oderwał się i rozpadł, tym razem towarzyszył temu jasny płomień reakcji jądrowej. Okręt nasienny zadrżał od dziobu do rufy.

– Liczne bezpośrednie trafienia! Liczne trafienia wtórne!

Tor lotu nieprzyjaciela stał się niestabilny. Długa sylwetka z piekła rodem zaczęła chwiać się na trajektorii niczym rezonujący kamerton. Rufa uciekła lekko i okręt zaczął sunąć bokiem, wciąż w tym samym kierunku, lecz z dziobem skreconym o czterdzieści pięć stopni. Działa elektromagnetyczne i rakiety przeciwokrętowe wciąż zasypywały masywny kadłub. Większość pocisków odbijała się od nieuszkodzonej części, jak w dotychczasowych starciach, ale niemal połowa wpadała w ziejący otwór.

Nasza grupa znajdowała się w rozsypce. Wszystkie jednostki odsuwały się przed Dryblasem i strzelały tak szybko, jak tylko mogły. Brutalnie bombardowaliśmy nieprzyjaciela na krótki dystans, lecz choć okręt nasienny wyraźnie został śmiertelnie ranny, jeszcze nie poległ. Z nietkniętej burty w przestrzeń wyleciały penetratory. Wprawdzie na ślepo, ale w wielkiej liczbie. Nie znajdowaliśmy się na linii ognia, lecz inni mieli mniej szczęścia. „Trypolis” oberwał w burtę, został rozerwany od dziobu do rufy i zaczął wirować niekontrolowanie, siejąc szczątkami i zamarzniętym powietrzem. Jedna z mniejszych korwet, która dołączyła do nas w ostatniej chwili, po prostu rozpadła się po trafieniu i odłamki aluminium oraz stali pomknęły we wszystkich kierunkach. I nagle Dryblas przeleciał obok zespołu zadaniowego, sunąc bokiem

ku Ziemi i gubiąc ogromne fragmenty.

– Wejdzcie w atmosferę – nadał ktoś. – O Boże, a co, jeśli się nie rozpadnie?

– Liczne obiekty oddzielają się od okrętu nasiennego – oznajmił „Mińsk”.

Obraz z kamery pokazał mniejsze fragmenty wystrzeliwane z nieuszkodzonej strony kadłuba. Wylatywały strumieniami, jak krew tętnicza z rannego zwierzęcia.

– O nie – jęknąłem. – Wypuszcza kapsuły nasienne. W każdej z nich siedzi kilkunastu osobników.

– Do wszystkich jednostek: podejść i namierzać szczątki – rozkazał „Regulus”. – Strzelać bez rozkazu.

„Mściciel” wciąż miał w zapasie rakiety obronne. Zaczął wypuszczać je salwami, niczym szybkie i rozzłoszczone świetliki, które pędziły za kapsułami nasiennymi, by przechwycić je, zanim wejdą w atmosferę i wypuszczą swój ładunek na powierzchnię planety. Było ich jednak zbyt mało i zostały wystrzelone zbyt późno. Niektóre trafiły kapsuły, lecz każda z kapsuł miała wielkość niszczyciela oraz trwałość statku-matki. Większość pocisków minęła cele lub za nimi nie zdążyła, a one wpadały w górne warstwy ziemskiej atmosfery, ciągnąc za sobą jasne płomienie.

– Liczne wejścia. Śledzę ponad dwadzieścia kapsuł w atmosferze – poinformował „Regulus”.

Nie potrzebowałem kamery, by widzieć, co się działo za owiewką naszego kokpitu. Znajdowaliśmy się na wysokiej orbicie nad Ameryką Północną i setki dwudziestopięciometrowych oraz trudnych do zabicia Dryblasów opadało właśnie na powierzchnię w swych wytrzymałych kapsułach.

– Do wszystkich okrętów desantowych, mówi „Regulus”. Rozpocząć sekwencję desantu i podążać za kapsułami nasiennymi, gdziekolwiek spadną. Lećcie za nimi i wytłuczcie tych skurwysynów. Do wszystkich okrętów desantowych: rozpocząć sekwencję desantu – nadał oficer taktyczny z „Regulusa”.

– Nie trzeba mi dwa razy powtarzać – mruknęła Halley. Chwyciła drążek przepustnicy i położyła kciuk na przycisku zwolnienia. – Skrzydła Whisky i Delta, za mną – poleciała. – Będziemy przydzielać cele w drodze na dół. Zejście za trzy, dwa, jeden. Zejście.

Wdusiła przycisk i Ważka odpadła od „Regulusa”. Halley otworzyła przepustnicę i krzyknęła z satysfakcją, obracając dziób oraz kierując go w dół.

– No to zaczynamy polowanie! Wy tam, z tyłu, przygotujcie się. Za piętnaście minut znajdziecie się na powierzchni i będziecie strzelać.

5 De acuerdo (hiszp.) – zgoda.

6 Nawiązanie do wiersza „Horatius” Thomasa Babingtona Macaulaya (1800–1859).

7 Fragment wiersza „Horatius” Thomasa Babingtona Macaulaya (1800–1859).

8 Film „Oblivion” („Niepamięć”).

Rozdział 25

Druga bitwa o Detroit

Na ziemi będzie niezły bałagan – powiedziała Halley. Pędziliśmy przez górną warstwę atmosfery i przez pancerną owiewkę kokpitu widziałem dziesiątki kapsuł nasiennych opadających ku powierzchni, wytracających prędkość oraz ciągnących za sobą długie strumienie rozgrzanej plazmy. Do tej pory widywaliśmy jedynie ich skorupy na światach kolonialnych, na których lądowali Dryblasy. Były wielkie i o cylindrycznym kształcie, niczym zmniejszone wersje statku-matki, ale nawet wówczas mierzyły setki metrów długości. To jakby cała flota wielkich okrętów spadała z nieba na północnoamerykański kontynent.

Komputer śledził je wszystkie i wyświetlał trajektorie na mapie nawigacyjnej.

– Niech każdy wybierze kapsułę, za którą podąży – nadała Halley do reszty klucza. – Brać to, co macie w zasięgu. Po wybraniu celu oznaczajcie się na takłacz, żebyśmy przypadkiem się nie dublowali.

Mniej więcej przed dziobem naszej Delty Pięć przez atmosferę spadały trzy kapsuły. Dłoń Halley zatańczyła szybko na ekranie nawigacyjnym.

– Labrador, metropolks Minneapolis albo Detroit – oznajmiła. – Gdzie chcesz dziś imprezować?

– Wszędzie, tylko nie Detroit – odparłem.

– To dla mnie najwygodniejsza trajektoria – rzekła. – Zatem Detroit. Przepraszam.

Przydzieliła Ważce środkowy cel i znów włączyła kanał klucza.

– Do wszystkich, ścigajcie je aż do powierzchni. Ich mechanizmy zwalniające uruchomią się na sześciu tysiącach, by umożliwić lądowanie. Zaatakujcie ich, gdy usiądą. Nie pozwólcie im się rozproszyć.

Przełączyła wyświetlacz i sprawdziła zapasy.

– Cholera, szkoda, że nie mam tu żadnych rakiet.

– Jesteśmy nieuzbrojeni?

– Nie całkiem. Mamy działka. Ale pamiętaj, że to okręty szkoleniowe. Uczymy na nich latania i zapoznajemy z systemem. Nie bardzo był sens mocować rakietę na pylonach.

– Powiedz mi chociaż, że zbrojownia jest pełna – poprosiłem.

– Zawsze jest pełna – odrzekła. – Inaczej zbyt długo zajmowałoby przywrócenie pojazdów do stanu gotowości bojowej.

– Najlepsza wiadomość dnia – skomentowałem.



Weszliśmy w atmosferę za Dryblasem nad kontynentem. Opadał po krzywej balistycznej. Halley nie mogła podążać za nim w taki sam sposób, ponieważ spłonęlibyśmy na popiół w powstałym żarze, zatem gdy przechodziliśmy przez troposferę, obcy znajdowali się już kilkaset kilometrów przed nami i wciąż zwiększali dystans. Gdy skończyły się najgorsze turbulencje, rozpiąłem uprząż i udałem się do przedziału rufowego.

– Zostaliście trochę przeszkoleni na ich temat, gdy szykowano was do dyslokacji w systemie Fomalhaut – zawołałem. Wszystkie pary oczu w ładowni skierowały się na mnie, gdy wyciągnąłem z okretowej zbrojowni karabin M-80 zaprojektowany przeciwko Dryblasom. – Nie zwracajcie sobie głowy bronią fleszetową, chyba że tylko ona wam zostanie. Zbyt długo zajmuje choćby wyszczerbienie nią obcych. Celujcie w stawy rąk i nóg oraz miejsce, gdzie te skurwysyny powinny mieć szyję. I zabierzcie wszystkie rakiety do MARS-ów, które tu są. Strzelajcie najpierw przeciwpancernymi, później burzącymi, wreszcie termobarycznymi. Dwuzadaniowe zostawcie na koniec, gdy skończy się już wam reszta. Z przyłożenia zdołają załatwić Dryblasa. Używajcie ich parami.

– Ile tych istot zabiłeś? – odkrzyknął jeden z sierżantów.

– Setki – odparłem. – Tysiące. Za pomocą radia. Trudno je zabić, ale się da.

Trzech innych sierżantów poderwało się z miejsc, by pomóc, i zaczęliśmy opróżniać zbrojownię, podając żołnierzom wyrzutnie raket oraz ciężkie karabiny przeciwko obcym. Żałowałem, że nie mam do dyspozycji tygodnia, by porządnie ich przećwiczyć w korzystaniu z tej broni, oraz że na składzie nie było trzy razy więcej amunicji, ale musiałem się zadowolić tym, co mieliśmy.

Na tysiącu pięciuset metrach przebiliśmy się przez pokrywę chmur. Rozciągały się pod nami setki kilometrów kwadratowych Detroit, stare miasto otoczone schludnymi rzędami stupiętrowych bloków komunalnych. Region, w którym desantowałem się przed pięciu laty, leżał bliżej starej części, w DZK pierwszej i drugiej generacji, które wciąż przypominały trochę dawne miasta. Sektor Detroit, do którego opadaliśmy teraz, wyglądał zupełnie inaczej. DZK piątej generacji przytłaczały skalą. Każdy blok stanowił samowystarczalną jednostkę czterech wież sięgających stu kondygnacjami w nocne niebo i mierzących ponad trzysta metrów wysokości.

– Spróbuj nawiązać kontakt z najbliższym batalionem SOZ – rzekłem do Halley, kiedy wróciłem do kokpitu. – Może Trzysta Sześćdziesiąty Piąty z Dayton. Powiedz im, że potrzebujemy wszystkich, którzy zdołają utrzymać karabin. I jeśli jeszcze nie wiedzą, poinformuj ich, co zmierza w ich stronę.

Gdy kapsuła nasienna uderzyła o ziemię, to jakby naburmuszony bóg wyciągnął palec i postanowił wstrząsnąć śmiertelnikami. Wylądowała jakieś sto metrów od zewnętrznej granicy bloku komunalnego piątej generacji, czyli czterech

stupiętrowych wież otoczonych dziesięciometrowym betonowym murem. Powstały hałas usłyszeliśmy z odległości kilku kilometrów i przez wielowarstwowy polioplast owiewki.

– Mamy przyziemienie – nadała Halley na „Regulusa”. – Kapsuła nasienna Dryblasów spadła na czterdziestu dwóch stopniach, dziewiętnastu minutach i pięćdziesięciu trzech sekundach szerokości geograficznej północnej oraz osiemdziesięciu trzech stopniach, dwóch minutach i czterdziestu dwóch sekundach długości geograficznej zachodniej o godzinie dwudziestej trzeciej dziewiętnaście czasu lokalnego.

Najpierw ziemi dotknął dziób kapsuły. Lądownik był znacznie bardziej zwarty i krótszy niż statek-matka, nie stał więc długo dęba. Całość pochyliła się i zaczęła przewracać, wydawałoby się, w zwolnionym tempie. W końcu tył upadł w stronę pobliskich wieżowców. Kapsuła była dłuższa niż odległość od zewnętrznego muru bloku do punktu lądowania i wpadła na najbliższy wysokościowiec. Rozległ się grzmot przypominający wybuch bomby paliwowo-powietrznej, okolicę przysłonił rozszerzający się obłok betonowego pyłu oraz lecących szczątków. Halley zanurkowała płytko Ważką i pomknęła ku miejscu katastrofy.

Gdy pył lekko opadł, okazało się, że jedna trzecia kapsuły wbiła się w róg wysokościowca. Trzydzieści metrów betonowego muru zamieniło się pod ciężarem lądownika w proszek. Halley włączyła szperacze zainstalowane pod dziobem desantowca. Przecięły pylisty mrok i ukazały trzech Dryblasów oddalających się od wraku w stronę bloków.

– Kontakt – zawołała Halley. – Trzech nieprzyjaciół na ziemi. Znajdują się w środku cywilnego obszaru mieszkaniowego. Atakuję.

Zawisła Ważką jakieś trzysta metrów od rozbitej kapsuły i zniszczonego muru. Szperacze przecinały mrok oślepiająco białymi promieniami. Świetnie w nich widoczni Dryblaszy mieli barwę skorupki od jajek.

– Skurwysyny są wielkie – rzekła Halley. Mogłem jedynie potwierdzić skinieniem głowy.

Widziałem wielu Dryblasów i choć ci nie wydawali się różnić od innych, otaczające ich ludzkie zabudowania umieszczały ich w zupełnie nowej, przerażającej skali. Odchodzili od wraku swej kapsuły żwawymi, długimi krokami i ich osłony czaszkowe znajdowały się sześć kondygnacji nad ziemią.

– Trzymajcie się tam czegoś – zawołała Halley przez interkom do żołnierzy na tyle Ważki, po czym ruszyła naprzód z pełnym przyspieszeniem.

Obróciła dziób okrętu w lewo, ominęła nieuszkodzony wieżowiec i wleciała na plac między budynkami. Pstryknęła kilka przełączników nad głową i gdy znów się odezwała, jej głos rozbrzmiał w zewnętrznych głośnikach Ważki, wzmocniony kilka tysięcy razy.

– Znajdźcie schronienie. Schowajcie się w głąb budynków, z dala od okien. Wejdźcie na górne piętra. Opuśćcie plac!

Na dole zapanowało istne pandemonium. Kwadratowy obszar pomiędzy wieżowcami miał bok długości około dwustu metrów i pełno było na nim ludzi wycofujących się na widok Dryblasów, podobnie jak fala odsuwa się od brzegu.

Widziałem błyski z luf, choć z powodu odległości i grubości owiewki nie docierały do mnie odgłosy strzałów. Wyglądało na to, że niektórzy w tłumie postanowili otworzyć ogień z broni, którą mieli pod ręką.

Halley znów zawisła Ważką między dwoma wysokościami pełnymi maleńkich mieszkańek. Widziałem ludzi wpatrujących się w nas ze zdumieniem przez okna, gdy światła pozycyjne desantowca podświetlały okolicę regularnymi czerwono-pomarańczowymi błyskami.

Moja żona ściągnęła osłonkę bezpieczeństwa z przycisku na drążku.

– No to do roboty – oznajmiła.

Ciężkie działa przeciwpancerne na brzuchu Ważki zaczęły wystukiwać donośne bum-bum-bum, rezonujące w sztucznym kanionie między budynkami i odbijające się echem od betonowych powierzchni, aż wreszcie wszystko wokół nas brzmiało, jakby ogień otworzyło całe skrzydło okrętów desantowych. Pociski smugowe pomknęły nad placem i wbiły się w najbliższego Dryblasza deszczem iskier oraz odskakujących odłamków. Uświadomiłem sobie, że Halley ominęła wieżowce, aby dysponować dobrą linią ostrzału i zminimalizować ryzyko, że ładunki trafią w budynki. Obsługiwała spust niczym muzyk wystukujący rytm.

Dryblas wydał z siebie ten nieziemski skowyt, który przez ostatnie lata dręczył mnie w tak wielu koszmarach. Tutaj zabrzmiał zupełnie obco i tak ogłuszająco głośno, że niemal stłumił stukot działek Ważki. Dryblas zamachał długimi, wrzecionowatymi kończynami i próbował uchylać się przed gradem pocisków wysypujących się z luf Halley, ona jednak nie dawała mu wytchnienia i dalej zalewała go metodycznie strumieniem, który orał Dryblasowi głowę i korpus. Kilka ładunków odbiło się od tarczy czaszkowej, przez którą obcy przypominali nieco dawne ziemskie dinozaury. Smugowce pomknęły w mrok i roztrzaskały się na niewidocznych przeszkodach jaskrawymi strumieniami iskier.

Wróg obrócił się i zaczął oddalać od kanonady długimi, urywanymi krokami. Halley przesunęła celownik i posłała serię pocisków w dolną część jego ciała. Obcy potknął się i pęd poniósł go naprzód. Miotając kończynami, Dryblas upadł na betonową powierzchnię placu. Głową trafił w jeden z bloków i wyrył w jego fasadzie trzymetrową bruzdę, podrywając w powietrze chmurę pyłu.

Pozostali dwaj obcy przemierzali plac długimi, grzmiącymi susami, odsuwając się od okrętu desantowego i wylewającej się z niego śmierci. Halley puściła jeszcze jedną serię w leżącego Dryblasza, po czym obróciła dziób Ważki. Te gnojki potrafiły poruszać się zaskakująco szybko, jak na swoje rozmiary. Nie minęło dwadzieścia sekund, odkąd otworzyliśmy ogień, a jeden Dryblas zniknął już za kolejnym wieżowcem. Drugi znajdował się na środku placu, podążając za towarzyszem w największym pośpiechu, jaki widziałem dotąd u tych istot. Halley wdusiła kciukiem przycisk i działka znów zaczęły wypluwać z siebie ognistą zagładę.

Ładunki zasypały Dryblasowi grzbiet i tylną część nóg. Zatoczył się, potknął i upadł na ziemię z głuchym, donośnym hukiem. Halley nie przerywała ognia. Wypuszczała krótkie, śmiercionośne serie po dwa, trzy pociski, celując za pomocą całego okrętu. Obcy upadł w miejscu, gdzie stało kilka małych

parterowych budynków – być może punktów dystrybucji żywności lub sklepików – i zmiażdżył je, jakby były pustymi tekturowymi pudełkami. Próbował podnieść się między gruzami, lecz działa przeorały mu nogi kolejną serią. Znow upadł, wydając ogłuszający, drżący wrzask. Nieziemski odgłos odbił się echem od okolicznych betonowych ścian. Zawsze zastanawiałem się, jak krzyk obcych zabrzmiałby pośrodku dużego miasta, i teraz znałem już odpowiedź. Zupełnie jak w starym filmie o potworach w sieciowizji.

– Noż do cholery! – wrzasnęła Halley. – Czy mógłbyś już, kurwa, zdechnąć?

Dryblas nie chciał jednak zrobić nam tej przysługi. Zamiast tego znow się wyprostował i zgarnął łapą na oko jakieś pół tony gruzu, po czym z odległości pięćdziesięciu metrów cisnął w nas kawałkami betonowej ściany i blachy falistej.

– Hola – skomentowała Halley. Przerwała ogień i gwałtownie poderwała dziób Ważki. Silniki zawyły i nagle lecieliśmy do tyłu. Przez chwilę widziałem przez owiewkę szczyty najbliższych wieżowców oraz brudne nocne niebo. Nie mogłem pozbyć się myśli, że znajdowaliśmy się między dwoma takimi wysokościowcami i mieliśmy bardzo ograniczone pole manewru. Spojrzałem w prawo i ujrzałem okna oraz wpatrzone we mnie twarze. Nagle gruz uderzył w opancerzone podbrzusze desantowca, aż Ważka się zatrzęsała. Z ładowni usłyszałem zatroskane okrzyki żołnierzy, którzy niewątpliwie trzymali się jak najmocniej, gdy moja żona podniosła dziób niemal pionowo, wycofując nas z dala od nieprzyjaciela.

Wstrzymałem oddech, gdy Ważka sunęła w tył z opuszczonym ogonem. Wydawało mi się, że trwało to zdecydowanie zbyt długo, zważywszy, jak blisko mieliśmy ziemię i budynki po bokach. Nagle znaleźliśmy się już poza wieżowcami. Halley podkręciła obroty i szybkim, wywracającym żołądek manewrem skierowała okręt w lewo oraz w dół. Gdy dziób znow się wypoziomował, byliśmy tak blisko ziemi, że nic bym sobie nie zrobił, gdybym w tym momencie wyskoczył z kokpitu na beton.

– Drażliwy skurwiel – skomentowała Halley niemal swobodnym tonem, jakby właśnie nie zrobiła nic bardziej ekscytującego niż uchylenie się przed huśtawką. Skręciła dziób w lewo i przyspieszyła. Lecieliśmy teraz wzdłuż jednego z wieżowców, z większym odstępem od solidnej ściany z betonu i stali niż wcześniej, ale tak i nie czułem się zbyt zrelaksowany, gdy pędziliśmy przez nocne powietrze z prędkością ponad stu węzłów.

Gdy okrążyliśmy wysokościowiec i skierowaliśmy dziób desantowca znow na plac, Dryblasa już tam nie było.

– Dokąd on poszedł? – spytała Halley. Obróciła Ważkę o dziewięćdziesiąt stopni i wleciała nad plac bokiem, zupełnie jakby driftowała hydrosamochodem na zakręcie. Przez pięć lat często bywałem pasażerem na desantowcach, ale nigdy nie trafiłem na pilota równie sprawnego jak moja żona.

– Tam jest. – Wskazałem na sterburtę. Przy dwudziestu pięciu metrach wzrostu Dryblasy nie byli w stanie dobrze schować się nawet we własnym środowisku, nie mówiąc już o miejscu zbudowanym dla istot dziesięciokrotnie od nich niższych. Klęczał w przedsiönku jednego z wieżowców, stukając głową w wysoki łuk.

- Wal w niego – ponaglałem. – Odstrzel mu dupę.
- Nie mogę – odparła Halley. – Nie działkami. Trafiłabym w budynek.

Przełączyła się na wielolufowy karabin mniejszego kalibru umieszczony w wieżycze dziobowej, posiadający znacznie wyższą szybkostrzelność niż wielkie przeciwpancerne działka po bokach kadłuba. Wcisnęła spust i deszcz małych smugowców pomknął w stronę Dryblasza. Rykoszetowały we wszystkich kierunkach, podrywając obłoczki pyłu, gdy tylko trafiały w ściany i ziemię wokół obcego. Po kolejnym brutalnym uderzeniu nieprzyjaciel zdołał oderwać kilka metrów zbrojonego betonu w górnej części łuku i umknął przed nieprzerwaną kanonadą do środka, wydając długi i udręczony skowyt oraz zostawiając za sobą chmurę betonowego pyłu i spadających kawałków gruzu.

– Nie dostanę go tam – rzekła Halley. – Musiałabym mieć rakiety kierowane. Cholera, szkoda, że nie ma ich na pylonach.

– Usiądź na ziemi – powiedziałem. – Wejdę z oddziałem do środka i wykurzymy Dryblasza. – Później podrzucisz inne oddziały dalej i zapolujecie na trzeciego.

Skinęła głową i obróciła dziób Ważki, by wylądować na powierzchni placu.

– Każ im się przygotować – poleciała. – Nie chcę spędzić więcej niż półtorej sekundy z płozami na ziemi. Rozumiesz?

Wcisnąłem guzik zwolnienia upręży i uruchomiłem interkom.

– Fallon, tu Grayson. Daj oddział na tylną rampę. Idziemy na polowanie.

– Odbiór – dobiegła odpowiedź z ładowni.

– Na dole ty rządzisz, ale daj znać, jeśli będziecie potrzebować pomocy – odezwała się do mnie Halley. – I tylko spróbuj dać się zabić.

– Taka praca – odparłem, wygrzebując się z fotela, by przejść na tył. – Kochanie.

Wzdrygnęła się lekko i pokazała mi środkowy palec, nie spuszczając wzroku z tablicy przyrzędów.

– Baw się dobrze, ale wróć na kolację – rzuciła.

Pobiegłem do ładowni. Żołnierze SOZ szykowali się, wyciągali wyrzutnie rakiet ze zbrojowni i układali je na rampie.

– Łądujemy, wykopujemy stąd wszystkie graty, których nie zdołamy wynieść, i zostawiamy na kupie na ziemi! – zawołałem przy harmidrze stukającego sprzętu i typowego przed walką przekomarzania. – Później po to wrócimy. Wchodzimy do środka i idziemy za Dryblaszem. Oddziały drugi i trzeci lecą z Halley. Wysadzi ich po drugiej stronie następnego kompleksu, by ruszyły za drugim Dryblaszem.

– Zostało tylko dwóch? – spytała Fallon.

– Ciesz się – odrzekłem. – Te skurwysyny łatwo nie padają.

Desantowiec obrócił się wokół osi pionowej. Nad rampą zaświeciła się czerwona lampa ostrzegawcza i wejście zaczęło się opuszczać, gdy jeszcze znajdowaliśmy się w powietrzu. Na zewnątrz widać było plac między wieżowcami, połacie brudnego betonu i kilka stoisk oraz budek po jednej stronie.

Płozy z solidnym hukiem dotknęły ziemi.

– Jazda, jazda! – krzyknęła Fallon. – Wykopać sprzęt. Pierwszy oddział, wysiadka!

Wybiegliśmy z ładowni. Niosłem zdecydowanie zbyt wiele rzeczy: karabin fleszetowy M-66 przeciwko ludzkim celom, M-80 na Dryblasów, amunicję do jednego i drugiego oraz pistolet. Gdybym się potknął, utknąłbym na grzbiecie jak żółw.

Członkowie drugiego i trzeciego oddziału rzucili nam zapasowe rakiety do MARS-ów. Następnie Halley podkręciła obroty i poderwała Ważkę, nie zawracając sobie głowy zamykaniem rampy. Opuściła lekko dziób i obróciła okręt, po czym pomknęła na niskim pułapie nad placem, tak blisko nas, że niemal mogłem odczytać tabliczkę z nazwiskiem umocowaną na skroni jej hełmu. Mijając mnie, pokazała mi uniesiony kciuk. Po chwili Ważka zniknęła za jednym z wysokościowców.

Odwrociłem się i podążyłem za oddziałem do zniszczonego przejścia. Przed nami z atrium dobiegł znów skowyt Dryblasza, niewiele cichszy niż odgłos eksplozji.

Nowe wieżowce piątej generacji były ogromne. Sto pięter mieszkań i punktów usługowych z pustą przestrzenią wewnątrz, służącą wentylacji. Obszerne atrium zbudowano na planie kwadratu o boku pięćdziesięciu metrów. Przebiegliśmy pod zniszczonym łukiem, trzymając broń w gotowości. Wielkiego Dryblasza trudno było przegapić na takim terenie. Wycofał się w róg, ocierając tarczą czaszkową o balkon piątego piętra.

– Rakiety MARS! – zawołała Fallon. Czterech towarzyszących nam żołnierzy zdjęło z ramion wyrzutnie.

– Użyjcie przeciwpancernych – powiedziałem. – Pamiętajcie: w stawy i szyję. A jeśli rzuci się na nas, szybko szukajcie schronienia.

Rozproszyliśmy się i skryliśmy pod galerią biegnącą wokół pierwszego piętra nad wysokim parterem. Wewnętrzne galerie otwierały się na centralną przestrzeń atrium i dobiegały z nich okrzyki setek cywilów, mających świetny widok na rozpoczynającą się walkę. Z wyższych pięter dochodziły odgłosy strzałów kierowanych przez ludzi, których nie zadowalała rola wyłącznie widzów. Kule z karabinów i pistoletów odbijały się od twardej skóry obcego, równie dobrze można by więc rzucać w niego kamyczkami.

– Dwóch z lewej, dwóch z prawej – rozkazała Briana. – Na mój znak.

Żołnierze z wyrzutniami zajęli pozycje po obu stronach naszej krótkiej linii ognia. Uniosłem M-80 i wycelowałem w szyję Dryblasza. Obcy sprawiał wrażenie, jakby wcale nie chciał tu przebywać, jakby był przerażony i po prostu chciał stąd uciec. Próbował wtopić się w róg i w nieregularnych odstępach wydawał z siebie ostre, ogłuszające wrzaski. Niemal było mi go żal. Utknął na dziwnym świetle, otoczony istotami, które chciały go zabić, odseparowany od towarzyszy. Moje współczucie nie sięgało jednak dalej. Sami postanowili tu przybyć, przenieść walkę na nasz teren i z tego powodu zginęło wielu moich znajomych.

Fallon włączyła zewnętrzne głośniki w pancerzu. Jej głos zagrzmiął w atrium i poniósł się echem po betonowym kominie sięgającym stu pięter nad naszymi

głowami.

– Kryć się, ludzie! Odsuńcie się i zatkajcie uszy. Za chwilę nastąpi eksplozja!

Obcy obrócił głowę w stronę nowego dźwięku i odpowiedział przeciągłym skowytym, przez który poczułem ból w uszach, choć były chronione hełmem. Na chwilę zupełnie ustała kanonada z górnych kondygnacji.

– Wyrzutnie jeden i dwa, ognia!

Dwie rakiety wystrzeliły ze świstem z wyrzutni MARS i w mgnieniu oka pomknęły przez atrium. Dryblas w ostatnim ułamku sekundy pochylił ku nim głowę. Jeden z pocisków musnął tarczę czaszkową i przeciwpancerna głowica odbiła się od niej z głuchym, nieprzyjemnym stuknięciem, po czym wgrzyzła w beton balkonu piątego piętra. Wybuchła, zamieniając sześciometrowy odcinek galerii w chmurę pyłu. Druga rakietę wbiła się w bok obcego, wymachującego niezdarnie kończynami, i cisnęła nim na ścianę. Dryblas znów wrzasnął z natężeniem, które dotąd uważałbym za niemożliwe. Na otwartym terenie krzyk byłby ogłuszający. W stupiętrowym betonowym pudle miałem wrażenie, jakbym stał przed dyszami okrętu kosmicznego z silnikami włączonymi na pełny ciąg. Włączył się system ochronny hełmu, dla mojego dobra odcinając dopływ dźwięków, ale poczułem energię soniczną uderzającą w pierś, jakby ktoś mnie pchnął. Na dolnych kondygnacjach rozprysnęły się okna, a gdy po jakimś czasie wrócił mi słuch, dotarły do mnie okrzyki cierpiących i wystraszonych ludzi.

Obcy podniósł się po drugiej stronie atrium, rozplątał kończyny i wstał z pyłu. Oparł na betonie masywną, trójpalczastą stopę i obrócił do nas głowę. W swych dziwnych, wydłużonych czaszkach Dryblasy nie mieli oczu, lecz mógłbym przysiąc, że jeśli w ogóle potrafili widzieć, ten na nas patrzył.

– Strzelać bez rozkazu! – zawołała Fallon.

Poderwałem M-80 do barku i umieściłem krzyżyk celownika na środku piersi wroga, po czym nacisnąłem oba spusty. W wyniku odrzutu kolba uderzyła mnie mocno w pancerz. Po moich bokach karabiny żołnierzy SOZ wydawały z siebie głęboki, dźwięczny huk. Dryblas dostał sześć ładunków w pierś i brzuch. Przez chwilę wydawało się, jakby miał upaść znów między gruzy, postawił jednak drugą stopę przed pierwszą i ruszył ku nam. Gdy robił kolejne kroki, czułem wibracje przechodzące przez podeszwy moich butów.

Zdołaliśmy oddać jeszcze jedną salwę, zanim pokonał połowę atrium, poruszając się szybciej niż dotąd widywani przeze mnie obcy, pomimo wciąż dymiącej dziury wyrytej przez raketę w jego boku.

– Kryć się! – krzyknąłem na kanale oddziału. Nikogo nie trzeba było zachęcać. Wycofaliśmy się z atrium, skoczyliśmy pod galerię i pobiegliśmy w stronę najbliższego korytarza. Choć z pancerza zwisało mi mnóstwo sprzętu, i tak miałem wrażenie, jakbym pobijał osobisty rekord biegu na pięćdziesiąt metrów. Słyszeliśmy, że Dryblas zbliżał się do miejsca, które właśnie w pośpiechu opuściliśmy.

Zagłębiliśmy się może jakieś dwadzieścia metrów w korytarz, gdy Dryblas potężnie uderzył w zadaszenie nad nami. Straciłem równowagę i mocno grzmotnąłem o ziemię. Mój M-80 potoczył się po podłodze. Miałem wrażenie,

jakby zawałał się na nas cały budynek. Zwinąłem się w kłębek i zakryłem głowę opancerzonymi rękoma, gdy zaczęły na mnie spadać kawałki gruzu. W powietrzu natychmiast zrobiło się tak gęsto od pyłu, że nie widziałem przed sobą nawet na pół metra. Włączyłem w wizjerze wzmocnienie wzroku i obejrzałem się w stronę, skąd przyszliśmy. Dryblas stał wciśnięty pod wyjście do atrium i zasłaniał całe dochodzące stamtąd światło. Jego wielka głowa znajdowała się jakieś piętnaście metrów ode mnie i z każdym jej ruchem spadało na mnie więcej gruzu. Ponieważ straciłem M-80, sięgnąłem po zawieszony na pasku karabin fleszetowy M-66, przerzuciłem dźwignię trybu prowadzenia ognia na PEŁEN AUTOMAT i z maksymalną szybkostrzelnością, sto na sekundę, wypuściłem wszystkie dwieście pięćdziesiąt pocisków w łeb obcego. Wróg wzdrygnął się i wydał kolejny wrzask, tym razem jednak bardziej wymęczony niż wcześniej.

– Zdechnij już wreszcie! – wrzasnąłem, powtarzając okrzyk Halley sprzed kilku minut.

Za moimi plecami niektórzy żołnierze z oddziału dołączyli z własną bronią. Niskie grzmoty M-80 sprawiały, że z podłogi podrywał się pył. Dryblas zaskowyczał i cofnął się, odsuwając przed palbą, po czym znów grzmotnął głową ponad wejściem w korytarz. Z góry dobiegł udręczony jęk i pomiędzy nami a obcym spadła lawina gruzu. Zakryłem głowę, w tunelu zrobiło się zupełnie ciemno.

– Noż kurwa! – odezwała się Fallon na kanale oddziału, pokaszując. – Nieźle się wkurzył. Wzmocnijcie wzrok.

Miałem już włączone wzmocnienie pola widzenia, widziałem wnętrze korytarza zalane zielonobursztynowym blaskiem noktowizji.

Przełączyłem częstotliwość na kanał wsparcia lotniczego.

– Halley, słyszysz mnie?

– Ledwo – odpowiedziała. Choć pancierz maksymalnie wzmacniał sygnał, połączenie było paskudne. Pośród nami leżało zbyt dużo żelazobetonu.

– Jesteśmy na parterze – powiedziałem do mojej żony. – Dryblas zawałał na nas połowę poziomu. Jest mocno ranny, ale wciąż kręci się gdzieś w atrium. Jeśli stamtąd wyjdzie, musisz go dobić.

– Drugi oddział atakuje innego obcego trzy przecznice od was – odparła Halley. – Daję im wsparcie lotnicze. Zaczekaj.

W tle usłyszałem stukot działek. Po kilku sekundach Halley wróciła na linię.

– Prawie skończyła mi się już amunicja. Przytrzymajcie tego Dryblasa w atrium i wykończcie go. Musicie go sami załatwić. Nie dajcie mu się wydostać. Oni potrafią wyrządzić naprawdę duże szkody w takiej cywilnej okolicy.

– Nie gadaj? – Wykaszałem trochę pyłu. – Zrobimy, co zdołamy.

Przełączyłem się z powrotem na kanał oddziału.

– Męczą się z pozostałym Dryblasem trzy przecznice dalej – poinformowałem Fallon. – Jesteśmy tu zdani na siebie. Nie możemy mu pozwolić wyrwać się na zewnątrz.

– No to chodźmy – rzekła Fallon i podeszła, by pomóc mi wstać. – Musimy jakoś obejść te gruzy.

Po drugiej stronie rumowiska, w atrium, wznowiono nieregularną palbę z różnych rodzajów broni. Cywile znów strzelali do Dryblasa, czując się bezpiecznie na górnych piętrach, ale jeśli nie uda nam się tam przedostać, równie dobrze mogliby na obcego sikać z góry.

Podniosłem M-80, wyrzuciłem zużyte spłonki z zamków i załadowałem dwa nowe pociski. Następnie ruszyłem ciemnym korytarzem za Fallon i resztą oddziału, oddalając się od betonowego zawaliska blokującego nam drogę powrotną do atrium.

Działania Dryblasa pozbawiły tę część budynku elektryczności, musieliśmy więc posiłkować się wzmocnionym wzrokiem. Fallon i jej oddział wydawali się dobrze znać rozkład kompleksu mieszkalnego piątej generacji, ponieważ ani razu nie zatrzymali się, by przemyśleć wybór kierunku.

Z atrium wciąż dobiegały sporadyczne strzały. Z mojej pozycji w korytarzu nie było nigdzie widać Dryblasa, lecz na ziemię spadały kawałki betonu.

– Jest na ścianie – powiedziała Fallon. – Nie wiedziałam, że te skurwiele potrafią się wspinać.

– Ja też nie – odrzekłem.

– Piątka na lewo, piątka na prawo – poleciała, wskazując osłoniętą przestrzeń za wejściem do korytarza, gdzie mogliśmy pozostać pod osłoną galerii pierwszego piętra.

Wybiegłem z tunelu w stronę najbliższej kryjówki, czyli sięgających mi do biodra donic ze sztucznymi kwiatami pokrytymi grubą warstwą pyłu. Za sąsiednią kolumną dostrzegłem dwóch uzbrojonych cywilów celujących w kierunku atrium. Jeden z nich mnie zauważył i cofnął się nieco, zaskoczony. Przez chwilę wyglądał tak, jakby rozważał obrócenie karabinu w moją stronę, ale podniósł dłoń i wskazał atrium.

– Jest tam, na ścianie! – zawołał.

Przemknąłem do nich i zatrzymałem się na kolanach.

– Jesteś z floty – skomentował.

– Jestem – potwierdziłem. – Przylecieliśmy za Dryblasami. Razem z paroma przyjaciółmi.

Obaj cywile byli ubrani w szarozielone mundury wyglądające jak wzięte z programu historycznego w sieciowizji. Na kołnierzykach mieli oznaczenia stopnia z dawnej hierarchii USA, sprzed reformy ujednocniającej, którą wprowadzono cztery lata temu. Jeden nosił trzy szewrony sierżanta, a drugi pojedynczy szewron szeregowego. Posługiwali się staroświecką bronią na naboje: stuletnim M4 z niemal zupełnie startym lakierem na metalowych elementach oraz karabinem z lunetą i dźwignią umożliwiającą ręczną obsługę zamka.

– Przyjaciółmi – powtórzył, przyglądając się żołnierzom SOZ. – Tacy zwykle nie zachowują się tu przyjaźnie.

– Macie tu więcej ludzi?

– Jeszcze jeden zespół ogniowy na galerii dziewiątego piętra. Około dwudziestu

ochotników. Ale bez broni wielkokalibrowej. Wezwaliśmy posiłki, ale jeszcze nie dotarły.

– Skąd w ogóle jesteście? – spytałem.

– Brygada Lazarus.

– Co to, kurwa, jest?

– Milicja – odrzekł, jakby odpowiedź była oczywista. – Spytaj tamtych. Wykonujemy to, co oni powinni robić od dawna.

– Przestań się tam udzielać towarzysko, Andrew – odezwała się Fallon na kanale oddziału. – Mamy zadanie. Zerknijcie na tego obcego skurwysyna.

Dwóch żołnierzy podbiegło do miejsca, gdzie kończył się nawis galerii pierwszego piętra, i wyjrzało w górę. Tak-łączy natychmiast zaktualizowało nasze wyświetlacze hełmowe, pokazując trójwymiarowe odwzorowanie Dryblasa wiszącego na ścianie atrium dziesięć pięter nad nami. Całym oddziałem wybiegliśmy na otwarty teren, uchylając się przed spadającym żwirem i gruzem.

– Już się chyba tak dobrze nie bawi – stwierdziłem, widząc Dryblasa na własne oczy. Pełznął, a przynajmniej próbował pełznąć po wewnętrznej ścianie atrium, używając galerii jako punktów oparcia dla dłoni i stóp, jednak rozmiar i masa działały na jego niekorzyść. Obserwowaliśmy, jak próbował się chwycić i wyrwać wielkie bryły betonu, które z tępym hukiem upadały przed nami na ziemię. Z jednej z wyżej położonych galerii dobiegała skoordynowana palba karabinowa, zapewne prowadzona przez oddział milicji, słyszeliśmy też sporadyczne pojedyncze strzały z innych balkonów. Obcy poruszał się powoli i niezdarne. Jego skóra poznaczona była licznymi otworami i śladami przypalenia.

– Wyrzutnie MARS – poleciała Fallon. – Zestrzelcie skurwiela, tylko zostawcie mu miejsce. Gdy spadnie, roztrzaska się w trzy dupy. Na mój znak.

Zwiększyła głośność systemu audio w swoim pancerzu i znów nadała komunikat w stupiętrową przestrzeń nad nami:

– Przerwać ogień, przerwać ogień. Będziemy strzelać rakietami. Odsuńcie się od atrium. Uwaga, eksplozja!

Palba cywilów ucichła. Fallon wyciągnęła rękę w stronę Dryblasa.

– Trzy, dwa, jeden, ognia!

Cztery rakiety wyprysnęły z wyrzutni i pomknęły ku obcemu szukającemu na ścianie oparcia niczym jakiś gigantyczny pająk. Tym razem nikt nie chybił. Cztery głowice przeciwpancerne wbiły się od dołu w cielsko Dryblasa i oderwały go od muru niczym największa na świecie łapka na muchy.

– W tył! – krzyknęła Fallon, ale nikogo nie trzeba było ponaglać. Rzuciliśmy się pod nawis galerii po przeciwnej stronie atrium. Dryblas wrzasnął. Dźwięk nabierał mocy i odbijał się w ogromnej betonowej rurze, aż w końcu wydawał się dobiegać z każdej strony. Obcy miotał się, próbując się czegoś złapać. Zdołał chwycić wrzecionowatą dłońią krawędź galerii na wysokości około dwudziestego piętra, ale beton nie wytrzymał takiej masy i trzymetrowy odcinek barierki oderwał się, po czym spadł wraz z obcym na ziemię w przerażającym pokazie nieuchronności grawitacji.

Gdy Dryblas zderzył się z betonową powierzchnią atrium, miałem wrażenie, jakbyśmy znaleźli się w epicentrum trzęsienia ziemi. Wszyscy członkowie oddziału stracili równowagę i potoczyli się po ziemi. Odgłos uderzenia zabrzmiał jak eksplozja głowicy termobarycznej. Czułem, że grunt się podę mną zapada. W całym wysokościowcu pękały szyby, a meble przemieszczały się z hałasem. Obcy wydał jeszcze jeden wrzask, przeturlał się i znieruchomiał.

Żołnierze nie pozostawiali nic przypadkowi. Zerwaliśmy się na nogi i zaczęliśmy strzelać w leżące cielsko z broni, która akurat wpadła nam w ręce. Po chwili cywile z górnych pięter dołączyli z własną palbą i przez jakieś dziesięć czy dwadzieścia sekund słycać było kakofonię nieskoordynowanej szaleńczej strzelaniny, której zadaniem było ładowanie pocisków w cel. Pozostający w oku cyklonu Dryblas nawet nie drgnął.

– Przerwać ogień – rozkazała Fallon na kanale oddziału. – Przerwać ogień. Wystarczy.

Wojskowi natychmiast przestali strzelać, cywilna palba zaś cichła stopniowo.

– Halley, drugi cel zlikwidowany – wydyszałem na kanale wsparcia lotniczego. – Zajęliśmy się tym z atrium. A jak wasza sytuacja?

Dopiero po chwili odpowiedziała na moje wywołanie i wydawała się bardzo zestresowana.

– Trzeci obcy też padł. Drugi i trzeci oddział poniosły straty, a mnie skończyły się ładunki do działek. Wyjdźcie stamtąd, jeśli możecie.

– Tak zrobimy – odrzekłem, po czym przełączyłem się na kanał oddziału. – Pozostali potrzebują pomocy z rannymi. Przegrupujmy się na zewnątrz.

– Pierwszy oddział, zbieramy zabawki i spadamy – powiedziała Fallon. – Idziemy wschodnim wyjściem.

Na zewnątrz noc rozbrzmiewała chaotycznymi hałasami. Alarmy kompleksu mieszkalnego odzywały się nieprzyjemnymi syrenami. Ludzie wylewali się na plac pomiędzy czterema wieżowcami, albo by uciekać, albo też przyglądać się, co się dzieje. W oddali słycałem odgłosy strzałów, znajomy rumor karabinów M-80 wypuszczających ciężkie, przeciwpancerne pociski. Desantowiec Halley z rykiem silników krążył nad kompleksem, jasnymi smugami szperaczy smagając potrzaskany kadłub kapsuły nasiennej. Widok tyłu cywilów na placu, w tym wielu uzbrojonych, wzbudzał we mnie większy strach niż perspektywa starcia z kolejnym Dryblasem. Gdy ostatni raz byłem w Detroit, jakieś piętnaście, dwadzieścia kilometrów na wschód podobny tłum na równych warunkach walczył z doświadczonym oddziałem Armii Terytorialnej i niemal zabił nas wszystkich. Gdyby zgromadzeni tutaj uznali, że pomimo zagrożenia ze strony Dryblasów nie jesteśmy tu mile widziani, czekały nas bardzo nieprzyjemne chwile.

Kiedy obróciłem się, by zalecić Fallon wycofanie się do budynku i przejście na dach, skąd mogłaby nas zabrać Halley, z korytarza wychodziła już kolejna grupa cywilów. Nie tak liczna, ale w większości również uzbrojona, i nie zdołalibyśmy

się przez nich przebić, nie wszczynając walki.

Powietrze przeszył głośny, udręczony zgrzyt, organiczny, a nie sztuczny. Brzmiał, jakby ktoś ujął oburącz kość ogromnego kurczaka i powoli ją łamał.

– Widzę jakiś ruch przy wraku – nadała Halley do plutonu. – O cholera. Wyłażą kolejni.

Z naszej pozycji po wschodniej stronie budynku widzieliśmy jedynie czubek rozbitej kapsuły Dryblasów. Reszta znajdowała się za rogiem, dobiegał jednak stamtąd odgłos darcia i nie zwiastował nic dobrego.

Halley włączyła głośniki i poniósł się jej wzmocniony tysiącrotnie głos:

– Niech wszyscy opuszczą plac i znajdą schronienie! – zagrzmiała. – Wrak nie jest pusty!

Szmary przeszły przez tłum niczym fala. Niektórzy posłuchali ostrzeżenia i próbowali wrócić do budynków, lecz zostali odepchnięci przez ludzi, którzy postanowili zostać i przyjrzeć się bliżej.

Zaczęliśmy biec w stronę narożnika, gdzie dziób kapsuły wyrył bruzdę w betonie. Nie przebyliśmy nawet połowy drogi, gdy fragment burty oderwał się gwałtownie i poleciał przez chłodne nocne powietrze. Wylądował na dziesięciometrowym ogrodzeniu całego kompleksu, odbił się od niego, zostawiając głęboką szramę w betonie, i spadł na ziemię na samym skraju placu.

Z wraku wygramolił się kolejny Dryblas. Nastroje wśród zgromadzonych w ciągu zaledwie kilku sekund zmieniły się z ciekawości i niepokoju w całkowitą panikę. Tłum cofnął się – tym razem w jednym kierunku, jak najdalej od obcych.

Nagle kadłub kapsuły zadrżał i wyłonił się z niego następny Dryblas, rozprostowując kończyny i wypelzając ze zniszczonego pojazdu niczym wielki owad opuszczający śmietnik. Zsunął się po burcie i z hukiem wylądował stopami na betonie.

Rozległa się palba, gdy część uzbrojonych cywilów zaczęła strzelać do obcych. Nie mogłem im przekazać, że na nic się to nie zda, ponieważ nie mieli sprzętu łącznościowego. Zresztą nawet gdyby mieli, raczej by mnie nie posłuchali. Kanonada zwiększała głośność, gdy dołączało do niej coraz więcej osób. Dryblasy wyglądali na niezdecydowanych, zupełnie jakby obudzili się z drzemki i jeszcze nie do końca wiedzieli, co się dzieje. Możliwe też, że onieśmiał ich widok tak wielu stłoczonych przed nimi ludzi. Obcy znajdujący się na czele wydał przenikliwy wrzask i zaczął kroczyć w stronę placu. Jego towarzysz po chwili poszedł w jego ślady.

– Rakiety MARS! – ryknęła Fallon.

Wiedziałem, że zabraliśmy mniej więcej dwie rakiety na każdą wyrzutnię i że większość naszych zapasów zużyliśmy już na jednego wroga, ale nie mieliśmy innego wyboru, poza ucieczką i pozwoleniem, by Dryblasy zrobiły tu masakrę.

Podrzuciłem do ramienia M-80, który wydawał się absurdalnie nieodpowiedni do sytuacji, po czym wyciągnąłem parę nowych ładunków i wsunąłem je do komór. Obok mnie nasi czterej operatorzy MARS-ów przyklęknęli i wycelowali w bliższego Dryblasa, oddalonego o pięćdziesiąt metrów. Hałas i chaos wokół nas osiągnęły apokaliptyczne rozmiary.

– Na mój znak. Trzy, dwa, jeden, ognia! – krzyknęła Fallon. Cztery wyrzutnie wypuściły swą zawartość i trafiony obcy przewrócił się, wymachując kończynami.

Usłyszałem grzmiące staccato ciężkiego karabinu maszynowego. Nad placem i głowami tłumu przemknęły smugowce. Leciąły w stronę Dryblasów i odbijały się od ich twardych skór, czemu towarzyszyły iskry i obłoczki dymu. Obejrzałem się w poszukiwaniu źródła ognia i dostrzegłem karabin na trójnogu, ustawiony na dachu jednego z niskich budynków administracyjnych na środku placu. Obsługiwali go ludzie w takich samych szarozielonych mundurach jak członkowie milicji, których spotkałem w atrium. Brygada Lazarus. Przez chwilę wróciłem myślami do gorącej letniej nocy przed pięcioma laty, kiedy to podobny karabin strącił jeden z naszych okrętów desantowych i zabił połowę mojego oddziału, gdy ruszyliśmy na pomoc pilotce.

Wszyscy prażyli już teraz w obcych: żołnierze SOZ, uzbrojeni cywile oraz umundurowani milicjanci obsługujący samoczynny karabin zasilany taśmą. Ładowałem i strzelałem, ładowałem i strzelałem, raz za razem, aż wyczerpałem zapasy. Dryblasy cofali się pod naporem kierowanej w ich stronę amunicji. Przycupnęli przy murze kompleksu, czując się bezpieczniej bliżej siebie. Po chwili zaczęli przechodzić przez mur, który sięgał im zaledwie do tułowia.

– Uwaga, nadlatuję! – zawołała Halley na kanale plutonu.

– Myślałem, że nie masz już amunicji do działka! – odkrzyknąłem.

– Bo nie mam – odparła. – Ale mam siedemdziesiąt ton rozpędzonych do prędkości pięciuset węzłów.

W szoku niemal upuściłem karabin.

– Nie! – wrzasnąłem. – Nie rób tego.

Słyszany dotąd z oddali wizg silników Ważki zwiększył natężenie i głośność. Dobiał od wschodu i wydawał go okręt desantowy z otwartą do końca przepustnicą, zdecydowanie przekraczający prędkość dźwięku. I nagle pojawił się na niebie między dwoma wschodnimi wieżowcami, z rozpalonymi silnikami. Halley skręciła gładko i elegancko, po czym pomknęła prosto między wysokościami. Rozległ się stłumiony huk i Ważka Delta Pięć przeleciała nad placem niczym wielki pocisk, by wbić się w mur, na który wspinali się obcy.

Kula ognia, która rozkwitła w miejscu katastrofy, podświetliła cały plac wściekłym odcieniem pomarańcza. Dryblasy zniknęli w pożodze, odepchnięci przez siłę zderzenia z energią rzędu milionów dżuli, czyli znacznie więcej niż wszystkie rakiety MARS, które wcześniej wykorzystaliśmy.

Nie mogłem nawet znaleźć w sobie siły, by krzyżeć, płakać albo robić cokolwiek innego, niż tylko spoglądać w płomienie i ogromną szczelinę, którą desantowiec wyrwał w zewnętrznym murze. Fala gorąca z eksplozji przetoczyła się po placu i po mnie, lecz nawet nie drgnąłem, gdy hełm automatycznie zasunął wizjer, by ochronić mi oczy.

– Niezłe katapultowanie – na kanale oddziału usłyszałem głos Fallon. – Naprawdę niezłe. Cholera, to godne prawdziwej wojowniczkii.

Podniosłem wzrok i na niebie za uszkodzonym wysokościami ujrzałem

potrójny biały spadochron floty, na którego linkach wisiał moduł awaryjny kokpitu.

Ulga, którą nagle poczułem, sprawiła, że ugięły się pode mną kolana i usiadłem ciężko na betonie. Fallon podeszła do mnie, wciąż trzymając skierowany w dół karabin. Zdjęła z niego jedną dłoń i poklepała mnie po ramieniu.

– Uspokój się, Romeo. Nic jej nie jest.

– Czy moglibyśmy już zrobić sobie przerwę w niszczeniu różnych rzeczy poprzez wlatywanie w nie? – krzyknąłem, a Briana roześmiała się, odchodząc.

Kapsuła awaryjna upadła na ziemi niczyjej pomiędzy osiedlami DZK, w miejscu, gdzie nie wyburzono do końca starego Detroit, a nowe jeszcze nie wyrosło zamkniętymi kompleksami. Spadochron i moduł kokpitu znaleźliśmy pięćset metrów za murem. Gdy tam dotarliśmy, Halley odpaliła już ładunki wybuchowe pozwalające rozdzielić obie połowy modułu. Siedziała w gruzach na kawałku materiału, który ocalił jej życie.

– To najgorszy miesiąc miodowy w historii – oznajmiła, gdy do niej podbiegłem.

– Mam ochotę ci za to przyłożyć – powiedziałem.

Spojrzała na mnie ze znużonym uśmiechem.

– Nie rób tego – odparła, lekko kpiącym tonem powtarzając moją ostatnią prośbę na kanale. – Wiem, jak i kiedy użyć dźwigni katapultowania. Nie jestem idiotką.

Wyciągnąłem rękę, by pomóc jej się podnieść.

– Chyba jesteśmy teraz kwita – uznałem.

Gdy wróciliśmy na plac, przed budynkiem administracyjnym stały pojazdy opancerzone, a przynajmniej setka milicjantów w szarzielonych mundurach zabezpieczała teren oraz kierowała cywilami. Nigdzie nie było widać pozostałych dwóch oddziałów z plutonu Fallon. Jacyś milicjanci zauważyli nas, gdy wchodziliśmy na plac, i podjechały w naszą stronę dwa pojazdy z zamocowanymi na dachach ciężkimi karabinami maszynowymi.

– No jasne – stwierdziła Fallon. – Teraz się pokazali, gdy odwaliliśmy już całą robotę.

Wozy opancerzone zatrzymały się i ich zdalnie sterowane wieżyczki obróciły się, by mieć nas na celu. Unieśliśmy lekko dłonie, odsuwając je od broni.

Otworzyły się tylne włazy, wypuszczając kolejnych milicjantów, którzy ustawili się półkolem wokół naszej grupy. Następnie uchyliła się kłapa nad siedzeniem pasażerów jednego z transportowców i wysoka czarnoskóra żołnierka wysunęła górną połowę ciała.

– Odłóżcie broń i hełmy na ziemię – oznajmiła.

Halley pstryknęła kłamrę zabezpieczającą kaburę na nodze, wyciągnęła

pistolet i rzuciła go na beton przed nami. Popatrzyła na mnie i wzruszyła ramionami.

– Ich teren – stwierdziła.

– Siły Obrony Ziemi nie oddają tak łatwo broni – rzekła Fallon. – Nie zamierzam dać się związać, by ktoś zastrzelił mnie jak psa w jakiejś brudnej piwnicy.

Milicjantka skinęła Halley głową.

– To chyba prawda, co mówią o selekcji – powiedziała. – Wszyscy inteligentni idą do floty.

W jej twarzy było coś, co zwróciło moją uwagę. Wciąż panował mrok, a ona znajdowała się w odległości trzydziestu metrów, ale dostrzegłem na jej policzkach tatuaż, niezwykle plemienny wzór. Widziałem go już. Pięć lat temu.

– Kapral Jackson? – spytałem.

Drgnęła. Zdjąłem hełm i położyłem go u stóp.

– Grayson – oznajmiłem. – Służyliśmy razem w Trzysta Sześćdziesiątym Piątym sbp.

Kobieta, którą znałem przed pięcioma laty, wygramoliła się z pojazdu i podbiegła do nas lekkim truchtem. Miała na sobie taki sam mundur polowy jak inni członkowie milicji, a na kołnierzyku nosiła złote liście oznaczające stopień majora.

– Zgadza się, służyliśmy – odrzekła, uśmiechając się nieznacznie. – Zgadza się. Wygląda na to, że to noc pełna niespodzianek.

– Oj, jeszcze nic nie widziałaś. – Fallon zdjęła hełm i wyszczerzyła zęby w uśmiechu. – Pieprzona Kameelah Jackson. Nadal masz ten kretyńsko wielki nóż, który wszędzie ze sobą targałaś?

Jackson roześmiała się głośno. Wciąż miała idealnie proste i śnieżnobiałe zęby.

– Owszem, pani sierżant. Jest w wozie. – Spoważniała nagle. – Mimo wszystko musimy zebrać waszą broń i sprzęt łącznościowy.

– Jesteśmy jeńcami? – spytała Halley. – W końcu właśnie uratowaliśmy wam tyłki. To chyba powinno coś znaczyć, prawda?

– Nie jesteście jeńcami – odparła Jackson. – Przekazujecie donację na naszą sprawę. I nie – powiedziała do Fallon – nie zwiążemy was, by zastrzelić jak psa w jakiejś brudnej piwnicy. Zostawcie więc wreszcie broń, a później usiądziemy, by porozmawiać na spokojnie.



Milicjanci uprzejmie i zaskakująco profesjonalnie odeskortowali nas na tył jednego z pojazdów opancerzonych. Oddaliśmy cały osprzęt komunikacyjny oraz broń, a kapral Jackson – miałem problem z myśleniem o dawnej towarzysze z oddziału jako o majorze – zebrała wszystko i wprawnie wyłączyła elektronikę.

– Jak w ogóle wylądowałaś w tej zgrai? – zapytała Fallon, gdy wchodziliśmy do wozu.

– Długa historia – odparła Jackson. – Pięć lat temu po Detroit zaczęłam szukać ludzi, którzy zastawili wtedy na nas pułapkę. I znalazłam ich.

Zaczekała, aż wszyscy zajmiemy miejsca, po czym sama przypięła się do uchylonego siedziska najbliżej wjazdu i sterującego nim panelu.

– To zabawne. Szukałam ich, by wszystkich zabić. Za Strattona i Pattersona.

Skinąłem głową, gdy na mnie spojrzała. Stratton i Patterson zginęli tej samej nocy, kiedy Fallon straciła nogę, a ja zostałem ranny. Był to mój ostatni desant z Armią Terytorialną, zanim przeszedłem do floty, i od tej pory nie zdarzył się tydzień, bym nie wracał do tej bitwy w snach, a czasami również na jawie.

– Ale nie zabiłaś – rzekłem.

– Nie – odpowiedziała i znów wykrzywiła wargi w tym tajemniczym uśmiechu, który dobrze pamiętałem. – Nie zabiłam. Owszem, zamierzałam. Wtedy zostałam pojmana i poznałam generała. Był wówczas pułkownikiem.

– I przekonał cię, żebyś do niego przystąpiła? Ty, Kameelah Jackson, najtwardsza kapral w całym Trzystu Sześćdziesiątym Piątym? – Briana zachichotała. – Facet jest przekonujący, muszę mu to przyznać.

– Okazuje się, że przez wszystkie te lata strzelaliśmy do niewłaściwych ludzi – oznajmiła Jackson. – Nie wstydzę się przyznać, że się myliłam. W wielu kwestiach.

– Czyli teraz jesteś prawą ręką generała? – spytałem.

Spojrzała na mnie i błysnęła uśmiechem.

– Między innymi – odparła. – Między innymi.

Opancerzony transportowiec toczył się niemal godzinę. Bez sprzętu na pozbawionym okien tyle byliśmy jak ślepcy, choć nawet gdybym dysponował widokiem, nie orientowałbym się w Detroit. Gdy pojazd wreszcie się zatrzymał, Fallon spała, a przynajmniej udawała. Sam byłem zmęczony po ostatnich dniach wypełnionych walką oraz ciąglym strachem przed śmiercią i miałem ochotę na sen, ale niespokojny mózg mi na to nie pozwalał. Gdy ostatni raz przebywałem tu pośród tych samych ludzi, nie odszedłem na własnych nogach. Zostałem ewakuowany drogą powietrzną z dwiema fleszetami w lewym boku.

Tylny wjazd wozu otworzył się, ukazując duży podziemny garaż pełen ekwipunku i części pojazdów. Milicjanci w mundurach kręcili się lub pracowali przy sprzęcie. Wyszliśmy po kolei ze środka i rozprostowaliśmy nogi.

– Tędy – poinformowała Jackson, wskazując koniec pomieszczenia. Halley i ja wahaliśmy się przez chwilę, a Jackson wywróciła oczyma. – Nie ma tu żadnych podziemnych sal egzekucyjnych – rzekła. – Daję wam słowo, że nie strzelimy wam w tył głowy.

– Nie o to się martwiłem – skłamałem.

– Zamykamy was na noc – oznajmiła. – Dla waszego bezpieczeństwa. Lepiej, żebyście nie pokazywali się na ulicach w tych mundurach. Weźcie prysznic i prześpijcie się, jutro porozmawiamy.

– Chcę zostać z moim mężem – powiedziała Halley, przysuwając się do mnie. – Jeśli teraz nas rozdzielicie, będzie problem.

– Oczywiście, że możecie zostać razem – odparła Jackson. – Jesteśmy

cywilizowani.

Rozdział 26

Brygada Lazarus

Obudziłem się na wojskowym łóżku polowym. Halley leżała obok mnie i wciąż spała, oddychając głęboko i miarowo. Nie znajdowaliśmy się pod ziemią. Przez okno wlewało się światło, uwydatniając brud na podłodze i obłazącą farbę na ścianach. Opaski, które mieliśmy na oczach, gdy prowadzili nas tu w nocy, leżały obok łóżka. Spędziłem wystarczająco wiele czasu w budownictwie komunalnym, by wiedzieć, że trafiłem do mieszkania gdzieś w DZK.

Ostrożnie wyswobodziłem się z objęć Halley i wstałem. Jediną rzeczą, jaką zdjąłem z siebie w nocy, była bluza mundurowa, wisząca obok na oparciu krzesła przymocowanego nitami do podłogi.

Włożyłem ją i rozejrzałem się. Przez okno widziałem słońce wschodzące nad pobliską rzeką i odbijające się w setkach okien wysokościowców DZK, zgrupowanych nad brzegiem po cztery.

Podkomendni kapral/major Jackson zeszłej nocy obszukali nas sprawnie, zabierając całą broń i wszystko, co mogło zostać użyte do łączności, ale zostawili mi futerał z dokumentami osobistymi, a w nim prostą aluminiową obrączkę. Po raz pierwszy od kilku lat nie miałem na szyi nieśmiertelników, które skonfiskowano, ponieważ zawierały lokalizator mogący przywołać ekipę ratunkową, gdyby jakaś jednostka floty znalazła się wystarczająco blisko, by wychwycić sygnał.

Wnęka kuchenna zawierała jedynie kilka plastikowych kubków w szafce, a obok nich paczkę sojowej kawy. Nalałem do jednego trochę wody, dodałem kawowy proszek i włożyłem do podgrzewacza na trzydzieści sekund, tak samo jak lubiłem robić w domu, gdy wciąż byłem ograniczony do wyłącznie sojowych produktów.

Gdy kawa była gotowa, podszedłem z kubkiem do okna i znów wyjrzałem na rzekę, biorąc łyk. DZK wyglądała niemal spokojnie. Kawa okazała się paskudna, lecz w jej idealnej ohydności odkryłem coś kojącego.

Halley obudziła się niedługo później i przeciągnęła na łóżku niczym kotka po drzemce w słońcu.

– Pachnie okropnie – skomentowała.

Usiadłem na skraju polówki. Halley wyciągnęła rękę, podałem jej kubek, by spróbowała.

– Smakuje też okropnie – powiedziała, krzywiąc się.

– Nieudany miesiąc miodowy – rzekłem. – Kiepska noc poślubna. Najgorszy hotel w historii.

– Nieźle wróży na przyszłość – stwierdziła i uśmiechnęliśmy się do siebie jak wariaci.

Pół godziny po tym, jak skończyłem kawę, rozległo się pukanie.

Spojrzałem na Halley i uniosłem brew.

– Proszę – powiedziałem w stronę drzwi.

Rozległo się mechaniczne stuknięcie topornego zamka i drzwi się otworzyły. W korytarzu ujrzałem dwóch stojących na straży milicjantów z pistoletami przy pasach. Do środka wszedł wysoki czarnoskóry mężczyzna. Miał na sobie taki sam szarozielony mundur jak wszyscy, lecz insygnia wskazywały, że był jednogwiazdkowym generałem – z dawną pięcioramienną gwiazdką, a nie tą po reformie, o czterech wierzchołkach i wpisaną w złoty wieniec. Postawa generała wyrażała większy autorytet niż symbole na kołnierzyku. Był szczupły, włosy miał ścięte na regulaminowego jeża, lekko siwiejące na skroniach. Wojownik, nie gryziopiórek. Nie nosił żadnych odznak, jedynie naszywkę z nazwiskiem Lazarus.

– Dzień dobry – powiedział. – Mam nadzieję, że choć trochę wypoczęliście. Ostatniej nocy sporo się działo.

– Dzień dobry – odrzekła Halley. Ja jedynie skinąłem głową.

– Jestem generał Lazarus – oznajmił. – Dowodzę tym, co ludzie określają jako Brygadę Lazarus. – Uśmiechnął się nieznacznie. – Byłem przeciwny tej nazwie, ponieważ kojarzy się z kultem jednostki i z definicji ogranicza nasze możliwości rozwoju, ale muszę przyznać, że ładnie brzmi. Czy mogę usiąść?

– Jest pan u siebie – odparłem, wskazując krzesło. Lazarus nie był uzbrojony, przynajmniej nie w widoczny sposób, ale wiedziałem, że atak na niego okazałby się kiepskim pomysłem, nawet jeśli nie brać pod uwagę wartowników przed drzwiami. Zachowywał się jak weteran. Nie wykonywał zbędnych ruchów i kojarzył się z ciasno zwiniętą sprężyną schowaną pod zwodniczo gładką powierzchnią, co mówiło mi, że gdy nosił mundur oficjalnej armii, zajmował się niebezpiecznymi rzeczami.

– Pozwólcie, że zacznę od wyrażenia wdzięczności za nocną obronę DZK – powiedział, siadając. – Ryzykowaliście własne życie i zapewniliście nam czas na zebranie sił oraz opanowanie sytuacji.

– Zatem dlaczego nas zatrzymaliście? – spytała Halley. – Pozbawiliście broni i sprzętu. Nawet gdybyśmy chcieli, nie moglibyśmy powiedzieć reszcie floty, gdzie się znajdujemy.

– Obawiam się, że to standardowa procedura. Broń wykorzystamy do własnych potrzeb, a nie możemy pozwolić wam skontaktować się z flotą lub SOZ i zdradzić naszej lokacji. Nie jesteście jednak jeńcami, a gośćmi.

– Zatem możemy odejść? – zapytałem. – Już teraz?

– Możecie – odrzekł Lazarus. – Musielibyśmy zakryć wam oczy i przetransportować w bezpieczne miejsce odbioru, ale owszem, wolno wam odejść. Proszę jednak, abyście najpierw rozważyli wysłuchanie mnie.

– Jeśli to przesłuchanie, to muszę przyznać, że wyjątkowo dziwaczne –

skomentowała Halley.

– To nie przesłuchanie – odparł generał. – Tylko propozycja pracy. Szansa zmiany ścieżki kariery.

Roześmiałem się i założyłem ręce na piersi.

– O rany. A myślałem, że w tym tygodniu nie wydarzy się już nic dziwniejszego.

– Mieliśmy dość skomplikowane relacje z zarządem DZK – zaczął wyjaśniać Lazarus. – Z początku kierowali przeciwko nam Armię Terytorialną. Później, gdy za bardzo urosiliśmy w siłę, by dało się nas zdusić, pozwolili nam zajmować się własnymi sprawami. Przynajmniej dopóki utrzymujemy ciszę i spokój.

– Wczoraj z orbity nie widzieliśmy zbyt dużo ciszy i spokoju – rzekłem.

– DZK są w stanie rebelii – odparł. – Te, w których nie ma Brygady Lazarus albo jej odpowiednika, niszczą siebie same i sąsiednie. Resztki floty pozostałe po bitwie o Marsa niedawno zniknęły z orbity bez żadnego ostrzeżenia czy wyjaśnienia. Jeśli chodzi o Siły Obrony Ziemi... Cóż, chyba dobrze wiemy, w co zamieniły się w ostatnich latach. I tak nigdy nie zależało im na obronie DZK. Rząd WPA zostawił nas całkowicie własnemu losowi. Możecie zostać w swoich formacjach i przywyknąć do tego, że będziecie dalej wykorzystywani w tym, co zostało z politycznej maszyny, albo też możecie służyć Wspólnocie tu, na jej terenie, w sposób bezpośredni i bez biurokracji dbającej wyłącznie o swoje interesy. Nie mogę wam obiecać premii emerytalnej, ale zapewniam żywność, miejsce do odwieszenia czapki, swobodę ruchu i cel.

Halley i ja popatrzyliśmy po sobie. Wyglądała na równie osłupiałą, jak ja się czułem.

– Brygada Lazarus składa się z weteranów – ciągnął generał. – Nie wyłącznie, ponieważ nie ma ich tak wielu, ale przynajmniej na większości stanowisk dowódczych. Niemal wszyscy nasi oficerowie są weteranami, podobnie jak około połowa podoficerów. Reszta została zwerbowana z DZK i wyszkolona lokalnie. Wykonujemy pracę, którą bataliony SOZ przestały się zajmować już dawno temu. Pełnimy obowiązki policji i sił obrony przed zagrożeniem zewnętrznym. Obsługujemy infrastrukturę i sieć łączności z innymi DZK. Nigdy nie mamy jednak nadmiaru ludzi i zawsze potrzebujemy doświadczonych weteranów o wymaganych umiejętnościach.

Wstał z krzesła i podszedł do okna. Na zewnątrz DZK budziła się do codziennych spraw. Miliony ludzi żyły z dnia na dzień, od jednej racji żywnościowej do następnej.

– Dryblasz wrócą tu wcześniej czy później. Nie mogę liczyć, że obronią nas żołnierze Sił Obrony Ziemi. Zeszłej nocy nie zrobili absolutnie nic, choć w promieniu trzydziestu minut lotu stąd mają trzy bazy. Gdy, bo przecież nie jeśli, wróg znów się tu pojawi, będziemy zdani wyłącznie na siebie. Potrzebujemy ludzi, którzy potrafią wyszkolić innych do walki z tymi istotami. – Popatrzył na Halley. – Porucznik Halley, jest pani pilotką okrętów desantowych i starszą instruktorką pilotażu. Mamy małą flotę desantowców i bardzo niewielu pilotów. Gdybym zdołał panią przekonać, by została pani z nami i stanęła na czele naszej szkoły lotniczej, mogłaby pani stworzyć od początku własny program. – Zwrócił

się do mnie. – A pan, sierżancie sztabowy Grayson, wywodzi się z piechoty i zawsze potrzebujemy takich ludzi. Ponadto jest pan wykwalifikowanym kontrolerem walki, a w naszych szeregach nie ma nikogo o takich umiejętnościach. Oboje bylibyście oficerami, jeśli coś takiego ma dla was znaczenie. Porucznik Halley, w brygadzie zostałaby pani majorem. Sierżancie Grayson, pan byłby porucznikiem. Albo chorążym, jeśli woli pan zostać podoficerem. Niektórzy tak preferują.

– Gdzie pan służył? – spytałem. – Pan również był żołnierzem liniowym, prawda? Marines? – zaryzykowałem.

– Marines – z uśmiechem potwierdził Lazarus. – Od dwa tysiące osiemdziesiątego do dwa tysiące sto szóstego. Byłem podpułkownikiem piechoty.

– Kto mianował pana na generała w tej jednostce? – chciała wiedzieć Halley.

– Ludzie – odrzekł Lazarus. – Czuję się bardziej zaszczycony tym gestem niż srebrnymi liśćmi dębu, które dał mi korpus.

Znów popatrzyliśmy po sobie. Halley uśmiechnęła się leciutko i wzruszyła ramionami. Cholera wie, mówił ten gest.

– Czy możemy to przemyśleć? – zapytałem.

– Oczywiście – odparł generał. – Moja propozycja obowiązuje, dopóki nie poprosicie o przewiezienie do bezpiecznego punktu odbioru. – Oстрыm, lecz oszczędnym w ruchach szarpnięciem Lazarus wyprostował przód bluzy mundurowej. – Jesteście głodni? Może wygodniej wam będzie omówić to przy śniadaniu?

– Umieram z głodu – odrzekła Halley. – Tak, poproszę. Chętnie coś zjem.

– Czy złożył już pan tę samą ofertę pani chorąży Fallon? – spytałem, a generał uśmiechnął się.

– Owszem – odpowiedział krótko. Po spojrzeniu, jakie do mnie skierował, zrozumiałem, że nic więcej nie zdradzi na temat tych negocjacji.

Lazarus i dwaj towarzyszący mu strażnicy zaprowadzili nas na parter, a później na świeże powietrze placu w kompleksie DZK. Innego niż ten, którego broniliśmy w nocy – tutaj zewnętrzny mur był nietknięty, a w narożnik jednego z wysokościowców nie wbiła się kapsuła nasienna. Z powietrza wszystkie wyglądały identycznie i bez osprzętu nawigacyjnego z mojego pancerza nie potrafiłem określić, w którym z licznych w Detroit dystryktów komunalnych się znajdowaliśmy.

Wraz z generałem udaliśmy się do centrum administracyjnego pośrodku placu. Zwykle w takich miejscach znajdowały się stanowiska dystrybucji żywności, pilnowane przez funkcjonariuszy porządku publicznego. Zobaczyliśmy otwarte budki żywnościowe, ale żadnych policjantów. Zamiast nich między cywilami kręcili się milicjanci w szarozielonych mundurach i nikt się przed nimi nie odsuwał ani nie wyzywał ich z oddali.

W stołówce panował przeciętny ruch. Kilkudziesięciu żołnierzy z brygady siedziało przy stolikach i jadło śniadanie. Generał wskazał nam miejsce w rogu pomieszczenia, gdzie dwie osoby o znajomych twarzach rozmawiały nad kaszką jęczmienną i kawą.

– Papużki nierozłączki długo dziś pospały. – Fallon upiła łyk kawy i podbródkiem wskazała ławkę po drugiej stronie blatu. Halley i ja usiedliśmy tam ze swoimi tacami.

– Poznaliście generała – rzeczowo stwierdziła Jackson.

– Owszem – przyznałem. – I właśnie odbyliśmy najdziwniejszą rozmowę, odkąd opuściłem DZK i włożyłem mundur.

– Moja była dziwniejsza – odrzekła Fallon.

– Zwyciężyliśmy? – spytała Halley. – To znaczy wiem, że tutaj skopaliśmy Dryblasom tyłki, ale z orbity spadało znacznie więcej kapsuł.

– Nie mogę nic powiedzieć o DZK, w których nie ma brygady – odezwała się Jackson – ale w tych, które kontrolujemy, udało się wygrać. Choć walka była zaciekła.

– Nie wątpię – powiedziałem. – Ilu straciliśmy w nocy?

– Troje – odparła Briana. – Sanborn, Cameron, Bardo. Kolejnych ośmioro jest rannych.

– Słono zapłaciliśmy – uznałem. – Ale wszyscy się dobrze spisali, zwłaszcza że mieli zerowe doświadczenie w starciach z Dryblasami.

– Oj tam. To po prostu walka piechoty. Strzelaj do tych z przeciwka, dopóki nie padną. Nawet miejscowi spisali się nieźle, jak na bandę ledwo wyszkolonych cywilów i garstkę weteranów bez formy. Wyobraź sobie, co mogliby zdziałać przy odrobinie treningu i z lepszą bronią niż te antyki, z których muszą korzystać. Na własnym terenie zdecydowanie nie brakuje im motywacji.

Popatrzyłem na Brianę. Odwzajemniła spojrzenie z odrobiną rozbawienia w oczach. Coś w jej zachowaniu mówiło mi wyraźnie, jaką podjęła decyzję, gdy generał złożył jej tę samą propozycję co nam.

– Zostajesz – stwierdziłem. – Zostajesz z brygadą. Nie wracasz do Sił Obrony Ziemi.

– Siły Obrony Ziemi praktycznie wykopały mnie ze swoich szeregów, zanim jeszcze porzuciły nas na tym lodowym księżycu. – Upiła kolejny łyk kawy i ostrożnie odstawiła plastikowy kubek. – Poza tym uważam, że muszę odpokutować parę rzeczy. Równie dobrze mogę to zrobić tutaj, w znanym miejscu.

– A jaką rangę będziesz mieć w brygadzie? – zapytałem. – Będziesz ich pierwszą odznaczoną Medalem Honoru. Myślę, że Lazarus zaoferował ci przynajmniej pułkownikowskie orły.

– Kurwa, nie – odrzekła. – Czy wyglądam jak pieprzony oficer? Zostaję chorążym.

– I dobrze. – Wyszczrzyłem się w uśmiechu. – Bo nie byłbym w stanie wyobrazić sobie ciebie jakoś kogokolwiek innego.

– A co z wami? Wydawało mi się, że będziecie już siedzieć w łajbie powrotnej

na lotniskowiec. Zwłaszcza pani porucznik. Bez obrazy.

– Nie obraziłam się – odparła neutralnym tonem Halley.

– Jeszcze nie zdecydowaliśmy – powiedziałem. – Nie musimy się spieszyć. Gdyby świat skończył się jutro, nie będzie to miało znaczenia. A jeśli nie skończy się jutro, też nie będzie go miało.

– To przestańcie gawędzić i zjedzcie kaszę – poleciała kapral, teraz już major Jackson. – Robi się paskudna, gdy ostygnie.

Mrugnęła do nas, po czym wstała od stołu.

– Proszę nie spóźnić się na pierwszy dzień szkolenia, pani chorąży – powiedziała do Briany i odeszła, pokonując stołówkę tym wyjątkowym, zawadiackim krokiem, który zapamiętałem sprzed lat.

– Przewyższa mnie stopniem jedna z perełek z dawnego oddziału – mruknęła Fallon nad kubkiem, ale w kącikach jej ust czaił się uśmiech. – Cóż, major Unwerth zawsze mnie ostrzegał, że tak stanie się kiedyś z moją niesubordynowaną dupą.

Epilog

Powietrze tu na górze było rześkie i czyste, przynajmniej jak na DZK. Lądowisko dla desantowców na szczycie wysokościowca wyglądało, jakby od lat nic tam nie siadało. Przycupnęliśmy na jego skraju i spoglądaliśmy na wschód, za rzekę. Słońce wspinało się po szarym niebie – nie błękitnym z powodu wiecznego smogu. Miasto miało mimo wszystko w sobie coś surowego i pięknego: kolejne rzędy kompleksów mieszkaniowych piątej generacji, setki wieżowców wyrastających po obu stronach rzeki i na dziesiątkach kilometrów kwadratowych za nią. Na ziemi między tymi blokami nie było przyjemnie, lecz tu odczuwało się niemal błogość. Wszystkie te uliczki i zaułki żyły, o każdej porze tętniły ludźmi.

– Uważam, że to szaleństwo – stwierdziła Halley. – Ale tak samo jest ze wszystkimi innymi alternatywami. Sam mówiłeś, że flota podwinęła ogon i uciekła. Jesteśmy zdani na siebie. Co tam na górze zmieniliby jeden desantowiec?

– Nie mogę uwierzyć, że w ogóle rozważasz przystąpienie do brygady – odrzekłem. – Właśnie ty.

– Nie odrzucam zupełnie tej koncepcji. – Wzruszyła ramionami. – Ciekawie byłoby rozwinąć tu od zera szkołę lotniczą. Chętnie zmierzyłabym się z takim wyzwaniem. A co z tobą? Co zamierzasz robić, jeśli wrócimy do resztek floty?

– Zgłoszę się na „Regulusa” albo „Midway”. – Również wzruszyłem ramionami. – Założę kolejną robalową skorupę. Będę wykonywał desanty bojowe. Zapewne polegnę straszliwą i bezsensowną śmiercią na jakiejś nieważnej skale w kosmosie.

– Bardzo zachęcająco to brzmi w twoich ustach – skomentowała ze śmiechem.

– Pozbierają niewidzialne drony „Indy’ego” i spróbują określić, dokąd flota zabrała dobre jednostki. Chętnie wziąłbym udział w napierdalance, która nastąpi, gdy wspólny zespół zadaniowy pokaże się tam, dokąd się ewakuowali, i zechce odebrać wszystko, co stąd zwinęli.

Myśląc o „Indianapolis” i pułkowniku Campbellu, poczułem, jakby mały, ostry nóż wbijał mi się w pierś. Zastanawiałem się, ilu członków załogi wsiadło do kapsuł ratunkowych przed ostatnią desperacką szarżą okrętu, i chciałbym poznać odpowiedź. W katastrofie „Indy’ego” straciłem jednak większość przyjaciół, a spośród tych, którzy zostali, niemal wszyscy przebywali tutaj. Choć walka z Dryblasami na Ziemi wydawała się przerażająca, była słuszna. Miałem wrażenie, że powinienem wykonywać właśnie takie zadanie. Mimo to resztki floty potrzebowały każdej pary rąk, jeśli chcieliśmy w przyszłości nie dopuścić obcych do planety.

– Nie chcę decydować w tej chwili – powiedziałem. – Nie chcę znów odejść

i udać się tam, dokąd każe mi jakiś gryzpiórek z gwiazdkami na pagonie. Z drugiej jednak strony, nie chcę po prostu naszczać na złożoną przysięgę.

– Uroczyście przysięgam służyć wiernie Wspólnocie Północnoamerykańskiej i z odwagą bronić jej praw oraz wolności jej obywateli – wyrecytowała Halley. – Nie ma tu mowy, gdzie i w jaki sposób mamy to robić. Byle bronić z odwagą. Równie dobrze możemy tutaj. Może nawet tu lepiej. Mniej gryzpiórków.

Spojrzałem na blade, rozproszone światło słońca połyskujące na powierzchni rzeki. Nad brzegiem na wietrze krążyły w oddali białe plamki: mewy szukające resztek.

– Dostałaś list – rzekłem. – Ten, za który mi przywalałaś.

– Owszem – odparła. – Przyszedł pocztą międzystacyjną.

– Zastanawiam się, czy dotarł do mamy. Posłałem przez tego samego gościa, tego samego dnia.

– Wciąż przewozili pocztę na Lunę i z powrotem, dopóki nie schrzanił się przekaźnik. To się stało dwa dni przed waszym przylotem. Jestem przekonana, że dotarł do niej.

Wsunęła dłoń w moją – jej prawą w moją prawą, a nie w tę, której jedna połowa została odstrzelona, a druga owinięta żelem leczniczym. Ciekawe, ilu lekarzy zwerbował Lazarus, pomyślałem.

– Co jej napisałeś? – spytała.

– Że ją kocham. Że dziękuję jej, iż mnie wychowała i zabrała od tak gównianego ojca. – Popatrzyłem na wschód, gdzie za horyzontem, za Nowym Jorkiem i jeziorem Champlain, leżały Góry Zielone. – Napisałem też, żeby wydostała się z Bostonu i pojechała w miejsce, gdzie ostatnio piliśmy kawę. Oraz że przyjadę tam do niej, jeśli wrócę.

– Słusznie – odpowiedziała Halley. Przyłożyła obrączkę do mojej i stuknęła lekko. – Zatem nie decydujemy jeszcze w tej chwili. Flota nie ma pojęcia, gdzie się znajdujemy. Gdybyśmy postanowili zostać z brygadą, nigdy się nie dowie. A jeśli uznamy, że wracamy, kilka tygodni nie robi różnicy. Przynajmniej nie dla nich. Chcę spędzić trochę czasu z mężem, nie sprawdzając ciągle harmonogramów ani nie zerkając na cholerny zegarek. Chcę przez chwilę po prostu żyć. A później niech świat idzie się jebać. Wtedy będziemy się tym martwić.

– Myślę, że moglibyśmy poprosić generała o tydzień czy dwa na zastanowienie i pojechać w Góry Zielone albo do Bostonu – zaproponowałem. – Potrzebuje nas bardziej niż my jego. Niech da coś na zachętę.

Ścisnąłem mocniej jej dłoń. Halley była wysoka, miała zaledwie kilka centymetrów mniej niż ja, i jej dłonie o długich, zwinnych palcach idealnie spletały się z moimi. W powietrzu czuć było zapach wody z Wielkich Jezior. Nie miałem pojęcia, ile czasu kupiło nam to, co zrobiliśmy wczoraj, ile dała ofiara pułkownika Campbella, ale wiedziałem, że mogę zdecydować, jak spędzę ten czas, i jak zareagowałby na to pułkownik.

– I tak jestem ci winien miesiąc miodowy. Porozmawiajmy z generałem.

Nie potrzebowałem innego potwierdzenia niż jej uśmiech.

Koniec

Podziękowania

Liczba osób, które w sposób bezpośredni lub pośredni przysłużyły się powstaniu książki trzymanej przez Was w rękach (w wersji papierowej lub na czytniku) jest tak obszerna, że aż pocą mi się dłonie na myśl, iż mógłbym o kimś zapomnieć.

Przede wszystkim ogromne podziękowania dla zacnej ekipy z 47North, która pracowała ze wspaniałą wydajnością (nie, z wydajną wspaniałością), aby doprowadzić do publikacji. Są to: Britt, Ben, Justin, mój redaktor prowadzący Jason Kirk i wszyscy, którzy tyrali za kulisami, aby wszystko szło gładko w Seattle. Chciałbym również podziękować Davidowi Pomerico, który nie pracuje już w 47North, ale to on sprowadził tam serię Frontlines i opiekował się mną przez trzy powieści.

Dziękuję też, odpowiedzialnej za głęboką redakcję, Andrei Hurst, która kolejny raz dopilnowała, aby tekst miał jak najmniej złych stron, a jak najwięcej świetnych.

Kolejny raz jestem winien wdzięczność Markowi Berte, mojemu konsultantowi naukowemu, który postarał się, aby przedstawiane przeze mnie teorie naukowe nie przekroczyły granic groteskowej niemożliwości.

Jak zawsze dziękuję paczce z warsztatów pisarskich Viable Paradise, moim łotrom i oprychom. Są to: Claire Humphrey, Katrina Archer, Julie Day, Chang Terhune, Jeff Macfee, Curtis Chen, Steve Kopka i Tiffani Angus. Wasze towarzystwo i wsparcie przez lata dodawały mi skrzydeł, a nasza więź jest zdecydowanie najlepszym elementem obranej przeze mnie pisarskiej ścieżki, nie licząc przelewów z tantiemami.

Dziękuję Johnowi Scalziemu, który jak zwykle nie szczędził mi swego czasu i porad, a także Elizabeth Bear i Stevenowi Gouldowi. Jesteście mistrzami Jedi dla mnie, małego padawana.

Jestem wdzięczny mojemu agentowi, Evanowi Gregory'emu, który wciąż trzyma pieczę nad moimi interesami w brutalnym świecie wydawniczym i pilnuje, bym nie podpisywał wszystkiego, co kładą przede mną ludzie.

Dziękuję załodze z Camp Daydrinker, Drużynie Pantybear: Claire, Julie, Erice Hildebrand, Ałowi Bogdanowi, Mike'owi DeLuce i Katie Crumpton. Nie skończyłem powieści na naszym wyjeździe, ale maksymalnie naładowałem wskaźnik energii pisarskiej. Poza tym zawsze fajnie jest poznawać nowych znajomych i tradycje.

I na koniec wielkie podziękowania dla moich czytelników. Kupujcie moje książki i opowiadajcie o nich innym, a ja będę dalej je pisał – to układ, który działa idealnie dla wszystkich zainteresowanych. Jestem wdzięczny za każdy e-mail, recenzję i miłe słowo. Uważam, że mam ogromne szczęście, mogąc właśnie

w taki sposób zarabiać na życie.



O autorze

Marko Kloos urodził się i wychował w niemieckim mieście Münster. Bywał żołnierzem, księgarzem, dokerem i administratorem sieci w korporacji, zanim uznał, że najbardziej w życiu chciałby robić coś twórczego.

Pisze przede wszystkim science fiction i fantasy, ponieważ pasjami uwielbia te gatunki, odkąd zaczął wydawać kieszonkowe głównie na pulpowe niemieckie serie SF. Lubi księgarnie, miłych ludzi, październik w Nowej Anglii, szkocką i długie spacery po plaży ze szkocką.

Mieszka w amerykańskim stanie New Hampshire z żoną, dwójką dzieci i wędrowną sforą bezwzględnych jamników.

COPYRIGHT © 2015 BY Marko Kloos.
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2017
COPYRIGHT © FOR TRANSLATION BY Piotr Kucharski, 2017

TYTUŁ ORYGINAŁU Angles of Attack

WYDANIE I

ISBN 978-83-7964-273-1

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Postacie i wydarzenia przedstawione w tekście są fikcyjne. Wszelkie podobieństwo do osób żyjących lub zmarłych jest przypadkowe i niezamierzone przez autora.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA Eryk Górski, Robert Łakuta

ILUSTRACJA NA OKŁADCE Dark Crayon

PROJEKT OKŁADKI Dark Crayon, black gear Paweł Zaręba

TŁUMACZENIE Piotr Kucharski

REDAKCJA Karolina Kacprzak

KOREKTA Katarzyna Pawlik, Agnieszka Pawlikowska

SKŁAD „Grafficon” Konrad Kućmiński

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ pan@drewnianyrower.com

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



swiatksiazki.pl



ZAMÓWIENIA HURTOWE

Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. sp.j.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
tel./faks: 22 721 30 00
www.olesiejuk.pl, e-mail: hurt@olesiejuk.pl



fabryka słów

WYDAWNICTWO

Fabryka Słów sp. z o.o.
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91
www.fabrykaslow.com.pl
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl
www.facebook.com/fabryka

NATARCIE

MARKO KLOOS

FRONTLINES CZĘŚĆ 3

Siadajcie wygodnie, zapinajcie pasy i ruszajcie w podróż w głąb armii galaktycznej! Bowiem już nic nie będzie takie samo...

Kagu. Lubimy Czytać

Obcy gromadzą się na obrzeżach Układu Słonecznego, umacniają podbitego Marsa i zaczynają spoglądać w stronę Ziemi.

Odległej lodowatej kolonii Nowy Svalbard, odciętej od reszty Galaktyki, grozi chaos i śmierć głodowa. Dla zmęczonego walką sierżanta sztabowego Andrew Graysona i dziesiątkowanych oddziałów Wspólnoty Północnoamerykańskiej wojna o przetrwanie wkracza właśnie w katastroficzną nową fazę.

Po zawarciu niepewnego sojuszu z dotychczasowymi chińsko-rosyjskimi wrogami WPA organizuje ryzykowną misję przebicia się przez blokadę obcych i odzyskania kontaktu z Ziemią. Tym razem walka o przyszłość ludzkości może zakończyć się wyłącznie pełnym zwycięstwem lub unicestwieniem.



POPRIEDNIE TOMY

fabrykaslow.com.pl

facebook.com/fabryka